

"JEDEN Z NAJBARDZIEJ NIEPOKOJĄCYCH THRILLERÓW, JAKIE CZYTAŁAM.  
POKOCHAŁAM TĘ KSIĄŻKĘ AŻ DO OSTATNIEJ STRONY"  
—GILLIAN FLYNN, AUTOKA ZAGINIONEJ DZIEWCZYNY

# OKRUTNE PRAGNIENIE ARAMINTA HALI

Araminta Hall

# OKRUTNE PRAGNIENIE

przełożyła Katarzyna Roslan



Tytuł oryginału: *Our Kind of Cruelty*

Copyright © Araminta Hall 2018

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIX

Copyright © for the Polish translation by Katarzyna Roslan, MMXIX

Wydanie I

Warszawa MMXIX

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

# Spis treści

Dedykacja

Motto

I

II

III

Posłowie

Podziękowania

Przypisy

*Dla Jamiego, Oscara, Violet i Edith – jak zawsze*

„Człowiek potrafi być nader pomysłowy, kiedy próbuje dotrzeć do prawdy. Czasem musimy po prostu respektować jej zawoalowane oblicze. Oczywiście, to jest opowieść o miłości”

Iris Murdoch, *Morze, morze*, tłum. Wiesława Schatterowa

Zasady gry w Pragnę były proste. Razem z V wybieraliśmy klub w sensownej odległości od domu i jechaliśmy tam. Wchodziliśmy osobno i stawaliśmy przy barze – na tyle daleko od siebie, by sprawiać wrażenie, że nie przyszliliśmy razem, a jednocześnie na tyle blisko, bym cały czas mógł ją mieć na oku. Czekaliśmy. Nigdy nie trwało to długo, ale czemu miałyby trwać, skoro V lśniła jak klejnot? Podchodził jakiś nieszczęśnik i proponował jej drinka lub taniec. Ona zaczynała delikatny flirt. Czekałem, nie spuszczając z niej wzroku, w każdej chwili gotów do ataku. Mieliśmy ustalony znak – kiedy unosiła rękę i chwyciła za srebrnego orła, którego zawsze nosiła na szyi, wkraczałem do akcji. W ciemnej, pulsującej rytmem muzyki sali przepychałem się przez tłum, odciągałem śliniącego się do niej bezużytecznego gnoja i pytałem go, co sobie właściwie wyobraża, przystawiając się do mojej dziewczyny. A ponieważ wyglądam jak trzeba, jestem wysoki i dobrze zbudowany, a V jest zadowolona, że podnoszę ciężary i zaczynam dzień od biegania, facet bezwarunkowo się wycofywał, osłaniając rękami twarz wykrzywioną z przestachu i niezrozumienia. Czasem nie czekaliśmy i od razu zaczynaliśmy się całować, czasem szliśmy do kibla i pieprzyliśmy się w kabinie, a V tak krzyczała, że wszyscy słyszeli. Czasem wracaliśmy do domu. Tak czy inaczej, nasze pocałunki zawsze smakowały ulubionym drinkiem V – likierem Southern Comfort.

To V tak nazwała naszą zabawę – w pewną ciemną, lodowatą noc, taką, gdy ściekający po szybie deszcz wygląda jak krople tłuszczu. Miała na sobie czarny T-shirt, przyjemnie aksamitny w dotyku. Materiał muskał jej krągłe piersi, wiedziałem, że jest bez stanika. Moje ciało zareagowało na nią jak zawsze. Zaśmiała się, kiedy wstałem i ująłem jej rękę, by dotknęła mojej gorącej klatki piersiowej.

– Wiesz, Mikey, wszyscy to robimy, cały czas. Ciągle czegoś pragniemy. Tak, to prawda. Zabawa w Pragnę zawsze należała do V.

Jeśli o mnie chodzi, nie chcę tego pisać, ale adwokat mi każe, bo musi mieć jasny obraz sytuacji. Mówi, że ta moja historia nijak mu się nie spina. Uważa też, że dobrze mi to robi, bo dzięki temu sam lepiej zrozumie, na czym stoimy. Sądzę, że jest idiotą. Ale i tak nie mam nic lepszego do roboty, bo całymi dniami siedzę w tej zapadłej celi, a za jedyne towarzystwo mam Grubego Terry'ego – gościa o karku szerszym niż przeciętne udo – masturbującego się do zdjęć celebrytek, których ja w życiu na oczy nie widziałem.

– Co, nadal ani mru-mru? Nie zejdziesz do mojego poziomu? – pyta prawie co rano, kiedy w milczeniu leżę na pryczy, a słowa wypadają z niego jak bomby niewybuchy. Nie odpowiadam, a on nie naciska, bo tutaj, jeżeli kogoś zabiłeś, niechętnie, ale jednak okazują ci respekt.

\*

Trudno uwierzyć, że od mojego powrotu ze Stanów nie minął nawet rok. Zdaje mi się, że upłynęło całe życie, ba, może nawet dwa życia. W rzeczywistości przyleciałem do kraju z końcem maja, a teraz, gdy siedzę w małej ciemnej celi i piszę te słowa, mamy grudzień. Czasem grudzień bywa miesiącem ciepła i dobra, ale ten jest zimny i bez wyrazu, pełen szarych, pochmurnych dni i mgły, która nigdy się nie podnosi. Gazety piszą, że Londyn jest spowity przez smog, jak gdyby nad wodami Tamizy unosił się milion dusz wiktoriańskich zmarłych. Ale tak naprawdę wiemy, że to tryliardy maleńkich cząstek chemicznych zanieczyszczających powietrze i nasze ciała, mutujących się i zmieniających istotę tego, czym jesteśmy.

Myślę, że to całe gówno zaczęło się od Stanów. Mieliśmy się z V nigdy nie rozstawać, ale skusiła nas obietnica szybkiej kasy. Pamiętam, jak V mnie zachęcała do wyjazdu – mówiła, że w Nowym Jorku w dwa lata zarobię tyle ile w Londynie w pięć. Miała rację, pewnie, ale nie wiem, czy było warto. Wydaje się, że przez ten czas coś straciliśmy – jakąś część nas samych. Rozciągnęliśmy się tak mocno, że przestaliśmy prawdziwie istnieć.

Ale mamy dom, i może tylko to się liczy? Ta równość przyprawia o zawrót głowy: dwa lata w piekle równa się pięć pokoi w Clapham. Jeśli tak na to spojrzeć, brzmi to jak żart. Jak coś, za co nikt rozsądny nie zaprzedałby duszy. Ale mamy dom, to fakt. Dom będzie na nas czekał i nie będzie nas osądzał. Będzie trwał.



Kiedy już wiedziałem, że wracam, wynająłem agenta nieruchomości, tak zwanego łowcę domów. Zawsze sobie wyobrażałem, że taki gość skrada się po ulicach ze strzelbą w rękę i paroma ociekającymi krwią domami przerzuconymi przez ramię. Tym razem była to ona. Zasypywała mnie zdjęciami i informacjami, a ja siedziałem za biurkiem w Nowym Jorku i skrolowałem, aż wszystko zlewało mi się przed oczami. Złapałem się na tym, że w sumie mi obojętne, co kupię, miałem jednak bardzo konkretne wymagania, bo wiedziałem, czego oczekuje V. Zwracałem większą uwagę na położenie domu i jego usytuowanie względem stron świata. Pamiętałem, że ogród ma wychodzić na południowy wschód, a frontowe okna mają się znajdować po obu stronach drzwi wejściowych, bo takie domy wyglądają o niebo sympatyczniej. Pokoje są wtedy rozmieszczone po obu stronach holu – pokoje, o których istnieniu jako dziecko nie miałem pojęcia, lecz które, jak uświadomiła mi V, mają swoje dziwne nazwy: biblioteka i salon. Choć nie zapełniłem jeszcze regałów książkami i nie mam w planach prowadzenia salonowego życia. Kuchnia z jadalnią, jak agenci nieruchomości z lubością nazywają każde duże pomieszczenie wyposażone w sprzęty kuchenne, zajmują cały tył domu. Poprzedni właściciele wypchnęli tamtą ścianę o półtora metra do ogrodu i całkowicie ją przeszklili, wstawiając w nią przy okazji masywne, rozsuwane drzwi, które otwierają się i zamykają tak lekko, że w ogóle nie czuć oporu.

W kuchni z jadalnią, podobnie jak na patio wychodzącym do ogrodu, podłoga wyłożona jest piaskowcem z Yorkshire, pod którym zainstalowano ogrzewanie. Dzięki temu, krążąc między ogrodem a kuchnią, pod stopami nie czuje się różnicy temperatury.

– Ten ogród po prostu wdziera się do domu – zachwalał Toby, agent nieruchomości, a mnie ręce świerzbiły, żeby go walnąć. – Dzięki temu parter powiększa się o całą jego powierzchnię – gadał bez sensu, wskazując na wpuszczone w ziemię miejsce na ognisko, jacuzzi, grill i małą kaskadę wodną. Miał facet szczęście, bo uznałem, że te wszystkie rzeczy spodobają się V – w przeciwnym razie z miejsca odwróciłbym się na pięcie i wyszedł.

A szkoda by było, bo to właśnie góra podoba mi się najbardziej. Kazałem wyburzyć wszystkie ściany działowe i podzieliłem przestrzeń na nowo, uzyskując pomieszczenie, które Toby nazwałby pewnie główną sypialnią, a które tak naprawdę jest wielką sypialnią połączoną z garderobą i luksusową łazienką. Do wykończenia i urządzenia tego wnętrza wybrałem same najszlachetniejsze surowce – jedwabie i welwety, marmury

i krzemienie – czyli to wszystko, co wśród naturalnych materiałów jest najprzyjemniejsze w dotyku. Powiesiłem ciężkie zasłony i zamontowałem sprytne oświetlenie, dzięki któremu w pewnych miejscach panuje mroczny i zmysłowy, a w innych jasny i pogodny nastrój. We frontowej części domu mieszczą się dwie mniejsze sypialnie, a na poddaszu – jeszcze jedna, z łazienką i tarasem wychodzącym na ogród. „Fantastyczny jako pokój dla gości”, stwierdził Toby.

Wiele uwagi poświęciłem też umeblowaniu. Gustowne połączenie antyków z nowoczesnością, tak to się chyba mówi. Nowoczesność to wszystkie przedmioty użytkowe, kuchnia, łazienka, system nagłośnienia, oświetlenie i tak dalej. A antyki to ozdoby i dodatki. Nabrałem wprawdy w szperaniu po sklepach i opanowałem właściwy żargon. Znalazłem też w Sussex kawał pola, który cztery czy pięć razy w roku zmienia się w gigantyczny bazar staroci. Ludzie z Europy Wschodniej zwożą tam ciężarówkami różne rzeczy ze swojej przeszłości i śmieją się z nas w kułak, że płacimy setki funtów za coś, co u nich trafiłoby na opał. Powinno się z nimi targować, ale mi się przeważnie nie chce i raczej daję się ponieść fali zakupów. Bo dostrzegam piękno w tym, że przeciągając ręką po oparciu krzesła, wyczuwając pod palcami rysy i wgłębienia, wiem, że przede mną ten sam gest powtarzało wiele dłoni.

Ostatnim razem kupiłem kredens, a kiedy przywieźli mi go do domu i otworzyłem drzwi, okazało się, że na wewnętrznej stronie skrzydła ktoś zanotował ołówkiem różne numery telefonów. „Marta 03201”, „Cossi 9821” i tak dalej, i tak dalej. To było jak opowieść, która nie ma początku, środka ani końca. Stwierdziłem, że to mogą być nawet zapiski prywatnego detektywa albo poszlaki w sprawie o morderstwo. Najpierw chciałem oszlifować mebel i pomalować go na ciemnoszary kolor, ale kiedy znalazłem te numery, zostawiłem go tak, jak był, z obłazącą zieloną farbą i wewnętrzną szufladą, która się zacina przy otwieraniu. Przywiązałem się do tych bezdomnych numerów. Lubię myśleć, że nikt się nigdy nie dowie, co się stało z tymi kobietami, a także z osobą, która to pisała. Nie jestem jednak pewien, co pomyśli o kredensie V. Może jednak będzie wolała go oszlifować.

Kolory ścian to już decyzja V. A więc mnóstwo granatów i ciemnej szarości, nawet miejscami czerni, która jak mnie zapewniła dekoratorka wewnątrz, wcale niekoniecznie musi być przygnębiająca. Zachęciła mnie też, żeby zewnętrzną stronę drzwi szaf w garderobie pomalować na czarny

połysk, a wewnętrzną – na szkarłatną czerwień. Powiedziała, że to da wrażenie przepychu, ale nie jestem pewien, czy miała rację, bo gdy wchodzę do garderoby, widzę tylko skórę i zakrzepłą krew.

\*

Jednym z pierwszych listów, które dostałem po przeprowadzce, było zaproszenie na ślub V. Na kremowej, szlachetnie ciężającej w dłoni kopercie starannie wykaligrafowano atramentem mój nowy adres, do którego widoku jeszcze nie całkiem przywykłem. Ta sama ręka zamasyście wypisała też na grubej, miękkiej, zadrukowanej wypukłą czcionką karcie zaproszenia moje imię. Długo się na nie gapiłem – tak długo, że wyobraziłem sobie dłoń trzymającą pióro i jego delikatne pociągnięcia. „I” było troszkę rozmazane, ale poza tym wszystko wyszło idealnie. Zaniósłem zaproszenie do salonu i postawiłem je na kominku, pod lustrem w złotej ramie, za wysokimi srebrnymi świecznikami. Zauważyłem, że ręka mi drży, i wiedziałem, że wcale nie jest aż tak gorąco, jak mi się zdaje. Przyłożyłem rękę do chłodnego marmuru i skupiłem uwagę na wyszukanych zawijasach podpórek, podtrzymujących gładką półkę. Przypomniała mi, że czysty, nieskazitelny marmur to jeden z najbardziej pożądanых przez człowieka, a zarazem najrzadziej występujących surowców. „Jeżeli coś łatwo przychodzi, to znaczy, że nie warto tego mieć”, powiedziała kiedyś V, a ja teraz, stojąc z ręką wspartą o zimny kamień, uśmiechnąłem się na to wspomnienie.

Wiedziałem, co ona robi. Wszystko grało.

Napisałem V z Nowego Jorku, że wracam. A ona mi na to, że wychodzi za mąż. To był nasz pierwszy kontakt od Bożego Narodzenia, więc mocno mną tąpnęło. Dopiero w lutym przestałem ją zasypywać mejlami, a w kwietniu dałem znać, że wracam, czyli miała dosłownie dwa miesiące, żeby kogoś poznać i podjąć decyzję o ślubie. „Wiem, że się zdziwisz”, napisała,

„ale też przyjmuję Twoje milczenie za znak, że pogodziłeś się już ze wszystkim i tak jak ja chcesz iść naprzód. Kto wie, może już nawet to zrobiłeś! Wiem, że moja decyzja może się wydawać nagła, ale czuję, że tak jest dobrze. Chciałabym też Cię przeprosić za to, co stało się w Boże

Narodzenie. Być może już wiedziałeś, że to koniec, dlatego nie powinnam była tak się zachować, tylko zwyczajnie usiąść i z Tobą porozmawiać. Mam jednak nadzieję, że teraz cieszysz się moim szczęściem i że pozostaniemy przyjaciółmi. Byłeś dla mnie i nadal jesteś kimś wyjątkowym. Nie wyobrażam sobie, że mogłoby Ciebie nie być w moim życiu”.

Przez parę dni byłem jak otepiały – czułem się jak po eksplozji, która rozszarpała mnie na strzępy. Szybko jednak zdałem sobie sprawę, że zareagowałem jak uczeń. V z pewnością nadal mnie kochała, najwyraźniej odniosła jednak wrażenie, że to ja chciałem zakończyć nasz związek. Lekki ton listu do tego stopnia nie pasował do V, że przez chwilę zastanawiałem się też, czy nie została uprowadzona i czy ktoś się pod nią nie podszywa. Ale znacznie bardziej prawdopodobne było to, że V nie jest sobą lub że pisze tak specjalnie, bo chce mi powiedzieć coś między wierszami. W grę wchodziły dwie możliwości: albo postradała zmysły w wyniku ciosu, jaki jej zadałem w Boże Narodzenie, i rzuciła się w ramiona pierwszego lepszego palanta, albo chciała, żebym słono zapłacił za to, co zrobiłem. To drugie wydawało się najsensowniejsze – bądź co bądź chodziło o V, a V należała do ludzi, którzy lubią naocznie się upewnić, że ponosi się karę. Miałem wrażenie, że wersy jej mejla się rozmazały i dopiero gdzieś za nimi tkwią prawdziwe słowa. To była gra, nasza ulubiona. Nie miałem wątpliwości, że właśnie zaczynamy nową, bardziej wyszukaną partię Pragnę.

Początkowo wstrzymałem się z odpowiedzią. Układając ją, uważnie doбираłem słowa. Przyjąłem ten sam optymistyczny ton i odpisałem, że bardzo się cieszę z jej szczęścia i że oczywiście nadal będziemy przyjaciółmi. Napisałem też, że po powrocie do Londynu wyślę jej swój adres, ale kiedy przyszło zaproszenie, wiedziałem, że już nie trzeba. Dzwoniła do Elaine, to było jasne. A skoro dzwoniła, to znaczy, że jej wściekłość trochę przygasła. Szybko odnalazłem w zaproszeniu to, czym było naprawdę – wyszukaną formą przeprosin, tańcem zrozumiałym tylko dla nas dwojga – dla mnie i dla niej. Zrobiło mi się nawet trochę żal tego Angus Metcalfa, bo takie właśnie nazwisko widniało na absurdalnym ślubnym karnecie.

Susan i Colin Waltonowie  
mają zaszczyt zaprosić  
na ślub  
swojej córki  
Verity  
z  
Angusem Metcalfem,  
który odbędzie się  
w kaplicy w Steeple, Sussex  
w sobotę 14 września  
o godz. 15:00,  
a następnie na przyjęcie weselne  
w Steeple House

Czasem, kiedy się budzę, zaproszenie leży obok mnie na łóżku, choć oczywiście nie pamiętam, żebym je tam ze sobą zabierał. Pewnego razu znalazłem je pod policzkiem, przykleiło mi się do skóry, a gdy je oderwałem, zostały mi wgłębienia po wypukłym druku. Widziałem je w lustrze – były niczym piętno wyciśnięte na twarzy.

Odczekałem parę dni, a potem wysłałem do matki V krótką wiadomość, że z przyjemnością zjawię się na ślubie i weselu. Wiedziałem, rzecz jasna, że przyjemność była tylko po mojej stronie.

Przez ostatnie lata sporo czasu spędziłem z Colinem i Suzi i w pewnym okresie byłem nawet skłonny sądzić, że uznają mnie za kogoś w rodzaju syna. Czasem w Boże Narodzenie trudno mi było pozbyć się wrażenia, że jesteśmy z V rodzeństwem i siedzimy razem z rodzicami nad indyczym truchłem. „Niezła z nas para – powiedziała raz do mnie V – ty nie masz rodziców, a ja rodzeństwa. Prawie nie musimy się do nikogo naginać. Wystarczy tylko mocno się siebie trzymać, żeby to drugie gdzieś nie odleciało”. Nie miałem absolutnie nic przeciwko temu. Niczego nie uwielbiałem bardziej niż obejmować szczupłą talię V, przyciągać ją do siebie w łóżku i czuć, jak jej pośladki idealnie wpasowują się w podbrzusze, zarysy naszych nóg pokrywają się ze sobą, a głowa V mieści się dokładnie w zagłębieniu pod moją brodą.

Czasem myślę, że najbardziej lubiłem, gdy V spała. Kiedy stawała się nagle ciężka w moich ramionach, a jej oddech gęstniał i zwalniał. Otwierałem wtedy usta i wodziłem szczęką po czubku jej głowy,

wyczuwając wszystkie wypukłości i znamiona na jej czaszce. Miałem wrażenie, że nietrudno byłoby przeniknąć głębiej, pod kość, do mięsistej tkanki okrywającej szarą masę splątanych zwojów, składających się na jej mózg. Poczuć przepływające impulsy elektryczne, dzięki którym żyła i czuwała. Często też ogarniała mnie zazdrość o te impulsy i wszystkie informacje, jakie przenoszą. Pragnąłem się nimi oplątać, by śniła tylko o mnie i bym przepęniał ją tak bardzo, jak ona przepęniała mnie.

Zastanawiałem się, czy V musiała się wyklócać z matką, żeby mnie zaprosić, i czy Suzi uważała, że dobrze mi zrobi widok jej córki jako szczęśliwej żony innego. Ciekawiło mnie też, jak zachowa się wobec mnie podczas uroczystości – czy zamierza na mnie spojrzeć? Czy się uśmiechnie?

Z perspektywy czasu stwierdzam, że Suzi zawsze była głupia – udawała, że chce się wyróżniać, podczas gdy w rzeczywistości pragnęła być dokładnie taka sama jak ludzie, którzy ją otaczali. Powinienem był wcześniej to zrozumieć – właściwie to już wtedy, gdy po raz pierwszy usłyszałem jej imię.

„Jestem Susan – powiedziała podczas naszego pierwszego spotkania – ale mów do mnie Suzi”. Nie najgorzej, dopóki nie odkryłem, że wymawia to przez „i”. Zwyczajna wymowa byłaby dla Suzi zbyt prosta, zbyt swojska, zbyt bliska temu, kim naprawdę była. A nigdy nie powinno się ufać ludziom, którzy pragną być kimś innym, niż naprawdę są.

\*

Po powrocie do Londynu bez najmniejszego trudu znalazłem pracę w City. Miałem świetne referencje z amerykańskiego banku, a osiągnięte tam wyniki mówiły same za siebie. Dostałem dobrą pensję, a premia miała ją jeszcze podwyższyć. Nie przeszkadzały mi codzienne dojazdy do biura i nawet lubiłem wysoki, lśniący budynek, w którym pracowałem, gdzieś wysoko w chmurach. Całe dni kręciły się wokół liczb, które skakały po obserwowanych przeze mnie ekranach ustawionych na biurku. Było to takie proste, że zupełnie nie rozumiałem, czemu wszyscy się tym nie zajmują.

V zawsze twierdziła, że naszym celem jest przejście na emeryturę w wieku czterdziestu pięciu lat. Wiedziałem, że bez trudu jestem w stanie to osiągnąć. Zakładałem, że od lutego nie zmieniła diametralnie życia i że nadal pracuje w Calthorpe Centre, w podziemnej części budynku, gdzie

wymyśla programy komputerowe, które – jak mówiła – pewnego dnia sprawią, że ludzie przestaną być w ogóle potrzebni. Twierdziła, że nie wie, po co to robi, dlaczego konsekwentnie dąży do tego, by maszyny stały się mądrzejsze od nas, ale sądzę, że po prostu kochała wymyślać sztuczne rzeczy, które są lepsze od tych prawdziwych. Myślę, że bardzo chciała sprawdzić, czy zdoła przechytryć ludzkie emocje.

Tak sobie teraz myślę, że gdyby V nie dostała tamtej pracy, moglibyśmy jechać do Stanów razem. I nadal tam mieszkać. Ale nie lubię tak gdybać, bo blisko stąd na jedną z wielu niebezpiecznych ścieżek, prowadzących ku pięknym, kuszącym światom, które nigdy nie staną się moim udziałem. A jako dziecko cały czas nurzałem się w takim gdybaniu: o, ta kobieta całująca dziecko w parku mogłaby być twoją matką, ten klucz mógłby otwierać drzwi twojego domu, te, przy których rośnie pnąca róża, o, a ten zapach smażonej cebuli mógłby oznaczać, że ktoś szykuje dla ciebie kolację.

Nieważne, w każdym razie ja dostałem pracę w Stanach, a ona – w Londynie. Oboje surfowaliśmy po samym szczycie fali – mnie zaproponowano tak wysoką pensję, że sam w nią nie wierzyłem, a V była najmłodszą osobą kiedykolwiek zatrudnioną na stanowisku kierowniczym w Calthorpe Centre – zaledwie sześć lat po studiach.

– Jakie to sprytne, że ich nazwa tak niewinne brzmi, jak jakaś fundacja medyczna – powiedziała, kiedy do niej zadzwonili.

Wziąłem ją w ramiona i wyszeptalem gratulacje.

– Ale ja za trzy miesiące wyjeżdżam do Nowego Jorku – dodałem.

Odsunęła się i odparła z napięciem:

– Nie mogę tego odrzucić, Mikey.

Coś we mnie nabrzmiało, myślałem, że mnie zwali z nóg.

– W takim razie nie pojedę. Znajdę sobie pracę tu, na miejscu.

– Nie. Musisz jechać. To dla ciebie wielka szansa. Popracujesz parę lat, zarobisz kupę forsy, a potem, jak wrócisz, zaczniemy prawdziwe życie.

– Mówisz, jakby to było takie proste.

– Bo jest. Będziemy codziennie rozmawiać, poza tym to przecież nie aż tak daleko. Możemy do siebie latać w weekendy. Będzie romantycznie. – Zaśmiała się. – Staniesz się jeszcze prawdziwszym orłem. Będziesz latał nad Atlantykiem. W srebrnej kapsule.

Ta myśl mną wstrząsnęła. Wyciągnąłem ręce i ująłem ją za ramiona.

– Ale musisz obiecać, że beze mnie nigdy nie zagrasz w Pragnę, V.

Wykręciła się i potarła miejsca, gdzie przed chwilą leżały moje dłonie.

– Co ty wygadujesz?

Uderzył mnie jej ton i odwróciłem się, by ukryć to, że mnie zraniła. Ale ona poszła za mną i stanęła tak, by mi zajrzeć w twarz.

– Mike, w życiu bym tego nie zrobiła, przecież wiesz.

Wspięła się na palce i jej usta znalazły się tuż przy moim uchu.

– Uwielbiam patrzeć, jak się ciebie boją – wyszeptała. Wstrzymałem oddech, aż usłyszałem: – Chodźmy zagrać.

Chyba oboje wiedzieliśmy, że to nasz ostatni raz. Poszliśmy do baru koło Leicester Square. Już tam kiedyś byliśmy, ale przez ostatnie pół roku nie. Zawsze siedziało tam pełno studentów z zagranicy, turystów i chłopaków z prowincji. Czasem zdarzała się prostytutka czy dziewczyna do towarzystwa. Nikt nie sprawiał wrażenia, że się dobrze bawi, z głośników leciał ciężki, monotonny łomot, który wibrował ci w całym ciele, jakbyś sam sobie robił masaż serca. Światła migwały i skóra przybierała trupio błądy odcień. Coś fluorescencyjnego w powietrzu sprawiło, że wszystkim świeciły białka oczu, a na ubraniach było dokładnie widać splot nici.

V miała na sobie szarą jedwabną sukienkę, odsłaniającą mlecznobiałe ramiona i długą, szczupłą szyję, lekko wygiętą u podstawy czaszki. Ciemne włosy związała na czubku głowy, ale pojedyncze kosmyki wysunęły się i pieściły jej szyję, przywodząc na myśl, co mogłyby robić wargi. Czarna kreska połyskująca na powiekach wydłużała jej oczy, które dzięki niej nabierały wyrazistości. V oblizwała pełne usta, które nigdy nie potrzebowały szminki. Wysoko na kościach policzkowych ciemniał rumieniec, nie wiedziałem, czy naturalny, czy sztuczny. Uśmiechnęła się do barmana, który podał jej wysoką szklanekę z brązowym drinkiem. Zauważyłem, że V ma pomalowane na czarno paznokcie.

Mój drink był za słodki, oblepiał ściśnięte, piekące gardło. W głowie dojrzewała świadomość, ile czasu spędzimy w rozłące, w skroniach czułem narastający ból. Wpadł na mnie jakiś wstawiony facet z rozchichotaną dziewczyną uczepioną jego ramienia. Staliśmy tuż przy barze i łatwo byłoby ująć jego głowę w dłonie i rąbnąć nią w twardy drewniany blat. Szybko trysnęłaby krew i zanim ktokolwiek zdołałby mnie zatrzymać, głowa tego gościa leżałaby przekrzywiona na bok, roztrzaskana.

Obejrzałem się na V, lecz nadal siedziała sama i opierając się o bar, podnosiła co chwila szklanekę do ust. Możliwe, że wyglądała za dobrze na



to miejsce, i pomyślałem, żeby jej powiedzieć, że dobra, koniec, wychodzimy. Była jak egzotyczny motyl wpuszczony do pokoju pełnego much, brzęczących jedna przez drugą nad własnym gównem. Odepchnąłem się od baru i już miałem podejść, ale dokładnie w tej samej chwili zbliżył się do niej jakiś facet. Niedużo wyższy od niej, przysadzisty, z grubymi mięśniami sterczącymi spod rękawów śnieżnobiałego T-shirtu, jak u bohatera jakiejś kreskówki. Skórę miał ogorzałą i nawet z miejsca, gdzie stałem, było widać, jak perli się na niej pot. Z szyi zwisał mu ciężki, srebrny łańcuch, na którym dyndała jakaś moneta. Czarne włosy miał zaczesane gładko do tyłu.

Zamarłem w pół ruchu, nie spuszczać wzroku z ich dwojga. Wyobrażałem sobie – jak zwykle w takiej sytuacji – jak to jest być tak blisko V, czuć ciepło jej ciała i myśleć, dokąd powędrowałyby po nim ręce, patrzeć na jej wargi, gdy mówi, łapać ulotne przebłyski języka, kiedy się śmieje, i zastanawiać się, co mogłyby zrobić jej usta. Facet pochylił się, coś mówiąc, głowę przysunął do jej ucha, a jego ręka zatrzymała się w powietrzu tuż nad jej ramieniem, jak gdyby nie mógł się zdobyć na odwagę, by ją tam położyć. V się zaśmiała. On opuścił rękę na wysokość jej biodra, gdzie w końcu poprzez cienki jedwab zetknęła się z jej ciałem. V nadal opierała się o bar, ale przeniosła biodra nieco w przód, pozwalając mu wsunąć rękę za jej pośladki. Facet jeszcze bardziej się zbliżył, zamknął dzielącą ich przestrzeń i naparł podbrzuszem na jej biodra, zapewne już reklamując swój towar. Nie spuszczałem wzroku z rąk V, ale te leżały na szklance, a orzeł beżużytecznie zwisał z jej szyi.

Oddychałem ciężko, ogarnęła mnie dziwna słabość, ociążałość. Mgiełka przed oczami przesłaniała mi widok i zacząłem się martwić, że niedługo w ogóle przestanę widzieć. Przegapię znak, a mrok i ten facet pochłoną V. Odwróciłem głowę i zobaczyłem nad drzwiami neonowy napis „Wyjście”. Wyobraziłem sobie, że idę w tamtą stronę, wychodzę na dwór, sam wracam do naszego mieszkania, kładę się do łóżka i czekam na jej powrót. Że odpuszczam i mi nie zależy. Ta wizja kłuła mnie cieniutkimi igielkami w mózg.

Odwróciłem się do V i choć twarz tamtego przywierała do jej szyi, zobaczyłem, że trzyma rękę na wisiorku. Kobieta, która stała przede mną, krzyknęła, brutalnie odepchnięta na bok.

– Ej, spokojnie! – zawołała za mną, bez sensu.

Kiedy zbliżałem się do V, mimo że trwało to zaledwie krótką chwilę, widziałem, jak zmienia się jej mina. Już się nie śmiała, lekko odsuwała się od piersi tamtego faceta, który pochylił ku niej twarz. Chwyciłem go za ramię i szarpnąłem do tyłu, tak że drink chlusnął mu na koszulkę.

– Co tu, kurwa, robisz, przy mojej dziewczynie? – spytałem, czując, jak otaczający nas ludzie wtapiają się w tło.

– O co ci, kurwa, chodzi? – odpowiedział tamten i się wyprostował.

Gapiliśmy się na siebie jakąś minutę, ale miałem przewagę wzrostu i mięśnie, których siłę poczuł, kiedy go szarpnąłem. Machnął w powietrzu rękami.

– Niezłą masz, kurwa, laskę – rzekł, po czym spojrzał na V. – Lubi prowokować – rzucił i odszedł.

Poczułem rękę V na ramieniu, które napięło się i odsunęło, gotowe wymierzyć cios w jego głupią, przerośniętą twarz. V odwróciła mnie i przyciągnęła do siebie, a ja się nachyliłem i ją pocałowałem, kładąc ręce tam, gdzie trzymał je tamten, odzyskując swoje terytorium. Jej język poruszał się szybko i gwałtownie i pragnąłem jej tak bardzo, że miałem ochotę zgarnąć z baru drinki i położyć ją tam, w kałużach alkoholu. Ale ona odciągnęła mnie za okrągłe stoliki i krzesła, za ciała wijące się na parkiecie, za dudniące głośniki, za szczepione ze sobą pary, w ciemny kąt. Rozsunęła mi rozporek i wyjęła mnie, obejmując jednocześnie nogami. Jedwab jej sukienki bez oporu powędrował do góry, a że nie miała bielizny, wszedłem w nią natychmiast, podczas gdy ona jęczała i gryzła mnie w szyję. Miałem wrażenie, że wszyscy gdzieś zniknęli i jesteśmy całkiem sami – i tylko my się liczymy.

Potem w chłodzie nocy, wśród pijanych ludzi, podążających smutnymi, żalonymi drogami na koszmarnie spotkania, V powiedziała:

– Już myślałam, że mnie zostawiłeś.

Wziąłem ją za rękę.

– Jak możesz tak myśleć?

– Bo dotknęłam orła, a ty długo nie nadchodziłeś.

Zrozumiałem, że patrzyłem na neonowy napis dłużej, niż sądziłem.

– Nigdy bym cię nie opuścił – powiedziałem.

– Serio? – spytała, a gdy spojrzałem na nią z bliska, stwierdziłem, że już nie chichocze. Wydawała się teraz mniejsza, czarna kreska wokół oczu rozmazała się.

Zatrzymałem się, choć na chodniku było tak tłoczno, że ludzie natychmiast zaczęli na nas wpadać. Uniosłem delikatnego srebrnego ptaka, który mieszkał na łańcuszku zawieszonym na jej szyi, a ona zrobiła krok w moją stronę.

– Jestem twoim orłem, V – powiedziałem. – Wiesz o tym.

To nie ja dałem V ten wisiołek. Powiedziała, że kupiła go sobie za pierwsze samodzielnie zarobione pieniądze, w wieku szesnastu lat, gdy pracowała jako kelnerka. Że przechodziła obok sklepu, a on błysnął do niej z wystawy i zapragnęła go mieć na własność. Zawsze zakładałem, że to jakiś delikatny ptaszek, typu jerzyk, lub nawet banalna nierozłączka, i zdziwiłem się, gdy mi powiedziała, że to orzeł. Kiedy jednak bliżej się przyjrzałem, dostrzegłem rozpiętość skrzydeł i zakrzywiony dziób.

– Orły są wspaniałe – oznajmiła V. – To jedyne ptaki, które podnieca burza, lecą prosto na nią i oglądają chaos. Ale też – dodała, nakrywając dłońmi moje dłonie – są bardzo lojalne. Łączą się w pary na całe życie.

Pochyliłem się i pocałowałem ją w usta.

– Jestem twoim orłem – powiedziałem.

\*

Uznałem, że dobrze będzie, jeśli w Londynie zaprzyjaźnię się z ludźmi z pracy, mimo że w Stanach miałem ten sam plan, ale tam zupełnie się nie powiodł. Osobiście nie miałbym nic przeciwko temu, żeby do końca życia nie przyjaźnić się z nikim prócz V, ale przekonałem się, że ci, którzy tak robią, są uważani za dziwaków. Dlatego postanowiłem przyjąć powszechnie obowiązujący styl. Teraz rozumiem, że ludzie nie zawsze myślą to, co mówią. Że wielogodzinne głędzenie o niczym w zatłoczonym barze, bez konkretnego powodu, na przykład takiego jak Pragnę, może w ogóle sprawiać przyjemność. Że ludzie bez oporu dzielą się z kimś swoim ciałem, a potem zachowują tak, jakby tej osoby prawie nie znali.

Jeżeli ktoś – dajmy na to – mówi: „Mógłbym go, kurwa, zabić” lub „Ale mam doła” albo „Dosłownie zaraz padnę”, wcale nie ma tego na myśli. Ba, nie ma na myśli niczego choćby odrobinę do tego zbliżonego. Kiedy kobieta kładzie ci rękę na udzie, to wcale nie oczekuje, że odwzajemnisz ten gest. Jeżeli facet zwraca się do ciebie „stary”, to nie znaczy, że cię lubi.

Kiedy ktoś rzuca: „Musimy się spotkać”, nie powinieneś go pytać „Kiedy?” ani następnego dnia wysłać mu esemesa.

W podstawówce popchnąłem jednego chłopaka z klasy, Billy’ego Sheffielda, a on upadł i startł sobie kolano. Nauczyciel, nie pamiętam, jak się nazywał, kazał mi go przeprosić, ale ja nie chciałem, bo wcale nie żałowałem. Ten Billy jakoś mnie przezywał, też zapomniałem jak, ale pewnie, że jestem biedakiem albo zawszonym brudasem, w nawiązaniu do moich tanich niemarkowych butów z supermarketu i niepranych ubrań. Tak czy inaczej, wcale nie było mi przykro. Zaprowadzili mnie wtedy do małego pokoju, dokąd podobno zabierali wszystkie nienormalne dzieciaki w szkole. Rumiana kobieta uśmiechnęła się do mnie, kazała mi usiąść w miękkim fotelu i poczęstowała słodyczami. Przyszło mi do głowy, że to chyba wcale nie tak źle być nienormalnym.

– Czemu nie chcesz przeprosić? – spytała w końcu, kiedy już napchałem się czekoladowymi drażetkami.

– Bo nie – odparłem.

– I jak Billy’emu zaczęła lecieć krew z kolana, to też nie było ci przykro, że to przez ciebie?

Wróciłem myślami do tamtej chwili, kiedy stałem nad Billym i patrzyłem na jego podrapane kolano, startą skórę i kropelki krwi. Wiedziałem, jak to będzie szczytać i piec, może nawet do ranki dostało się trochę piachu, a pielęgniarka od razu posmaruje to ohydnie śmierdzącą jodyną i owinie bielutkim bandażem, który się nosi jak odznakę honorową.

– Uważałem, że zasłużył – odparłem.

– Nikt nie zasługuje na to, by go krzywdzić – odparła, nie przestając się uśmiechać.

– Brzydko mnie nazwał.

– Tak, i źle zrobił. Zostanie za to ukarany. Ale ty musisz go przeprosić za to, że zrobiłeś mu krzywdę. – Najwyraźniej tępo się na nią patrzyłem, bo nie przestawała mówić. – Czasem, Michael, warto powiedzieć, że ci przykro, nawet jeśli tego do końca nie czujesz. Po to, żeby był spokój i żeby druga osoba poczuła się lepiej.

Do dziś żałuję, że nie spytałem, czy dotyczy to wszystkich emocji, czy tylko skruchy.

Z biegiem lat i doświadczeń zaczynałem coraz lepiej rozumieć, czego się ode mnie w życiu oczekuje, a czego – nie. Pracując w City, wiedziałem już

na przykład, że kiedy George z pokoju obok proponuje mi wspólne wyjście na drinka, mam przywołać na twarz miły uśmiech i odpowiedzieć „Tak”.

W tamtym czasie wypracowałem już sobie szczegółowy rozkład zajęć, dzięki czemu zyskałem pewność, że potrafię się przystosować do każdej sytuacji społecznej. Codziennie wstawałem o piątej, przez czterdzieści minut biegałem tą samą trasą, przyzwoity dystans, dziewięć kilometrów, wracałem, brałem prysznic, ubierałem się i o szóstej dziesięć wychodziłem z domu, żeby o szóstej czterdzieści pięć siedzieć już za biurkiem. W firmie była siłownia, jak we wszystkich biurach, więc ćwiczyłem tam podczas przerwy na lunch w poniedziałki, środy i piątki. Ćwiczylibym codziennie, ale wiedziałem, że niebawem zacznę się umawiać na lunch z klientami i czasem będzie trzeba poudawać, że jestem tak zajęty, że muszę pracować także w czasie przerwy obiadowej. Taki układ zapewniał mi trochę elastyczności i oznaczał, że w razie potrzeby mogłem żonglować dniami. Kupiłem sobie też ławeczkę i ciężarki. Na razie stały w pustej bibliotece, ale wiedziałem, że V nigdy się na to nie zgodzi, więc zainteresowałem się już kosztami i możliwością pogłębienia piwnicy, by zrobić tam miejsce na siłownię. V zawsze lubiła ciepło, pomyślałem więc, że przy okazji można by urządzić tam też saunę.

Tamtego wieczora było nas jedenaścioro, choć tylko dwoje zasługiwało, by o nich wspomnieć: George i Kaitlyn. George był przystojny i głośny, ale za dużo pił i nie grzeszył bystrością. Jego chrzestny prowadził naszą firmę czy coś takiego, ojciec był lordem, więc on sam nigdy nie musiał się przejmować, jakie wywiera wrażenie. Trudno uwierzyć, ilu takich pracuje w City! I jak musi na nich tyrać cała reszta. Można ich nienawidzić, ale po co? Świat, jak się dowiedziałem w młodym wieku, rzadko bywa sprawiedliwy i nic się nie da na to poradzić.

Kaitlyn siedziała w innym pokoju w tym samym korytarzu, więc znaleźmy się z widzenia. Była chuda i wysoka, nosiła ciemne garsonki i niebotyczne obcasy. Patrzyłem, jak idzie korytarzem, i nie pojmowałem, że się nie potyka i nie łamie nogi w kostce. Wydawało mi się to nieprawdopodobne. Ale mimo obcasów poruszała się lekko i swobodnie, doszedłem więc do wniosku, że nosi je od bardzo dawna i uznaje za przedłużenie nóg. Kaitlyn miała bardzo bladą cerę i najbardziej wiotkie i najjaśniejsze włosy, jakie w życiu widziałem. Była do tego stopnia blondynką, że rzęsy i brwi też miała białe, co nadawało jej wygląd istoty nie z tego świata. Jej oczy były zaś bardzo niebieskie – takie, jakby się

patrzyło w lód. Spodziewałem się, że będzie chłodna i surowa, ale okazało się, że jest wprost przeciwnie.

– Więc co o nas wszystkich sądzisz? – spytała, kiedy znaleźliśmy się razem przy barze. Mówiła z pięknym, miękkim irlandzkim akcentem.

– Na razie jak najlepiej.

– Słyszałam, że zrobiłeś furorę w Schwarzu. Też bym chciała tam kiedyś pracować. Mam takie marzenie, żeby mieszkać z widokiem na Central Park.

– Ja mieszkałem z widokiem na Central Park. – Zerknąłem na towarzystwo przy naszym stoliku, zastanawiając się, kiedy będę mógł wyjść. Siedzieliśmy tu już dwie godziny, wszyscy byli spoceni i czerwoni, a kilkoro często biegało do toalety.

– No, no – odparła. – To czemu wróciłeś?

– Przepracowałem dwa lata. Mieszkam w Londynie, tu jest mój dom. Plan był taki, żeby się stąd nie oddalać na dłużej niż dwa lata.

– No, ale Nowy Jork. I Schwarz.

Żadne z nas nie miało chyba ochoty wracać do stolika, popijałem więc drinka przy barze.

– Moja dziewczyna ma tu pracę, nie mogła jej zostawić.

– A, jasne. Niezła praca, skoro przebiła nawet Schwarza.

– Nie, nie w banku. Pracuje nad sztuczną inteligencją.

Kaitlyn gwizdnęła przez zęby, wydając dziwny dźwięk, niewiele różniący się od przywoływania psa.

– Ho-ho, co za mocarna para.

– Niespecjalnie. – Zauważyłem, że Kaitlyn nie pije wina, tylko bawi się kieliszkiem, lekko go przechylając. – Ostrożnie, może się wylać.

Spojrzała, zaśmiała się i upiła łyczek.

– Więc gdzie teraz mieszkasz?

– Clapham.

– O, to koło mnie. Blisko parku?

Skinąłem głową.

– Tak, Verity stanowczo naciskała, że to musi być przy parku. Lubi biegać.

– A ja chodzę – odparła Kaitlyn. – Mam psa i w weekendy chodzę z nim na spacer. Tam, w parku, najbardziej czuję się jak w domu.

– A twój dom – to gdzie?

– Na wsi na południu Irlandii. Na pewno nie słyszałeś.

– Twoja rodzina tam mieszka?

Skinęła głową, a mnie uderzyła nagła myśl o tym, że przyleciała taki kawał drogi po to, by rzucić się w wir brutalnego londyńskiego życia, z dala od wybrzeża i pagórków.

– Co cię tu przyniosło?

Wzruszyła ramionami.

– No wiesz, życie. Irlandia jest piękna, ale nie tak łatwo tam żyć. – Przez koszmarną chwilę myślałem, że się rozpłaczę, ale ona tylko się zaśmiała. – Założę się, że mieszkasz w którymś z tych wypasionych domów przy Windsor Terrace.

– Ej, skąd wiedziałaś? – spytałem za szybko, zastanawiając się, czy nie przeglądała przypadkiem teczek z moimi dokumentami czy coś w tym stylu.

Ale ona znowu się zaśmiała.

– Bo to ulica bankowców, stąd!

Próbowałem przypomnieć sobie sąsiadów, ale nie potrafiłem. Miałem nadzieję, że Kaitlyn przesadza. Ponieważ jeżeli V czegoś nie cierpi, to właśnie braku oryginalności. A czy można sobie wyobrazić coś mniej oryginalnego niż praca w City i dom przy ulicy, przy której mieszkają sami bankowcy? Czułem na sobie spojrzenie Kaitlyn, ale nie chciałem go odwzajemniać. Wiedziałem, że jest badawcze i że się rumienię pod jego wpływem. W tej chwili jej nienawidziłem – i to ze straszliwą pasją. Bo jak ona śmie się tu szwendać i obsikiwać mój teren? Moje idealnie położone, starannie wybrane terytorium?

Cały wieczór – aż do chwili, gdy wracałem z metra do domu – rozmyślałem nad tym, co powiedziała Kaitlyn, aż w końcu doszedłem do wniosku, że i tak nie ma to znaczenia. V nie pracowała w bankowości, więc skąd by miała wiedzieć, że nasi sąsiedzi to bankowcy? Odetchnąłem swobodniej, ale mimo to, idąc, patrzyłem w te okna, których nie zasłonięto. Nie poprawiło mi to nastroju, bo zobaczyłem wiele podobnych pokojów – nie do siebie nawzajem, lecz do moich własnych. Ciemne ściany, oświetlenie w industrialnym stylu, droga, nowoczesna sztuka, eleganckie narożne kanapy, supernowoczesny sprzęt grający i telewizyjny, gołe podłogi. Przy okazji zobaczyłem też wielu rozdętych facetów w średnim wieku, w różnym stopniu uwolnionych z garniturów, oraz chude blondynki

w bladych kaszmirach, trzymające kieliszki z czymś, co bez wątpienia było najlepszego gatunku czerwonym winem.

Po przyjsciu do domu nalałem sobie własnego znakomitego czerwonego wina, rozluźniłem krawat i rzuciłem marynarkę na krzesło, a buty niedbale strząsałem z nóg do kąta. Wiedziałem, że V by się za to wściekła, ale jej nie było i tego nie widziała, wiedziałem też, że nigdy się tak nie zachowam, kiedy ona się tu wprowadzi. Wszedłem do salonu, włączyłem wieżę i puściłem Oasis. Oasis to ulubiony zespół V, mój zresztą też. Zanim ją poznałem, słuchałem tylko The Clash, Nirvany i Hole. Lubiłem zamykać się w pokoju z muzyką, która dudniła mi w uszach, i walić w łóżko nieistniejącymi pałeczkami do perkusji. V twierdziła, że powinienem bardziej wsłuchiwać się w treść, bo tam jest ukryte piękno. Dopuszczała Nirvanę, ale nie mogła uwierzyć, że nie mam żadnych płyt Beatlesów, Davida Bowiego, Lloyda Cole'a, Prince'a, Joni Mitchell ani The Carpenters. Ale najbardziej zdumiała się, że nie mam nic Oasis. „Noel Gallagher pisze najlepsze piosenki miłosne na świecie”, oświadczyła, a ja natychmiast poczułem się zazdrosny – bo to on, a nie ja, wywołał u V jakieś emocje.

Zaproszenie na ślub V rzucało mi nieme wyzwanie z gzymsu kominka. Poczulem przemożną chęć, by złamać zasady i się z nią skontaktować. Wyjąłem laptop i usiadłem z nim na kanapie. Najpierw ją wygooglowałem, ale jak zwykle nic mi nie wyskoczyło. Jej profil na FB nadal był usunięty, a V nigdy nie założyła sobie konta na innych portalach społecznościowych typu Twitter czy LinkedIn. Po incydencie amerykańskim zmieniła, rzecz jasna, numer telefonu i nawet nie znałem jej adresu. Jedyłą drogą dostępu, jaka mi pozostała, było więc mejlowanie. W styczniu i lutym pisałem do niej codziennie, czasem nawet częściej niż raz dziennie, ale nigdy nie odpowiadała – zrobiła to dopiero wtedy, gdy napisałem, że wracam do domu. Co oznaczało, że zerwanie kontaktu było właściwym posunięciem.

Siedząc tak, uświadomiłem sobie, że w pewnym sensie przestałem do niej pisać mejle po to, żeby nie odcięła mi i tej drogi dostępu. Bo gdyby to zrobiła, to już naprawdę miałbym bardzo ograniczone możliwości kontaktu, a myśl ta była zbyt przerażająca, by ją w ogóle dopuszczać. Oczywiście wiedziałem, że muszę się pozbierać i jakoś urządzić w Londynie, zanim będę mógł się jej znowu zaprezentować jako sensowna, realna opcja. Zerknąłem na połyskliwe białe zaproszenie. Złość, jaką poczułem, była tak czysta i intensywna, że zdumiało mnie, że papier od razu nie zapłonął. Wystarczyło kilka miesięcy, by V poznała tego faceta



i podjęła decyzję, by go poślubić. Całkiem możliwe, że tak się zakochała, że dosłownie, jak to się mówi, zważyła ją z nóg.

Myśl ta kazała mi zerwać się z kanapy. Zrzuciłem laptop na podłogę i raz, drugi i trzeci przemierzyłem salon wzdłuż. Wtedy musiałem się zatrzymać. Zgiąłem się wpół, oparłem ręce na kolanach i zwymiotowałem. Wyprostowałem się i przytknąłem głowę do ściany, niechcący lekko w nią stukając. Odkrywszy, że to całkiem przyjemne uczucie, powtórzyłem ten ruch, potem jeszcze raz i znowu, aż uderzenia rozchodziły mi się falami po całym ciele. Kiedy się odsunąłem, na świeżo pomalowanej ścianie zobaczyłem krew, więc poszedłem do kuchni po ściereczkę. Przy okazji sięgnąłem po na wpół opróżnioną butelkę czerwonego wina. Gdy w drodze do salonu przechodziłem przez hol, rozległ się dzwonek do drzwi. Było już po północy, a jedyną osobą, która o tej porze mogłaby mnie odwiedzić, była V. W sumie ona jedna wiedziała, gdzie mieszkam.

Pospieszyłem do drzwi i otworzyłem je na oścież, ale to nie była V, tylko niska, grubawa kobieta ubrana w coś, co chyba było piżamą.

Kiedy otworzyłem drzwi, cofnęła się o krok.

– O, przepraszam. Coś się stało? – spytała, wskazując na moje czoło.

– Nie, nie, wszystko w porządku – odparłem i uświadomiłem sobie, że nadal trzymam w rękach ściereczkę i butelkę. – Wpadłem na drzwi.

– O, okej. Mieszkam przez ścianę.

– Tak – odparłem, choć nie przypominałem sobie, żebym ją kiedykolwiek widział.

Wyciągnęła rękę.

– Lottie.

Skinąłem głową.

– Mike.

Uśmiechnęła się skrzepowana.

– Wiem, wiem. Znamy się z pracy.

– O – zareagowałem, próbując przybrać minę, która by świadczyła o tym, że ją rozpoznałem, choć w rzeczywistości gorączkowo próbowałem sobie przypomnieć, kim ona jest. – Przepraszam, no tak, jasne.

Zaśmiała się.

– Pracuję na drugim końcu działu handlowego, więc...

– Nie, nie, przepraszam, zachowałem się idiotycznie. – Jej twarz nie wywoływała żadnych skojarzeń.

– Chociaż być może niedługo dołączę do twojego zespołu.

Mgłście sobie przypomniałem niedawno otrzymanego mejla o jakiejś zmianie wśród personelu. Myśl, że mógłbym mieszkać obok koleżanki z pracy, była okropna, ale mimo to się uśmiechnąłem.

– O, świetnie.

– Nieważne. Bardzo mi niezręcznie prosić, ale jutro rano biegnę dziesięć kilometrów, muszę naprawdę wcześniej wstać, no a ta muzyka, więc pomyślałam...

Odwrociłem się na pięcie, bo nagle do mnie dotarło, że za moimi plecami Liam Gallagher śpiewa na całe gardło *Champagne supernova*, a głośna muzyka wylewa się na ulicę.

– Oj, przepraszam. Nie pomyślałem.

– Nie, nie, nic się nie stało. Normalnie nie psułabym imprezy, ale wiesz, jak jest. – Lottie z ręką uniesioną na pożegnanie wycofywała się ścieżką.

– Już ściszam! – zawołałem za nią.

Zatrzasnąłem drzwi i poszedłem do salonu, gdzie hałas uderzył we mnie z taką mocą, jakby siła rozpędu rzuciła mną o ścianę. Wyłączyłem sprzęt i natychmiast napała na mnie gęsta cisza. W bębenkach nadal mi dudniło.

Rozwaliłem się na kanapie i nalałem sobie ostatni kieliszek. W ciszy o wiele lepiej mi się myślało. To niemożliwe, by V się tak szybko zakochała. Niemożliwe, że w ogóle się zakochała. Nadal kochała mnie, a ja wiedziałem, że to prawda, z dwóch powodów: po pierwsze, nie należała do osób, które coś mogłoby „zwalić z nóg”, a po drugie, gdyby mnie nie kochała, nie gniewałaby się tak z powodu amerykańskiego incydentu. Musiałem sobie powtórzyć to, co już ustaliłem: wszystko to forma naszej zabawy. To ostateczna partia Pragnę i nikt poza mną nie jest w stanie tego zrozumieć.

Podniosłem z podłogi laptop i położyłem go sobie na kolanach. Może dziwnie byłoby się tak po prostu zjawić na ślubie, bez poinformowania. W każdej grze obowiązują zasady, po ruchu jednego gracza następuje ruch drugiego. Ona zrobiła pierwszy ruch, ja muszę wykonać następny.

Do: missverityw@hotmail.com

Od: mikehayes86@hotmail.com

Temat: Hej

Droga V!

Chciałem tylko dać Ci znać, że już wróciłem. Dzięki za zaproszenie na ślub. Powiadomiłem Twoją mamę, że będę.

Dostałem pracę w Bartleby i kupiłem dom w Clapham, chociaż na pewno to wiesz, bo inaczej nie dostałbym zaproszenia! Myślę, że by Ci się podobał. Wpadnij kiedyś, zapraszam. Fajnie byłoby też poznać Angusa. Gdzie teraz mieszkasz? Nadal pracujesz w Calthorpe? Mam nadzieję, że układa Ci się w pracy.

Jeszcze raz przepraszam za to, co się wydarzyło. Skłamałbym, twierdząc, że wiadomość o Twoim ślubie mnie nie zaskoczyła. Ale wiem, życie nie stoi w miejscu. Zrozumiałem sporo rzeczy, które mi mówiłaś.

Naprawdę miło byłoby się spotkać.

Ściskam

Mike (Orzeł)

Wahałem się, czy dodać to o Orle, ale V często nazywała mnie swoim orłem, więc czułem, że muszę zacząć jej przypominać, kim dla siebie jesteśmy. Chciałem, by wiedziała, że zrozumiałem. Że wiem, że znów zaczęliśmy grać.

\*

Obudziłem się parę godzin później. Łupało mnie w głowie, byłem cały zeszywniały. Słońce wlewało się przez okno, oświetlając drobinki kurzu unoszące się w powietrzu tuż przed moimi oczami. Uniosłem się na łokciu i w miejscu, gdzie leżałem, zobaczyłem kolejną plamę krwi. Dotknąłem dłonią skroni, czoło zabolowało, więc wstałem i spojrzałem w lustro nad kominkiem. Ze zdumieniem stwierdziłem, że nad brwiami sterczy mi brzydki czerwony guz. Wyglądał jak mały wulkan, wznosił się ku ciemnemu wierzchołkowi, z którego wyciekła i zastygła wąska strużka prawie czarnej krwi.

Wziąłem prysznic i umyłem zęby, wypiliśmy też pół litra wody, by pozbyć się z ust posmaku gnijącego mięsa. Te zabiegi oddaliły ode mnie pragnienie śmierci. Nadal jednak nie czułem się na siłach, by zrobić coś wymagającego większego wysiłku niż przebranie się w dres i zawleczenie koca na kanapę. Gdyby V tu była, wiem, że zaparzyłaby mi herbaty i pogładziła po czole, okryłaby mnie kocem i zwichrzyła mi włosy. Sprawdziłem pocztę, ale nic nie przyszło.

Dzień się strasznie dłużył. Zamówiłem coś do jedzenia i obejrzałem parę programów z gatunku, który podsumowywał moje dzieciństwo, a którym V nauczyła mnie gardzić. Mimo że dawniej właśnie takie rozrywki mnie uspokajały, a czasem nawet śmieszyły, teraz potrafiłem na nie patrzeć wyłącznie oczami V – dostrzegałem jedynie tłustych, głupich ludzi rywalizujących o nieistniejące nagrody, jakby nie chodziło o nic innego, tylko o to, by się publicznie upokorzyć.

Sprawdzałem skrzynkę mniej więcej co dziesięć minut. Po jakimś czasie rozłączyłem się i zresetowałem łącze. W obawie, że mogło to jednak zaszkodzić przesyłowi danych, zadzwoniłem do mojego dostawcy internetu, ale otrzymałem zapewnienie, że z połączeniem wszystko w porządku. Wstukałem w Google'a pytanie, po jakim czasie wracają niedostarczone mejle, i dostałem informację, że wiadomość o trudnościach z dostarczeniem poczty powinna nadejść niezwłocznie, ale jej potwierdzenie może zająć nawet do trzech dni.

Zapadał wieczór, w telewizji leciały coraz gorsze programy, ale wiedziałem, że na książce ani muzyce nie zdołam się skupić. Obok mnie stał laptop z otwartą skrzynką odbiorczą, co chwila stukałem palcem w przycisk odświeżania strony.

Spałem niespokojnie, znów na kanapie, choć tym razem byłem na tyle przewidujący, by zasłonić okna. Śniła mi się V, uwięziona w wirtualnym, własnoręcznie wykreowanym świecie, zamknięta za milionem haseł, których nikt nigdy nie zdoła rozszyfrować. Atakował ją ogromny orzeł, a ona wołała mnie po imieniu. Obudziłem się nagle, przyszpilony sercem do kanapy jak motyl pod szkłem, byłem cały mokry i miałem do bólu sucho w ustach. Leżałem bez ruchu i próbowałem uspokoić oddech – przepuszczałem powietrze od czubków palców stóp, przez nogi, brzuch i piersi, by wypuścić je czubkiem głowy. Po tym poczułem się lepiej. Stwierdziłem, że przez szpary między zasłonami do pokoju wdziera się światło i to dodało mi otuchy. Przypomniałem sobie, że nie wszystko stracone: Suzi i Colin nadal mieszkają w Steeple House i zawsze będą tam mieszkać, a ja znałem to miejsce tak dobrze jak żadne inne na świecie.

Postanowiłem to zostawić do dziesiątej, a potem odczekałem jeszcze dziesięć minut. Do tego czasu zdążyłem pobiegać, wziąć prysznic, ubrać się, sprzątnąć dom i otworzyć drzwi do ogrodu oraz zaparzyć dzbanek kawy. Niedługo przejdę się przez park po gazetę, może nawet wstąpię do pubu na lunch. Zaznam zwyczajnej sobotniej rozrywki.

Numer do Steeple House nadal miałem zapisany w telefonie, choć nic by się nie stało, gdybym go utracił. Suzi odebrała po dłuższym czasie, ale miałem dość rozumu, by się nie rozłączać – wiedziałem, że w piękne letnie przedpołudnie na pewno jest w ogrodzie, bo zbliża się ślub córki i trzeba wyrzucić odpowiednie wrażenie na gościach.

– Mike? – spytała, i choć próbowała to ukryć, nadmiernie przedłużając samogłoski, w jej głosie słychać było zdumienie.

– Dzień dobry, Suzi, co tam słychać – rzuciłem lekko.

– Dzień dobry. Bardzo dobrze, dziękuję – odparła, odzyskując równowagę. – Dziękuję za szybką odpowiedź na zaproszenie.

Przestraszyłem się. Myślałem, że odczekałem dość czasu, ale może się myliłem, może wyszedłem na zbyt gorliwego.

– Bardzo się cieszę, że się zobaczymy.

– Ja również. Od dawna jesteś w Anglii?

Słyszałem w tle odgłosy radia i wiedziałem, że to Radio 4, które grało w Steeple House w zasadzie bez przerwy. My z V też słuchaliśmy Radia 4 i teraz mi go brakuje, ale to jedna z rzeczy, które nadal są dla mnie bolesne.

– Od paru miesięcy. Kupiłem dom w Clapham i dostałem pracę w innym banku.

– Tak, wiem. Verity mi mówiła.

Dobrze wiedzieć, że się o mnie rozmawia.

– Świetnie z tym jej awansem – rzuciłem. To był blef, ale znając Verity, niezbyt ryzykowny.

– O, wiesz o tym? – słyszałem w głosie Suzi dumę. – Czyli się kontaktowaliście?

– Tylko mejlowo. – Zrobiłem chwilę przerwy. – W sumie właśnie dlatego dzwonię. Chciałbym wysłać jej i Angusowi prezent na zaręczyny, ale nie mam adresu.

Słyszałem po drugiej stronie słuchawki wahanie Suzi, wielkie jak słoń.

– O, bardzo miło, Mike, ale przecież nie musisz się fatygować. Zresztą, czemu sam nie poprosisz Verity?

Omiałem nie parsknąć śmiechem, ale udało mi się utrzymać swobodny ton.

– Początkowo chciałem, ale potem przyszło mi do głowy, że to by popsuło niespodziankę.

– No tak, w sumie, rzeczywiście – zastanawiała się Suzi. Nadal wyczuwałem jej wahanie.

– Zresztą, nieważne – powiedziałem dziarsko. – To rzeczywiście dziwne, dzwonić po tak długim czasie z taką prośbą. Napiszę do niej mejla i już.

– Nie, nie. Przepraszam, głupio się zachowuję. 24 Elizabeth Road, W8. Kodu nie pamiętam, ale mogę sprawdzić w notesie.

– Nie, nie, znajdę sobie. – Spojrzałem na słowa, które zapisałem na karteczce. W8 to było Kensington i miałem wrażenie, że wiem, która to Elizabeth Road. Ogromne, eleganckie domy. – A ile mieszkania?

– Nie, nie, mają cały dom. – Znowu usłyszałem w jej głosie dumę. – Zmieniając temat, cieszę się, że, hm, już się lepiej miewasz, Mike. I że zobaczymy się na ślubie.

– Tak, ja też. – Czułem, że robi mi się coraz bardziej gorąco. – Dziękuję.

– Myślę, że dobrze by było zapomnieć o dawnych przykrościach. Verity jest teraz bardzo szczęśliwa. Cieszę się, że to rozumiesz.

– Tak.

Chciałem powiedzieć coś bardziej znaczącego, ale nie mogłem wydobyć głosu.

– Dobrze. Uważaj na siebie – powiedziała i odłożyła słuchawkę, zanim zdążyłem się pożegnać.

Dalej siedziałem przy długim stole ustawionym w tylnej części kuchni, blisko podwójnych drzwi do ogrodu. Wyobrażałem sobie, jak V szykuje przy nim lunche i kolacje dla zaproszonych gości, drzwi są otwarte, a ja w ogródku grilluję. Odniosłem wrażenie, że na dworze pociemniało, choć na niebie nie było ani jednej chmurki. „Nie, nie, mają cały dom”, powiedziałem na głos, naśladowując jej akcent z wyższych sfer. „Nie mówimy «ubikacja»”, poinstruowała mnie w czasie mojej drugiej czy trzeciej wizyty w Steeple House. Przed przyjęciem, na które mieli przyjść goście, poprosiła mnie na bok. „Ani «Jeszcze raz?», jeżeli «nie dosłyszysz»”, skoro już rozmawiamy – dodała. – I proszę, nóż to nie długopis, nie trzymaj go w ten sposób”.

Powiedziawszy to, odeszła i zostawiła mnie samego z myślami, co jeszcze robię nie tak, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Znalazłem V w ogrodzie i zrelacjonowałem jej, co przed chwilą usłyszałem od jej mamy, a ona odparła, żebym się nie przejmował, bo to głupia snobka.

– Błagam, obiecaj, że podczas lunchu właśnie tak powiesz. I będziesz trzymał nóż jak długopis.

Najpierw odmówiłem, ale ona położyła dłoń na moim rozporoku i gładziła mnie tak, że byłbym skłonny nauczyć się chińskiego, gdyby jej na tym akurat zależało.

Goście rzeczywiście się skrzywili, gdy powiedziałem tak, jak Suzi sobie nie życzyła, a na szyję gospodyni, podobną do szyi kurczaka, wystąpił intensywny rumieniec, zresztą w takim samym kolorze, w jakim miała bluzkę. Lecz V tylko się uśmiechnęła i puściła do mnie oko, kiedy nikt nie patrzył.

Po rozmowie z Suzi musiałem siedzieć przy stole dłużej, niż mi się zdawało, bo po gazetę wyruszyłem dopiero o drugiej. Kiosk miałem całkiem niedaleko, ale uznałem, że dobrze mi robi spacer przez park, a poza tym po drodze miałem przyjemnie wyglądający pub. Kupiłem „Observera” i piwo i usiadłem przy stoliku na dworze. Sprawdziłem mejle na telefonie, ale nadal nic nie przyszło. Zrobiłem więc coś, czego unikałem przez całe przedpołudnie, to jest wbiłem w mapy Google’a adres 24 Elizabeth Road, W8. Dom był dokładnie taki, jak się spodziewałem: wielki, biały i imponujący. Powiększyłem obraz, ale za białymi żaluzjami skrywającymi ciemne pokoje nie dało się niczego dojrzeć.

Następnie wygooglowałem narzeczonego V, Angusa Metcalfa. Ręce mi się trzęsły, kiedy wpisywałem jego nazwisko w telefon, musiałem parę razy zaczynać od nowa. Wyskoczyło parę wyników, ale nie miałem wątpliwości, o którego chodzi. Angus Metcalf z Metcalf, Blake, rzekomo najwybitniejszej agencji reklamowej naszych czasów, która postrzegąca nasz coraz bardziej przeniknięty cynizmem, a zarazem coraz lepiej skomunikowany świat z taką trafnością, że produkowała najbardziej innowacyjne i zaskakująco skuteczne kampanie reklamowe minionej dekady. W zakładce Ludzie znalazłem czarno-białe zdjęcie faceta wyglądającego na dość szorstkiego. Uśmiechał się do obiektywu, miał zmarszczki w kącikach oczu i lekko szpakowate włosy na skroniach. Wiele osób uznałoby go pewnie za przystojnego, ale mnie od razu skojarzył się z małpą i siłą woli musiałem zakazać sobie myśli o jego małpich łapskach na ciele V. Jego uśmiech był tak szeroki, jakby nie śmiał się z tobą, ale z ciebie. Na moje oko był od nas trochę starszy, może po czterdziestce, co mnie trochę pocieszyło, bo nadal pracował, mimo że pewnie niedługo przekroczy wyznaczoną przez V

magiczną liczbę czterdzieści pięć. Co by sugerowało, że V nie może go poważnie traktować.

– O, Mike.

Podniosłem wzrok. Przede mną na ulicy stała Kaitlyn ze wstrętnym małym pieskiem na rękach. Zwierzę na mnie ujadło i chętnie bym je kopnął, aż by poleciało na drugą stronę ulicy. V twierdziła, że ludzie, którzy trzymają w domu zwierzęta, mają nierówno pod sufitem, i oto miałem potwierdzenie, że się nie myliła.

– O, cześć – powiedziałem. – Co tu robisz?

– Byłam na spacerze ze Śnieżką. – Zaśmiała się. – Zapomniałeś? Też tu mieszkam.

– No jasne, przecież – odparłem, przypomniawszy sobie naszą piątkową rozmowę.

– Boże, co ci się stało? – Wskazała na moje czoło.

Uniosłem rękę do guza.

– E, nic, zderzyłem się z drzwiami.

Zmarszczyła czoło.

– Sam jesteś?

– Uhm. Czytam gazetę.

– A gdzie Verity?

Dźwięk tego imienia w ustach Kaitlyn wywarł na mnie takie wrażenie, że musiałem się dobrą minutę zastanawiać, co też jej nagadałem.

– W domu. Szykuje lunch.

– O, jak miło – odparła, ale nie ruszała się z miejsca.

Wstałem i wysączyłem resztę piwa z kufła.

– Będę się zbierał, miałem tylko wyskoczyć do kiosku. – Uniosłem gazetę jak eksponat.

– Jasne. Do zobaczenia jutro. – Postawiła Śnieżkę na ziemi i odeszły, przebierając po chodniku wszystkimi swoimi długimi nogami. Z ulgą stwierdziłem, że Kaitlyn ma dziś adidas i daje stopom odpocząć od budzących grozę obcasów.

V twierdzi, że noszenie butów, w których nie da się biegać, jest niefeministyczne. Robiła, rzecz jasna, wyjątek podczas gry, ale mówiła, że to się nie liczy, bo ma mnie. „W zdrowym ciele zdrowy duch”, powtarza zawsze i ma całkowitą, świętą rację.

Wróciłem do domu, znów przebrałem się w strój do biegania i prawie natychmiast wyruszyłem z powrotem do parku, choć ostatecznie



wylądowałem znacznie dalej, zatraciwszy się w ruchu, świadomy, że mimo bólu ciało porusza się mechanicznie, niesione falą napędzającej mięśnie adrenaliny. To mi przypomniało, jaki jestem silny. Na ile mnie stać.

Kiedy wróciłem, przed sprawdzeniem poczty zmusiłem się do wzięcia prysznic. V nie lubi potreningowego potu. Twierdzi, że to co innego niż pot po seksie, i zawsze wrzeszczy, jeśli po bieganiu znajdę się za blisko niej. Na pewno by nie chciała, żeby lało się ze mnie na kanapę. Poza tym okazało się, że postąpiłem słusznie, bo kiedy wreszcie usiadłem z laptopem, w skrzynce odbiorczej czekała już na mnie wiadomość.

Do: mikehayes86@hotmail.com

Od: missverityw@hotmail.com

Temat: hej

Mike,

cieszę się, że się odezwałeś. Też miałam zamiar to zrobić. Tak naprawdę chciałam napisać przed wysłaniem zaproszeń, ale czas pędzi jak szalony, sam wiesz. Zadzwoiłam do Elaine po Twój adres. Mówi, że odkąd wróciłeś, jeszcze się z Tobą nie widziała i nie była u Ciebie w domu. Trochę smętnie brzmiała, wiesz, jaka ona jest. Może ją zaprosić.

Świetnie, że będziesz na ślubie. Bałam się, że to wszystko trochę Cię przerośnie, ale widzę, że dobrze się trzymasz. (Spokojnie możesz przyjść z kimś, oczywiście, jeżeli kogoś masz). Tak się cieszę, że zostaniemy przyjaciółmi. Głupio wtedy wyszło, oboje powiedzieliśmy różne rzeczy, których nie powinniśmy byli mówić. Ja w każdym razie zachowałam się jak rozpuszczony bachor. Kiedy poznałam Angusa, wszystko sobie poukładałam, spojrzałam na życie z właściwej perspektywy i bardzo dorosłam.

Z wielką chęcią bym wpadła zobaczyć Twój nowy dom, a Ty musisz przyjść do nas na kolację. Nadal pracuję w Calthorpe i próbuję prześcignąć istoty ludzkie!

Teraz mam urwanie głowy, domyślasz się, ale po ślubie jakoś się umówimy.

Pozdrawiam.

Uściski, V xx

Przeczytałem wiadomość tyle razy, że w końcu całkowicie ją wchłonąłem i stała się częścią mnie. Nie sposób było nie dostrzec w niej ukrytego znaczenia. Widziałem je za wszystkim, co powiedziała V. Na przykład pisząc: „czas pędzi jak szalony, sam wiesz” lub „wiesz, jaka ona jest”, z całą pewnością nawiązywała do tego, jak świetnie się znamy. Nawet sugestia, żebym zaprosił Elaine, była jak dotyk ręki na ramieniu, gest, który powtarzała za każdym razem, gdy mi coś radziła lub pokazywała, że nadal dysponuje mocą sprawczą, bym postąpił tak a nie inaczej. A potem ten fragment w nawiasie, że mogę przyjść z kimś, fragment wyróżniający się totalną absurdalnością. „Oczywiście, jeżeli kogoś masz”, napisała, choć świetnie wiedziała, że nikogo poza nią nigdy nie będzie. „Oboje powiedzieliśmy różne rzeczy, których nie powinniśmy byli mówić” to były przeprosiny, a „Kiedy poznałam Angusa, wszystko sobie poukładałam” oznaczało, że Angus okazał się o tyle przydatny, że pozwolił jej lepiej zrozumieć nasz związek. „Z wielką chęcią” i „Umówimy się” też były nieprzypadkowe.

Ale oczywiście najbardziej znaczącą frazą było: „Nadal próbuję prześcignąć istoty ludzkie”. „Ja i ty będziemy mistrzami w naszym własnym świecie – ciągle mi powtarzała. – Nie martw się, Mike, wymyślę chip, dzięki któremu będziemy mądrzejsi nawet od maszyn i odlecimy razem w stronę zachodzącego słońca, podczas gdy cały świat ulegnie zagładzie”. Słowa te utwierdzały mnie w przekonaniu, że nadal jesteśmy na właściwej ścieżce, by tak się stało.

Kiedy podniosłem wzrok i stwierdziłem, że na dworze zaczyna zmierzchać, czułem się już znacznie lepiej. Postanowiłem nie odpowiadać. Oboje odrobinę zdradziliśmy swoje zamiary, choć karty nadal trzymaliśmy przy sobie w oczekiwaniu na świetną zabawę, która nastąpi później. Tak. Gra zdecydowanie nabierała tempa.

\*

W pracy wszyscy bez wyjątku komentowali mojego guza i nie wiedzieć czemu uważali, że historia ze zderzeniem z drzwiami jest przezabawna. „No, no, nieźle się nawaliłeś”, powiedział George i puścił do mnie oko, co sprawiło, że wepchnąłem ręce do kieszeni. On sam, o ile mnie pamięć nie myli, nie był nawet w stanie na własnych nogach wyjść z pubu, więc mógł wiedzieć, co ja robiłem. Zamknąłem się w pokoju i odliczałem czas do

lunchu, kiedy będę mógł o wszystkim zapomnieć i skoncentrować się na ciężarach wiszących nad głową.

W południe zapukała do mnie Kaitlyn. Skinąłem na nią, żeby weszła. Zrobiła to z wahaniem, co mnie wkurzyło.

– Chciałam tylko zapytać, jak głowa – powiedziała z szerokim uśmiechem.

Byłem szczerze zakłopotany.

– Wszyscy się nią strasznie interesują. Czy jeszcze nikt nie pojawił się w pracy z guzem?

Kaitlyn się zaśmiała.

– Ha, nie przypominam sobie. I sędzę, że uznają to za zabawne z powodu piątku. Wieczorem.

– A co się stało w piątek wieczorem? – spytałem, wychylając się do przodu nad biurkiem.

– Nic takiego. Po prostu, wiesz, byłeś nieźle wstawiony. Ale to bez znaczenia.

Próbowałem poskładać w całość wydarzenia piątkowej nocy, ale nie mogłem sobie przypomnieć nic prócz tego, że wysiadam z metra i idę do domu. Co oznaczało, że nie mogłem być aż tak zalany, bo wówczas nigdzie bym nie doszedł.

– Tak czy inaczej – dodała – słyszałam, że jesteście z Lottie sąsiadami.

Najpierw zbaraniałem, ale potem do mnie dotarło.

– A, tak. Skąd wiesz?

Kaitlyn przekrzywiła głowę. Na jej przezroczyste policzki wystąpił rumieniec.

– Wspominała.

– No tak. – Marzyłem, żeby już sobie poszła, ale ona nadal stała w drzwiach.

– Czasem do niej wpadam. Następnym razem zajrzę przez płot i się przywitam.

Nie przychodziło mi do głowy nic, czego mniej bym sobie życzył.

– Okej.

Zerknęła na zegarek.

– Boże, zaraz umrę z głodu. Co robisz w czasie lunchu?

– Idę poćwiczyć.

Spojrzała na moje ramiona i się zaśmiała.

– Jasne, przecież nie rosną na życzenie. Baw się dobrze – rzuciła i wyszła.

Od kiedy V się mną zajęła, podobałem się kobietom. Przedtem tego nie widziałem, ale V mnie nauczyła, po czym to poznać. Mówiła, że powinniśmy odwrócić role w naszej grze, ale do mnie to nie przemawiało. V wyrzeźbiła ze mnie, jak to żartobliwie nazywała, faceta idealnego. Nie była zadowolona, dopóki każda część mnie nie nabrała precyzji godnej mapy sztabowej.

Gdybym stanął przed wami nagi, moglibyście prześledzić każdy mięsień mego ciała. Widać, z czego jestem zbudowany i jak we mnie wszystko działa. Nie przeczę, to uczucie sprawia mi przyjemność. Lubię świadomość, że stworzenie siebie samego kosztowało mnie mnóstwo wysiłku.

V czasem jęczała, gdy mnie dotykała, gdy wodziła palcem po wgłębieniach i wypukłościach mojego ciała, wzdłuż lekko drżących żył i w gęstwinach włosów. „Aż za dobrze sobie poradziłam – mówiła – jesteś jak potwór Frankensteina. Uciekniesz, zostawisz mnie, a ja będę żałować, że tego dokonałam”. I w pewnym sensie – jak pokazał amerykański incydent – miała rację. Rzeczywiście zostałem potworem.

Najbardziej idiotyczne było to, że Carly w ogóle mi się nie podobała. Nawet jej specjalnie nie lubiłem. Żuła gumę i nosowo przeciągała samogłoski, ten jej akcent zgrzytał mi w uszach. Za głośno się śmiała i nosiła za krótkie spódnice. I bezwstydnie się do mnie przystawiała. Wyznaczyła mnie sobie za cel i wszyscy w biurze wiedzieli, że chce mnie zdobyć, jakbym był trofeum.

Ale byłem tam taki cholernie samotny. Przez pierwszy rok cały czas błagałem V, żeby pozwoliła mi wrócić do domu, ale ona ciągle powtarzała, że świetnie mi idzie, pracuję na naszą wspólną przyszłość, jakie to dla niej ważne i jak bardzo mnie kocha za to poświęcenie. Oboje bardzo dużo pracowaliśmy i w drugim roku widywaliśmy się coraz rzadziej i rzadziej, choć nadal cały czas gadaliśmy na Skype, wysyłaliśmy sobie mejle i esemesy. V czasem spała przy włączonym komputerze, tak żebym mógł w ciągu dnia na nią patrzeć. Zamykałem się wtedy w kiblu w pracy i siłą woli przenikałem przez łącza, by znaleźć się obok niej w łóżku. Raz czy dwa nawet się masturbowałem – komputer leżał na spluczce, a koledzy srali w kabinie obok.

Carly po prostu trafiła na mój kiepski wieczór. Wyszliśmy do miasta, by uczcić transakcję, którą prowadziłem, nie żebym chciał, ale szef dał wszystkim do zrozumienia, że tego właśnie oczekuje. Przez cały wieczór wszyscy stawiali mi drinki i nie musiałem długo czekać, by ściany zaczęły się kołysać, a wszystkie kobiety – wyglądać jak V. Chyba na koniec się popłakałem, bo pamiętam, że ludzie mnie przytulali i chlapali mi w twarz zimną wodą. Wzięli mnie pod ramiona i wyprowadzili na zewnątrz, bo odczułem szok, kiedy wyszliśmy na zimne powietrze. Pamiętam, że ktoś mówił do mnie „kochanie” i zapewniał, że wszystko się ułoży. Że rzygałem pod ścianą i czułem się tak, jakby mała wepchnęła mi łapę do gardła.

Potem byliśmy w jakimś obcym mieszkaniu, głośno grała muzyka, tańczyliśmy przy zgaszonym świetle i nagle odkryłem, że jestem tam tylko z Carly. Paliliśmy na spółkę jointa, Carly zdjęła bluzkę i jej piersi przypominały mi V. W tamtej chwili chciałem tylko zatopić się w ciele, powstrzymać dudnienie w głowie i bolesną, żalną samotność, która mnie zżerała. No a poza tym, jak twierdziła V, jestem słaby. Uległem i poczułem się jak człowiek, który od wielu dni pościł, a nagle dostał stek. Nie mogłem przestać, nawet gdy Carly piszcziała, nawet gdy odpychała moje ręce, nawet gdy świt rozdarł niebo. Ale musiałem przestać, bo następnego dnia obudziłem się na dywanie w salonie, przykryty byle jak kocem.

Bałem się otworzyć oczy, bo wiedziałem, że kiedy to zrobię, głowa mi pęknie na milion kawałeczków. Dywan pode mną się kleił, wszystko mnie swędziało od jego sztucznych włókien. Początkowo widziałem jak przez mgłę, a promieniujący w stronę szyi ból w barkach przeszywał mnie tak, jakby ktoś wyskrobywał mi nożem żyły. Miałem wrażenie, że jakaś trucizna oblepia mi gardło – przy każdym oddechu zatoki piekły mnie tak, jak gdyby nakłuwano je szpileczkami.

Leżałem na wznak, zastanawiałem się, czy zdołam wstać, i przyglądałem się otoczeniu. Pokój był mały i brudny, ściany pomalowano na przygnębiający odcień niebieskiego, jak w pokoju dla niemowlaka, a na jednej z nich, naprzeciwko okna, wisiał kolaż ze zdjęć. Indyjska narzuta z tysiącem małych lusterek okrywała kanapę, która wyglądała jak wyciągnięta ze śmietnika. Widok z okna i stojące powietrze utwierdziły mnie w przekonaniu, że jestem w wilgotnej piwnicy, która najpewniej rujnuje zdrowie swojego lokatora.

Choć oczywiście wiedziałem, kto jest tym lokatorem, myśl ta zadała mi taki ból, jakby ktoś przecinał mi skórę.

Usiadłem i pokój gwałtownie się zakołysał. Pole widzenia wyszczerbiło mi się po bokach. Mój żołądek też się już obudził – rzuciłem się do holu, wpadłem do łazienki i obryzgałem toaletę i ściany jaskraworóżowymi rzygami. Gdy skończyłem, cały się trząsałem, ale zmusiłem się, by nadal stać, i spojrzałem na siebie w lustrze. Fiuta miałem purpurowego, podrażnionego, nie użyłem prezerwatywy, a za tydzień leciałem do domu na święta. Wiedziałem, że objawy niektórych chorób przenoszonych drogą płciową pojawiają się dopiero po wielu miesiącach.

Wtedy poczułem swój zapach: zatechły, zwierzęcy smród, wydobywający się z krocza i spod pach, i szarpnął mną kolejny odruch wymiotny. Wszedłem pod prysznic, do kabiny wyłożonej wyszczerbionymi, poczerniałymi na brzegach płytkami, i skierowałem twarz prosto na strumień wody.

Była gorąca, lecz mimo to dalej się trząsałem. To mieszkanie miało w sobie coś przerażającego, coś, co we mnie siedziało jak zły sen. Spojrzałem na ubikację z popękana deską, wymazaną z boku gównem, co widziałem już wcześniej, wymiotując. Na umywalce leżała tępa maszynka z resztkami czyichś włosów. Na pozbawione okna ściany wpełzały smugi pleśni, lustro zaparowało.

Odwróciłem się twarzą do ściany i oparłem czoło o zimne płytki, ale w mózgu bulgotała mi przesywająca niczym śmierć świadomość, że oto w tym ohydny, upokarzającym, wstrętnym miejscu czuję się jak w domu. To miejsce wyciągało do mnie ręce i chciało mnie zgarnąć w pomarszczone ramiona. To tu – uświadomiłem sobie – jest mi pisane skończyć. Carly jest dla mnie najbardziej odpowiednią kobietą, a ja, niczym pies z nosem przy ziemi, odnalazłem drogę do domu.

Chlusnęło ze mnie na stopy, na podłogę prysznic, rzygi miały ostry, kwaśny zapach. Zepchnąłem je nogą do odpływu, wiedząc, że zatkają rury. Tak, jasne, ciężko pracowałem, by skończyć tu, gdzie właśnie trafiłem.

Kiedy wyszedłem z łazienki, Carly była w przedpokoju, ubrana w dres i uczesana w koński ogon, bez śladu makijażu na twarzy. Powlokłem się do pokoju zebrać ubranie z podłogi, a Carly wzdrygnęła się, gdy ją mijałem. Stała z założonymi rękami i patrzyła, jak ubieram się w pognieciony garnitur, przesiąknięty smrodem mieszkania.

Gdy się już ubrałem, zmusiłem się, by na nią spojrzeć. Z miejsca ogarnęła mnie taka odraza, że pomyślałem, czyby nie wziąć poduszki

z kanapy, nie przycisnąć jej Carly do twarzy, a ciała nie ukryć w szafie. Nie mieściło mi się w głowie, że ktoś mógłby za nią zatęsknić.

– Lepiej już idź – powiedziała.

Jej słowa mnie zdziwiły, ale jednocześnie przyniosły ulgę, bo oczyma wyobraźni już widziałem histeryczną scenę, w której ona się upiera, że ostatnia noc miała znaczenie. W kąciu jej ust drgnął mięsień, a ja poczułem, że zanim wyjdę, muszę postawić sprawy jasno.

– Ta noc była straszliwą pomyłką – oświadczyłem. – Mam w Anglii dziewczynę, którą bardzo kocham.

Carly prychnęła.

– I kto mi mówi, że to był błąd.

Czułem, że to okropne mieszkanie połknęło całe znaczenie moich słów.

– Nie chcę, żebyś próbowała się z nią kontaktować czy coś takiego.

– Na miłość boską. Nie martw się, twoja tajemnicza dziewczyna niczego się ode mnie nie dowie. – Pokazała na drzwi. – Proszę, idź.

Wyszedłem. Gdy tylko zamknąłem za sobą drzwi, usłyszałem głośny trzask zasuwanego zamka. Na dworze okazało się, że w nocy spadł śnieg, a ja nie miałem odpowiednich butów, i uznałem to za problem nie do rozwiązania. Już przy pierwszym kroku zacząłem płakać, a płacz szybko przeszedł w szloch. Mijany przez przechodniów, na niepewnych nogach brnąłem ulicą.

\*

W czasie, gdy goiła mi się głowa, czułem potrzebę wykazania się w pracy, więc często zostawałem do późna. We wtorek wyszedłem dopiero o dziesiątej. Wieczór był ciepły, na ulicach pełno ludzi, mnóstwo objętych par, wylewających się z pubów i restauracji. Natychmiast odezwała się tęsknota za V – ostry, kłujący ból, jakby ktoś mnie dźgnął nożem między żebra. Zapragnąłem iść do jej domu, zapukać i powiedzieć, że nie chcę dalej grać. Chciałem przerwać to rozdanie, uciąć to wszystko i zostawić tylko tę chwilę, gdy leżymy w łóżku i śmiejemy się z całego świata. Paść jej do stóp i powiedzieć, że rozumiem, że zasłużyłem na karę, ale już wystarczy, już nigdy tak nie zrobię, nigdy jej nie zostawię, nawet na chwilę.

Złapałem się na tym, że idę w stronę Kensington. Droga, zgodnie z tym, co mi wskazał iPhone, miała cztery i osiem dziesiątych mili i powinna mi

zająć osiemdziesiąt dziewięć minut. Śmieszna odległość, w sumie nawet było mi po drodze. Idąc, nuciłem *Definitely Maybe* Oasis i wypełniałem głowę hałasem. Na Elizabeth Road dotarłem zaledwie po siedemdziesięciu trzech minutach, no ale chodzę dość szybko. Dom z numerem dwadzieścia cztery znajdował się mniej więcej w połowie ulicy i był tak dostojny i okazały, jak się obawiałem, świeżo odmalowany, z frontowym chodniczkiem wyłożonym eleganckimi czarno-białymi płytami. Na ganku wisiała duża czarna latarnia, teraz włączona i rzucająca jasny blask na nieskazitelny trawnik.

Zrozumiałem, że Angus musi być piekielnie bogaty, dużo bogatszy niż ja. Myśl ta tak mnie przybiła, że miałem ochotę usiąść na ulicy. Przeszedłem na drugą stronę, w ciemny narożnik, żeby ktoś, kto wyjrzy przez okno, nie wyłowił czasem z mroku blasku mojego telefonu. Dowiedziałem się z internetu, że pięć lat wcześniej dom został kupiony za trzy miliony dwieście tysięcy funtów, a jego obecną wartość szacuje się na osiem milionów sto tysięcy.

W pokoju od ulicy paliło się światło, choć białe żaluzje były spuszczone, więc nie było widać, co się dzieje w środku. Towarzyszyło mi bardzo silne przekonanie, że V tam jest, kręci się po pokojach, może nawet o mnie myśli. Może jest nieszczęśliwa, może żałuje, że w ogóle zaczęła tę grę. Całkiem możliwe, że to jej nieszczęście mnie tu przywiodło – tak silna łączyła nas więź. Zdawało mi się niedorzeczne, że mogę tak po prostu przejść przez ulicę, zapukać do jej drzwi, a ona mi otworzy. Wahałem się, stałem na brzegu krawężnika i kiwałem się w przód i w tył. Rozmyślałem. Uznałem, że Angus raczej jest w domu, i choć nie rozgryzłem jeszcze do końca tego elementu gry, nie sądziłem, by V zależało na awanturze w drzwiach. V miała wobec Angusa inne plany, co do tego nie było wątpliwości.

W pokoju na górze zapaliło się światło i zobaczyłem postać zaciągającą ciężkie zasłony. Serce podeszło mi do gardła, a ręka bezsensownie wystrzeliła w górę, jakby chciała pomachać. Choć zdawało mi się, że widzę tylko przelotny cień osoby, wiedziałem, że to V.

– Jestem tu, kochanie – wyszeptalem w ciemności. – Przyszedłem cię uratować.

Wyczuła mnie, wiedziałem. Może nie zdawała sobie sprawy, że stoję na ulicy przed jej drzwiami, ale coś ją przyciągnęło na górę, do tego okna. Coś ją zmusiło, by mi dać ten znak.



Nie pamiętam, jak wtedy wróciłem do domu i jak do tego doszło, że potłukłem kieliszki. Następnego dnia rano, po bieganiu, poszedłem do kuchni napić się wody i zobaczyłem w kącie przy podwójnych drzwiach mnóstwo szkła. Odwróciłem się i stwierdziłem, że na otwartych półkach brakuje trzech kieliszków do wina. Zdjąłem jeden i zrozumiałem, że gdybym się teraz odwrócił i od razu wykonał rzut, kieliszek wylądowałby dokładnie tam, gdzie leżały szklane odłamki. Ruch ten wydał mi się dziwnie znajomy, a myśl, że zachowałem się tak nierozważnie, sprawiła mi dziwną przyjemność. Ale samego wspomnienia brakowało.

– Wiem, wiem, V, przepraszam – powiedziałem, wyciągając spod zlewu śmietniczkę i zmiotkę. – Nie bój się, potem jeszcze odkurzę. Nie chcę, żeby ci się szkło wbiło w stopę.

Potem wziąłem prysznic, zamknąłem oczy pod wodą, ale nadal nie mogłem się pozbyć nieprzyjemnego uczucia, że jestem gdzie indziej, niż rzeczywiście się znajduję. Wytarłem się i zrobiło mi się lepiej, mięśnie mi przypomniały, że mam w sobie siłę i sprawuję kontrolę. Kiedy jednak już gotowy do wyjścia stanąłem na schodach, ciągle doskwierało mi poczucie pustki. Wiedziałem, że muszę tylko zejść na dół, włożyć płaszcz, wziąć telefon, teczkę i wyjść, lecz budziło to we mnie lęk. Jakbym potrafił wykonywać jedynie te czynności, które znałem na pamięć. Te, które ciągle się powtarza, bezmyślnie. Pomyślałem o zimie i wyobraziłem sobie, że robię wszystko to samo, tylko po ciemku. Nagle zdałem sobie sprawę, że bez kotwicy, jaką była dla mnie V, moja siła nie ma żadnego znaczenia, bo w każdej chwili mogę po prostu odpłynąć.

– To pa! – krzyknąłem, zamykając za sobą drzwi, co trochę poprawiło mi nastrój.

Przez całą drogę do pracy w głowie widziałem V śpiącą w naszym wielkim łóżku, w lnianej pościeli, jej ulubionej, dodatkowo narzuconej moherowym pledem. Nawet zainwestowałem w te bezsensowne poduszki, które zawsze leżą na łóżkach we wnętrzach pokazanych w czasopiśmie, i które co noc po prostu zwałam na podłogę, a rano układałam z powrotem. Ale mieliśmy je na łóżku w naszym starym mieszkaniu, a V zawsze mierzyła standard hotelu liczbą dodatkowych poduszek na łóżku.

V chodziła do pracy dopiero na dziewiątą trzydzieści, więc na sto procent po moim wyjściu mogłaby sobie jeszcze z pół godziny poleżeć. Albo może schodziłaby do kuchni zrobić sobie ukochane espresso i zabierałaby je z powrotem na górę. Cieszyłem się, że odkurzyłem, gdyby

przypadkiem chciała postać przy drzwiach do ogrodu i trochę na niego popatrzeć, popijając kawę.

Nagle sobie uświadomiłem, że odkąd się tu wprowadziłem, nic porządnego nie ugotowałem, a szkoda, bo przecież lubię gotować. Postanowiłem kupić jakieś produkty, kiedy będę wracał z pracy, i dokonać prawowitego otwarcia kuchni, przygotowując w niej posiłek z prawdziwego zdarzenia. Stwierdziłem, że może dzięki temu poczuję się bardziej u siebie.

Tego dnia w pracy miałem urwanie głowy. Byliśmy w trakcie negocjacji dotyczących Hectora i prezes wyznaczył mnie na szefa tego projektu. Niby wszystko było w miarę proste, ale z liczbami coś się nie zgadzało i nikt nie potrafił mi udzielić sensownej odpowiedzi na żadne pytanie. Parę razy w ciągu dnia, słysząc jedną wymówkę za drugą, byłem na skraju wybuchu. I to nie tylko przez ludzi z Hectora, ale też przez mój zespół. Musiałem raz czy dwa za ostro się odezwać, bo widziałem potem, że ludzie rzucają na mój pokój dziwne spojrzenia. Ale nie wierzę, żebym był niesprawiedliwy. Jeżeli ktoś dobrze wykonuje obowiązki i udziela mi sensownych odpowiedzi, to wszystko gra. A niekompetencji nie trawię. V twierdzi, że za dużo oczekuję od innych, ale zawsze chce mi się z tego śmiać, bo zostałem wychowany tak, by nie oczekiwać niczego od nikogo.

Po drodze wstąpiłem do delikatesów na High Street. Wybrałem wino i składniki do sałatki, po czym przystanąłem przy ladzie z mięsem i patrzyłem na chorobliwie drogie pakowane próżniowo steki, kiedy nagle nie wiadomo skąd wyrosła Kaitlyn. Uniosłem rękę na powitanie, ale w głębi duszy byłem załamany. Miałem wrażenie, że ta baba łązi za mną krok w krok i to było wkurzające. Odwróciłem się z powrotem do mięsa z nadzieją, że weźmie, co chce, i sobie pójdzie, ale ona ruszyła prosto w moją stronę.

– Co kupujesz? – spytała. Koszyk, który sama trzymała na zgiętej w łokciu ręce, był pusty. – Bo ja umieram z głodu, ale nie wiem, na co mam ochotę.

– Stek – odparłem, nie spuszczać wzroku z mięsa. – Ulubione danie Verity.

– A – odparła. – Ja jestem wegetarianką.

Odwróciłem się, by na nią spojrzeć, i dopiero zrozumiałem, dlaczego tak trupio wygląda. Przy okazji doznałem jeszcze jednego olśnienia. Nie mogę przecież teraz, kiedy powiedziałem to, co powiedziałem, kupić tylko

jednego. Sięgnąłem do lady i włożyłem do koszyka dwa duże steki, w głowie tłumiąc głos Elaine, mówiący, że za te pieniądze można by wykarmić pięć osób przez tydzień. Człowiekowi wychowanemu w rodzinie zastępczej zbytek zawsze przychodzi z trudem, niezależnie od tego, ile nagromadził pieniędzy.

Kaitlyn przesunęła się do następnej lodówki i wyjęła z niej jakiś hummus i świeży sos do makaronu. Jej ręka chwilę się zawahała między sosem grzybowym a serowo-szpinakowym, ale zwyciężył grzybowy. Westchnęła:

– Jak ja bym chciała, żeby ktoś mi coś ugotował.

– My z V gotujemy na zmianę – odparłem. – Zależy, kto pierwszy wróci z pracy.

– Miło – stwierdziła. – Człowiek czuje się trochę samotny, jak odżywia się tylko gotowymi posiłkami, które je przed telewizorem. W dodatku świadomość, że się zapłaciło dziesięć razy więcej niż w Tesco, wcale nie poprawia humoru.

Próbowałem się uśmiechnąć, ale myśl o Kaitlyn, którą właśnie coś takiego dotyka, omal nie wytrąciła mnie z równowagi. Pomyślałem, że pewnie przebiera się w dres i zgarnia włosy do tyłu za każdym razem, gdy wchodzi do domu. I daje psu resztki z talerza.

Staliśmy obok siebie w kolejce, która prawie się nie posuwała, bo kobieta przy kasie drobiazgowo analizowała skład wegańskich lasagne. Kaitlyn uśmiechała się ze znużeniem, a ja udawałem, że z zainteresowaniem czytam nieistniejącą wiadomość w telefonie. Razem wyszliśmy na ciemną ulicę i ruszyliśmy naprzód. Gdy doszliśmy do miejsca, gdzie skręcam, drętwo powiedzieliśmy sobie „Dobranoc”. Maszerując swoją ulicą, pomyślałem, że spotkam się z Kaitlyn już za osiem godzin i bardzo możliwe, że do tego czasu żadne z nas nie otworzy do nikogo ust.

Po powrocie do domu przebrałem się, ale nie w dres, tylko w chinosy i koszulkę. Nastawiłem Oasis i włączyłem piekarnik. Miałem zamiar krótko obsmażyć jeden ze steków, przedtem natarty czosnkiem i solą, i wrzucić go na dziesięć minut do piekarnika, a w tym czasie przygotować pyszny sos do sałatki. Kiedy jednak wyjąłem produkty na blat, okazało się, że oba steki mają termin przydatności tylko do jutra, czyli albo przygotuję oba, albo jeden się zmarnuje. I tak byłem głodny, więc rozciąłem próżniowe opakowania i natarłem steki czosnkiem. Gdy już były w piecu, otworzyłem

torbę organicznych młodych listków sałaty, pokroiłem awokado i pomidorki koktajlowe oraz przyrządziłem dressing musztardowy.

Przeliczyłem się z ilością składników i sałatki wyszło dla dwóch osób. Postawiłem miskę na stole i zapaliłem świece w szklanych lampionach. Ich płomyki ładnie odbijały się w podwójnych drzwiach. Przy okazji stwierdziłem, że kuchnia jest wręcz stworzona do tego, by urządzać w niej romantyczne kolacje i przyjmować gości. V uwielbiała, gdy stół był ładnie nakryty, położyłem więc pod sztućcami dwie białe serwetki. Zdjąłem z półki dwa kieliszki i ustawiłem między nakryciami butelkę czerwonego wina. Steki pachniały, jakby były gotowe, więc je podałem. Dwa zajęłyby cały talerz, wyglądałoby to idiotycznie, dlatego wyłożyłem je na dwa talerze, które postawiłem na stole. Mięso było soczyste i idealnie wypieczone, twarda brązowa skórka osłaniała surowe czerwone wnętrze. Sałatka komponowała się z nim idealnie, była lekka i chrupiąca, a krew rozlana na talerzu wzbogacała jej smak. Wino też okazało się wyśmienite, o pełnej, owocowej nucie, prawdziwy raj dla podniebienia.

Kiedy tak siedziałem, Liam zaczął smętnie śpiewać *Wonderwall*. Musiałem na chwilę odłożyć nóż i widelec, żeby się nie zakrztusić. „Bo nikt cię nie zna tak jak ja”, mówiła V, gdy słyszała ten tekst, i teraz też jej słowa zadźwięczały mi w uszach tak wyraźnie, że musiałem sobie przypomnieć, że nie ma jej naprzeciwko mnie przy stole.

– Twoja ulubiona piosenka, V – powiedziałem, uniosłem kieliszek i złapałem swoje odbicie w szybie drzwi.

Żeby było jasne – wcale nie myślałem, że V wtedy tam ze mną siedzi. Ale na moment mignęła mi przed oczami cudowna wizja naszej przyszłości, to, jak byśmy żyli, gdyby ona w końcu wróciła do domu i ze mną zamieszkała.

Więc gdyby tam wtedy była, powspominalibyśmy nasz wyjazd do Irlandii i niespodziankę, którą jej tam przygotowałem – mianowicie spotkanie z orłem. Właściwie więcej niż spotkanie – to, że mogła go potrzymać. Jakie potrzymać, potrzymać to złe słowo. Musiała włożyć długą, grubą skórzaną rękawicę, sięgającą aż po bark, i stać bez ruchu, gdy treser wabił orła martwą myszą. Staliśmy na terenie przyległym do starego zamku, w dole huczało morze, a wicher przyginał trawy i ogrodowe drzewa niemal do samej ziemi. Włosy V dziko fruwały wokół jej głowy, jakby ożyły, a jej oczy były wpatrzone w niebo. Podążyłem za jej spojrzeniem i dostrzegłem na ciemnoszarym niebie, hen nad naszymi głowami, chmurę ptaków. Unosiła się tam przez parę minut, przyglądając

się nam, a ja chciałem podbiec do V, zedrzeć jej tę rękawicę, odciągnąć i osłonić ją własnym ciałem. Bo gdy orzeł zaczął zniżać lot, stało się jasne, że widzi tylko ofiarę, a my i nasze drobne sprawy wcale go nie obchodzą. Świsnął mi nad głową, tak blisko, że poczułem wiatr spod jego skrzydeł, i poszybował do V. Widziałem jego straszliwe szpony i krzywde, jaką były zdolne wyrządzić. „Nie dotykaj jej!”, chciałem krzyknąć, ale nim zdążyłem się ruszyć, on już lądował, i to z taką siłą, że ramię V się wygięło i treser musiał je podeprzeć, a V się zaśmiała. Orzeł chwycił mysz, a V patrzyła na niego jak na najpiękniejsze zjawisko, jakie w życiu widziała. Wtedy jednak treser przesunął się za ptaka i założył mu na oczy małą czarną opaskę, przez co upodobił go do kata. Potem przeniósł go na własne ramię, też osłonięte rękawicą, a V opuściła rękę i pogłaskała orła po głowie. „Strasznie ci dziękuję”, powiedziała, gdy do nich podszedłem. Odwróciła się do mnie, oczy jej błyszczały. „To najlepszy prezent, jaki w życiu dostałam”, powiedziała.

Być może Angus mógł jej kupić więcej brylantów niż ja, ale szczerze wątpię, by wpadał na takie dobre pomysły. Ba, szczerze wątpię, by znał ją na tyle dobrze, aby na nie wpadać.

Dni w pracy stawały się coraz trudniejsze. Miałem wrażenie, że do linii mety brniemy przez grząskie błoto. Niezawarcie transakcji absolutnie nie wchodziło w grę i pilnowałem, by cały zespół jasno to rozumiał. Pod koniec dnia Kaitlyn uchyliła drzwi i zajrzała do mojego pokoju, a kiedy podniosłem na nią wzrok, okazało się, że większość ludzi już wyszła. Zerknąłem na zegar na monitorze i ze zdumieniem stwierdziłem, że już prawie ósma.

– Właśnie się zbieram – powiedziała Kaitlyn. – Przyszłam zapytać, czy nie miałbyś ochoty po drodze wpaść na drinka.

Już otworzyłem usta, by odmówić, miałem w głowie gotową wymówkę, ale uderzyła mnie nagle myśl, że czeka mnie straszliwie długi wieczór. Gdybym zdecydował wrócić prosto do domu, znowu wstąpiłbym do delikatesów i jadł sam, a myśl ta wydała mi się wyjątkowo ponura. A Kaitlyn była w porządku, nawet miła.

– Dobra, daj mi jeszcze dziesięć minut.

Podjechaliśmy metrem do Clapham, a potem poszliśmy do pubu na High Street. Kaitlyn usiadła przy stoliku, a ja podszedłem do baru i kupiłem nam po piwie.

– Dzięki – powiedziała, gdy usiadłem naprzeciwko. Uniosłem kufel w udawanym toaście. – Więc jak idzie z tym Hectorem?

Potarłem twarz rękami.

– Wolniej, niż się spodziewałem.

– Tak, słyszałam, że podobno nie jesteś zadowolony.

Podniosłem na nią wzrok.

– Co masz na myśli?

Zarumieniła się.

– E, nic. Po prostu miałam wrażenie, że jesteś zestresowany.

– Serio? Aż tak nie jestem.

Kaitlyn uniosła brew.

– Ale to nic złego, gdy nie jest się cały czas Supergościem. No, wiesz.

Przełknąłem łyk piwa, poczułem, że alkohol przedostał się do mojego krwiobiegu.

– Skąd pochodzisz, Mike? – Kaitlyn wbiła we mnie spojrzenie.

– Masz na myśli, gdzie dorastałem?

Skinęła głową.

– W sumie tu i tam. Wszędzie. – Powstrzymałem się od szczegółów, ale Kaitlyn się uśmiechała, no i czasem dobrze jest z kimś pogadać, jak twierdzą reklamy. – Urodziłem się w Luton, jako dziesięciolatek trafiłem do domu dziecka i dopiero w wieku dwunastu lat znowu znalazłem stały dom. W Aylesbury.

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Och, przepraszam. Nie wiedziałam.

Wzruszyłem ramionami.

– A skąd miałybyś wiedzieć?

– Dlaczego trafiłeś do domu dziecka?

Opróżniłem kufel.

– Z tego samego powodu co wszyscy. Matka alkoholiczka, agresywny konkubent, ojca brak.

– Okropne. Nie zdawałam sobie sprawy.

Zaśmiałem się, bo niby dlaczego miałyby sobie zdawać sprawę. Nie należę do osób, na które wystarczy spojrzeć, by się dowiedzieć, że wychowały się w domu dziecka.

– Jeszcze jedno? – spytałem, podnosząc pusty kufel.

Jej kufel był nadal pełny, ale to ona się podniosła.

– Teraz moja kolej.

Patrzyłem, jak podchodzi do baru i zamawia drinki. Zauważyłem, że zsunęła jeden ze swych zabójczych butów i oparła stopę o chłodny metalowy podnózek.

Kiedy wróciła, znowu miała uśmiech na twarzy.

– Zostałeś adoptowany w wieku dwunastu lat, tak? Przez kogo?

Pokręciłem głową.

– Nie adoptowany. Znalazłem się w stałej rodzinie zastępczej. U bardzo miłych ludzi, Elaine i Barry’ego. Wspaniałe małżeństwo.

Kiedy tylko wypowiedziałem imię Elaine, natychmiast znalazłem się przy ich kuchennym stole, nad miską parującego gulaszu. Dziwnie było tak o niej myśleć, poza kontekstem, i nagle poczułem się tak, jakby mi w środku czegoś brakowało, jakbym miał w brzuchu dziurę.

– Nadal się z nimi widzisz?

– Tak.

– A z mamą?

– Boże, nie. Już od lat.

– Ha, najwyraźniej dobrze sobie poradzili, ci twoi rodzice zastępczy. Bo przecież wyszedłeś na ludzi, nie? – Lekko się zaśmiała.

Wiedziałem, że zaciskam dłoń na kuflu.

– To Elaine zauważyła, że jestem dobry z matmy – powiedziałem. – Przedtem, zanim u niej zamieszkałem, szarpałem się z życiem, ale ona mi pomogła wszystko sobie poukładać.

Powietrze w pubie nagle stało się za gęste, jakbyśmy byli pod wodą i kończył nam się tlen. Wiedziałem, że już słyszałem tę frazę, „wszystko sobie poukładać”, ale nie pamiętałem gdzie i nie rozumiałem, czemu budzi ona we mnie taki niepokój. Nie przypomiąłem też sobie, co konkretnie zrobiła Elaine i dlaczego wcześniej tak się strasznie szarpałem.

Zawsze mam w głowie pełno niepokojących wspomnień, co do których nawet nie jestem pewien, czy mają ze mną ścisły związek. Otwarte usta wrzeszczących dorosłych tuż przy mojej twarzy, kopniaki obcasami, krew na podłodze, ból w klatce piersiowej. Wciągnąłem powietrze głęboko, aż do żołądka, i skupiłem się na dotyku dłoni Elaine, która nakrywa moją dłoń, na radosnym okrzyku Barry’ego, kiedy strzelam gola w ogrodzie, na ciepłe ognia w kominku w ich salonie. „Musisz to tylko nakierować na jakiś cel, Mike. Jesteś świetny z matmy, czemu nie miałbyś tego spożytkować?”.

– Wszystko w porządku? – spytała Kaitlyn, a ja niemal ze zdumieniem stwierdziłem, że siedzi naprzeciwko mnie.

– Tak, tak. – Zerknąłem na zegarek. – Ale muszę się zbierać.

– Przepraszam, jeżeli zadawałam za dużo pytań – powiedziała. Jej twarz była blada jak księżyc.

– Nie, nic się nie stało.

– Zdaje mi się, że jesteśmy do siebie całkiem podobni, Mike. To znaczy ja nie byłam adoptowana ani nie wychowałam się w rodzinie zastępczej. Ale oboje jesteśmy outsiderami.

– Outsiderami? – To słowo jakby parzyło mnie w głowę.

– No. Nie zauważyłeś, że nasza firma to jeden wielki klub oldbojów? Że ciągle słyszysz: co, nie wiesz tego czy tamtego, do jakiej ty chodziłeś szkoły? Tacy jak ja i ty muszą się trzymać razem. Bo tamci w naturalny sposób nas nie lubią.

– Nie lubią? – Myśl ta była dla mnie zarazem nowa i straszna. Ale Kaitlyn tylko się zaśmiała.

– Nie jest tak źle jak na początku, ale cały czas musimy być czujni. Opanowałem pokusę obejrzenia się przez ramię.

– Dzięki za radę – powiedziałem, wstając. – Naprawdę muszę już lecieć. Verity będzie się zastanawiać, co się ze mną stało.

Kaitlyn też wstała.

– Jasne, oczywiście.

Kaitlyn poszła do toalety i powiedziała, żebym na nią nie czekał, ruszyłem więc w stronę mojej ulicy. Jej słowa cały czas dźwięczały mi w głowie. Nie zdawałem sobie sprawy, że jestem outsiderem. Ciekawe, czego jeszcze nie zauważyłem. V by mnie na pewno uczuliła. Znała wszystkie kody i wiedziała, co to oznacza. Poinstruowałaby mnie, co mam mówić, albo przynajmniej wyjaśniła, czemu mam się tym nie przejmować.

Skręciłem w moją ulicę i nagle samotność uderzyła we mnie niczym gwałtowny podmuch wiatru. Nie miałem innego celu niż ciemny, pusty dom, a w tamtej chwili było to dla mnie najmniej zachęcające miejsce na świecie.

\*

Nauczyłem się wracać z pracy pieszo. Robiłem to prawie co dzień, zwłaszcza że dni były długie, a wieczory – ciepłe. Transakcja w sprawie Hectora wreszcie została sfinalizowana i prezes powiedział, że mogę się spodziewać wysokiej premii. Zastanawiałem się, za ile by można kupić



dom w Sussex – taki weekendowy, rzecz jasna. Idąc przez Kensington, nadkładałem niewiele drogi, a spacer był przyjemny, mijało się pałac i park, przechodziło mostem nad jeziorem Serpentine, oglądało ptaki i łódki. Nie chodziłem Elizabeth Road co wieczór, tylko czasami, kiedy czułem, że V by sobie tego życzyła.

W końcu spotkało mnie to, na co zarazem czekałem i czego się obawiałem. Przed dom z numerem dwadzieścia cztery zajechała taksówka i wysiedli z niej V i Angus. Ona miała na sobie luźne białe spodnie i bladoniebieską koszulę, a na nogach białe sandały na niskim obcasie. Włosy związała w luźny kok u podstawy szyi, przez ramię przewiesiła na skos szarą torbę. Była opalona i chyba trochę schudła, bo kości obojczyka wystawały jej wyraźniej, niż gdy ją ostatnio widziałem. Czekwała na chodniku, a Angus płacił kierowcy. Sprawdziła coś w telefonie i to, co zobaczyła, wywołało jej uśmiech. Kiedy Angus się do niej odwrócił, wyciągnęła do niego rękę z telefonem, on spojrzał i też się zaśmiał, objął ją i pocałował w bok głowy. Angus był ubrany bardziej oficjalnie, w pognieciony granatowy garnitur i koszulę rozpiętą pod szyją. Ruszyli po schodach ku drzwiom, a ja próbowałem się domyślić, skąd wracają. Było wpół do dziesiątej, może spotkali się po pracy na wczesną kolację. Albo byli w kinie.

V otworzyła, weszli do środka i zamknęli za sobą drzwi. Zaczekałem, ale w salonie nikt się nie pojawił. Pomyślałem, że pewnie kuchnia jest w suterenie, przeszedłem więc na drugą stronę ulicy, chwyciłem się czarnej barierki i spojrzałem w dół. Nie miałem pojęcia, co powiem, jeśli V mnie zobaczy, ale w tamtej chwili nie miało to znaczenia. Światła się paliły, widziałem zlew, ale zasięg spojrzenia miałem denerwująco ograniczony.

Z poziomu ulicy do studzienki przy oknie sutereny, ciemnej i skrytej w półmroku, biegły stare kamienne stopnie. Pchnąłem furtkę przy schodach, ustąpiła. Rozejrzałem się po ulicy, nikogo nie było, więc zszedłem na dół. Trzymałem się ściany, przytulony do omszałych cegieł. Nie patrzyłem przez okno, dopóki nie dotarłem na dół i nie wtuliłem się w załom muru. A gdy już zajrzałem, natychmiast tego pożałowałem.

Rzęsiście oświetlona kuchnia jaśniała niczym ekran, jasna i przytulna, wielka, z długim stołem w części jadalnej. V siedziała na wysokim stołku przy wyspie pośrodku pomieszczenia i popijała wino. Angus kroił coś na desce po drugiej stronie wyspy i mówił, a to, co mówił, śmieszyło V. Od czasu do czasu wyciągał w jej stronę kawałek sera czy mięsa, czy czegoś

tam, a ona brała to, kiwała głową i oblizywała palce. Ale nagle przestał kroić i oparł się o ścianę z piekarnikiem, którą miał za plecami. Coś powiedział, a ona na niego spojrzała. Myślałem, że zwymiotuję, bo miała szeroko otwarte, szkliste oczy, skierowane wyłącznie na niego. Znałem to uczucie aż za dobrze – wiedziałem, co to znaczy, kiedy V tak na ciebie patrzy.

Wstała i okrążyła wyspę, podeszła do niego, a on przyciągnął ją do siebie tak blisko, że pomiędzy nich nie wcisnęłoby się nawet szpilki. Oparła głowę o jego pierś, a twarz odwróciła w moją stronę. Malował się na niej szeroki, szczodry uśmiech.

Chciałem wbiec po stopniach i zapaść się w mrok, ale, rzecz jasna, było to niemożliwe. Musiałem patrzeć, jak V unosi twarz do Angusa i jak się całują – długo, powoli. Musiałem patrzeć, jak on bierze ją za rękę i wyprowadza z kuchni. Zgasili światło i wyszli, a wtedy mogłem na chwiejnych nogach wejść na górę bez obawy, że zostanę zauważony. Kiedy znalazłem się na ulicy, byłem jak zamroczony i oderwany od rzeczywistości, więc ciągle musiałem się napominać, żeby koniecznie wracać już do domu.

Wyszedszy na Kensington High Street, złapałem taksówkę i rozparłem się na miękkim siedzeniu, olewając durne pytania kierowcy. Czułem się tak, jakby ktoś mi ścisnął głowę w imadle. Myślałem, że pochoruję się na żołądek, ale przypomniałem sobie, że od makabrycznie drogiej kanapki na lunch nic nie jadłem.

Kiedy jednak znalazłem się w domu, myśl o pokonaniu odcinka pustej przestrzeni, do kuchni, dosłownie mnie przerosła. Zamiast tego ruszyłem prosto do sypialni, rozebrałem się w ciemności i drżąc na całym ciele, wpełzłem pod kołdrę. Przygarnąłem do siebie poduszki, wtuliłem się w nie i całym sobą przywarłem do ich miękkiej powierzchni.

– Tak mi przykro, V – powiedziałem w ciemność. Twarz miałem mokrą od łez, a klatka piersiowa bolała mnie tak, jakbym został zaatakowany i pokiereszowany przez niedźwiedzia.

\*

Gdybym tylko mógł powiedzieć V o Carly gdziekolwiek indziej niż w Steeple House, tobym to zrobił, ale gdy przyleciałem do domu na święta, ona rozchorowała się na grypę i już była u rodziców.

Zamówiłem samochód z lotniska i przyjechałem do nich wczesnym wieczorem. Jak na grudzień było nietypowo ciepło i falami zacinął deszcz. Suzi i Colin ucieszyli się na mój widok. Posadzili mnie przed kominkiem, w którym niepotrzebnie napalili, zadali mi mnóstwo pytań, przyjęli prezenty i obejrzel zdjęcia w telefonie. Powiedzieli, że V śpi i to dla niej najlepsze, bo dopiero spadła jej temperatura, a poprzedniej nocy czuła się tak źle, że musieli wzywać lekarza. Po jakimś czasie ukazała się jednak w drzwiach – potargana i owinięta w ogromny koc. Suzi kazała jej usiąść przy kominku, a V się posłuchała.

Nie widzieliśmy się od jedenastu tygodni i myślałem tylko o tym, by ją przytulić, ale przy rodzicach, którzy nie spuszczała z nas oczu, było to niemożliwe. Nie pojmowałem, czemu po prostu nie zostawili nas samych.

– Głowa już cię nie boli? – spytałem. Zabrzmiało to drętwko.

– O wiele mniej – odparła. – Dobrze przespana noc i będę jak nowo narodzona.

– Zawsze zapominam, że wy, młodzi, ciągle jesteście ze sobą w kontakcie – stwierdziła Suzi. – Za moich czasów pisało się listy i wszystko trwało całe wieki.

– Czy ja wiem – powiedziała V. – Przynajmniej trochę tajemniczości, to całkiem romantyczne.

– Mike, przygotowałam ci niebieski pokój – powiedziała Suzi, wstając, a Colin – jak zawsze – poszedł w jej ślady. – Dobranoc – dodała, kiedy wychodzili. – I Mike, nie trzymaj Verity za długo. Żeby jej się nie pogorszyło.

V wywróciła oczami.

– Czy ja mam dziesięć lat?

– Tylko się o ciebie troszczą – odparłem z uśmiechem.

– Czasami do przesady – westchnęła.

Ześlizgnąłem się na podłogę i usiadłem obok V, obejmując ją ramieniem, ale ona się odsunęła.

– Przepraszam, auć, jestem strasznie obolała.

Wyglądała całkiem dobrze, miała nawet rumieńce.

Świadomość, co muszę jej wyznać, ciążyła mi na sercu jak kamień. Ponieważ nie zabezpieczyłem się przed seksem z Carly, zrobiłem już potrzebne badania. Test w kierunku HIV dał wstępny wynik negatywny, tak jak przypuszczałem, ale jego potwierdzenia, podobnie jak wyników innych badań, mogłem się spodziewać w terminie do trzech miesięcy.

Powiedziałbym V tak czy inaczej, bo nie było – i nigdy nie będzie – sensu mieć przed sobą tajemnic, ale przede wszystkim za nic na świecie nie chciałem jej narażać na żadne fizyczne niebezpieczeństwo.

– Co się dzieje? – spytała V.

– Nic. Po prostu jestem zmęczony podróżą.

– Nie, chodzi o coś innego. Widzę.

Więc jej powiedziałem – wtedy, przy kominku. Może źle postąpiłem, robiąc to właśnie w tamtej chwili. Może nadal była trochę otumaniona gorączką. Prawie na pewno powiedziałem nie to, co trzeba, choć w samolocie w kółko sobie powtarzałem przemowę. A więc wyznałem, że popełniłem straszliwy błąd, że zrobiłbym wszystko, aby go cofnąć, i że stało się to wyłącznie dlatego, że czułem się samotny i bardzo za nią tęskniłem, że chciałem wrócić do domu, zrobić wszystko, by to naprawić, i że ona, V, była jedyną osobą na świecie, na której mi zależało, była wszystkim, co miałem, wszystkim.

Kiedy mówiłem, V siedziała bez ruchu, ze wzrokiem wbitym w zamotane w koc ręce. Gdy wreszcie na mnie spojrzała, wokół oczu miała czerwone obwódki, a usta mocno zaciśnięte.

– Co ty, kurwa? Żartujesz? – spytała w końcu, a ja zacząłem płakać. – Co z ciebie za człowiek?

– Nie wiem – odparłem zgodnie z prawdą.

– Jak śmiesz mi mówić, że to zrobiłeś, bo byłeś samotny – warknęła. – Jakby to wszystko była moja wina. Mówisz, jakbym to ja ci kazała jechać do Stanów, jakby to był mój pomysł. Nie przychodzi ci do głowy, że ja też tęskniłam?

– Przepraszam. – Łzy ciekły mi teraz takim strumieniem, że czułem ich smak.

– Myślałam, że jesteś inny.

– Jestem.

Prychnęła.

– To się już nigdy nie powtórzy. Przysięgam.

– Jesteś taki słaby. Czasem przypominasz mi kawałek gliny, z którego można ulepić, co się chce. Brzydzę się tobą.

– Błagam cię. – Zatkałem uszy rękami. – Nie mów tak.

– Nie mów tak! – wrzasnęła. – Może powinieneś o tym pomyśleć, zanim przeleciałeś jakąś sekretarkę, bo czułeś się troszkę samotny!

– O Boże, V – szlochałem – proszę cię. To nic nie znaczyło. To nie musi niczego między nami zmieniać.

Roześmiała się, ale nie był to śmiech szczęścia.

– To wszystko zmienia. To totalnie zmienia moje postrzeganie tego, kim jesteś. Myślałam, że się rozumiemy, ale ewidentnie tak nie jest. Za grosz.

– Ale ja cię rozumiem. Kocham cię bardziej niż cokolwiek na świecie, niż kogokolwiek. I nigdy nie przestanę.

– Spierdalaj mi z oczu.

– Nie, dopóki mi nie powiesz, że też mnie kochasz.

– Nienawidzę cię.

– V, przestań, kocham cię.

– Nienawidzę cię.

– Pragnę cię.

Wtedy już wstała, a ja klęczałem i obejmowałem ją za kolana.

– Pragnę cię, kurwa, V! – wrzasnąłem.

Uderzyła mnie w twarz, co sprawiło, że puściłem jej nogi, a ona szybko wyszła z pokoju, porzuciwszy koc na podłodze przy kominku. Wstałem i rzuciłem się za nią, ale kiedy dotarłem do jej pokoju, drzwi były już zamknięte. Parę razy zapukałem, lecz dźwięk roznosił się echem po cichym, zastygłym w bezruchu domu, więc poszedłem do niebieskiego pokoju i w ubraniu położyłem się na pościeli.

Następnego dnia rano drzwi V nadal były zamknięte, więc po prostu przed nimi usiadłem i od czasu do czasu wołałem ją z korytarza. W końcu na piętrze pojawiła się Suzi.

– Lepiej będzie, jak pojedziesz, Mike – powiedziała.

– Nie mogę, dopóki V ze mną nie porozmawia.

– Jest bardzo zdenerwowana, nie będzie z tobą dziś rozmawiać. – Kiedy Suzi mówiła, jej twarz lekko drżała, a dłonie się zaciskały. Wiedziałem, że u stóp schodów stoi Colin.

– To jest straszne nieporozumienie – stwierdziłem.

Suzi zmarszczyła czoło.

– Wydaje mi się, że jednak coś więcej.

– Skąd wiesz? – spytałem ostrzej, niż zamierzałem.

– Rozmawiałam z nią wczoraj wieczorem. – Nie potrafiłem sobie wyobrazić tej rozmowy i zastanawiałem się, czy Suzi kłamie, bo V nigdy jej

nie opowiadała o naszym życiu. A ja – co robiłem w tym czasie? Bo raczej nie spałem?

– Proszę, gdybym mógł z nią porozmawiać, na pewno wszystko byśmy sobie wyjaśnili.

Suzi pokręciła głową.

– Naprawdę myślę, że powinieneś jechać, Mike. Poczekajmy parę dni, zobaczymy, jak się wszystko ułoży.

– Ale jutro Boże Narodzenie.

Suzi spuściła oczy.

– Przykro mi, Mike.

Zamówiłem taksówkę, żeby wrócić do Londynu, do naszego mieszkania. Siedziałem sam w kuchni i czekałem, aż przyjedzie. Po prostu nie wierzyłem, że V nie zejdzie i nie poprosi, żebym z nią wyszedł na dwór. Zostawiłem jej na kuchennym stole prezent gwiazdkowy, kolczyki z brylantami, a na naklejce z choinką napisałem naprędce „Nadal jestem Twoim orłem”.

Kiedy taksówka z chrzęstem opon – takim samym jak na powitanie – oddalała się podjazdem, spojrzałem za siebie, ale dom stał pusty i bezwzględny i nikt za mną nie patrzył przez okno.

Mogłem zadzwonić do Elaine i spędzić Boże Narodzenie z nią, Barrym i dziećmi, które akurat u nich mieszkały, ale wydawało mi się, że to fatalny pomysł. Niedobrze mi było na samą myśl, że musiałbym wszystko wyjaśniać, a poza tym wysłałem im z Nowego Jorku drogie prezenty, więc uznałem, że obowiązek spełniony. Siedziałem więc sam w naszym pustym mieszkaniu, jadłem suchy chleb i zimną fasolę z puszką, bo nie byłem w stanie sobie sprawić niczego dobrego i miłego. Patrzyłem przez okno na ojców popychających ulicą nowe rowery i miałem ochotę coś połamać.

Dzwoniłem do V co godzina, wysłałem jej tyle wiadomości, że nie da się ich zliczyć. Ona jednak ani razu nie odebrała, na żadną nie odpisała. Nie wróciła do mieszkania między świętami a Nowym Rokiem, nie dała mi też znać, co robi. Byliśmy umówieni, że na sylwestra lecimy do Nowego Jorku, więc trzydziestego pojechałem na lotnisko, by sprawdzić, czy zjawi się na samolot, ale nie przyjechała i samolot odleciał bez nas. Zadzwoniłem do niej z lotniska, powiedziałem, że bez niej nigdzie nie poleciałem, że mogę się z nią spotkać gdziekolwiek, tylko żebyśmy nie spędzali Nowego Roku oddzielnie.

Godzinę później przysłała mi esemesa: „Nie spotkam się z tobą, Mike”.

Wróciłem do mieszkania i wysłałem do Steeple House kwiaty.  
Wieczorem dostałem kolejnego esemesa: „Nie ma mnie u rodziców”.  
„Gdzie jesteś?”, odpisałem natychmiast, ale nie odpowiedziała.

Zadzwoiłem do Steeple House. Odebrała Suzi.

– Czy mógłbym rozmawiać z Verity?

– U nas jej nie ma, Mike. Kwiatów też niestety nie widziała, choć jej powiedziałam, że przyszły.

Staralem się mówić w sposób opanowany.

– A gdzie jest?

– Wyjechała ze znajomymi.

Rozpaczliwie myślałem.

– Z jakimi znajomymi?

Suzi się zawahała.

– Nie jestem pewna. Chyba z pracy.

– Wyjechała z obcymi ludźmi i nie wiesz dokąd?

Suzi odkaszlnęła.

– Jest dorosła, Mike. Może robić, co chce.

Wiedziałem, że kłamię.

– Suzi, proszę. Musimy porozmawiać.

– Przykro mi, Mike. Nie mam na to żadnego wpływu. Przypuszczam, że Verity się do ciebie odezwie, jak będzie gotowa.

– Tak, tylko kiedy? – spytałem bezradnie.

– Czasem sprawy biegną swoim własnym torem. Dobrze ci się wiedzie tam w Stanach, a Verity układa się tutaj. Oboje byliście młodzi, kiedy się poznaliście. To nic dziwnego, że wszystko się zmienia. Nie trzeba się tego bać. – Głos miała ciepły i cierpliwy, mówiła jak matka, która tłumaczy coś dziecku.

Mnie jednak krew napłynęła do głowy, odłożyłem słuchawkę i rozłączyłem się z tą głupią babą, bo gdybym ciągnął tę rozmowę, na pewno powiedziałbym coś, czego bym potem sobie nie mógł darować.

Zadzwoiłem do Verity i nawrzeszczałem w głuchość na linii. Obrzuciłem ją paroma wyzwiskami. Powiedziałem, że nie może sobie ot tak po prostu odejść. Że jesteśmy sobie potrzebni. Znowu jej powiedziałem, że jej pragnę.

Tego samego dnia otrzymałem mejla.

Mike,

zmieniam numer telefonu, więc nie ma sensu, żebyś do mnie dzwonił. Zachowałeś się fatalnie i nie chodzi mi tylko o tę dziewczynę, ale też o to, jak mi o tym powiedziałeś, i że próbowałeś zwalić na mnie winę. Zarabianie kasy zawsze było dla Ciebie chorobliwie ważne, ale przyjmowałam to ze względu na Twoją przeszłość, na wszystko, przez co przeszedłeś, i rozumiałam, że chciałeś sobie zapewnić lepsze życie. Czasem jednak mnie przerażasz i szczerze mówiąc, już od jakiegoś czasu nie najlepiej się czułam w naszym związku. Musisz znaleźć swoje szczęście w sobie. Nie chcę, żebyś mnie pragnął, to dla mnie za dużo. Leć do Nowego Jorku. Nie wrócę do naszego mieszkania, dopóki nie wyjedziesz.

Verity

Od razu zrozumiałem, że nie miała tego wszystkiego na myśli i że trudno będzie sobie zasłużyć na jej przebaczenie. Musiałem zacząć od tego, co mi rozkazała, więc zarezerwowałem najbliższy lot do Nowego Jorku.

Boże, tych parę pierwszych tygodni było koszmarem. Psychodelicznym, wywracającym flaki koszmarem. Zapamiętałem je jako chorobę – bolało mnie całe ciało, myślami byłem w innej rzeczywistości, na świecie panował ziąb, a wszystko trwało dłużej, niż trzeba. Popełniłem błąd i pisałem do V mejle, na początku codziennie. Każdy wyglądał tak samo – stanowił ciąg żalonych przeprosin i samooskarżeń. Wypisywałem w kółko te same linijki obietnic i nadziei, marzeń i niepowodzeń. Błagałem i prosiłem, wilem się i kajałem. Zgadałem się na wszystko i na nic. Ona jednak nigdy nie odpowiadała, ani razu, ani jednego słóweczka. W końcu zrozumiałem, że nie da się nic zrobić. Że jedyne, co się liczy, to czyny i że muszę po prostu pokazać Verity, na co mnie stać.

\*

Po wyprawie do okna sutereny na Elizabeth Road zżerała mnie obsesyjna potrzeba, by zobaczyć V samą, bez Angusa. Doznałem olśnienia, że pierwszą ku temu okazją wcale nie będzie ślub, na którym przecież wystąpią razem. Miałem jednak dość oleju w głowie, by nie prosić jej o spotkanie. W ostatnim mejlu wyraźnie określiła zasady, a kroku wstecz nie mogłem ryzykować. Przychodziło mi do głowy tylko jedno – „wpaść” na nią znienacka. Wymagało to jedynie odrobiny cierpliwości, a dla V



gotów byłem czekać do końca świata. Wałęsałem się koło skrzyżowania jej ulicy z Kensington High Street, tłumacząc sobie, że to łatwe do uzasadnienia miejsce, każdy może tędy przechodzić o dowolnej porze.

Wreszcie spotkała mnie nagroda. Dwie soboty przed ślubem zza rogu wyłoniła się V, ubrana w czarne lycrowe legginsy i adidas, z włosami ciasno ściągniętymi w kucyk. Na jej widok serce podskoczyło mi w piersi – jakby jej obecność fizycznie wypełniła dziurę, którą miałem gdzieś w sobie. Truchtała w miejscu, czekając na zmianę świateł. Domyśliłem się, że wybiera się pobiegać do parku Kensington Gardens.

Zareagowałem szybko, może zbyt szybko – podniosłem rękę i z miejsca, gdzie stałem, tuż koło przystanku, zawołałem ją po imieniu. Odwróciła się i rozejrzała, szukając źródła głosu. Rozpoznała mnie dopiero, gdy ruszyłem w jej stronę. Kiedy się zbliżyłem, usta miała otwarte ze zdumienia i przestała truchtać. Szybko znalazłem się przy niej. Przez kilka sekund tylko staliśmy i patrzyliśmy na siebie. Miała czarną, zapiętą na suwak pod samą szyję bluzę, więc nie widziałem, czy nosi orła.

– Boże, Mike – wydusiła w końcu trochę ochryple.

Schyliłem się i pocałowałem ją w policzek, wdychając przy tym zapach piżmowych róż, którego jak stwierdziłem z zadowoleniem, nie zmieniła.

– V.

– Co tu robisz?

– Coś kupowałem. A ty?

Pokazała ręką na ulicę, którą tak dobrze znałem.

– Ja tam mieszkam.

Spojrzałem za jej rękę i udałem zdziwienie.

– Tak? Świetne miejsce.

Zarumieniła się.

– No, tak naprawdę to dom Angusa, ale wiesz.

Skinąłem głową.

– Pewnie stresujesz się ślubem.

Zamachała rękami na wysokości twarzy.

– Okazuje się, że ślub składa się przede wszystkim z planowania.

– Na pewno Suzi ma wszystko w małym paluszku.

V się roześmiała.

– Nieważne. Dobrze wyglądasz. – Spojrzała na moją klatkę piersiową, ledwie przysłoniętą bawełnianą koszulą. Poczułem na sobie jej ręce i musiałem otrząsnąć się ze wspomnień.

– Ty też. – Zdanie, które nigdy, a zwłaszcza dziś, nie było nieprawdziwe.  
– Właśnie usiłuję zrzucić ostatnich parę kilo, żeby sukienka się dopięła – zażartowała.

Nasza rozmowa miała w sobie coś absurdalnego. Obydwoje pragnęliśmy jednego – zerwać z siebie ubrania i pieprzyć się tam, gdzie staliśmy, na chodniku. V oblizwała wargi, ciężko oddychała. Mogłem ją wziąć za rękę, nic mnie nie powstrzymywało.

– Cieszę się, że jesteś szczęśliwa, V. – Mocniej zaakcentowałem ostatnią głoskę tak jak zawsze, gdy ze sobą rozmawialiśmy.

– Dzięki. A ty? Jesteś? – Wbiła we mnie natarczywe, przenikliwe spojrzenie. Wiedziałem, że chce mi powiedzieć znacznie więcej.

– U mnie w porządku. W pracy dobrze, urządzam dom. Właśnie zbieram oferty w sprawie siłowni i sauny w piwnicy.

– Ha, nieźle.

– No, wiesz, że uwielbiam ćwiczyć. – Jak zahipnotyzowany patrzyłem w jej oczy.

– Jasne. – Odwróciła wzrok, skierowała go na ulicę. – Świetnie było cię zobaczyć, ale muszę lecieć, bo potem jesteśmy umówieni na degustację potraw. W restauracji musieli zastąpić jakiś składnik w przystawce, bo zmienił się dostawca...

– Gdzie go poznałaś?

– Co? – Znowu na mnie spojrzała, zatrzepotała powiekami.

– Angusa. Gdzie go poznałaś? – Nie miałem zamiaru o niego pytać, ale skoro pierwsza o nim wspomniała, nie chciałem, by pomyślała, że unikam tematu.

– W pracy.

– Szybko poszło.

Skinęła głową i od razu spuściła wzrok.

– Nie rób tego, Mike. Nie mogę. To za trudne.

Posłałem jej swój najlepszy uśmiech.

– Przepraszam, nie chciałem ci sprawić przykrości.

– Nic się nie stało. Miło było cię spotkać – dodała, ale głos jej zadrżał.

– Ciebie też. – Mówiąc to, odwróciłem się i odszedłem, a po chwili obejrzałam się za nią przez ramię. Stała na krawężniku i dalej czekała, żeby przejść przez ulicę.

Ciekaw jestem, czy tak samo czuje się alkoholik, który pije kielicha po długiej abstynencji. To takie uczucie, jakby każda końcówka nerwowa

została wygładzona, krew przyjemnie ogrzana, umysł pogłaskany. Niemal unosiłem się nad ziemią. Dziwię się, że nie pofrunąłem, nie wzbiłem się w niebo i nie poszybowałem ponad wypełniającym chodnik tłumem. Wymyśliłem bohaterskie czyny i szlachetne poświęcenia. Wygłaszałem mowy, które wywoływały łzy słuchaczy, rozwiązywałem kryzysy, przerywałem wojny, zaprowadzałem pokój. Czułem się tak, jakby moje serce było wreszcie wypełnionym powietrzem balonem, i nie mogłem przywołać na twarz innej miny niż uśmiech.

Pokój ten oczywiście nie trwał długo, nawet nie przez cały dzień. I tak jak alkoholik szybko zapragnąłem następnego strzału. Szukałem pretekstów, by zadzwonić do V, i rozmyślałem, na ile mało prawdopodobne by się zdawało, gdybym znowu na nią „wpadł” w tym samym miejscu. Folgowałem sobie i rozważałem możliwość, że samo spotkanie ze mną wystarczyło, by i ona zapragnęła przerwać zabawę i z nią skończyć. Codziennie, o każdej porze, wmawiałem sobie, że to możliwe, by powiedziała Angusowi, że związek z nim był pomyłką i że naprawdę kocha innego. Nasłuchiwałem telefonu i dzwonka u drzwi, bo wiedziałem, że mogę się ich spodziewać.

Po paru dniach życia w stanie ciągłego wyczekiwania zaczęło do mnie docierać, że coś musiałem zrobić nie tak. V zawsze przestrzegała surowych zasad i wytycznych, więc najpewniej jednak popełniłem jakiś błąd. Prawie powiedziała mi wprost, że nadal mnie kocha, kiedy nie pozwoliła mi mówić o Angusie, bo „to za trudne”, ale przecież musiała ode mnie chcieć czegoś więcej – jakiegoś ostatecznego dowodu, który pokaże, że zasługuję na jej miłość. Ale ja, głupi, nadal nie rozpracowałem, co to takiego.

Wiedziałem, oczywiście, gdzie się mieści jej firma – mnóstwo razy spotykaliśmy się przy bocznym wyjściu z Calthorpe i było to nawet dość blisko mojej pracy. Naprzeciwko znajdował się bar. Zacząłem wcześniej wychodzić z biura i siadać tam przy stoliku obok okna. V zobaczyłem już drugiego dnia. To był znak, potwierdzenie, że miałem tu być. Ukazała się w dużych obrotowych drzwiach tuż po siódmej, zanim zdążyłem usiąść z kuflem przy wybranym stoliku. Miała na sobie bladoniebieską sukienkę, białe adidas i szarą torbę przewieszoną na ukos przez ramię. Włosy spięła na karku w luźny kucyk. Bez entuzjazmu na twarzy czytała coś w telefonie. Może Angus ją wkurzał, coś od niej chciał w związku z ustaleniami co do ślubu. Albo ciągle się zastanawiała, jak się z tego wszystkiego wywinąć.

Kiedy skończyła czytać, stała przez chwilę na ulicy. Wyglądała na smutną i rozkojarzoną. Upiłem piwa i zastanawiałem się, czy dałoby się jej zrobić w miarę porządne zdjęcie telefonem, bo sam jej widok, sama świadomość jej bliskości spowolniła bicie mojego serca po raz pierwszy od naszego krótkiego spotkania przed paroma dniami.

Podszedł do niej jakiś facet z mapą w rękę i z plecaczkiem. Zapytał o coś, a ona pochyliła się nad mapą i pokazała palcem. Przyglądałem się temu z napięciem – wiedziałem, że jego wzrost w połączeniu z pozycją, w jakiej stanęła V, dają mu dobry widok na jej dekolt. V skończyła mówić i się odsunęła, lecz on nadal stał bardzo blisko. Powiedział coś jeszcze, a wtedy ona cofnęła się jeszcze bardziej i pokręciła głową. Jej uśmiech się zmienił, był teraz jakiś wymuszony. Facet wyciągnął do niej rękę, ona postąpiła krok do tyłu i przestała się uśmiechać. Zaciśnąłem pięści.

Nie miałem wątpliwości, że V wie, że tu jestem i ją obserwuję, i że zaaranżowała tę sytuację – identyczną jak te w naszej grze – specjalnie, żebym ją zobaczył.

Stałem w drzwiach baru, a ona jednocześnie uniosła rękę i sięgnęła po srebrną zawieszkę, którą nosiła na szyi, a która mogła być tylko i wyłącznie orłem. To było jasne jak słońce – wzywała mnie, a ja czekałem tuż obok – w miejscu, skąd mogłem skoczyć jej na pomoc. Wszedłem na ulicę, ale facet wzruszył ramionami i zaczął się oddalać. V posunęła się naprzód, podniosła rękę i obok niej prawie natychmiast zatrzymała się taksówka. Patrzyłem, jak V wsiada, mówi coś do kierowcy, a potem opiera się plecami o fotel, a pojazd odjeżdża. Dopiero wtedy odzyskałem oddech, i to z trudem, bo z całą pewnością nie był to przypadek. V zwróciła się bezpośrednio do mnie.

Facet z mapą znowu przystanął, ale teraz był już za rogiem, przebiegłem więc przez ulicę i zacząłem go śledzić. Posuwał się do przodu denerwująco powoli, często przystając, by spojrzeć albo na mapę, albo w niebo. Zwolniłem kroku i kiedy się zatrzymywał, chowałem się we wnękę przy drzwiach lub opierałem o ścianę. Szczerze mówiąc, było to całkiem ciekawe – zdałem sobie sprawę, że będąc w mieście, rzadko spoglądam w górę, a jeśli się to robi, można zobaczyć naprawdę świetne rzeczy. Okazuje się, że nad Londynem czuwają gargulce. Tkwią między oknami a drzwiami, szczerzą do nas zęby, śmieją się z nas i rzucają złowrogie zaklęcia.

Nie miałem w głowie konkretnego planu, ale jednocześnie nie mogłem przestać iść. Nie potrafiłem też się zdecydować – czy go spytać, czy V mu zapłaciła za odegranie tej scenki, czy dać mu w twarz tak mocno, żeby się przewrócił. Był wysoki, ale nie miał formy i dziwnie kulał, jakby go bolało kolano. Starłbym go na proch w sekundę. Leżałby pogruchotany w kałuży krwi prędzej, niżby stracił przytomność. Mógłbym przeszukać jego głupi plecaczek i sprawdzić, czy ma w telefonie wiadomości od V. Policja uznałaby to za napastowanie i wróciłby tam, skąd przyjechał, i miałby co opowiadać do końca życia. Ale oczywiście było to niemożliwe. Był ciepły letni wieczór, centrum Londynu, ulice pełne świadków. Nie zdążyłbym nawet zadać drugiego ciosu, a już by ktoś wezwał policję.

Facet wszedł do sklepu i wyszedł z czteropakiem becka. Zahaczył go sobie na jednym palcu i tak niósł, co mnie strasznie wkurzało. Wtedy byłem już pewien, że kieruje się w stronę St James's Park. Zdziwiło mnie to, bo oznaczało, że przeszliśmy dobry kawał drogi, a ja nawet nie zauważyłem, że idziemy w tę stronę. Zaczynało zmierzchać, niebo za mgiełką smogu przybrało ciemnopomarańczową barwę. Spojrzałem na zegarek, była dziewiąta piętnaście. W parku facet usiadł na jednej z pierwszych ławek, wyjął szwajcarski scyzoryk i wziął się do otwierania pierwszej butelki.

– Przepraszam – powiedziałem, podchodząc bliżej, by zatrzymać się naprzeciwko niego.

Podniósł na mnie wzrok i powoli się uśmiechnął.

– Tak – odpowiedział z silnym amerykańskim akcentem.

– Widziałem, że jakiś czas temu zaczął pan młodą kobietę. Wyszła z budynku na Chancery Line i pokazała panu coś na mapie. Pewnie drogę.

Uśmiechnął się.

– A, tak.

Ale potem podrapał się po twarzy.

– A skąd pan o tym wie?

– Widziałem.

– Ale to było dość dawno.

W jego oczach błysnęło zrozumienie i facet się wyprostował.

– Co pan do niej mówił?

Czułem w nogach mrowienie, jakby płynął we mnie prąd.

– Słucham? Pytałem o drogę.

– Nie, ale potem. – Widziałem, że facet nie należy do bystrych.

– Spytałem, czy nie poszłaby na drinka. – Upił łyk z butelki, jakby na potwierdzenie, a mi przyszło do głowy, że nietrudno byłoby mu teraz wepchnąć butelkę w gardło, tak głęboko, jak by się dało, żeby się udusił szkłem. – Ale o co w ogóle chodzi? Śledził mnie pan?

– Tak – odparłem. – Czy ona prosiła, żeby pan z nią rozmawiał?

– Nie – zaśmiał się. – Kim pan, kurwa, jest?

– To moja dziewczyna. – Starąłem się mówić spokojnie, bo wokół panowały cisza i ciemność. – Czasem tak się bawimy. Myślałem, że może należy pan do zabawy. Nic się nie stanie, jeśli pan mi powie. To niczego nie popsuje.

Facet obejrzał się przez ramię.

– To dla jakiegoś programu czy coś w ten deseń?

– Nie, mówię poważnie. Nic panu nie zrobię. Muszę tylko wiedzieć, czy ona pana wynajęła, żeby pan z nią rozmawiał.

– Co za posrane gówno. – Odstawił butelkę na ziemię i otworzył drugą. – Napijesz się?

– Nie. – Z miejsca, gdzie stałem, docierał do mnie zapach chmielu. Wiedziałem, jak by pysznie smakowało. – Słuchaj no, kim jesteś? Co robisz?

– Kurwa, chłopie, pogięło cię czy jak? – Dostrzegłem błysk w jego oku, zupełnie, jakby bawiła go ta gra, tak samo jak mnie i V. Skinąłem głową. – Jestem ze Stanów – oświadczył niepotrzebnie. – Zwiedzam sobie Europę. Pracuję to tu, to tam. Nic wielkiego. Zgubiłem się i poprosiłem twoją dziewczynę, żeby mi pokazała drogę. Ładna jest, to spróbowałem szczęścia. Powiedziała „Nie”, to poszedłem w swoją stronę. Nic więcej.

Zrobiłem wydech, kierując powietrze ku podeszwom stóp.

– Dzięki.

Odwróciłem się i odszedłem. Jego śmiech odprowadzał mnie przez ciemny park.

Wyglądał dokładnie na takiego, co chętnie by się z nami zabawił lub po prostu potrzebował kasy i się zgodził, nawet jeśli go to nie bawiło. V na pewno mu zapłaciła, żeby milczał. Bo oczywiście wiedziała, że za nim pójdę i będę z nim gadał. Musiała to przewidywać umowa. Poczułem, że zaczynam lepiej rozumieć, na czym stoimy, że zasady naszego nowego Pragnę stają się dla mnie coraz bardziej jasne. Nie miałem wątpliwości – to już nie była gra na jeden wieczór czy na jedną chwilę. Stawka wielokrotnie wzrosła. Musiałem tylko rozpracować, jaki był jej ostateczny cel i kiedy

miał on nastąpić. Zakładałem, że na pewno nie przed ślubem, bo od niego dzieliło nas już tylko dziesięć dni.

Następnego ranka zadzwonił budzik, zwlokłem się z łóżka i wciągnąłem lycry do biegania. Miałem ciężką głowę i zastałe mięśnie, ale dopiero po powrocie do domu zauważyłem do połowy opróżnioną butelkę wódki i przypomniałem sobie, co zrobiłem, gdy poprzedniego wieczora wróciłem do domu.

Moje płyty CD leżały na podłodze w kuchni obok drzwi do ogrodu, wysypane z pudełek niczym nagie wnętrzności. Nie pamiętałem, żebym wczoraj włączał jakąś muzykę, ale wyglądało na to, że włączałem. Podszedłem do wieży i stwierdziłem, że potencjometr jest ustawiony na maksimum.

W pracy specjalnie zadałem sobie trud, by znaleźć Lottie. Przygotowałem sobie w głowie jakieś przeprosiny, ale gdy zobaczyłem, że na mój widok sąsiadka się rumieni i wlepia wzrok w podłogę, w końcu ich z siebie nie wydusiłem. Trudno mi było się skupić na pracy. Poszukałem Kaitlyn pod pretekstem, że potrzebuję jakichś tam danych, które, rzecz jasna, potrafiłbym wyrecytować w środku nocy.

– Dobrze się czujesz? – spytała, wpisując te liczby do komputera, podczas gdy ja pochylałem się nad jej biurkiem.

– W porządku – rzuciłem rześko.

Odwróciła się i na mnie spojrzała. Jej nienaturalnie niebieskie oczy leciutko migotały.

– Nie najlepiej wyglądasz.

Wyprostowałem się.

– Serio? – Rzeczywiście, kiedy się rano goliłem, zauważyłem czerwone obwódki wokół oczu i odniosłem wrażenie, że schudłem na twarzy.

– Mam nadzieję, że się nie przepracowujesz.

– Nie, wszystko gra.

– A wczoraj wieczorem, Mike, ja... – zaczęła i zarumieniła się, a ja rozpaczliwie próbowałem sobie przypomnieć, czy widziałem się z nią poprzedniego wieczora, czy nie, ale nie mogłem.

– Co?

Pokręciła głową.

– Nic. Po prostu wyglądasz, jakbyś miał za sobą ciężką noc.

– Nie, jest okej.

Kaitlyn wróciła do wstukiwania danych.

– W domu wszystko w porządku?

– Uhm, jasne.

Przestała pisać i odwróciła się do mnie.

– Wiem, że krótko się znamy, ale gdybyś chciał, zawsze możesz ze mną pogadać. Pamiętaj.

Wiedziałem, że koniecznie muszę coś powiedzieć, bo Kaitlyn najwyraźniej chce ode mnie czegoś więcej, niż jestem skłonny jej dać.

– Jest jedna sprawa, wiesz, czasem za bardzo się wczuwam w muzykę i za głośno słucham. Boję się, że wkurzyłem Lottie.

Ona tylko spytała:

– A Verity to nie wkurza?

– Verity teraz wyjechała. Służbowo.

– A.

Kaitlyn stuknęła palcem w szybę monitora.

– Gotowe. Wysłałam ci.

– Dzięki.

Wróciłem do biurka, nie czując się ani odrobinę lepiej. Żałowałem, że poszedłem do Kaitlyn, strasznie mnie wkurzała, pod każdym względem. Nie podobało mi się, jak na mnie patrzy, jakby tymi swoimi oczami zdzierła ze mnie skórę.

Zadzwoiła moja komórka. Na ekranie wyświetliło się imię Elaine. Często nie odbierałem, gdy do mnie dzwoniła, ale teraz akurat się zdecydowałem – na fali nagłej potrzeby, która mnie ogarnęła na sam widok jej imienia.

– Mike – odezwała się z niedowierzaniem. – To na pewno ty?

Zaśmiałem się.

– Przepraszam, strasznie jestem zajęty, odkąd wróciłem. Miałem zamiar do was zadzwonić.

Prychnęła.

– Co u ciebie, kochanie?

– W porządku, wszystko dobrze.

– Już się urządziłeś w nowym domu?

– Musicie koniecznie wpaść i sami zobaczyć. – Wypowiedziawszy te słowa, wzdrygnąłem się na samą myśl o tej wizycie. Ona i Barry nigdy nie rozumieją mojego stylu.



– Bardzo chętnie. Ale słuchaj, dzwonię w innej sprawie. Może miałbyś ochotę wpaść do nas w niedzielę na obiad?

Nagle poczułem, że jej słowa mają smak. Było w nich coś odurzającego.

– Z przyjemnością.

– Świetnie. Od niedawna mamy w domu nowego chłopca i bardzo bym chciała, żebyś go poznał.

Dobrze było sobie jakoś wypełnić niedzielę, bo w weekend trudno się pilnowało V.

\*

Droga do Aylesbury była krótsza, niż pamiętałem, i okazało się, że już o dwunastej stoję przed drzwiami Elaine i Barry'ego. Otworzyła mi Elaine w fartuchu, a zza jej pleców buchnął zapach pieczeni. Elaine rozpromieniła się na mój widok, pociągnęła mnie do siebie i znowu zanurzyłem się w jej ciepłym, prozaicznym zapachu. Wejście do tego domu było jak cofanie się w czasie – wydawało się, że przeniosłem się w przestrzeni w całkiem inne miejsce. A przecież nic się tu nie zmieniło, wszystko wyglądało zupełnie tak samo jak kiedyś. Ta sama wytarta wykładzina na schodach, ten sam owalny stolik pod lustrem, wyładowany kluczami i listami, to samo popękane linoleum na podłodze w kuchni, ten sam stary piekarnik, buchający dymem, ten sam sznurek na pranie w ogrodzie, ten sam drewniany stół, przy którym niedługo siądziemy do obiadu.

Barry wszedł z ogrodu, za jego plecami dostrzegłem pięknie kwitnące róże.

– Mike, mój chłopcze – powiedział, podszedł bliżej i oplótł mnie ramionami. Miałem wrażenie, że przytył, choć Elaine chyba schudła. – No, no, aż miło na ciebie popatrzeć – dodał, odsuwając się o krok.

Spojrzałem na siebie – na wypolerowane pantofle, wyprasowane płócienne spodnie, śnieżnobiałą koszulę. Tu, w tym domu, było to niemal żenujące. Ale Barry przyniósł nam piwo i usiedliśmy w ogrodzie. Elaine też próbowała z nami usiąść, ale ciągle wstawiała, by jeszcze coś zrobić, więc Barry co chwila przewracał oczami. Rozmowa od samego początku zaczęła mnie nużyć. Czasem nie miałem pojęcia, jak odpowiadać na te ich wszystkie pytania. Tyle że nie miałem ochoty wychodzić. Mógłbym zostać w tym ogrodzie już na zawsze.

Kiedy siadaliśmy do stołu, trzasnęły drzwi i do kuchni wpadł wysoki, szczupły chłopiec.

– O, jesteś – powiedziała Elaine. – Świetnie, w samą porę.

Chłopiec usiadł przy stole. Widziałem, że jest spocony i szybko oddycha. Przypomniałem sobie, jak sam wracałem biegiem na obiad Elaine. Chłopiec nie spuszczał wzroku z własnych dłoni, leżących przed nim na stole.

– Mike – zaczęła Elaine – to jest Jayden. Jayden, to Mike – ten, o którym ci opowiadałam. Mike był u nas najdłużej ze wszystkich dzieci.

Chłopiec skinął głową w moją stronę.

– Aha.

Uśmiechnąłem się do niego.

– Jak długo tu mieszkasz?

– Parę miesięcy.

Barry wstał, by pokroić pieczeń, a Elaine nakładała nam ziemniaki, marchewkę, pasternak i Yorkshire pudding. Niedzielny obiad w jej wykonaniu zawsze wyglądał tak samo, niezależnie od pogody. Chciałem zapytać Jaydena, skąd się tu wziął, ale wiedziałem, że nie należy tego robić. Oszacowałem, że ma trzynaście, czternaście lat, a widząc, jak się rzuca na jedzenie, łatwo mogłem się domyślić odpowiedzi.

– Jayden uwielbia piłkę – stwierdził Barry. Na pewno go to cieszyło. Sam spędziłem mnóstwo sobotnich wieczorów, nudząc się przed brzęczącym telewizorem, gdy Barry oglądał skróty meczów.

– Znasz już wyniki? – spytał Jayden z ustami odrażająco wypchanymi jedzeniem.

– Nie, ale mi nie mów – odparł Barry i zatkał uszy, co rozśmieszyło Jaydena, a ja nagle zapragnąłem też się z nim powygłupiać.

Domyśliłem się, że Jayden ma teraz mój pokój, zawiesił w nim własne plakaty, poukładał ubrania w szafie i od razu poczuł się jak we własnym małym domu. Elaine i Barry śmiali się z czegoś, co powiedział, a czego ja nie usłyszałem. Krzesło stało się pode mną jakies słabe i niematerialne. Pewne rzeczy zmieniały się i szły do przodu, miłość też.

Elaine wyciągnęła rękę i nakryła nią moją dłoń.

– Mike, jak dobrze, że przyjechałeś. Już tęskniliśmy, co, Barry?

– Oczywiście – odparł Barry. – My tęskniliśmy, a on szwendał się po świecie i kombinował.

– Serio mieszkałeś w Nowym Jorku? – spytał Jayden.

– No. – Gardło miałem dziwnie ściśnięte.

– Mega.

– Ale co jeszcze u ciebie? – chciała wiedzieć Elaine. – Pojawiła się jakaś młoda dama, o której powinnam wiedzieć?

Pokręciłem głową i ogarnął mnie nagły strach, że się rozplacę. Że oprę głowę na stole między sosjerką a talerzem i zacznę szlochać.

– Nie, nikt się nie pojawił.

Elaine poklepała mnie po ręku.

– Podobno Verity wychodzi za mąż.

– Tak.

– Dzwoniła do nas, chciała twój nowy adres. Wybierasz się na ślub?

Czułem, że powietrze przy stole zaczyna kurczyć się i wirować. Verity, kiedy tu parę razy była, siedziała tam gdzie teraz Jayden. Na początku krępowiałem się ją tu zapraszać, ale twierdziła, że uwielbia Peacock Drive. Mówiła, że panuje tu swojska, przyjemna atmosfera, a Elaine i Barry zawsze się nią zachwycali, zupełnie jakbym im przywoził piękny, egzotyczny kwiat. Nagle to wszystko wydało mi się nie takie, jak trzeba. To, że Verity nie siedzi z nami przy stole i nie rozmawiamy o naszym własnym ślubie, było wprost nie do zniesienia. Chciałem opowiedzieć Elaine i Barry’emu, że zaszła fatalna pomyłka i że kochamy się z V tak, że nikt inny nie byłby w stanie tego zrozumieć.

– Tak – odparłem. – Za tydzień w sobotę.

– Jaki jest ten jej narzeczony?

– Nie wiem. Nie poznałem go. Widziałem, że Elaine zerka na Barry’ego. Jayden wyjął telefon i coś przeglądał.

– Więc się z tym pogodziłeś, tak? – spytała z nadzieją.

Uśmiechnąłem się, bo wiedziałem, że na to czeka.

– Pewnie.

Chyba się rozluźniła.

– Dobrze. Wiemy, jaki byłeś w nią zapatrzony. Baliśmy się, że będziesz to mocno przeżywać.

W tamtej chwili poczułem, że dzieli nas milion mil i taka przepaść niezrozumienia, jakbyśmy nic dla siebie nie znaczyli.

– To miła dziewczyna, ale nie ona jedna chodzi po świecie. Inne tylko czekają na takich fantastycznych młodych ludzi jak ty. – Elaine patrzyła na mnie z bardzo bliska, jakby chciała mi coś powiedzieć oczami, więc zastygłem w uśmiechu.

– Wszystko się jakoś ułoży – powiedziałem.

Spojrzała na mnie badawczo.

– Oczywiście, a jakże miałyby być inaczej.

Zauważyłem, że uśmiech ześlizgnął się z jej twarzy zupełnie jak peruka z łysiny staruszka.

– Dobrze, że jesteście w zgodzie. W zeszłym roku Maureen Sarah wyszła za mąż za jakiegoś faceta, którego poznała przez internet.

Pomyślałem o Maureen Sarah, jej ciastowatym ciele, rzadkich, cienkich włosach i ogromnych okularach. Bezwiednie napiąłem mięśnie, mimo że siedziałem. Nie pojmowałem, jak Elaine w ogóle może sugerować coś takiego.

– Chwila moment – wtrącił Barry. – Biedny chłopak dopiero skończył trzy kółka, a ty już chcesz go żenić?

Kiedy od nich wyszedłem, byłem tak wypompowany, że nie miałem pojęcia, jak dowlokę się do domu. Oczy mnie piekły tylko dlatego, że musiałem nimi patrzeć, drapało mnie i szczypało w gardle. Wsiadłszy z metra, mimo że było ciepło, dostałem dreszczy, a idąc do domu, cały zlałem się potem. Zamknąłem za sobą drzwi, zrzuciłem ubranie, wpełzłem do łóżka i od razu zapadłem w ciężki sen, w którym V odwiedziła mnie pod tyloma różnymi postaciami, że nie mogłem się w nich połapać. W nocy obudziły mnie odgłosy parzących się lisów i ludzki śmiech. W pewnej chwili wyciągnąłem przed siebie rękę i na drugim końcu łóżka natrafiłem na solidny kształt V. Przyciągnąłem ją do siebie, ale wtedy odkryłem, że to poduszka, i ze złością skopałem ją na ziemię.

Chociaż V śniła mi się całą noc, zapamiętałem tylko jeden obraz – jak stoi w drzwiach nowego domu i wyciąga ku mnie orła. Zerwany z szyi łańcuszek zwisa jej żałośnie z ręki. „Uważaj – powiedziałam jej – bo go zgubisz”. „I co z tego? – odpowiedziała. – Przecież i tak nie przyjdiesz?”.

Rano, gdy zadzwonił budzik, nie było mi ani trochę lepiej. Ba, nawet gorzej, bo teraz dodatkowo rozchorowałem się i na żołądek. Zadzwoniłem do pracy i przekazałem, że jestem chory, czego jak sięgam pamięcią, jeszcze nigdy nie zrobiłem. Większą część poniedziałku przespałem, a moje sny można przyrównać do wzburzonego morza. Pod wieczór już wiedziałem, że najgorsze minęło. Nie ruszając się z łóżka, zamówiłem sobie przez internet coś do jedzenia – rosół z dobrym makaronem. Cena wskazywała, że musi być pyszny i świeży. Oparty o poduszki, jadłem go powoli, słuchając wiadomości w radiu. Poczułem się lepiej.

Ale myśli jak zwykle czyhały na mnie w mrocznym kącie. Czekały na chwilę, gdy dam się zwieść złudnemu poczuciu bezpieczeństwa.

Ich ulubioną torturą jest ciągle przypominanie mi o samotności. Że nie ma przy mnie nikogo, kto by mi podał rosół, dotknął czoła, by sprawdzić, czy jestem rozpalony, i zainteresował się moją gorączką. Leżałem osłabiony w łóżku, a one nie wiadomo skąd wydobyły wspomnienie, w którym stoję za jakimiś prętami, chyba łóżeczka, z pieluchą tak ciężką, że skóra mnie szczypie od moczu, gardło boli mnie od krzyczenia i mam lodowate ręce. Nie wiem, co dalej, bo zakończenie jest zamazane. Nie wiem nawet, czy to pojedyncza scena wyciągnięta z pamięci, czy taka, która powtarzała się stale.

Zawsze wolałem te bardziej konkretne wspomnienia. Łatwiej się uczeplić twardych faktów, jak choćby to, że na lekcjach tak mi burczało w brzuchu, że chłopcy bulgotali do mnie na placu zabaw. Albo że spodnie mi ciągle opadały, bo nie miały się na czym trzymać, i musiałem stanąć przed tablicą i powiedzieć na głos, że nie mamy w domu guzików. Zawsze, gdy była wycieczka, udawałem, że jestem chory, bo trzeba było przynieść drugie śniadanie, nikt mnie nigdy nie zaprosił na urodziny, jak chciałem przestać płakać, plułem sobie na nogi. Zimno potrafi przenikać do szpiku kości. I świetnie, naprawdę świetnie kłamałem, by wyjaśnić, skąd mam tyle siniaków i dlaczego jestem taki podrapany.

Ostatnie chwile spędzone z matką wyglądały tak, że leżała na kanapie u nas w mieszkaniu, już bezwładna, bełkocząca. Poprzedniego dnia znów byłem u pani Highland, która mi przypomniała, że nie mam obowiązku chronić kogoś, kto nie chroni mnie. Skinąłem głową, uśmiechnąłem się i założyłem, że wszystko będzie jak zawsze. Ale coś musiało się zmienić, bo kiedy tego wieczora rozległo się znajome pukanie do drzwi, to ich wpuściłem. Nie padłem plackiem na podłogę, żeby mnie nie zobaczyli przez szparę na listy, tak jak mnie uczyła mama. Nawet nie próbowałem jej budzić ani niczego zmyślać. Po prostu otworzyłem drzwi i pozwoliłem im przejść przez duży pokój obstawiony zapleśniałymi talerzami i popielniczkami, z których wysypywały się pety. Pozwoliłem, by poczuli smród w łazience i musieli hamować wymioty, i by szeroko otworzyli oczy na widok stosu puszek po piwie i butelek w kuchni. Potwierdziłem, że nazywam się tak a tak, i dałem się wyprowadzić do samochodu. Dopiero wtedy, w drodze do pogotowia opiekuńczego, zorientowałem się, że zapomniałem spytać, co będzie z mamą. No, ale wtedy było już za późno.

We wtorek zostałem w łóżku. Znowu zamówiłem sobie jedzenie, a wstawałem tylko po to, żeby robić herbatę. Na dworze było pięknie, słońce świeciło, niebo było błękitne, bezchmurne. Pomyślałem, że nie ma lepszej pory roku na ślub niż babie lato. Pod koniec dnia poczułem się na tyle dobrze, by wziąć prysznic, a potem włożyłem szorty i posiedziałem pół godzinki w ogrodzie, na słońcu. Jutro będę musiał wrócić do poważnego treningu, żeby w sobotę wyglądać jak najlepiej.

Następnego dnia obudziłem się z mglistym poczuciem, że o czymś zapomniałem, ale dopiero podczas porannego biegania uświadomiłem sobie o czym. Nie kupiłem V prezentu ślubnego. Myśl ta tak mnie poraziła, że musiałem się zatrzymać i pochylić, udając, że złapał mnie nagły skurcz. Nie wierzyłem, że dopuściłem się takiego zaniedbania. Skoro nie jestem w stanie nie dopuścić do tego ślubu, to prezent będzie miał szczególne znaczenie. To był mój następny krok w aktualnym rozdaniu naszej gry. Byłem pewien, że V otworzy ten prezent jako pierwszy.

Przez cały dzień nie myślałem o niczym innym. Nawet kiedy prezes zajrzał do mnie z pytaniem, czy mi lepiej, nie poświęciłem mu większej uwagi. Okazałem nawet pewne lekceważenie na wieść, że szykuje się nowy projekt, który powinien mnie zainteresować, więc gdy zamykał drzwi, na jego twarzy malowało się niezrozumienie.

Tuż przed wyjazdem do Stanów zostałem zaproszony na ślub dawnego kumpla ze studiów. Na zaproszeniu, pod głównym tekstem, było napisane: „Za prezenty dziękujemy, najbardziej ucieszy nas Wasza obecność”. Na ten widok V udała odruch wymiotny. „Co za bzdura – powiedziała – przecież każdy lubi prezenty”.

Przypomniało mi się to następnego dnia rano, w czasie przerwy na lunch, poszedłem więc do księgarni z rzadkimi książkami, którą wyszukałem sobie w sieci. Niewiele było tam książek z rodzaju, jakiego szukałem, powiedział mi przez telefon właściciel, ale tę oczywiście miał. Jej wyjątkowość, jak ostrzegł, przekładała się na cenę, okazało się więc, że książka kosztuje więcej niż koszmarnie drogie tomy wypełniające zatęchłe, zagracone wnętrza, ale niczego innego się nie spodziewałem. Czekając, aż sprzedawca ją przyniesie, wdychałem kurz stuleci i przesuwałem palcami po zniszczonych grzbietach ze spękanej, pokruszonej skóry.

Pozytywnie zaskoczył mnie rozmiar publikacji, którą księgarz położył na drewnianym stoliku w tylnej części sklepu, a kiedy przewrócił pierwszą kartkę, wiedziałem już, że ją kupię. Stronice, wypełnione wspaniałymi,

szczegółowymi rycinami orłów, oddzielały przekładki z delikatnej białej bibuły. Ryciny były na tyle dobrej jakości, że nadawały się do wycięcia i oprawienia. Taki los, jak powiedział sprzedawca, spotykał wiele tego rodzaju książek. Dodał, że miałem szczęście, że trafiłem na jego sklep, bo jako jedyny w Londynie oferuje coś równie niepowtarzalnego. Ja jednak prawie nie słuchałem – z podziwem przyglądałem się leżącemu przede mną bogactwu, złotu i błękitom, wymyślnym szczegółom, zdumiewającym scenom. Sprzedawca powiedział, że może ją oddać za trzy i pół tysiąca funtów, a ja się nie targowałem, bo za tak idealny prezent zapłaciłbym dwa, a nawet trzy razy tyle.

Zaniósłem książkę w inne miejsce, też znalezione w sieci, które zajmowało się profesjonalnym pakowaniem prezentów. Zostawiłem ją tam na noc i odebrałem następnego dnia w czasie lunchu. Stamtąd wysłałem ją kurierem do Steeple House. Mogłem oczywiście to wszystko zrobić w pracy, ale nie zniósłbym pytań, na które musiałbym całe popołudnie odpowiadać. Nie chciałem też przywozić prezentu osobiście, a co ważniejsze – miałem nadzieję, że V otworzy go jeszcze przed ślubem. Miałem nadzieję, że zrozumie przekaz.

\*

V kiedyś powiedziała, że totalnie nie umiem czytać znaków, i pewnie miała rację. Leżeliśmy na trawie niedaleko jej domu w Sussex, było lato, straszny upał – dzień z rodzaju tych, które, zdaje się, istnieją tylko w wyobraźni. Urządziliśmy sobie piknik na pobliskiej łące i V rozłożyła koc w półcieniu pod drzewem. Najedliśmy się, wypiliśmy butelkę wina, a teraz leżałem na wznak, V opierała głowę na mojej piersi, a ja lekko obejmowałem jej plecy. Czułem, jak jej głowa unosi się i opada przy każdym moim oddechu, i pamiętam, jak sobie myślałem, że tak wygląda błogość. Wiedziałem też, że odczuwam ją po raz pierwszy w życiu. Oczywiście przy Elaine i Barrym też byłem szczęśliwy, bezpieczny, a nawet – kochany, ale to uczucie, które teraz krążyło mi w żyłach, docierało do samych koniuszków palców i czubka głowy, do każdego mięśnia – to było coś nowego. A jednocześnie – cudownego. Działo jak narkotyk i już się od niego uzależniłem.

– Patrz, łabędź – powiedziała V, wskazując w górę.

Spojrzałem w niebo, ale nic nie było.

– Co? To one potrafią latać?

– Nie, nie prawdziwy. Z chmury. – Zaśmiała się.

– Co?

– Nigdy się w to nie bawiłeś w dzieciństwie? No, wiesz, w rozpoznawanie kształtów chmur?

– Nie. W ogóle w nic się nie bawiłem.

V oparła się na łokciu. Patrzyła na mnie, a jej włosy muskały mnie w policzek.

– Przepraszam, Mikey. Nie pomyślałam.

– Nieważne. – Wyciągnąłem rękę i nawinałem sobie na palec pasmo jej włosów. – Już nieważne.

– Bardzo było strasznie?

Zastanawiałem się, co mógłbym powiedzieć o swoim dzieciństwie, ale przychodziły mi do głowy tylko dwie rzeczy: kolor szary i dotyk zimnego betonu. Wtedy minęły dopiero trzy lata od dnia, kiedy ostatnio widziałem matkę, ale już zamazała mi się w pamięci, a jej wspomnienie wywoływało bardziej uczucia niż konkretne obrazy. Nie potrafiłem sobie przypomnieć nic, co wydawałoby się rzeczywiste.

– Nie wszystko było straszne – zacząłem, ale źle to zabrzmiało. – Na przykład Elaine i Barry byli super.

– No wiem – odparła V. – Ale chodzi mi o twoją mamę. Jaka ona była?

Znaliśmy się wtedy z V jakieś pół roku, przedtem z nikim nie rozmawiałem o matce. Ale jeśli chodzi o V, to zawsze miałem wrażenie, że żadne słowa czy czyny nie wyczerpują tematu – że zawsze da się powiedzieć, zrobić lub dowiedzieć więcej. Gdybym potrafił wywrócić się na lewą stronę, żeby jej pokazać, co mam w środku, chętnie bym to zrobił.

– Była bardzo smutna – powiedziałem w końcu i zabrzmiało to prawdziwie.

– W jakim sensie?

– W każdym. – Mocniej pociągnąłem włosy V na palcu i zdałem sobie sprawę, jak łatwo byłoby je wyrwać. – Myślę, że piła, żeby nie myśleć o życiu. – Przez tę rozmowę coraz dziwniej się czułem, jakbym o czymś zapominał.

– A tata?

– Nie mam taty.

– Każdy ma – oświadczyła V, wbijając we mnie spojrzenie.

– Nie, na moim świadectwie urodzenia to miejsce jest puste. Matka mówiła, że to mógł być jeden z paru. Z żadnym nie utrzymywała kontaktu.



– Te słowa po wyjściu z głębi mnie, gdzie tak długo się kryły, zabrzmiały jak coś nierzeczywistego. Prawie chciałem je złapać, jak motyle, i z powrotem uwięzić. Nie byłem w stanie spojrzeć V w oczy – na wypadek, gdyby znienawidziła mnie za to, czego się właśnie dowiedziała.

Ale ona się pochyliła i delikatnie pocałowała mnie w kącik ust.

– Och, biedaku – powiedziała tak czule, że można było się rozrzewnić. Potem znowu oparła głowę na mojej piersi i przez parę minut oddychaliśmy razem. – Łabędź nadal tam jest.

Podniosłem wzrok ku niebu, ale zobaczyłem tylko delikatnie obłoczki na kobaltowym tle.

– A ja nadal go nie widzę.

Zaśmiała się.

– Nie jesteś za dobry w odkrywaniu znaczeń, co?

Przyciągnąłem ją do siebie.

– Kocham cię – powiedziałem. Potrzeba, by to wypowiedzieć, była tak silna, że czułem, że jeśli tego nie zrobię, słowa same ze mnie wystrzelą.

Ona przez chwilę milczała, ale potem powiedziała:

– Ja ciebie też.

Nie umiem powiedzieć, czemu V tak bardzo mnie kochała. Przez pierwszy rok naszego związku cały czas się bałem, że pewnego dnia się ocknie i odkryje, jaki straszny popełniła błąd, lub zobaczy we mnie wadliwy towar, za jaki sam się zawsze uważałem. Tak się jednak nie stało. Zrozumiałem, że kocha mnie mimo tego, kim jestem. Nigdy nie brałem pod uwagę, że coś takiego w ogóle może nastąpić. Czasem nawet pozwalałem sobie myśleć, że mnie kocha ze względu na to, że jestem tym, kim jestem, ale nigdy poważnie się z tym nie liczyłem.

Kiedy na drugim roku podeszła do mnie na imprezie, na którą w ogóle nie miałem chęci iść, myślałem, że to żart. Że weźmie ogień i sobie pójdzie, ale ona oparła się o ścianę i spytała, jak mam na imię, co czytam, skąd jestem i tak dalej, zadała mi mnóstwo normalnych pytań. Byłem tak zdumiony, że sam o nic jej nie spytałem, co uświadomiłem sobie, dopiero gdy dużo później wróciłem do pokoju. Usiadłem wtedy przy biurku i sporządziłem listę rzeczy, których chciałbym się o niej dowiedzieć – wszystkich rzeczy, o które spytam następnym razem, jeżeli numer, który mi dała, okaże się prawdziwy. Dumałem też nad tym, że w ogóle – w wyniku

paru zbiegów okoliczności – znalazłem się na tej imprezie. Wtedy po raz pierwszy zaświtała mi w głowie myśl, że los chciał, abyśmy się spotkali.

Jest taki francuski film, nazywa się *Czerwony rower* czy coś podobnego, dokładnie nie pamiętam. Widziałem go dawno temu późnym wieczorem na BBC2 i byłem pod takim wrażeniem, że zapomniałem się zastanowić nad jego tytułem, a po paru tygodniach nie potrafiłem już znaleźć żadnego związku między nim a treścią – do tego stopnia, że czasem się zastanawiam, czy tylko mi się przyśnił, czy naprawdę go oglądałem.

W filmie jest chłopak, który pracuje w sklepie, i dziewczyna, która codziennie mija ten sklep na czerwonym rowerze. Setki razy prawie się spotykają, ich ścieżki ciągle się przecinają, ale nigdy ze sobą nie łączą. Wraz z rozwojem akcji nabierasz coraz większego przekonania, że oni powinni się spotkać, że to niezbędne dla ludzkości, że nastąpi wtedy coś magicznego. Ale oni mimo to się nie spotykają. Potem któregoś dnia razem wsiadają na prom. Siedzą koło siebie, ale nadal się nie widzą. Nawet kiedy nadchodzi burza i nadciąga nieunikniona katastrofa, statek zaczyna tonąć, kiedy ludzie tracą nadzieję, ci dwoje nadal nie zwracają na siebie uwagi. Prom tonie, pasażerowie giną, znikają, odchodzą, a tamci nadal samotnie próbują utrzymać się przy życiu. Potem kamera odjeżdża, a my dalej oglądamy katastrofę jako temat telewizyjnych wiadomości. Reporter mówi, że to najgorsza katastrofa morska na francuskich wodach od czasów wojny, że prawdopodobnie uratowały się tylko dwie osoby. Widzimy nieostre ujęcie, jak ekipa ratunkowa pomaga dwóm osobom przedostać się z odwróconego kadłuba promu na łódź ratunkową. Ocaleli tylko oni, tych dwoje. Spoglądają na siebie i od razu wiadomo, że nic więcej im nie trzeba – wystarczy jedno spojrzenie.

A to znaczy, że czasem dwie osoby tak bardzo potrzebują się nawzajem, że aby w końcu mogły się spotkać, trzeba poświęcić innych ludzi.

\*

W dniu ślubu V pogoda była cudna. Błękit, słońce, ciepło, nie za gorąco i nie za zimno. Wyjście na zewnątrz sprawiało wielką przyjemność, a w powietrzu unosił się nastrój oczekiwania – rośliny rosły, a kwiaty kwitły w sposób niemal namacalny. Kupiłem sobie na tę okazję nowy garnitur – beżowy lniany, i włożyłem do niego białą koszulę i brązowy krawat. Wybierałem z uwagą, z jednej strony nie chciałem się wyróżniać, a z

drugiej – pragnąłem zaprezentować figurę w jak najlepszej oprawie. Zafundowałem też sobie nowe spinki do mankietów – dwie stare, srebrne monety, wykorzystane w nieoczywistym celu. Szczerze mówiąc, kupiłem dwie pary, bo po prostu nie byłem w stanie się oprzeć parze starych, grawerowanych spinek leżących na wystawie w Burlington Arcade. Miały subtelną, płynną linię i z całą pewnością układały się w literę V. Zastanawiałem się, czy ich nie włożyć, ale uznałem, że nie, bo to były spinki, które nadawały się na nasz ślub.

Wyszedłem z domu równo o jedenastej, choć uroczystość miała się odbyć w Sussex o trzeciej. Nie chciałem ryzykować, że się spóźnię. Co zabawne, byłem w dobrym nastroju.

Wiedziałem, że to nie dzieje się naprawdę, że to tylko element naszej gry, i trwałem w postanowieniu, że będę się dobrze bawić. No a poza tym od czasu choroby nie odwiedzałem V ani w domu, ani w pracy i bardzo pragnąłem ją zobaczyć.

Kiedy szedłem do furtki, drzwi Lottie otworzyły się i wyszła z nich Kaitlyn.

– O, cześć! – zakrzyknęła.

Kaitlyn stała się jakoś dziwnie obecna w moim życiu i trochę wyprowadzało mnie to z równowagi. Przyszło mi do głowy, że musiała obserwować mój dom z okna sąsiadki i specjalnie wyjść dokładnie w tej samej chwili co ja.

– Pa! – Pomachała do Lottie, która zamknęła drzwi.

Spotkaliśmy się na chodniku i dalej ruszyliśmy razem.

– Co tu robisz? – spytałem.

– Właśnie wróciłyśmy z ABT.

Domyśliłem się, że chodzi o jakiś rodzaj fitnessu, bo miała na sobie obcisły strój do ćwiczeń.

– O, nie wiedziałem, że tak się przyjaźnicie z Lottie.

– No, przyjaźnimy – zaśmiała się. Przeszliśmy kawałek. – Bardzo wytwornie wyglądasz, dokąd się wybierasz? – spytała.

– Na ślub.

– Bez Verity? – Zdawało mi się, że w jej głosie słyszę rozbawienie, i miałem ochotę ją walnąć.

– Pojechała już wcześniej. To ślub jej siostry. U ich rodziców, w Sussex.

– O, fajnie.

– No. Niesamowite miejsce. W ogrodzie mają starą kaplicę i właśnie tam będzie uroczystość. Kaplica jest z czasów normańskich i podobno z domu prowadzi do niej podziemny tunel.

– Aha. – Doszliśmy do głównej ulicy i Kaitlyn skręcała w drugą stronę. – To dobrej zabawy. Do zobaczenia w poniedziałek.

Szedłem w stronę metra i robiło mi się coraz bardziej gorąco. Po diabła nagadałem jej takich rzeczy? Teraz, jak V się do mnie przeprowadzi, będę musiał zmienić pracę, a może nawet dom. Bo Kaitlyn na pewno ciągle będzie wyskakiwać nie wiadomo skąd i wkurzać V pytaniami o siostrę i ślub.

Odwróciłem się i spojrzałem w ślad za Kaitlyn, która akurat przechodziła przez ulicę. Prawie zapragnąłem, żeby zza pagórka nagle wyjechał autobus i wciągnął ją pod koła.

Jazda pociągiem nieco mnie uspokoiła, zwłaszcza gdy wydostaliśmy się za miasto i sunęliśmy przez kwintesencję angielskiego krajobrazu. To wszystko nie nastąpi tak od razu, czyli zdążę sobie załatwić nową pracę, zanim V się wprowadzi. Nie sposób przecież wyjść za mąż i natychmiast się rozwieść, a nawet jeśli, to i tak trochę to potrwa. Rozluźniłem się. Gapiłem się w okno, krajobraz zamazywał mi się przed oczami i stapał w jedno, aż w końcu widziałem tylko płynnie przesuwaną się, łagodną zieleń.

Nadal dokładnie nie wiedziałem, o co chodziło V, i nie dawało mi to spokoju. Zawsze znałem swoją rolę w Pragnę, graliśmy według wcześniej ustalonych zasad. Rozumiałem, że po incydencie w Stanach V zmieniła te zasady, a to, że mi ich nie ujawnia, jest rodzajem kary. Pocieszałem się, że przynajmniej znam cel lub koniec zabawy. Że zdążamy ku nieuniknionemu byciu razem, tylko nie miałem jasności, czego się ode mnie oczekuje. Mogłem być pewien jednego – że będzie to duże zadanie, coś, co w sposób niepodważalny i niezaprzeczalny udowodni moją miłość do V.

Na miejsce przybyłem prawie dwie godziny przed czasem, postanowiłem więc przed wyruszeniem do kaplicy posiedzieć w wiejskim pubie, który tak dobrze znałem. Zamówiłem piwo i wyszedłem z gazetą na zewnątrz, choć wiedziałem, że i tak nie przeczytam ani słowa. Siedziała tam już grupka elegancko ubranych ludzi, gwar ich głosów unosił się w ciepłym powietrzu. „Znajomi Angusa”, pomyślałem, patrząc na ich jasne stroje i swobodne fryzury.

Przez następną godzinę do pubu ściągnęło więcej osób, z pewnością gości ślubnych. Wiele z nich witało się i całowało, niektóre kobiety tak przy tym piszczwały, że aż się zastanawiałem, jak to możliwe, że zostały zaproszone przez V. Byłem wtedy przy drugim piwie, a kiedy je skończyłem, przypomniałem sobie, że od śniadania nic nie jadłem. Zerknąłem na zegarek – była druga piętnaście, wstałem więc, by wyruszyć do kaplicy. Wiedziałem, że droga zajmie mi z pięć minut. Ale kiedy wstałem, od jednej z grupek odłączyła się jakaś kobieta i z szerokim uśmiechem na twarzy zaczęła się do mnie zbliżać. Skądś ją znałem, ale dopiero gdy znalazła się tuż obok, przypomniałem sobie skąd. To była koleżanka V ze studiów.

– Mike – powiedziała. – Jak miło cię widzieć.

Pocałowaliśmy się w oba policzki, idiotycznie, tak jak się to dzisiaj robi, w wyniku czego kapelusz omal nie spadł jej z głowy.

– Witaj – odparłem, bo nie pamiętałem, jak ma na imię, choć w tamtych latach spędziliśmy w swoim towarzystwie sporo czasu. Była nawet u nas na kolacji z chłopakiem, którego imienia też nie pamiętałem.

– Dobrze wyglądasz – powiedziała. – Jak było w Stanach?

– Rewelacja.

– Dawno wróciłeś?

– Parę miesięcy temu. – Przystąpiłem z nogi na nogę, bo nadal szukałem w głowie jej imienia.

– Chodź, pokażę cię Jamesowi, też będzie chciał się przywitać.

Pozwoliłem się poprowadzić do stojącej w pobliżu grupki, gdzie facet, w którym rozpoznałem Jamesa, ucisnął mi dłoń. Jego towarzysze patrzyli na mnie z wyczekiwaniem.

– Pamiętasz Bena i Siobhan, prawda? – spytał James. – Czekał, na jakim ty byłeś kierunku?

– Na ekonomii. – Uśmiechnąłem się do nieznajomych.

– A, no tak – odparł James. – A my wszyscy na anglistyce.

„Louise!”. W końcu sobie przypomniałem.

– Opowiadaj, Mike, co tam teraz u ciebie – ciągnął James.

– Pracuję w City. A co u was?

– O, wszyscy rozsiani po mediach, w najrozmaitszych rolach – zaśmiał się, choć wiedziałem, że tak naprawdę jest z tego zadowolony.

– Świetnie, że przyszedłeś – stwierdziła Louise. – Zawsze uważałam, że to super, kiedy ludzie, nawet po trudnych rozstaniach, zostają przyjaciółmi.

Spojrzałem na nią, nie do końca pewien, o co jej chodzi.

– Poznałeś Angusa? – chciał wiedzieć James.

– Nie, jeszcze nie – odparłem.

– Ekstragościu. Wielkanoc spędziliśmy razem w Dorset, była przednia zabawa.

Patrzyłem na ich uśmiechy i zastanawiałem się, o co tu chodzi. Przyszło mi nawet do głowy, że V też to wszystko ustawiła. Nie byłem jednak w stanie trzeźwo myśleć, bo mój umysł zaatakowała nagła myśl o Dorset i o tym, co się tam działo. Że V przebywała gdziekolwiek indziej niż w domu w Kensington, w pracy lub w Steeple House u rodziców. Poczułem się słabo i niepewnie.

– Chyba trzeba się zbierać – powiedziałem, znów zerkając na zegarek.

– Nie, mamy jeszcze mnóstwo czasu – odparł James. – Panny młode zawsze się spóźniają. Ja musiałem czekać na Louise dwadzieścia minut. Już byłem pewien, że się rozmyśliła.

Wszyscy prócz mnie się zaśmiali.

– Nie no, zostało już tylko dwadzieścia pięć minut. Ja się zbieram.

Zaczekałem parę sekund, ale nikt się nie ruszył, więc odwróciłem się i odszedłem.

– Do zobaczenia! – zawołała za mną Louise.

Na miejscu okazało się, że w kaplicy jest już sporo ludzi, co oznaczało, że James się mylił, a ja miałem rację. Powiedziałem chłopcu przy drzwiach, że jestem gościem panny młodej, a on wskazał mi miejsce po lewej stronie. Usiadłem mniej więcej w piątym rzędzie od tyłu, ale tuż przy przejściu, tak by V mnie widziała, kiedy będzie szła nawą. Angus stał z przodu i gadał z jakimś rudzielcem o bujnej czuprynie. Wyglądał inaczej, niż zapamiętałem – wydawał się teraz niższy niż wtedy, gdy widziałem, jak wysiadał z taksówki. I może nieco szczuplejszy. Raczej nie postarał się zrobić porządku z włosami, które wydawały się za długie, a jego policzki pokrywał ciemny cień zarostu, co wzięwszy pod uwagę, że był to dzień jego ślubu, nadawało mu nieco absurdalny wygląd. Potarł dłonią brodę i – choć się uśmiechał – nerwowo rozejrzał się wokoło.

Pomyślałem, że nie jest pewien, czy V się pojawi. Całkiem możliwe, że tuż przed ślubem potężnie się pokłócili i dopiero wtedy V zdała sobie sprawę, co w ogóle robi. Może nawet chciała, żebym jakoś zatrzymał bieg wydarzeń. Może, gdy ksiądz zapyta, czy ktoś z obecnych zna jakieś przeszkody stojące na drodze do zawarcia tego małżeństwa, powinienem

się zgłosić. Przez chwilę siedziałem bez ruchu i zastanawiałem się, czy to zrobić, ale w końcu doszedłem do wniosku, że nie – niemożliwe, żeby tego ode mnie oczekiwała. V nienawidziła publicznych scen – nie dopuściłaby więc do takiego skandalu przed rodziną i przyjaciółmi. Nie, sprowadziła mnie tu jedynie jako świadka, zatem miałem zniszczyć jej małżeństwo w znacznie bardziej subtelny sposób.

Kiedy podniosłem wzrok, kaplica była już wypełniona po brzegi, ludzie stali za ławkami, a facet obok napierał na mnie udem. Usłyszałem stukot obcasów na kamiennej posadzce – to weszła Suzi. Była rozpromieniona, na jej twarzy malowało się szczęście absolutne, trochę nierzeczywiste pod rondem wielkiego bladeżółtego kapelusza, niezbyt korzystnego przy jej karnacji. Sukienkę miała w tym samym odcieniu, a kiedy patrzyłem, jak sunie nawą, skojarzyła mi się z wielką bryłą sera. Przechodząc, przelotnie na mnie zerknęła, jej uśmiech na moment zgasł, ale od razu zabłysnął jeszcze jaśniej. Ona też – pojąłem – chce, abym był świadkiem tego wydarzenia.

Rozbrzmiała muzyka, gwar w kaplicy ustał. Wyczułem już V w drzwiach – jakby napiął się łączący nas drut. Wszyscy wstali, a po wniebowziętej minie Angusa poznałem, że V zaczęła już powoli iść w stronę ołtarza. Nie poruszałem się, wiedziałem, że wystarczy obrócić głowę, by zobaczyć ją ubraną mniej więcej tak, jak będzie wyglądać w dniu naszego ślubu, bo najlepszą sukienkę zachowa oczywiście dla mnie.

Goście z ławek po drugiej stronie nawy promienieli, podnosiły się pojedyncze okrzyki, więc nie było na co czekać. Też się odwróciłem – dokładnie w tej samej chwili, kiedy V znalazła się na wysokości naszej ławki. Zerknęła na mnie, nasze oczy na chwilę się spotkały, ale natychmiast odwróciła wzrok. Widziałem, że odczuła wstrząs. Zdawałem sobie sprawę, ile ją kosztowało, by narazić mnie na coś takiego. Chciałem jakoś dać jej znać, że mam się dobrze i rozumiem.

Sukienkę miała z bardzo starej koronki, udrapowanej na dopasowanym, połyskliwym spodzie, który spływał po jej figurze jak woda. Błyszczała hipnotyzująco przy każdym ruchu, odsłaniając, a jednocześnie skrywając swoje perfekcyjne ciało. Głębokie wycięcie na plecach ukazywało kręgosłup i otaczające go mięśnie. Widok lekko opalonej skóry V przypomniiał mi wszystkie te razy, gdy trzymałem ją w ramionach. Jej luźno skręcone, swobodnie spływające loki przytrzymywały drobne białe

kwiatki. V zwyczajnie promieniała – a gdy przechodziła obok, serce rwało mi się do niej, szarpało i szlochało w piersi.

Krew tak dudniła mi w głowie, że prawie nie słyszałem nabożeństwa. Wstawałem, siadałem, robiłem, co trzeba, śpiewałem psalmy, choć nie mam pojęcia jakie. Słuchałem, jak przyjaciółka V, Alice, i brat Angusa czytają z ksiąg fragmenty o miłości, których nie znałem. I próbowałem nie patrzeć na V ani na Angusa, stojących ramie przy ramieniu, na przelotne uśmiechy, jakie wymieniali, a także zignorować nutkę radości w jego głosie, gdy powiedział „Tak”.

Zrobiło mi się duszno i zacząłem gorzej widzieć, zupełnie jakbym tracił wzrok czy coś takiego. W małej kaplicy było potwornie gorąco, miałem wrażenie, że dla wszystkich zgromadzonych nie starczy powietrza. W końcu V z Angusem poszli podpisać się w księdze, a siedzący koło mnie goście zaczęli cicho rozmawiać. Zwinąłem w rulon kartę z programem uroczystości i mocno ją ścisnąłem. Wtedy pierwszy raz – być może w ogóle pierwszy raz w życiu – poczułem, jak narasta we mnie złość na V. To, co wymyśliła, było cholernie głupie, zdecydowanie niepotrzebne. Zawarła wiążącą umowę, wypłatanie się z tego zobowiązania będzie kosztowało dużo czasu i zachodu, a ja nadal nie miałem jasnego obrazu, czego właściwie ode mnie oczekuje. Spojrzałem na jej czoło – siedziała na krześle, przed chwilą zwolnionym przez Angusa, i pewnym ruchem składała podpis pod dokumentem. Cały czas się zastanawiałem, co się dzieje pod jej skórą, w głębi czaszki.

Gdybym stał bliżej, może nawet chwyciłbym z ołtarza ciężki, złoty krzyż i spuścił go na jej głowę, by zanurzyć się w czerwonej mazi jej mózgu i spróbować zrozumieć, co sobie właściwie myśli.

Wyszedszy na słońce i stanąwszy z boku, poczułem ulgę. Wszyscy krzyczeli, wiwatowali i wyrzucali w górę konfetti, które spadało na ziemię jak różnobarwny kwaśny deszcz. Wokół rozbrzmiewały ożywione rozmowy, hałasy, dzieci biegały dookoła nagrobków. Ale ja czułem się słaby i zmęczony, a narastający ból między łopatkami przypominał o morderczej porannej przebieżce.

Jakaś kobieta rozstawiła przed wejściem do kaplicy statyw, potem po kolei wzywała ludzi, a oni pozowali do zdjęcia, aż w końcu zostali tylko V i Angus. On przyciągnął ją do siebie, objął w talii, a ona podniosła ku niemu twarz i się pocałowali – powoli, tak jak wtedy w kuchni, kiedy się zakradłem i podglądałem ich z cienia. Przygotowałem się do akcji,



czekałem, aż V podniesie rękę i chwyci za orła, ale gdy tylko to pomyślałem, uświadomiłem sobie, że nie ma na sobie żadnej biżuterii, nic. Tylko małe perełki w uszach. Oddech mi przyspieszył, próbowałem rozpracować ten nowy znak, ale w głowie miałem pustkę.

Ruszyliśmy ścieżką prowadzącą na teren Steeple House i przez bramę weszliśmy do ogrodu cudownie przekształconego w krainę czarów. Na trawniku stał ogromny biały pawilon, ozdobiony kwiatami i girlandami, a w nim – wiele okrągłych stołów, na których połyskiwało i migotało szkło. Powitał nas długi bufet zastawiony butelkami szampana i kieliszkami, w których cicho syczał musujący trunek. Kiedy wszedłem, podano mi jeden kieliszek i od razu wszystko wysączyłem, choć w głowie już miałem watę, a w żołądku – pustkę.

Pustka to dla mnie taki znajomy, a zarazem przerażający stan, głęboko wypalony w mojej pamięci psychicznej i przenoszący mnie z powrotem w czasy, kiedy sam nie byłem w stanie się nakarmić. Kiedy nie miałem pieniędzy, by sobie kupić choćby kawałek chleba. Kiedy zawsze byłem sam, chociaż miałem matkę. W czasy, kiedy nie potrafiłem sprawić, by mnie kochano, i kiedy sam nie potrafiłem kochać. W czasy, gdy mi się zdawało, że nigdy nie zapełnię tej głębokiej, wszechogarniającej pustki w mojej duszy.

Na szczęście po pawilonie krążyło mnóstwo dziewczyn w czarno-białych strojach, z tacami pełnymi jedzenia. Co z tego, że były to przekąski na jeden kęs i wiedziałem, że nie mogę wziąć tyle, ile bym chciał. Oszczędłem na obrzeża imprezy, udając, że podziwiam grządki Suzi, a w głębi duszy miałem ochotę oberwać kwiatom wszystkie główki i zostawić je martwe lub umierające na skraju trawnika.

Goście podzielili się na grupki. Hałas, jaki robili, był o wiele za dotkliwy, za męczący. Okrążałem zebranych, szukając V, ale nigdzie jej nie widziałem. „Możliwe – gdybałem – że kończą z Angusem tę kłótnię gdzie indziej”. Albo ona się załamała i wszystko mu wyznała, może to, że zobaczyła mnie w kaplicy, przebrało miarę. Kiedy mijała mnie dziewczyna z tacą, wziąłem kolejny kieliszek szampana, mimo że bąbelki bombardowały ściany mojego pustego żołądka, wypychały próżnię do góry, ścisnęły serce i zatykały gardło.

Przed pawilonem utworzyła się kolejka, podszedłem więc i też w niej stanąłem, między ludźmi, którzy ciągle gadali, jakby naprawdę wszyscy mieli tyle do powiedzenia. Dopiero po dobrej minucie zdałem sobie

sprawę, że przy wejściu stoją V i Angus, uśmiechają się, ściskają gościom dłonie, całują ich w policzki, czasem coś wykrzykują i kogoś obejmują. Wytarłem wnętrza dłoni o spodnie, ale natychmiast znowu zwilgotniały. Byłem już piąty w kolejce, która ciągle posuwała się do przodu.

Niska, gruba kobieta, która stała przede mną, zamasyście ucałowała Angusa, po czym ujęła twarz V w obie dłonie i pocałowała ją w usta, jednocześnie głośno wychwalając jej urodę. Angus odwrócił się do mnie, wysoko na policzkach miał rumieniec, a na ustach – gotowy uśmiech. Wyciągnął rękę, mocno chwycił moją dłoń i nią potrząsnął.

– Dzień dobry, bardzo dziękujemy. Przepraszam, my się chyba nie znamy...

Z bliska widziałem, że ma zmarszczki i na pewno jest od nas starszy, a więc poprawnie szacowałem, że po czterdziestce.

Babsko nadal męczyło V, ale czułem, że już ją ciągnie do mnie.

– Mike – przedstawiłem się.

Angus szeroko otworzył oczy i zlustrował mnie szybkim spojrzeniem.

– A, Mike.

– Tak.

– Cześć, Mike – powiedziała już oswobodzona V.

Odwróciłem się do niej.

– Pięknie wyglądasz.

Oblała się rumieńcem. Podszedłem do niej, uwadze Angusa pozostawiając kolejnego gościa.

– Dzięki.

– Mój prezent doszedł?

Zaśmiała się lekko.

– Tak, doszedł. Jest przepiękny. Dziękujemy.

– I żadna ilustracja nie jest bez znaczenia – powiedziałem, nie odrywając oczu od jej twarzy.

Zerknęła na Angusa, ale on nie słyszał.

– Aha.

– Dokąd jedziecie w podróż poślubną?

Zawahała się przez chwilę.

– Do RPA.

Znowu odwróciła się do Angusa, a ja zdałem sobie sprawę, że Angus i kobieta, która przy nim stoi, skończyli rozmawiać. Niemal wyczuwało się napór kolejki, jakbym wszystkich wstrzymywał.

– Siedzisz chyba przy stoliku czternaście – powiedziała V, z powrotem przywołując uśmiech na twarz. – O, tam jest plan.

Podszedłem do tablicy z planem stołów, ale straciłem ostrość widzenia i bardzo długo trwało, zanim wypatrzyłem swoje nazwisko i stolik, który znajdował się w samym rogu, pod skosem dachu pawilonu. Podszedłem do niego jako ostatni, więc zostało mi miejsce między myszowatą kobietą a starszym panem.

Myszowata okazała się kuzynką Angusa, choć ostatni raz widziała go trzy lata temu, a starszy pan – przyjacielem rodziny V. Najpierw rozmawiałem z myszowatą, co było interesujące tylko z tego względu, że mogłem się dowiedzieć paru rzeczy o Angusie. Raczej za nim nie przepadała. Mówiła, że to „rodzinny gwiazdor”, więc nic dziwnego, że w końcu trafiła mu się taka fantastyczna babka, i czy nie sądzę, że będą mieć śliczne dzieci. Ta odrażająca myśl wywołała u mnie odruch wymiotny. Kobieta aż się paliła, żeby mi opowiedzieć, jaki jest bajecznie bogaty i jak wspaniale rozkręcił firmę, którą zbudował od zera, choć idę o zakład, że zero Angusa było znacznie przyjemniejsze niż moje. Potwierdziła też, że Angus jest od V starszy, konkretnie ma trzydzieści osiem lat, czyli okazał się nieco młodszy, niż szacowałem, co świadczyło o tym, że jednak widać po nim upływ czasu.

Pod koniec dania głównego skierowałem uwagę na starszego pana. Powiedział, że wie, kim jestem, choć ja wcześniej go nie znałem. Z jednej strony wydało mi się to dziwne, z drugiej – utwierdziło mnie w przekonaniu, że przez ostatnie lata mocno wpisałem się w życie ich rodziny. Powiedział, że był w wojsku, i spytał, czy rozważałem tę ścieżkę kariery. Bankowość to ślepa ulica, kryjówka przed rzeczywistością, zabawa cyferkami i nadawanie rangi sprawom, które naprawdę nie mają żadnego znaczenia. To właśnie dlatego, ciągnął, nasz kraj wpadł w tarapaty, a my nie jesteśmy w stanie zająć się tym, co naprawdę istotne.

Myślałem jednak tylko o tym, że V jedzie do RPA, i nie mogłem się skupić na słowach starszego pana. Oboje od dawna marzyliśmy o podróży na południe Afryki i myśl, że V zobaczy te miejsca beze mnie, u boku tego wstrętnego waśniaka, była prawie nie do zniesienia. Nie mogłem się powstrzymać i co chwila ukradkowo na niego spoglądałem. Siedział przy długim stole ustawionym pośrodku pawilonu, między V a Suzi. Trzymał rękę na oparciu krzesła V, ale mówił coś do Suzi, a ta się śmiała. V gadała ze starszym mężczyzną zajmującym miejsce po jej prawej stronie. To mógł

być tylko ojciec Angusa. Zastanawiałem się, co V sobie myśli, kiedy tak niego patrzy i psuje sobie niespodziankę, jaką przyniesie jej przyszłość w postaci prawdziwego ślubu.

I wtedy zdrętwiałem. Uderzyła mnie nagła myśl, że na naszym weselu miejsca przeznaczone dla rodziców pana młodego będą puste. Gorzej – w ogóle wszystkie miejsca dla moich gości będą puste. Żadni kuzyni nie zasiądą obok byłych sympatii. Nie zaproszę przyjaciół ani nawet znajomych. Nie wiem, czemu stanęła mi przed oczami wyblakła twarz Kaitlyn, być może jedynej osoby, którą miałbym powód zaprosić – oczywiście prócz Elaine i Barry’ego.

Odłożyłem nóż i widelec, jakby łośoś mnie pokonał, i pomyślałem, że chyba wstanę, przeproszę i wyjdę, gdy nagle mnie olśniło. Zrozumiałem, o co chodzi z tym małżeństwem – i to tak wyraźnie, jakby ktoś mi to pokazał czarno na białym. Otóż takiego małżeństwa pragnęła Suzi. Ta tradycyjna panna młoda, kochająca córka, dziewica w bieli – to nie była prawdziwa V. V stanowiła jej przeciwieństwo. V była mroczna, pierwotna i nieokiełznana. V pragnęła. Pragnęła mnie.

\*

Skłamałem, mówiąc, że w klubie przy Piccadilly Circus graliśmy po raz ostatni. Nie. Nasze ostatnie rozdanie miało miejsce w Stanach, pierwszego lata, które tam spędziłem. I nie było to zwyczajne rozdanie, choć teraz rozumiem, że to właśnie wtedy V odkryła, że można zmieniać zasady i czerpać z tego mnóstwo frajdy.

V przyjechała na dwa tygodnie. Polecieliśmy na południe, wypożyczyliśmy starego chevroleta i jeździliśmy nim po drogach, o których dotąd słyszeliśmy w piosenkach. Spaliśmy w banalnych motelach, które przywodziły na myśl plany horrorów, i jadaliśmy w tanich restauracjach, gdzie obsługiwały za stare i za smutne kelnerki. Pływaliśmy nago w rzekach i piliśmy piwo przy drodze, a potem spaliśmy w samochodzie.

– Mam chęć zagrać – powiedziała raz V.

Leżeliśmy w łóżku, w byle jakim motelu w Dakocie, za oknem świecił krzykliwy neon i rzucał blask na nasze nagie ciała. Motel stał na skraju jeszcze bardziej tandetnego miasteczka, którego mieszkańcy chodzili w kowbojkach i kapeluszach.

– Tu się nie da, zaraz byśmy dostali kulkę – powiedziałem i pocałowałem ją w czubek głowy.

– Myślałam o czymś trochę innym – odparła nieco stłumionym głosem, bo usta miała wtulone we mnie.

– Jakim innym?

Usiadła, podciągnęła kolana pod brodę i objęła je rękami, na plecach wystawał jej zarys kręgosłupa.

– Chcę się przespać z kobietą. Tylko raz. I żebyś ty przy tym był.

W pierwszej chwili nie wiedziałem, co powiedzieć. Z jednej strony gotów byłem zrobić wszystko, by ją zadowolić, a z drugiej – odrzucała mnie myśl, że ktoś mógłby się do niej zbliżyć.

Odwróciła się i zobaczyłem na jej twarzy pożądanie.

– To by nic nie znaczyło. Tylko seks. Po prostu chcę sprawdzić, jak to jest.

– Okej – zgodziłem się.

Jeżeli mam być zupełnie szczery, myśl ta wydała mi się całkiem przyjemna, ba, wręcz kusząca. Wiedziałem, że V uwielbia seks, że dajemy sobie rozkosz, więc jeżeli chciała spróbować czegoś innego, to nawet lepiej, że przy mnie.

Szybko się ubraliśmy. V, nieuczesana i z byle jak umalowanymi ustami, wyglądała jeszcze bardziej ponętnie. Oboje pewnie śmierdzieliśmy przed chwilą uprawianym seksem, ale żadne z nas nie użyło dezodorantu.

Bary były tu takie jak na filmach – ciemne i obskurne, z głośnym rockiem i stołami bilardowymi. Kiedy wchodziliśmy, ludzie przestawali rozmawiać i się na nas gapili. Większość sprawiała wrażenie, że piwo przenika im bezpośrednio przez pory. W środku śmierdziało wiejskim podwórzem, potem i spisanymi na straty marzeniami. Napiliśmy się czystej whisky na odwagę i po żyłach rozpląnęło nam się miłe ciepło.

Dziewczynę, o jaką nam chodziło, znaleźliśmy w trzecim barze. Siedziała sama, z boku, na wysokim stołku przy wysokim blacie zamocowanym na długim drewnianym słupie. Miała pasemka i rozmazany makijaż, bladą cerę i żółte zęby. Spod krótkiej spódniczki wystawały nogi o nierównej skórze pełnej dołeczek i popękanych naczynek. Nosiała dziecięcą, przynajmniej tak się zdawało, koszulkę z napisem „Często wpadam w kłopoty”.

Powiedziała, że za butelkę wódki robi, co chcemy.

Chwiejnie poszła z nami do motelu, co chwila potykając się o własne nogi – obie stopy stawiała palcami do środka. W ciemności, poza oświetlonym barem, wydawała się młodsza, a zaciągała się dymem tak wyzywająco, że nigdy czegoś podobnego nie widziałem. V wzięła ją pod rękę i szepnęła do niej coś, co ją rozbawiło. Zastanawiałem się, czy pożałuję tego, co się za chwilę stanie.

Rozebrała się od razu, gdy weszliśmy do pokoju – zanim nawet zdążyłem zaciągnąć zasłony – i stanęła przed nami w taniej, spranej, białej kiedyś bieliźnie. Ja, przymulony i dziwnie rozkojarzony, usiadłem na krześle. Nie wiedziałem, jaka jest moja rola w tej farsie. Za nic w świecie nie chciałem się zbliżyć do tej dziewczyny, nie czułem żadnej podniety.

V podeszła do niej, po drodze zdejmując koszulkę. Dziewczyna wypluła gumę na podłogę i zaczęły się całować. Upadły na łóżko, a ja odkryłem, że nie mogę przestać na nie patrzeć – na to, jak do siebie pasują, jak ich ciała wzajemnie odzwierciedlają swoje ruchy. Nawet kiedy V wygięła się i krzyczała, a głowa tamtej zniknęła między jej nogami, nadal tylko patrzyłem, nie czując potrzeby, by je rozdzielić, przyłożyć tamtej w twarz. I oczywiście byłem już wtedy taki twardy, że musiałem wstać, a mój ruch przyciągnął uwagę V, więc na mnie skinęła. Podeszedłem do niej, natrafiłem prosto na jej usta i mocno ją pocałowałem. Dziewczyna usiadła na podłodze plecami do nas, usłyszałem zgrzyt zapalniczki i poczułem dym papierosa. Ale wtedy było mi już wszystko jedno, tak samo jak V, która gorączkowo rozpiniała mi dzinsy, żebyśmy szybciej w nią wszedł.

\*

Nie pamiętałem, że na weselach jest coś takiego jak przemówienia.

Angus wstał, powitały go głośne oklaski. Nie trzymał żadnych notatek. V na niego patrzyła, tak samo wszyscy zebrani.

– Bardzo wszystkim dziękuję za przybycie – zaczął czystym, pewnym tonem. – To, że dzisiaj, w ten wyjątkowy dzień, jesteście tu z nami, ogromnie dużo dla nas znaczy. Wiem, że niektórzy przyjechali naprawdę z daleka. Jesteśmy szczerze wzruszeni. – Gadał, jak fantastycznie Suzi poradziła sobie z organizacją i jak cudownie przyjęli go oboje z Colinem. Bredził jakieś sentymentalne bzdury o swoich rodzicach i bracie, a jego matka ukradkiem otarła łzę. Chwalił druhenki, które na moje oko niczym się nie wyróżniały, zwykłe dziewczynki w białych sukienkach. – Ale teraz

przejdę do najważniejszego – dodał, odwracając się do V. – Do mojej pięknej, niesamowitej, mądrej i zdolnej żony Verity. – Skierował na nią spojrzenie, ale ona odwróciła wzrok i widziałem, że od dekoltu w górę oblewa się rumieńcem. – Nie muszę nikomu mówić, jak cudownie dziś wygląda, bo sami to doskonale widzicie. Nie muszę nikomu mówić, jaka jest mądra i miła, bo wszyscy ją znacie. Nie wiecie tylko jednego – jak wiele dla mnie znaczy. – Głos mu lekko drgnął, więc sięgnął po kieliszek i upił łyk szampana. – Naprawdę trudno uwierzyć, że znamy się dopiero rok. Tak naprawdę zaledwie wczoraj odkryliśmy, że w poprzednią sobotę minęła pierwsza rocznica naszego spotkania, co się doskonale składa. Nie, oczywiście nie zaczęliśmy się od razu umawiać, bo trochę to trwało, zanim zebrałem się na odwagę i zaczęłem Verity, zaprosiłem ją na randkę, a potem zmierzyłem się z faktem, że ewentualnie mogę się jej podobać.

Rozległy się ciche śmiechy, a ja miałem ochotę stanąć na krześle i wrzasnąć, żeby wszyscy się zamknęli, bo chcę wszystko dokładnie słyszeć, każde słowo.

– Więc od naszej pierwszej randki do dziś – sam nie mogę w to uwierzyć – minęło zaledwie dziesięć miesięcy. Można powiedzieć, że to niezbyt długo, jeżeli chce się spędzić razem całe życie, ale ja wiedziałem już po dziesięciu minutach. Verity to najlepsze, co mi się w życiu przydarzyło. – Podniósł kieliszek. – Zdrowie mojej żony, najwspanialszej kobiety na naszej planecie.

Automatycznie podniosłem kieliszek, wychylając wszystko do dna. Dziesięć miesięcy. Rok. Dziesięć miesięcy. Rok. Te słowa turkotały, niczym pociąg parowy przetaczając się przez mój mózg. Verity zerwała ze mną w Boże Narodzenie, teraz była połowa września. Policzyłem na palcach, choć dokładnie wiedziałem, jaki będzie wynik. Dziewięć miesięcy. Spojrzałem na Verity, ale ona wstała i pocałowała Angusa. Pole widzenia zawęziło mi się do małej, białej kropki.

Wytrzymałem pompatyczne przemowy Colina i świadka – tylko dlatego, że wychodząc, wywołałbym zamieszanie. Musiałem słuchać peanów na cześć Angusa i tego, że Verity musiała przezwyciężyć parę trudności – coś nowego w moich uszach – ale teraz przepęniało ją szczęście. Słyszałem nawet, że Angusa nazwano „najlepszym kawalerem na wydaniu w całym Londynie”. To określenie pasowało do niego jak kwiatek do kozucha.

Wreszcie skończyli – bo wszystko się kiedyś kończy – i zaczęła grać muzyka, więc mogłem wyslizgnąć się z pawilonu w ciemną już teraz noc.

W ogrodzie pozapalano mnóstwo świec i zdawało się, że cała okolica kołysze się wraz z ich płomykami. Stałem przy pawilonie i wciągnąłem duży haust powietrza – tyle, że wypełniło mi całą klatkę piersiową i więcej nie mogłem zmieścić. Skupiłem się tylko na ruchu. Wieczór był pogodny, na niebie mrugały gwiazdy, jakby niosły jakąś wiadomość.

Drobnym, niepewnym krokiem zbliżała się do mnie jakaś kobieta. Dopiero gdy znalazła się obok, rozpoznałem w niej Louise. W ustach trzymała papierosa. Wyjęła go i pomachała do mnie.

– Nie masz przypadkiem ognia?

– Nie – odparłem. – Nie palę.

– Jasne – zaśmiała się. – Inaczej nie wyhodowałbyś sobie takich mięśni.

– Zatrzymała się, ale jej ciało nadal się chwiało. Mówiła bełkotliwie. – Zaraz będzie pierwszy taniec, nie idziesz popatrzeć?

– Nie, dzięki.

– Ciągłe ją kochasz?

Obejrzałem się, ale tam, gdzie staliśmy, było ciemno i niedokładnie widziałem jej rysy.

– Czemu tak mówisz?

– Bo zawsze za bardzo ją kochałeś.

– Jak można kogoś kochać za bardzo?

– Tak samo jak można kogoś kochać za mało – roześmiała się. – Wiesz, to tak jak z łózkami w bajce o trzech misiach i Złotowłosej. Rzadko się w życiu zdarza, że coś jest akurat takie, jak trzeba.

Poczułem się zagubiony. Nie wiedziałem, czy próbuje mi coś powiedzieć – może nawet przekazać mi coś od V.

– Nie masz co tracić czasu – dodała Louise. – Między Verity a Angusem jest dokładnie tak, jak trzeba, a my możemy tylko podziwiać ich doskonałość.

– Mylisz się.

– O co chodzi z tą Verity? Czemu wszyscy faceci dostają takiego kręćka na jej punkcie?

Nie wierzyłem, że ktoś w ogóle może zadać takie pytanie.

– Bo jest idealna.

Louise podeszła bliżej.

– Wiesz, Mike, zawsze mi się podobałeś. Nie, żebyś to widział. Skakałeś wokół Verity jak szczeniak, nie spuszczałeś z niej wzroku. – Przynęła się



do mnie i położyła mi rękę na rozporoku. – Nienawidzę Jamesa – dodała. – On pieprzy jak królik.

– Jesteśmy na ślubie Verity.

– I co? – spytała, nie zdejmując ręki z mojego nadal miękkiego fiutka.

Odskoczyłem w tył, unosząc przy tym rękę, by odkleić od siebie jej dłoń, ale ona była taka pijana, że straciła równowagę i runęła do tyłu, bo potknęła się na wysokich obcasach. Upadła niezgrabnie przy ścianie pawilonu.

Podniosła na mnie wzrok.

– Co ty, kurwa, robisz?

Wiedziałem, że powinienem pomóc jej wstać i ją przeprosić, ale w tej niezdarnej postaci na trawie było coś, co napawało mnie obrzydzeniem. Mruganie świec potęgowało moją migrenę. Stwierdziłem, że jedyne, co mogę zrobić, to odwrócić się i odejść.

– Popchnąłeś mnie, ty popaprańcu – wrzasnęła za mną idiotycznie.

Wróciłem pieszo do wioski, ale ostatni pociąg już dawno odjechał, wszedłem więc do pubu, zamówiłem piwo i spytałem, czy można tu gdzieś zamówić taksówkę, która by mnie zawiozła do Londynu. Ból głowy był już tak silny, że widziałem nieostro i w niepełnym polu. Nie potrafiłem odpowiedzieć na pytanie barmana, czy wesele się udało, więc facet tylko wzruszył ramionami i zaczął obsługiwać następnego klienta. W taksówce udawałem, że śpię, żeby uniknąć rozmowy, ale jednostajny ruch rzeczywiście musiał mnie ukołysać, bo kiedy się obudziłem, właśnie zajeżdżaliśmy pod mój dom. Zapłaciłem dwieście pięćdziesiąt funtów, tyle ile zażądał taksówkarz, wszedłem do domu i otworzyłem butelkę czerwonego wina, którego tak naprawdę nie chciałem pić.

Tylu spraw nie pojmowałem. Ludzie cały czas mówili rzeczy, których wcale nie mieli na myśli. A może sami nie wiedzieli, co mają na myśli? Lub – najbardziej przerażająca możliwość – może nic na świecie nie trzymało się kupy? Co by się na przykład stało, gdybym przeleciał Louise tam, za pawilonem? Co by powiedziała Jamesowi? Czy naprawdę go nienawidziła? I jak pieprzą króliki?

A w ogóle, czy to możliwe, że Verity zna Angusa od roku? Że spotkali się na pierwszej randce miesiąc przed moim przyjazdem na święta? Czy rzeczywiście między nimi wszystko było tak, jak akurat trzeba – jak twierdziła Louise – czy może on był tylko częścią naszej gry? Gdybym nie

był takim cholernym idiotą i wszystkiego nie spieprzył, pieprząc Carly, może V powiedziała by mi o Angusie?

Walnąłem pięścią w marmur kuchennego blatu. Ból krzepiąco rozszedł się po całym ramieniu.

– V! – wrzasnąłem w powietrze. – Po prostu chcę zrozumieć! Muszę wiedzieć, czego ode mnie chcesz!

Cisza jednak nie ustępowała. Mogłem tylko usiąść przy długim kuchennym stole i wypić to cholerne wino.

Tydzień po ślubie nie upłynął mi najlepiej.

Fatalnie sypiałem, dlatego w ciągu dnia czułem się chory i przymulony. W pracy prezes przydzielił mi nowy projekt – przejmowaliśmy dużą firmę o nazwie Spectre, transakcja była dość prosta. Większość tej firmy musiała zostać zlikwidowana, sporo ludzi miało stracić pracę, ale ja w obliczu takich zadań nigdy nie odczuwałem dyskomfortu, o którym mówili inni. Widzę to tak, że jeżeli wszyscy pracownicy dobrze robią swoją robotę, to firma żyje, a jeżeli jako szef jesteś za słaby, żeby się pozbyć kiepskich pracowników, to oczekujesz, że co?

Prezes się zaśmiał, kiedy to usłyszał, jak siedzieliśmy w jego wykwintnie urządzonej gabinecie.

– Między nami – dodał – to jest właśnie przyczyna, dla której kobiety nigdy nie zachodzą wysoko w biznesie. Mają cholernie za dużo sentymentów.

Co jest oczywiście całkowitą brednią, ale uśmiechnąłem się i skinąłem głową, bo wiedziałem, że tak trzeba. No ale prostota tej transakcji wcale nie przekładała się na to, że sprawy przyjęły właściwy obrót. Zniosłem wszystkie papiery na swoje biurko, zalogowałem się na zabezpieczone portale zawierające niezbędne cyferki i stwierdziłem, że nic mi się nie klei. Miałem wrażenie, że liczby tańczą po ekranie, znikają za algorytmami i wyparowują z wykresów. Udało mi się wypracować ścieżkę działania, ale zgubiłem ją w połowie drogi, pozwalając, by prognozy okrążyły mnie bezładną zgrają, jak gdyby wcześniej nikt ich nie sprecyzował.

Problem polegał na tym, że głowę miałem zajętą rozmyśleniami o V – jakby była zwierzęciem, które wykopało sobie norę i urządziło leże w mojej czaszce. Próby normalnego życia, gdy wiedziałem, że V w każdej chwili może doświadczać czegoś nowego, czego nigdy nie będę z nią dzielił, sprowadzały się do absurdu. Byłem na siebie wściekły, że nie zapytałem ją o więcej szczegółów na temat wyjazdu, żebym miał jaśniejszy obraz, co robi i kiedy. Sami dużo gadaliśmy o RPA, dlatego byłem przekonany, że ciągnie ją w miejsca, o których rozmawialiśmy.

Przeguglowałem kraj wszerz i wzdłuż, nieustannie zawężając i rozszerzając zakres poszukiwań. Wstukiwałem hasła: turystyka, ekskluzywna, nieprzeciętna, egzotyczna. Okazało się, że można tam robić mnóstwo niesamowitych rzeczy, z których większość podobałaby się V. No a Angus oczywiście dysponował odpowiednimi środkami i na pewno nie miał zamiaru ich żałować. Robiłem wirtualne wycieczki po najlepszych hotelach, wynajmowałem na jego nazwisko helikopter, umawiałem się na degustacje win w winnicach, szukałem najlepszych SPA, przeglądałem karty wykwintnych restauracji. Nic mnie jednak nie zaspokajało – miałem ochotę rozbić ekran komputera i wskoczyć do środka, obedrzyć wszystkie atrakcje turystyczne RPA z reklamowej otoczki, wszędzie zainstalować kamery. Chciałem dokładnie wiedzieć, co oni tam robią.

Co wieczór kontynuowałem te działania w domu przy butelce wina i gotowej kolacji, którą zjadałem prosto z pudełka, przy komputerze. V nie zniosłaby takiego niechlujstwa, ale dni mijały, a ja byłem na nią coraz bardziej wściekły. To, co V wyprawiała, w żaden sposób nie miało się do mojego przewinienia. Wiedziałem, że wszystko spieprzyłem, zadając się z Carly, ale żałowałem tego, przeprosiłem i padłem na kolana. Musiała wiedzieć, że to nic nie znaczyło, musiała wiedzieć, że zawsze była i będzie dla mnie tą jedyną i najważniejszą.

Nie rozumiałem jednego – jak to jest, że niektórym facetom uchodzi płazem, a inni, na przykład ja, muszą się czołgać po rozżarzonych węglach za krótką chwilę słabości, którą w tej samej sekundzie chętnie by cofnęli.

Nadal mam w uszach uderzenia ciałem o ciało, które towarzyszyły znacznej części mojego dzieciństwa. V nigdy nie miała pojęcia, jak to jest – leżeć w swoim pokoju i słyszeć, jak ciało twojej matki bezwładnie na coś opada. Zakradać się na czworakach do przedpokoju i podglądać, jak facet wlecze ją za włosy, a potem wali jej twarzą o ścianę. Czuć potrzebę, by coś zrobić, a jednocześnie – wszechogarniający strach, od którego miękną kolana. W takich chwilach zawsze wlażiłem na swój goły materac i nakrywałem się przetartą kapą na głowę z nadzieją, że zasnę, ale sen nigdy nie przychodził szybko, łapał mnie znienacka gdzieś w środku nocy, tak że rano budziłem się przepełniony strachem, że jak wstanę, zobaczę matkę martwą w kałuży krwi.

V nie ma pojęcia, jak wygląda zbite ciało. Jak puchnie i robi się wypukłe, jak się przebarwia na ohydne odcienie purpury i czerni, a potem

blednie, staje się żółtoszare. Nie wie, jak to jest przesuwać dłoń po obitej skórze pijanego do nieprzytomności, jaka ta skóra wydaje się twarda i nienaturalna i że nie sposób sobie wyobrazić, że kiedyś odzyska normalny wygląd. Nie wie, jak łatwo powstają blizny i że czasem zostaje tylko maleńka brązowa kropka, ale zawsze, kiedy na nią spojrzysz, wiesz, skąd się wzięła.

\*

Tydzień po ślubie napisałem do V takiego mejla:

Verity,

to chyba niesprawiedliwe. Ile razy jeszcze mam Cię przeproszać za to, co się stało w Stanach? To nic nie znaczyło. Nawet mniej niż nic. Gdyby tylko się dało, odwróciłbym czas jak Superman i nigdy bym się nawet nie odezwał do Carly. Gdyby Cię to ucieszyło, chętnie bym tam wrócił i ją zlikwidował, pozbyłbym się jej, żeby dłużej nie miała z nami nic wspólnego. Powoli zaczynam mieć dość. Nie powinienem był się godzić, by sprawy zaszły tak daleko. Żałuję, że nie zatrzymałem tego małżeństwa. Bo teraz będzie bardzo trudno się z niego wyplątać, a poza tym nadal nie wiem, o co Ci chodzi, co mam zrobić i jak w ogóle mamy to osiągnąć. A cały ten czas, który spędzasz z Angusem, to jakiś absurd. Każda sekunda to nóż, który wbijasz mi w serce. Rozumiem, po tysiącokroć rozumiem. Ale Ty nawet pojechałaś z nim w naszą podróż poślubną. Tego już się nie cofnie. Teraz już nie myślę, że chcesz mnie czegoś nauczyć, tylko że celowo się nade mną pastwisz.

Kocham Cię, V. Dobrze wiesz, co nas łączy. Zrobiłbym dla Ciebie wszystko. Pragnę Cię, jak zawsze.

Twój Orzeł.

Następnego dnia rano wybrałem się pobiegać. Biegłem długo, najpierw przez park, a potem wzdłuż rzeki, uderzając stopami o ubitą ścieżkę przy brudnej, mętnej wodzie. Miałem błękitne niebo nad głową, a oddech tak równy i regularny, że chyba mógłbym tak biec bez końca. Gdyby V mnie poprosiła, dokonałbym tego, co jej obiecałem. Okrążyłbym świat tak

szybko, że wyprzedziłbym czas i dzięki temu cofnął wszystkie złe rzeczy, które się między nami zdarzyły.

Po powrocie do domu miałem już trochę większy ład w głowie. Wybrałem się do sklepu po lunch, który zaaprobowałaby V. Świeże warzywa, ryba, owoce ze śmietaną. Przygotowałem go tak, jak lubiła – zwyczajnie – i nalałem nam obojgu po kieliszku zimnego sancerre'a. Jedliśmy, patrząc na ogród i rozmawiając o tym, co w nim zrobimy na wiosnę. Spojrzawszy na ten ogród jej oczami, spostrzegłem, że jest nieco zbyt surowy, minimalistyczny i nie zaszkodziłoby, gdyby trochę się upodobił do ogrodu Suzi. Suzi raz mi powiedziała, że na grządkach, między roślinami, w ogóle nie powinna prześwitywać ziemia, a u mnie ziemię i żwir widać było wszędzie, a rośliny wydawały się ostre i toporne, bryłowate. Mój ogród stanowił całkowite przeciwieństwo grządek w Steeple House, nabrzmiałych od barw i kwiatów, pełnych delikatnych liści, na których srebro mieszało się z zielenią. Można było stać i się przyglądać, jak pieści je wiatr, podziwiać kształty i odcienie, rozmyślać o przyrodzie, która w krótkim czasie potrafi stworzyć wymyślne, doskonale piękne dzieła. Byłem wręcz zadowolony, że V ze mną nie ma i że zostało mi jeszcze trochę czasu, żeby wszystko idealnie przygotować na jej powrót.

W poniedziałek zadzwoniłem do projektantki ogrodów i do właściciela wcześniej upatrzonej firmy budowlanej i umówiłem się z nimi w tygodniu. Transakcja w sprawie Spectre nadal się ślimaczyła. Prezes poprosił mnie o spotkanie, podczas którego wyraźnie dał do zrozumienia, że jest zdziwiony jej powolnym przebiegiem. Wymyśliłem jakieś nie najtrafniejsze usprawiedliwienie, a on spytał, czy aby nie przeliczyłem się z siłami i czy nie potrzebuję pomocy. Doznałem wstrząsu, bo nie zdawałem sobie sprawy, że w pracy coś idzie nie tak, choć jednocześnie odkryłem, że w sumie po mnie to spływa. Nigdy nie miałem trudności ze znalezieniem pracy, a teraz, w obliczu przygotowań do powrotu V, wszystkie inne sprawy schodziły na dalszy plan.

Wziąłem sobie wolne przedpołudnie, żeby się spotkać z projektantką zieleni – kobietą imieniem Anna, która mówiła ze snobistycznym akcentem i była wysoka i chuda jak patyk. Zgodziła się ze mną, że obecnie ogród wygląda surowo i idiotycznie, choć to ona tak powiedziała, nie ja. Poprosiła, żebym jej wytłumaczył, o co mi chodzi, a ja opisałem grządki Suzi w Steeple House. Dodałem, że mojej dziewczynie bardzo zależy na ogródku w takim właśnie wiejskim stylu, a Anna potwierdziła, że sama też

go uwielbia. Ustaliliśmy, że zachowamy jacuzzi i altankę ze stołem, a Anna mnie zapewniła, że nowe nasadzenia tak zmienią charakter ogrodu, że te urządzenia przestaną w nim dominować. Myślała, żeby pod tylnym murem dać może jakieś lustro, a gdzieś bardziej z przodu starą zardzewiałą furtkę, by stworzyć wrażenie optyczne, że dalej znajduje się drugi, tajemniczy ogród. Według niej miałem szczęście, że granicę mojego ogrodu wyznacza wysoki ceglany mur, bo dzięki temu taka sztuczka była w ogóle możliwa. Powiedziała, że przygotuje parę rysunków i wyśle mi wycenę, choć oboje wiedzieliśmy, że i tak się zgodzę, niezależnie od tego, ile zaśpiewa.

Budowlaniec powiedział, że mógłby zaczynać gdzieś po Nowym Roku, zastrzegając przy tym, że roboty pociągną za sobą spore zniszczenia. Jak oświadczył, miałem szczęście, że pod domem jest trochę piwnicy i nie trzeba będzie robić pełnego wykopu, ale i tak potrwa to dobrych sześć miesięcy i będzie wymagało ciężkiego sprzętu, koparki i dźwigu. Nie chciałem czekać tak długo, ale uświadomił mi, że będę musiał uzyskać pozwolenie na budowę i zgodę sąsiadów, czego – ani jednego, ani drugiego – nie brałem pod uwagę. „Samowolki nie można uprawiać”, dodał, kręcąc głową, a na koniec rzucił sumę, za którą mógłbym sobie kupić dwa domy przy ulicy, przy której mieszkali Barry i Elaine. Za dodatkowe dziesięć tysięcy funtów gotów był załatwić architekta i pozwolenie na budowę, powiedziałem więc, że wieczorem przeleję mu kasę. Działać, być czegoś sprawcą, pracować na rzecz lepszej przyszłości – to było świetne uczucie. Nie wiem, dlaczego nie wziąłem się do tego wcześniej, czemu się ociągałem i do tej pory nie przygotowałem domu na przybycie V.

Pod koniec drugiego tygodnia podróży poślubnej poczułem lekkie wyrzuty z powodu tonu mejla, którego wysłałem do V. Bądź co bądź poważnie nadwyrężyłem jej zaufanie i normalne zasady już przestały nas obowiązywać. Nie powiedziałem tego V wprost, ale pisząc tę pierwszą wiadomość, chyba podświadomie porównałem ją do mojej matki, co było pomyłką. Moja matka była słaba i żaloszna, poza tym sama dopuściła do tego, że znalazła się w takiej, a nie w innej sytuacji. V nie miała z tym nic wspólnego, ergo to, czego dopuściłem się z Carly, skrzywdziło ją równie mocno, jak gdybym walnął jej głową o ścianę. Tak czy inaczej, zasługiwała na przeprosiny, wysłałem więc kolejnego mejla.

Moja najdroższa V,

przepraszam, że w ostatnim mejlu tak mnie poniosło. Rozumiem, co robisz, i wiem, że to ja odpowiadam za wszystko, co się teraz dzieje. Po prostu ślub trochę wyprowadził mnie z równowagi. Okropnie było widzieć Cię u boku Angusa – chociaż wiem, że sam sobie na to zasłużyłem. W głębi duszy nawet mi go żal, zwłaszcza gdy pomyślę, na co go narażasz, ale domyślam się, że w tego typu sytuacji obie strony muszą ponieść straty.

Chcę, żebyś wiedziała, że nadal tu jestem. Mogę w dowolnej chwili spaść z nieba i Cię uratować. Jestem gotów zrobić dla Ciebie wszystko. Jak zawsze – nic poza Tobą się dla mnie nie liczy, moje kochanie.

Proszę, odezwij się do mnie, jak wrócisz. Jest wiele rzeczy, o których musimy porozmawiać.

Pragnę Cię.

Twój Orzeł

Po wysłaniu tego mejla rozmyślałem o swoim dzieciństwie, czego przez wiele lat z premedytacją nie robiłem. Kiedy skończyłem studia, Elaine przygotowała dla mnie pudełko, które – kiedy mi je wręczyła – postanowiłem przy pierwszej okazji wyrzucić. Ale jakoś nigdy tego nie zrobiłem i pudełko wszędzie ze mną jeździ. W każdym mieszkaniu trzymam je na dnie którejś szuflady.

Teraz je wyjąłem i rozłożyłem jego zawartość na kuchennym stole. Do spodniej strony przykrywki Elaine przykleiła kartkę, której treść znałem już na pamięć, ale mimo to znowu ją przeczytałem. „Kiedy tylko będziesz chciał sobie przypomnieć, że jesteś kochany” – napisała równo i starannie. W pudełku było moje zdjęcie, jak stoję przed ich domem w szkolnym mundurku, zrobione pierwszego dnia nauki w roku, kiedy zacząłem u nich mieszkać. Drugie zdjęcie, zrobione w ogródku, na którym Barry bez koszulki stoi przy grillu, a ja i Elaine siedzimy na pasiastych leżakach i śmiejemy się z czegoś, co powiedział. Kartka na osiemnaste urodziny od Elaine i Barry’ego, list informujący, że dostałem się na studia, odcinki biletów z wesołego miasteczka Thorpe Park, gdzie byłem z Barrym, i ręcznie napisany przepis Elaine na spaghetti bolognese – moje ulubione danie.

Były też inne zdjęcia, na których tak naprawdę siebie nie poznaję. Pulchny niemowlak na rękach ładnej kobiety obciętej na pieczarkę, z niepewnym uśmiechem na twarzy. Zdaje się, że jesteśmy w jakimś



ogródki, w rogu stoi okrągły basenik. Pukiel włosów w kopercie z wypisanym w poprzek moim imieniem, znaleziony – jak mi powiedziała Elaine – w szufladzie obok łóżka mamy. Lubię przesuwając palcem po tych literach, drobnych i koślawych, jakby się bały zająć za dużo miejsca na papierze. Długopis powgniałała nawet kopertę, co skłania mnie do myślenia, że mocno na nią naciskała.

Elementarz z pozagniatanymi rogami kartek, które tyle razy przewracałem, szukając szyfrów i ukrytych wiadomości, choć nigdy żadnych nie znalazłem. Obrazki mają w sobie coś znajomego, są jak sen, który przez mgłę pamiętam. Mały, poobijany czerwony samochód, który podobno ścisnąłem w rękę, kiedy mnie zabierali, chociaż miałem wtedy dziesięć lat, więc raczej nie mógł już być dla mnie ważny. I w końcu zdjęcie starego czarnego psa – jedyna ozdoba, jaka wisiała na ścianie w pokoju, który uchodził za mój w mieszkaniu mamy. Elaine lubiła myśleć, że to był pies mamy i że mama dała mi to zdjęcie, bo nie mogła mi dać nic innego. Ale Elaine zawsze wynajdywała w ludziach najlepsze rzeczy, a ja nie chciałem jej tego psuć. Tak naprawdę to zdjęcie wisiało już w pokoju, kiedy pierwszy raz do niego wszedłem, pewnie zostało po poprzednich lokatorach. Zawlokłem pod nie swój materac i często się na nie gapiłem, rozmyślając o życiu, w którym psy nie tylko istnieją, ale nawet są fotografowane. Zawsze mnie ścisną w dołku, kiedy je widzę na dnie pudełka, bo zaprzecza temu, co Elaine napisała na wieczku. Nie wiem czemu, ale go do tej pory nie wyrzuciłem – czasem jest jedynym przedmiotem, który rzeczywiście rozpoznaję.

Moja matka może już nie żyć. Dziwna to myśl: że po prostu może jej nie być na świecie, a ja nic o tym nie wiem. W każdym razie w tamtą stronę zmierzała, kiedy ją ostatnio widziałem. Była w szpitalu – żółta na tle białej pościeli, o czarnych, przepastnych ustach, a oczach tak zapadniętych, że zdawało się, że nigdy nie wrócą na miejsce. Wtedy powiedziałem pracownikom pomocy społecznej, że już nie chcę być informowany o jej kolejnych chorobach, a oni uszanowali moją prośbę. Robiłem wówczas maturę, rysowała się przede mną świetlana przyszłość, miałem przy sobie Elaine, więc zdawało się, że nie muszę się dłużej przejmować rodzicielką. Matka zrobiła dla mnie tylko tyle, że płakała, przepraszała i próbowała wziąć mnie za rękę, a jej dotyk napawał mnie takim wstrętem, że musiałem potem myć ręce. Jej istnienie nie miało sensu, często sobie myślałem, że najlepiej dla niej byłoby przytknąć poduszkę do jej wychudłej twarzy.

\*

W sobotę po południu sprawdzałem godziny przylotów z RPA, gdy rozległo się stukanie do drzwi. Podniosłem wzrok znad ekranu. Mimo drzwi byłem pewien, gdzie stoi V, bo to oczywiście musiała być ona. Najwyraźniej moje mejle odniosły skutek i przyjechała do mnie prosto z lotniska. Zatrzasnąłem komputer i poszedłem otworzyć. Ale była to Kaitlyn z butelką czerwonego wina w ręku.

– Przepraszam – powiedziała. – Mamy imprezę u Lottie obok i nie możemy znaleźć korkociągu. Pomyślałam, że ty możesz mieć.

Otworzyłem drzwi nieco szerzej.

– Jasne.

Weszła za mną do kuchni.

– Ojej, naprawdę pięknie tu u ciebie.

– Dzięki. Niedługo ogrodnik będzie na nowo urządzał ogródek. – Wyjąłem z szuflady korkociąg i podałem jej.

– Sam wybierałeś kolory?

– Tak. – Trochę dziwnie było widzieć Kaitlyn u siebie w domu, prawie jakbym oglądał film, a jednocześnie wiedział, że to się dzieje naprawdę.

– Mogę zajrzeć dalej?

– Pewnie. – Podreptaliśmy dalej, a Kaitlyn co rusz wznosiła okrzyki zachwytu. Nie wydawało mi się w porządku, że ogląda dom Verity, zanim V go zobaczy, i rozpaczliwie pragnąłem, żeby sobie poszła. Mógłbym ją z łatwością podnieść i wystawić za drzwi, bez żadnego hałasu.

Podeszła do kominka i sięgnęła po zdjęcie przedstawiające V i mnie w wieczorowych strojach, zrobione podczas którejś imprezy świątecznej w Calthorpe. Oboje się uśmiechaliśmy, ja trzymałem rękę w zagłębieniu jej pleców – oczywiście na zdjęciu tego nie było widać.

– To Verity?

– Tak. – Musiałem się kontrolować, by nie podejść i nie wydrzeć jej fotografii z ręki.

– Bardzo ładna.

– Tak, ale przyszłaś po korkociąg.

– No tak, przepraszam – zaśmiała się. Wróciliśmy do kuchni, Kaitlyn wzięła z blatu korkociąg, ale nie wyszła. – Verity znowu nie ma?

Nagle poczułem, że miara się przebrała, za dużo tego dobrego. Nie była Verity, stała w jej domu i jeszcze o niej mówiła.

– Nie.

– To może byś poszedł ze mną do Lottie? Nie będzie miała nic przeciwko. No i przy okazji pożyczysz korkociąg.

– Nie, dzięki. Muszę trochę podgonić robotę. – Wskazałem na stojący na stole laptop.

– Ej tam, Mike. Nie samą pracą żyje człowiek.

Próbowałem się uśmiechnąć, ale miałem wrażenie, że niewidzialny magnes ściąga mi kąciki ust w dół.

– W porządku? – spytała najczulszym na świecie głosem.

Próbowałem skinąć głową, ale zdawało mi się, że od tego ruchu coś mi przeskoczyło w głowie i łzy napłynęły mi do oczu. Kaitlyn położyła mi rękę na ramieniu.

– Cholera, Mike, co się dzieje?

– Sam nie wiem – odparłem, słysząc, jak mi się łamie głos. Chęć, by podzielić się tym, co mnie przepęśniało, z drugą osobą, była nie do odparcia.

– Siadaj. – Poprowadziła mnie do stołu, przyniosła wino i dwa kieliszki. Otworzyła butelkę, naląła i usiadła obok mnie. – Opowiadaj, słucham.

Upiłem łyk ciepłego płynu. Myśl, by się zwierzyć Kaitlyn, była zbyt przerażająca, by nawet brać ją pod uwagę.

– Chodzi o Verity, tak? Coś się stało. Rozstaliście się?

– Nie, pokłóciliśmy się. Takie nieporozumienie.

– Wyprowadziła się?

– Nie na stałe.

Kaitlyn upiła wina.

– Tak sobie myślałam, że to dziwne, że jej ciągle nie ma. A o co poszło?

Gorączkowo przesiewałem całą zawartość mózgu w poszukiwaniu jakiejś odpowiedzi.

– W skrócie o to, jak mamy żyć.

– Ona chce ślubu? Takie rzeczy często mają związek z małżeństwem.

Podniosłem wzrok, bo nie wiedziałem, do czego Kaitlyn pije, i stwierdziłem, że musi robić aluzję do ślubu Verity, choć przecież jej mówiłem, że to ślub jej siostry. Zaczynałem się czuć, jakbym miał blender w głowie, sięgnąłem więc po butelkę, by ponownie napęlnić kieliszek.

– Nie, to nie to. Oboje chcemy.

– Aha. – Kaitlyn nie spuszczała wzroku z mojej twarzy. – To w takim razie o co chodzi?

– Trudno mi to powiedzieć. Jak byłem w Stanach, zrobiłem coś, czego ona nie potrafi mi wybaczyć.

Kaitlyn się uśmiechnęła.

– A. Rozumiem.

– Nie – odpowiedziałem za szybko. – Wątpię, żebyś rozumiała. To, co zrobiłem, nie miało znaczenia.

– Mężczyźni zawsze tak mówią – odparła Kaitlyn i napiła się wina.

– Nie, ale naprawdę, to nic nie znaczyło. Kocham Verity. Najbardziej na świecie. Zrobiłbym wszystko, żeby to naprawić.

Kaitlyn prychnęła.

– Boże, już to słyszałam. – Jej ton był teraz ostrzejszy. Poczułem, że rośnie między nami bariera.

Pochyliłem się do przodu i oparłem łokcie na stole.

– Nie wiem, co robić. Nie wiem, jak to naprawić.

Poczułem rękę Kaitlyn na plecach. Ogrzewała miejsce, na którym spoczęła.

– To była twoja pierwsza zdrada?

– Boże, tak. I nigdy bym tego nie powtórzył.

Przez chwilę milczała, a dotyk jej ręki był tak przyjemny, że nie chciałem, by się skończył.

– Nie jesteś jak inne chłopaki z City, co, Mike? Nie wiem, jak te żony z nimi wytrzymują. Codziennie słyszę, jak im kłamią. Coś wstrętnego.

– Nie rozumiem, po co ludzie zawracają sobie głowę kimś, kogo nie kochają na sto procent – powiedziałem w stół.

– To urocze, Mike.

– Po prostu muszę to jakoś naprawić.

Westchnęła.

– Myślę, że jeśli kochacie się tak, jak mówisz, jakoś to rozwiążecie. Daj jej trochę czasu.

Jej ręka opadła, a moje plecy tak dotkliwie odczuły samotność, że od razu oparłem je o krzesło.

– Ale to już trwa.

– W takim razie może musisz zrobić coś wielkiego. Pokazać jej, że naprawdę ci zależy. – Wstała. – Wiesz, Mike, czasem to, czego myślisz, że chcesz, niekoniecznie jest tym, czego chcesz naprawdę. Bywa tak, że uszczęśliwi cię coś, po czym się tego najmniej spodziewasz. – Na chwilę zamilkła. – No chodź ze mną. Zobaczysz, dobrze ci to zrobi.

Spojrzałem na nią.

– Nie, dzięki. Naprawdę. Wolę być sam.

I tak było. Wolałem zostać sam ze słowami Kaitlyn, bo wiedziałem, że mają sens. V uwielbiała wielkie gesty i byłem kretynem, że sam na to nie wpadłem.

Kaitlyn wzruszyła ramionami.

– Okej, ale oferta jest ciągle aktualna. Mogę ten korkociąg?

– Tak – odparłem i też wstałem.

Kaitlyn wzięła korkociąg i podeszła do drzwi, odwróciła się do mnie z uśmiechem i je otworzyła. Zdawało się, że chce coś jeszcze dodać, ale nic nie powiedziała. Wyszła, ostrożnie zamykając za sobą drzwi.

Odgłosy, które przez resztę wieczora dochodziły zza ściany, od Lottie, miały w sobie coś krzepiącego. Świadomość, że Kaitlyn ze swoją bladą twarzą i szeroko otwartymi oczami, gotowa mnie wysłuchać, jest tuż obok, dziwnie dodawała mi otuchy. To była osoba, przed którą można się otworzyć i przy której można być sobą, co po tak długim zachowywaniu kamiennej twarzy i odgrywaniu gościa, który jest zawsze lepszy od innych, przynosiło prawdziwą ulgę.

Popołudnie zmieniło się w wieczór, za ścianą zagrała muzyka i nawet myślałem, żeby tam iść, ale w ostatniej chwili zawsze zmieniałem zdanie. Kaitlyn miała rację, tu był potrzebny wielki gest. Musiałem się do niego poważnie przygotować.

\*

Następnego dnia V odpowiedziała na moje mejle. Na pewno nie wyjechali na krócej niż dwa tygodnie, więc to musiała być pierwsza rzecz, jaką zrobiła po powrocie.

Drogi Mike'u!

Z przykrością przeczytałam oba Twoje mejle. Pierwszy był pełen gniewu, a drugi – rozpaczy. Myśl, że tak silnie to przeżywasz, bardzo mnie smuci. Obawiałam się tego i może nie powinnam była Cię zapraszać na ślub. Ale ponieważ byłeś taką ważną osobą w moim życiu, miałam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi. Może to z mojej strony wielki egoizm.

Naprawdę bardzo kocham Angusa, jak nikogo przedtem. Na pewno strasznie trudno Ci to czytać, ale tak właśnie jest. Jeżeli chcesz poznać całą prawdę, spotkaliśmy się parę miesięcy przed Twoim powrotem na święta, choć jeszcze wtedy do niczego między nami nie doszło. Miałam zamiar Ci o tym powiedzieć i odejść, ale Ty pierwszy powiedziałeś mi o Carly, a ja to wykorzystałam. Bardzo za to przepraszam. To było z mojej strony głupie i tchórzliwe. Nie mam zamiaru udawać, że to, co zrobiłeś, mnie nie zraniło. Wtedy jeszcze nie byłam z Angusem. Przeżyłam szok, że to zrobiłeś – postąpiłeś tak, jakbyśmy nic dla siebie nie znaczyli.

Teraz musisz iść dalej. Jesteś wspaniałym człowiekiem, a dziewczyna, z którą się zwiążesz, będzie miała szczęście. Nadal mam nadzieję, że kiedyś w przyszłości będziemy pozostawać w zgodzie, ale na razie musisz sobie to wszystko poukładać w głowie. Wiem, że ciągle Ci to powtarzałam, kiedy byliśmy razem, i nadal uważam, że bardzo dobrze zrobiłyby Ci spotkania z psychologiem. Zawsze obwiniłeś się o to, jak żyła Twoja matka. Ale byłeś tylko niewinną ofiarą. Nie możesz się bać, że skończysz tak jak ona, bo masz te same geny. To wszystko, co do tej pory osiągnąłeś, jest po prostu niesamowite i powinieneś być z siebie absolutnie dumny. Patrz do przodu, Mike. Tylko tam, bo gdzie indziej nie ma sensu.

Życzę Ci dużo miłości.

Verity

Przeczytawszy to, poderwałem się i pogalopowałem po kuchni. Wszystkie moje podejrzenia okazały się prawdą! V była zdruzgotana moją niewiernością. I z całą pewnością kochała mnie tak bardzo jak ja ją. Miała na względzie moje dobro, myślała o mnie, widziała swoje miejsce w mojej przyszłości. Opacznie zrozumiałem chyba tylko jedno – że chciała mnie ukarać za mój postępek. Po kilkakrotnym przeczytaniu mejla doszedłem do wniosku, że to, co zrobiłem, tak mocno ją dotknęło, że przeżyła coś w rodzaju minikryzysu i związała się z pierwszym mężczyzną, który okazał jej odrobinę zainteresowania (a mężczyzn wokół V nigdy nie brakowało). To, co czuła do mnie, przelała więc na Angusa i przekonała samą siebie, że to naprawdę miłość. Fakt, że nie spali ze sobą przed tamtym Bożym Narodzeniem, tylko utwierdził mnie w przekonaniu, że mogę na niego machnąć ręką. Nikt nie wiedział lepiej ode mnie, ile w życiu V znaczy seks,

więc gdyby naprawdę zakochała się w Angusie, na sto procent by sobie go tak długo nie odmawiała. Nie, nie miałem wątpliwości, Angus był zapchajdziurą. Trzeba było tylko pomóc V, by to dostrzegła.

To, że w liście wspomniała o terapii, miało szczególne znaczenie. Mówiąc, że spotkania z psychologiem by mi pomogły, tak naprawdę miała na myśli siebie. Nie zamierzałem o tym wspominać, ale wcześniej, zanim się poznaliśmy, a nawet trochę potem, V chodziła na psychoterapię. Co więcej, po studiach musiała przez jakiś czas brać antydepresanty. „Prawdziwe życie – powtarzała – to był szok”. Nigdy się nie dowiedziałem, dlaczego tak naprawdę była nieszczęśliwa. Ba, nie jestem pewien, czy ona sama to wiedziała. Raz mi powiedziała, że zdaniem terapeuty za bardzo na niej ciążyły oczekiwania rodziców. Była upragnionym, jedynym dzieckiem, a Suzi i Colin wielbili ją i popychali naprzód, czego sam byłem świadkiem: najpierw chwalili, jaka jest mądra i zdolna, a za pięć minut robili wyrzuty, że tak słabo zdała egzamin. Psycholog jej powiedział, że ten ciągły stan niepewności za bardzo wyczulił jej emocje, więc bliskość zaczęła jej się kojarzyć z ekscytacją i niebezpieczeństwem. Twierdził, że musiała się nauczyć relaksować, musiała zacząć sobie odpuszczać.

Kiedy była w najgorszym stanie, zaraz po dyplomie, zacząłem medytować, żeby i ją tego nauczyć. Siadaliśmy po turecku na podłodze i wszystko jej opowiadałem, pomagałem jej wyrównać oddech i uspokoić myśli. Czasem otwierałem oczy i widziałem, jak łzy ciekną jej po policzkach. Kiedy pytałem, co się dzieje, mówiła, że tak dobrze odczuwać spokój, tak dobrze nie mieć pod skórą strachu. Przytulałem ją i mówiłem, że zawsze przy niej będę, zawsze będę jej pomagał poczuć się lepiej, a ona przywierała do mnie, jak gdyby tonęła. Kiedyś do mnie zadzwoniła, byłem wtedy w drodze do pracy, i błagała, żebym wrócił, bo beze mnie nie potrafi oddychać. Zrobiłem, jak prosiła, zadzwoniłem, powiedziałem, że jestem chory, i wróciłem do domu, by się nią zająć.

Tamtego dnia, gdy przyszła wiadomość, zasnąłem z V w ramionach. Wiem, że to brzmi dziwnie, w końcu nie było jej przy mnie fizycznie, ale czułem przy sobie wszystko to, co w niej najistotniejsze. Miałem wrażenie, że jej najgłębsza istota jest ze mną w łóżku, wąchałem jej piżmowy zapach, czułem, jak jej włosy łaskoczą mnie w brodę, wtulałem się w nią, trzymałem dłonie na jej piersiach.

Następnego dnia obudziłem się całkowicie wypoczęty – pierwszy raz od wielu miesięcy – a kiedy po bieganiu spojrzałem w lustro, zdawało się, że

mam pełniejsze, zarumienione policzki. Nawet Kaitlyn zauważyła, że dobrze wyglądam, kiedy przyszedłem do pracy, i spytała, czy pogodziliśmy się już z V. „Prawie”, odparłem i puściłem do niej oko.

W ciągu dnia zadzwoniła Elaine, ale nie mogłem odebrać i nie miałem czasu oddzwonić. Zrobiłem to dopiero, gdy wieczorem szedłem z metra do domu. Postanowiłem, że dam V jeden dzień po powrocie, a potem po nią pojedę. Sprawdziłem w internecie restauracje w pobliżu jej pracy i wybrałem dobrą, libańską, do której mogliśmy przejść spacerkiem.

– O, cześć, Mike – odezwała się w słuchawce Elaine. – Miło mi, że oddzwoniasz. – Wyobraziłem ją sobie, jak stoi w korytarzu i przygląda sobie włosy.

– Co słychać? – spytałem. Byłem w tak doskonałym nastroju, że miałem ochotę się nim dzielić.

– W porządku. Dzwoniłam, żeby spytać, co u ciebie.

– Super. Wszystko dobrze.

– Masz taki głos, jakbyś się z czegoś cieszył – stwierdziła, ale w jej tonie wykryłem niepewność. – Jak było na ślubie V, bo jeszcze nie rozmawialiśmy?

Trochę mnie wkurzyło, że musiała poruszyć ten temat. Za parę tygodni sam ogłoszę zaręczyny, po co mi o tym przypomina.

– Było okej. Trochę za dużo pompy, ale wiesz, jaka jest Suzi.

Elaine się zawahała.

– Właściwie to chciałam ci powiedzieć, że V wczoraj do mnie dzwoniła.

– Co? – Poczułem nagły ciężar na sercu.

– Martwi się o ciebie. I jeśli mam być szczerą, to ja też.

Próbowałem się zaśmiać, ale nieprzekonująco to zabrzmiało, nawet w moich uszach.

– Ale o co chodzi?

– Powiedziała mi o mejlach.

Zatrzymałem się w pół kroku i wciągnąłem dużo powietrza głęboko, aż do żołądka. W oświetlonym oknie klócili się mężczyzna i kobieta, ona dziko gestykulowała.

– Te mejle są nieważne. Już rozmawialiśmy.

– Tak? – W głosie Elaine zabrzmiała nadzieja.

– Tak. To była z mojej strony głupota. Ten cały ślub wytrącił mnie z równowagi, ale Verity wszystko mi wyjaśniła i już wiem. Niepotrzebnie się na nią złościłem. – Ruszyłem dalej.



– Ale podobno napisałeś, że nadal ją kochasz.

– Ech, tyle zamętu o nic.

Otworzyłem drzwi, przytrzymując telefon ramieniem. W domu było ciemno i chłodno.

– Nie chcę, żebyś cierpiał, Mike.

Oparłem się plecami o zamknięte drzwi. Ogarnęło mnie zmęczenie.

– Verity nigdy by mnie nie skrzywdziła.

– Umyślnie – nie. – Oddech Elaine przyspieszył. – Myślałeś, żeby zacząć się z kimś spotykać?

– Nie.

– Dobrze by ci to zrobiło. Nie tylko ja tak sądzę, Verity też.

Z miejsca, gdzie stałem, w prostej linii widać było ogród. Mimo zmroku zauważyłem, że coś się w nim nie zgadza. Serce mi załomotało. Zdecydowanym krokiem ruszyłem w tamtą stronę, ale w połowie drogi zwolniłem, bo przypomniałem sobie, że tego dnia Anna rozpoczęła prace.

– Poradzę sobie, naprawdę. – Rozsunąłem drzwi, które miękko rozjechały się na boki.

– Wiem, tylko czasem ludzie nie zdają sobie sprawy, że potrzebują pomocy, dopóki z niej nie skorzystają. – Rozmawialiśmy o tym milion razy, kiedy jeszcze mieszkałem u Elaine.

– O to mi właśnie chodzi z Verity.

Wszedłem do ogrodu. Pracownicy Anny rozbili kamienne elementy architektury ogrodowej, miałem wrażenie, że stoję pośród greckich ruin.

– Co masz na myśli?

– Wiesz, że jest napięta jak struna. Myślę, że może mieć ten swój napad.

– Serio? Na mój gust brzmiała normalnie.

Podniosłem kawałek obtłuczonego kamienia.

– Dobrze ją znam, Elaine. Potrafię rozpoznać jej nastroje.

– Och... I ty, i ona. Oboje zawsze byliście tacy niestabilni. Po prostu chcę, żebyście byli szczęśliwi.

– Cóż. Ze mną wszystko w porządku i, na ile mogę, zamierzam pomóc Verity.

– Uważaj na siebie, Mike. Wiesz, że w każdej chwili możesz do nas przyjechać.

– Tak, wiem. – Zalała mnie silna fala miłości do niej. – A wy z Barrym musicie do mnie jakoś wpaść na kolację. Któregoś dnia.

– Byłoby miło.

– Będę kończył. Odezwę się.

– Pa, Mike. – Nadzieja zgasła w jej głosie, który teraz trącił melancholią.

Byle kogo taka rozmowa może by przygnębiła, ale nie mnie, bo ja i V jesteśmy inni. V wiedziała, że Elaine do mnie zadzwoni. To było kolejne posunięcie w naszej grze, która – wyczuwałem to – już niedługo miała osiągnąć punkt kulminacyjny. Graliśmy w nią już na tyle długo, by wiedzieć, że zakończenia mogą się wydawać okrutne, gdyż by osiągnąć to, czego pragniemy, musimy kogoś skrzywdzić. Gdyby dało się postąpić inaczej, na pewno byśmy tak zrobili, ale nie mieliśmy wyjścia – okrucieństwo stanowiło nieodzowny element naszej gry.

Podobno nienawiść to uczucie najbardziej zbliżone do miłości. Pasja przejawia się zaś na dwa sposoby: jako namiętność i jako walka. U nas, u mnie i V, ciągle splatały się one ze sobą. Awantura, a za chwilę łóżko. Tak bardzo się potrzebowaliśmy. Czasem miałem wrażenie, że dopóki się nawzajem nie pochłonimy, nic nas nie zaspokoi. Kiedyś czytałem o Rosjaninie, który zjadał swoje kochanki, i w pewnym sensie go rozumiem. Wiedzieć, że ukochana faktycznie płynie w twoich żyłach, daje siłę mięśniom, dostarcza informacji mózgowi – to jest coś! Jedni mogą w tym widzieć okrucieństwo w najbardziej prymitywnym wydaniu, a inni – akt miłości. Ostatecznie właśnie czymś takim jest nasza gra w Pragę.

\*

Następnego wieczora usiadłem w barze naprzeciwko Calthorpe i czekałem, aż pojawi się V. Miałem kiepski dzień i piłem szkocką, żeby go wymazać z pamięci, lecz obrazy uparcie pozostawały mi przed oczami. Razem z prezesem spotkaliśmy się z dyrektorem zarządzającym Spectre, a ten rozpłakał się w trakcie rozmowy. Mówił o życiu swoich pracowników, którzy stracą zatrudnienie. Prezes spojrzał na mnie, wiedziałem, że czeka na moją reakcję, bo wie, że zawsze mam gotową tę swoją PR-owską gadkę. Ale na widok dorosłego faceta, który płacze w sali konferencyjnej, za fantazyjnie wygiętym biurkiem z klonowego drewna, poczułem tylko obrzydzenie.

Słyszałem własne słowa, choć byłem świadom, że prezes chce, abym zamilkł. Tamten przestał płakać i gapił się na mnie z otwartymi ustami. „Zachowuje się pan gorzej niż zwierzę”, powiedział, wstał i wyszedł. Przez chwilę siedzieliśmy z prezesem w milczeniu. Krew dudniła mi w uszach.

Wreszcie prezes podniósł się i wciągnął powietrze. „Umówię cię do naszego firmowego lekarza”, oświadczył i zostawił mnie samego.

Zapomniałem, że inni niekoniecznie żyją w świecie bluzgów.

Jeden z chłopaków mamy, chyba Logan, kiedy krzyczał, przysuwał twarz do mojej twarzy, bardzo blisko. Tak blisko, że musiałem zaciskać usta, by nie wpadła tam jego ślina. „Ty łajzo pierdolona!”, wrzeszczał, kiedy niechcący wylałem mu piwo, „Bezużyteczna pizdo!” – gdy kichnąłem podczas meczu, „Gnoju bezczelny, kurwa mać!”, kiedy udawałem, że go nie słyszę. Matka wtedy patrzyła w okno, jakby nic nie słyszała, a jej ładny profil zlewał się z niebem. Do niej oczywiście zwracał się podobnie. Oboje chodziliśmy wokół niego na paluszkach, jakbyśmy to my gościnnie występowali w jego życiu, a nie on – w naszym. Ale nie bił, był na to za sprytny, agresję kierował do wewnątrz. Logan wiedział, że groźba jego wybuchu wisi nad nami jak chmura śmiercionośnych oparów, które w każdej chwili mogą nas zatruć i wytępić.

Nie wiem, czemu Logan odszedł. Nie wiem, czemu odchodzili inni. Wiem tylko, że zostawiali mamę w coraz gorszym stanie i zawsze wydawało mi się to dziwne. Bo chyba każdy by się cieszył, że ktoś taki go opuszcza, ale ona najwyraźniej żyła w przekonaniu, że nie zasługuje na więcej niż najpodlejsza forma egzystencji. Kiedy kolejny Logan zniknął z naszego życia, patrzyłem, jak mama leży rozmazana na kanapie, popielniczka petów kolebie się na jej udzie, a sterta puszek piętury u jej stóp. Jej spojrzenie traciło ostrość, a ja miałem ochotę przed nią skakać. „Tu jestem, tutaj!”, chciałem krzyzczeć, ale chyba nawet wtedy by mnie nie zauważyła.

„Nie jesteś taki jak ona”, mówiła mi czasem V, gdy ogarniał mnie lęk. A ja nigdy szczerze na to nie odpowiadałem. Bo zanim poznałem V, byłem taki jak moja matka. Miałem wszystko w tyle, łatwo zamykałem się w sobie, odwracałem, a okrucieństwo wobec innych przychodziło mi bez trudu. Szczerze mówiąc, to chyba dzięki V stałem się lepszym człowiekiem. Gdyby nie ona, z łatwością wślizgnąłbym się w skórę matki.

V pokazała mi nie tylko, jak to jest prawdziwie się o kogoś troszczyć, ale też jak to jest troszczyć się o siebie. Wyrzeźbiła mi umysł, nie tylko ciało. Kiedy się poznaliśmy, jadałem, co popadnie, i dostawałem zadyszki, wchodząc na pierwsze lepsze schody. Byłem chudy jak szczapa, a niemyte włosy włożyły mi na uszy. Tylko raz ją spytałem, czemu do mnie podeszła

wtedy na imprezie. Bałem się, że nagle ją olśni, jak kretyńsko postąpiła. Leżeliśmy akurat w łóżku, trzymała głowę na mojej piersi, która już zaczynała zmieniać kształt, wypełniać się od środka.

– Przez twoje oczy – powiedziała, przesuwając rękę na moje podbrzusze.

– Tak naprawdę potrzebowałam tylko ognia, ale kiedy na ciebie spojrzałam, żeby ci podziękować, byłeś taki zagubiony, bezbronny, że już nie mogłam odejść.

– Ale czemu się zgodziłaś na randkę? – spytałem w otaczającą nas ciemność.

– Bo już wtedy cię lubiłam. Przejrzałam cię na wskroś.

V nie była moją pierwszą dziewczyną, była za to pierwszą, która dla mnie cokolwiek znaczyła. Mówiąc „cokolwiek”, nie ściemniam. Przed V kompletnie nie rozumiałem kobiet i tego, jak działają. Nie łapałem, co mają na myśli, gdy coś mówią, nie czułem potrzeby, by się z nimi spotkać po seksie, nie pojmowałem, dlaczego czasem gniewają się i płaczą. Tak jakby przed poznaniem V moje serce w ogóle nie było w użyciu, jakbym go nie dostrzegał i nie czuł, że bije. To znaczy, oczywiście zależy mi na Barrym i Elaine i na pewno kiedyś tam musiałem kochać matkę, ale nie czuję z nimi prawdziwej więzi. A kiedy myślę o V, to wiem, że od jej serca do mojego biegnie nić, która napina się i rozluźnia wraz z każdym moim i jej oddechem.

Wystarczyło, że spojrzałem na V, gdy skądś wróciła, i już znałem jej nastrój. Kiedy do mnie dzwoniła, nie musiałem patrzeć na ekran, by wiedzieć, że to ona. Kiedy oglądaliśmy film lub słuchaliśmy muzyki, z góry znałem jej reakcję. Potrafiłem sprawić, by krzyczała, jęczała lub się wiała, bo każdy centymetr jej ciała miałem wyryty w głowie. Takiej więzi nie da się zerwać – nawet mimo rozłąki.

Kiedy tamtego wieczora wreszcie darowałem sobie pomysł spotkania z V i opuściłem bar, ledwie trzymałem się na nogach. Potknąłem się na chodniku i musiałem się oprzeć o ścianę, by złapać równowagę. Miałem wrażenie, że jestem w innej rzeczywistości, nic nie wydawało się normalne. Ludzie mijali mnie i odchodzili w noc, a ja zapomniałem, dokąd idę i gdzie byłem. Mdłości podchodziły mi do gardła, ścisnęły za serce i utrudniały oddech.

Następny dzień w pracy był istną torturą. Jednostajny strumień igieł wbijał mi się prosto w czaszkę, cały byłem gorący i rozedrgany. Rano nie biegałem, w przerwie na lunch nie poszedłem poćwiczyć, tylko zjadłem miskę makaronu w pełnej turystów taniej restauracji za rogiem. Jedzenie wylądowało w kwasie żołądkowym i zachciało mi się rzygać, ale zdlawiłem to i popiłem dwiema mocnymi kawami.

Po południu zadzwonił do mnie firmowy lekarz z informacją, że jestem umówiony następnego dnia na trzecią. Byłem zbyt zamroczony, by wymyślić jakąś wymówkę. Złożyłem ręce na biurku, oparłem na nich głowę i patrzyłem w bok, za okno, na ptaki szybujące na podmuchach wiatru. Zawsze wiedziałem, że jeżeli będę musiał się zabić, to wyskoczę z dużej wysokości, bo dzięki temu chociaż przez parę sekund poczuję, jak to jest – latać.

George zajrzał do mnie parę minut po szóstej, kiedy zmagalem się z myślą, by iść do metra. Już postanowiłem, że nie pójdę pod pracę V, bo nie chcę, żeby mnie widziała w takim stanie.

– Wybieramy się w parę osób do klubu – powiedział i mrugnął. – Przeszedłem zapytać, czybyś się nie przyłączył.

– Do klubu, o tej porze? – spytałem. Mózg mi grzmocił w ścianę czaszki.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Łeb mi rozwala.

Wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął do mnie na dłoni dwie małe czerwone pastylki.

– Weź, pomogą.

Pastylki były nie większe niż złączone łebki dwóch szpilek, a wizja, że cokolwiek może mi pomóc – nie do odrzucenia. Sięgnąłem i połknąłem je na raz.

– Brawo – zaśmiał się. – No to chodźmy.

Szliśmy w pięciu. Zdecydowanym krokiem przemierzaliśmy stare ulice City, kierując się na East End – do dzielnicy, która zmieniała się całkowicie, a zarazem wcale. Zawsze miałem wrażenie, że te budynki i ulice nadal opowiadają jej historię. Niezależnie od tego, ile nudnych kawiarni by otwarto przy głównych arteriach, w powietrzu i tak unosi się ciężki zapach śmierci, ubóstwa i seksu.

Skręciliśmy w brukowaną uliczkę, gdzie domy stoją tak blisko siebie, że na górnych piętrach można sobie coś podać z okna do okna albo

przeciągnąć sznurek na pranie, a matki mogą nawoływać umorusane dzieciaki, które bawią się na dole. Byłem rozkojarzony i miałem wrażenie, że moje organy wewnętrzne unoszą się w jakiejś cieczy.

George zastukał w drzwi od podwórka. Uchylił je facet prawie tak szeroki jak te drzwi, o rozplaszczonym nosie, ogolonej czaszce i dzikim spojrzeniu. Uśmiechnął się, co zupełnie do niego nie pasowało, szerzej otworzył drzwi i gestem zaprosił nas do środka. Moi towarzysze najwyraźniej byli tu już wcześniej, bo rozsypali się po mrocznych pokojach, do których wchodziło się ze schodów prowadzących na górę lub w dół. George na mnie skinął, więc ruszyłem za nim wąskimi schodami w stronę dochodzącego z góry łomotu, który zdawał się budulcem tego domu, tak samo jak kamień i tynk. Wspięliśmy się wyżej, łomot zmienił się w muzykę, a ta zagnieździła mi się w żołądku niczym coś pierwotnego. Przy ostatnich drzwiach George przystanął, odwrócił się i puścił do mnie oko, po czym otworzył je, wypuszczając mi prosto w twarz falę smrodu i gorąca. W pierwszej chwili nie mogłem się zorientować, gdzie jestem, bo pomieszczenie zdawało się znacznie większe niż dom, do którego weszliśmy. Kiedy już załapałem, uznałem, że ktoś wpadł na fantastyczny pomysł. Ostatnie piętro łączyło większość, a może nawet wszystkie domy stojące przy tej ulicy. Stanowiło niekończące się pasmo rozpasania i rozkładu.

Przestrzeń została podzielona na setki niewielkich boksów, a ich ściany – wyposażone w lustra, więc nie sposób było stwierdzić, co jest rzeczywistością, a co – jej odbiciem. Powietrze było ciężkie od dymu i piżmowego, słonawego zapachu spermy. Dywan lepił się pod nogami, a oparcia krzeseł błyszczały od dotyku tłustych rąk. Światła były pogaszone, z wyjątkiem źle rozmieszczonych punktowych lampek, które przecinały ciemność i oślepiały, jeżeli spojrzano się na nie ze zbyt bliska. Jedyne muzyka zdawała się neutralna, jak gdyby stała się częścią mnie, jakby mnie unosiła i prowadziła w miejsce, które prawie sobie przypomiąłem.

George popychał mnie naprzód i zobaczyłem, że zbliżamy się do okrągłej sceny, na której wiło się jakieś dwadzieścia, może więcej, kobiet. Ich ciała lśniły, jakby były z plastiku, a stopy nienaturalnie gięły się na obcasach tak wysokich, że nawet Kaitlyn nie ośmieliłaby się ich włożyć. Niektóre były całkiem nagie, większość miała jednak łona przysłonięte połyskliwym v, którego lustrzane odbicie przecinało ich pośladki niczym neon reklamujący

towar. Tańczyły jak w transie, często opadały na podłogę i rozchylały nogi, oblizywały wargi i zamykały oczy, a ich dłonie nigdy nie odrywały się od piersi.

Wokół sceny stało wielu podobnych do nas mężczyzn. Niektórzy nie patrzyli nawet na dziewczyny, tylko w telefony, a w bladym blasku ekranów ich twarze zdawały się martwe. Paru wznosiło okrzyki i próbowało łapać mijające ich nogi i piersi. Ślina ciekła im z ust. Od czasu do czasu któryś wysuwał się do przodu i wybierał dziewczynę, najczęściej pstrykając palcami lub wskazując ręką; wtedy ta przestawała tańczyć, chwiejnie schodziła ze sceny i podążała za facetem w stronę któregoś z owalnych boksów.

– Którą bierzesz? – spytał George, a jego gorący oddech uderzył mnie w twarz.

Odwrociłem się do niego i mimo ciemności stwierdziłem, że ma fioletowobrazową twarz. Prawie oczekiwałem, że zaraz, tu, przy mnie, zaciśnie palce na swoim fiucie. Powietrze było gęste i ciężkie, miałem wrażenie, że podłoga się pode mną kołysze. Pokręciłem głową.

– Nie, dzięki, mam dziewczynę.

George się zaśmiał, pokazując idealnie białe zęby.

– Co, wymiękasz? Ja mam żonę i dzieciaki.

Podłoga teraz falowała, jakby budynkiem poruszało trzęsienie ziemi. Czułem, jak żółć podchodzi mi do gardła.

George pochylił się do mnie, żebym go dobrze usłyszał.

– Nimi się nie przejmuj. – Skierował palec na kobiety na scenie. – One to uwielbiają. Szaleją na punkcie seksu. Nie jak normalne baby. To jakieś czarownice, mówię ci.

Próbowałem się cofnąć, ale tuż za mną stał jakiś inny facet. Wyobraziłem sobie George'a w internacie, jak struchlały, ze wstrętem masturbuje starszego chłopaka. Przeniosłem wzrok na kobiety.

– Muszę iść.

Ale George wziął mnie za rękę.

– Nie bądź dupkiem – rzucił ostro. Pstryknął palcami na dwie stojące obok siebie kobiety. – Biorę tę blond – dodał, gdy dziewczyny schodziły ze sceny.

Ta przeznaczona dla mnie wzięła mnie za rękę i poprowadziła w stronę boksu, gdzie zanurkowała pod zasłonę, pociągając mnie za sobą. W środku popchnęła mnie na kanapę, zajmującą połowę miejsca. Siedzenie

pośliznęło mi się na sztucznej skórze i przyszło mi do głowy pytanie, czy gdyby wybuchł tu pożar, ktokolwiek uszedłby z życiem.

Dziewczyna stanęła przede mną z ręką na biodrze, drugie przesadnie wypychając. Buty miała na niemiłosiernie wysokich obcasach, a skośne paski, zasłaniające jej łono, były jaskraworóżowe. Kruczoczarne włosy okalały jej twarz tłustymi falami. Rozmazany makijaż, smród potu i olejku kokosowego dopełniały całości.

– Mamy szampana – powiedziała z silnym akcentem, według mnie wschodnioeuropejskim.

– Okej.

Znowu zanurkowała pod zasłoną, lecz po paru sekundach wróciła. Zauważyłem, że piersi ma małe i wiotkie. Na podbrzuszu srebrzyły się rozstępy, w ogóle jej ciało było nierówne, ziarniste. Zapaliła papierosa, stanęła nade mną i paliła, zaciągając się krótko i gniewnie.

Zasłona się rozdzieliła i do boksu wszedł mężczyzna z butelką czegoś, co wyglądało na wino musujące, Elaine trzymałaby takie na specjalne okazje, oraz dwoma kieliszkami, na których były tłuste ślady palców. Przyniósł też terminal do płatności kartą i podstawił mi go pod nos.

– Sto dwadzieścia cztery funty – oświadczył.

Roześmiałem się. Mógłbym go położyć jednym ciosem, ale stwierdziłem, że gdybym to zrobił, odpowiedzialność spadłaby na kobietę, zapłaciłem więc te chore pieniądze, przesuwając kawałkiem plastiku przez podłużne wycięcie urządzenia. Kiedy facet poszedł, dziewczyna otworzyła butelkę, nalała trunku do kieliszka i podała mi go.

– A ty? – spytałem.

– Nie, nie piję.

Upiłem łyczek. Alkohol okazał się tak słodki, ciepły i ohydny, jak przypuszczałem. Odstawiłem kieliszek.

– Czego sobie życzysz? – spytała dziewczyna.

– Niczego – odpowiedziałem.

Zerknęła na zasłonę.

– Tańczę, liżę i pieprzę albo wszystko naraz.

– Nie, dzięki. – Nie byłem pewny, czy w ogóle zdołam się wydostać z tego przybytku. Miałem wrażenie, że życie, które znałem, już się skończyło i nie było do niego powrotu.

– I tak musisz zapłacić – odparła.

– W porządku. A z czego dostajesz najwięcej?



Spojrzała na mnie jak na idiotę.

– Ze wszystkiego naraz.

– Ile?

– Pięćset.

Wiedziałem, że kłamię, ale mnie to nie obchodziło.

– Nie mam gotówki.

Wzruszyła ramionami.

– To trzysta.

– A ile z tego dostaniesz?

– Pięćdziesiąt. I dwadzieścia za każdą butelkę szampana.

Próbowałem wytrzymać jej niespokojne spojrzenie.

– Zawołaj go, powiedz, że chcemy drugiego szampana i wszystko naraz.

Dziewczyna się uśmiechnęła i zobaczyłem, że ma wyszczerbione przednie zęby. Zniknęła za zasłoną, ale wróciła jeszcze szybciej niż poprzednio. Facet zjawił się z butelką i terminalem. Puściłem w eter czterysta dwadzieścia cztery funty. Ciekawe, jak by taką kasę spożytkowała Elaine?

– Siadaj – powiedziałem, gdy facet sobie poszedł.

Pokręciła głową.

– Zatańczę.

Otworzyłem usta, by zaprotestować, ale ona już zaczęła wyginać się i obracać. Uniosła ręce nad głowę, a ja zauważyłem, że skórę pod pachami ma podrażnioną po goleniu, tak samo jak na łonie. Odwróciła się. Jej ciało na górze ud było nierówne i pofalowane, pod kolanem żółciał duży siniak, a drugi podobny – w połowie łydki. Nie spuszczała rąk z własnego ciała, ugniatała nieistniejące piersi, a usta układała w dziubek. Podeszła do mnie i usiadła mi okrakiem na kolanach, pochyliła się nade mną i zaczęła mnie skubać ustami w ucho. Ciało miała oślizgłe, pomyślałem, że chyba będę musiał spalić ubranie, które mam na sobie.

Nagle poczułem, że zaraz zwymiotuję. Wezbrały we mnie mdłości, boleśnie skręciły się kiszki. Wiedziałem, że gdyby V mnie teraz zobaczyła, nigdy by mi nie wybaczyła.

– Zejdz – warknąłem, ale dziewczyna nadal napierała na mnie jak obłąkana. – Złaż ze mnie! – wrzasnąłem, bo potrzeba, by to przerwać, była tak paląca, że chciało mi się krzyczeć.

Wstałem, pewnie zbyt gwałtownie, niż zamierzałem, bo kobieta poleciała w tył, wylądowała pod ścianą i walnęła w nią głową. Pисnęła, a ja się

przeraziłem, że może złamała rękę.

Chciałem jej pomóc wstać, ale odepchnęła moją rękę i sama się podniosła. Spojrzeliśmy na siebie w migającym, zadymionym półmroku.

– Przepraszam – powiedziałem. – Nie chciałem... prosiłem, żebyś zeszała.

Poczułem dziwną konieczność, by zrozumiała, że nie jestem jak inni, z którymi musi się zadawać noc w noc.

Ale ona minęła mnie i odgarnęła zasłonę.

– Koniec czasu – oświadczyła, wykrzywiając usta.

\*

Następnego dnia po przebudzeniu czułem się zdumiewająco dobrze. Wyszedłem pobiegać i nogi same mnie niosły.

Biegając, rozmyślałem o Stacey – dziewczynce, z którą byłem w pogotowiu opiekuńczym, a którą policja pewnej nocy przywiozła za nagabywanie klientów. Stacey nauczyła nas tego słowa, gdy pracownicy pomocy społecznej i policjanci rozprawiali na jej temat na dole. Miała czternaście lat i twierdziła, że już sama zalicza numerki. Wtedy jej uwierzyłem, ale dziś nie wiem, czy się czasem nie popisowała. Mówiła, że to „rodzinny biznes”, i twierdziła, że jej matka przyjmuje facetów w wynajętym pokoju, w którym razem mieszkają, a ona musi wtedy czekać w przedpokoju. Wylądowała w pogotowiu, bo jeden z facetów spytał jej matkę, ile bierze za Stacey, a matka dźgnęła go nożem. Stacey twierdziła, że potrzebuje pieniędzy na bilet kolejowy i nie wolno jej odwiedzać matki w więzieniu. Przez lata o niej nie myślałem. Teraz miała pewnie ze trzydzieści parę lat, czyli była za stara, by pracować jak dziewczyny, które widziałem poprzedniego wieczora, choć wątpiłem, by życie jakoś specjalnie dobrze ją potraktowało.

Kiedy przyszedłem do pracy, George wsadził głowę do mojego pokoju.

– Wczoraj nawet nie widziałem, kiedy wyszedłeś. Zajefajna była zabawa.

– No – skłamałem, wiedząc, że to jedyna możliwa odpowiedź.

– Dostało mi się w domu. A ty, jak wybrnąłeś?

– Moja dziewczyna wyjechała. To twoja żona wie, gdzie byłś? – Zasady obowiązujące wśród klas wyższych są mi do tego stopnia obce, że za grosz nie potrafię się połapać w ich świecie.

On tylko się zaśmiał.

– Co ty, nie żartuj. Tylko wróciłem trochę późno, cuchnąłem wodą i dymem. Ona zawsze się o to wścieka. Wiesz, jak to baba.

– W jakim wieku masz dzieci?

– Sześć i cztery.

– Dziewczynki czy chłopcy?

– Dziewczynka i chłopiec.

Przestąpił z nogi na nogę, a ja zauważyłem, że na jego bladej skórze perli się warstewka potu. Przemilczałem to, co oboje myśleliśmy, spojrzałem w komputer i zacząłem stukać w klawiaturę, czekając, aż wyjdzie. Kaitlyn pomachała do mnie przez szybę, mijając moje drzwi w drodze na lunch, a ja spiekłem raka na myśl o tym, co by pomyślała, gdyby wiedziała, co wczoraj robiłem.

O drugiej na ekranie wyskoczyło mi przypomnienie: „Wizyta u dr. Lucasa Ellina, 15:00, za godzinę”. Głośno jęknąłem, ale byłem pewien, że zaraz wymyślę jakąś sensowną wymówkę. Nic mnie jednak nie olśniło i godzinę później czekałem przed gabinetem doktora. Miałem wrażenie, że garnitur zrobił się na mnie trochę przyciasny. Czułem, że zaraz będą mi się lepić dłonie.

Trzeba przyznać, że firmowy lekarz urzędował dyskretnie, bo dowiedziałem się o jego istnieniu, dopiero gdy wspomniał o nim prezes, lecz mimo to niepokoiłem się przed wizytą. Gabinet urządzony był zupełnie inaczej niż pokoje biurowe w budynku: bladoniebieskie ściany, biurko ze szklanym blatem, więc widziałem wyciągnięte na krześle ciało doktora. Na biurku stał tylko jeden komputer, w dodatku wciśnięty w róg niczym mało istotny dodatek. Zamiast na krześle miałem usiąść na miękkim fotelu z wysokim oparciem i poduszką. W kącie stała okazała paproć, obok niej – regał wypełniony książkami i papierami.

Kiedy wszedłem, doktor wstał i wyciągnął do mnie rękę nad blatem. Uścisnąłem ją tak stanowczo, jak byłem w stanie.

– Siadaj, Mike – powiedział. – Cieszę się, że przyszedłeś.

– Nie wiedziałem, że mam wybór – odparłem i przycupnąłem na skraju fotela.

Doktor Ellin się zaśmiał i też usiadł. Raczej nie był ode mnie starszy.

– Powiesz mi, co cię do mnie sprowadza?

– Prezes.

Znowu się zaśmiał, ale nie rozumiałem, co było w tym śmiesznego.

– Tak, wiem, ale mam na myśli, co go do tego skłoniło.

– Podniosłem głos na jednego z naszych klientów.

Doktor wsunął na nos okulary, które do tej pory miał na czole, i spojrzał w leżące przed nim notatki.

– Widzę, że nazwałeś Daniela Palmera „pierdolonym bezużytecznym śmieciem, któremu brakuje jaj”.

Poczułem rumieniec na policzkach.

– Tak, to było z mojej strony bardzo niegrzeczne. Nie wiem, co mnie napadło.

– Często ci się zdarza nie panować nad gniewem?

Doktor Ellin pochylił się do przodu nad biurkiem. Widziałem, że nogi ma swobodnie skrzyżowane w kostkach. Ogarnęła mnie gwałtowna chęć, by go strzelić w twarz – w ramach odpowiedzi, bo innej nie było.

– Jest coś śmiesznego w tym pytaniu?

Przestałem się uśmiechać – nawet nie wiedziałem, że do tej pory uśmiech nie schodził mi z twarzy.

– Nie, przepraszam. Oczywiście nie.

– Nasz prezes, lord Falls, zauważył ostatnio, że jesteś rozkojarzony. Masz doskonałe referencje ze Schwarza, ale u nas na razie nie powtórzyłeś sukcesu. Co o tym sądzisz?

Pomyślałem, że pytanie jest podchwytliwe.

– Cóż. Dopiąłem Hectora i teraz kończę Spectre.

Ellin skinął głową.

– A może trudno ci się tu odnaleźć po powrocie ze Stanów?

– Nie – odparłem. Słyszałem własny podniesiony ton. – Mieszkam w Londynie, chciałem tu wrócić. Jeżeli już, to w Nowym Jorku trudno było mi się odnaleźć.

– Łatwo zawierasz znajomości, Mike?

Chciałem zapytać, czy muszę tu dalej siedzieć, ale wiedziałem, że nie mogę.

– Łatwo. Na przykład wczorajszy wieczór spędziłem z paroma kolegami z firmy.

Zastanawiałem się, co pomyśli pan doktor, kiedy mu powiem, gdzie byliśmy. Pewnie znowu się zaśmieje i nie da nic po sobie poznać. Wiedziałem, że to ja jestem uważany za dziwnego, bo podnoszę głos, natomiast zachowanie George’a w klubie jest powszechnie uznawane za normalne. Nagle pomyślałem o Kaitlyn i o jej słowach, że oboje jesteśmy

outsiderami. Chciałem, by V mi to wytłumaczyła, by pomogła mi zrozumieć.

– Mam tu w papierach informację, że wychowałeś się w domu dziecka – powiedział doktor i złożył ręce na wysokości twarzy, stykając ze sobą czubki palców.

– A skąd to wiadomo? – Znajome ukłucie wstydu przeszło mnie jak szklana drzazga.

– Lubimy wiedzieć, kogo zatrudniamy w firmie. Nie odbieraj tego źle, to nie osąd. Po prostu staram się zrozumieć twoją sytuację. Zależy nam, aby nasi pracownicy byli jak najbardziej zadowoleni.

Miałem wrażenie, że patrzę na niego spod lustra wody.

– Przez pierwsze dziesięć lat życia mieszkałem z matką, potem parę lat w domu dziecka, a potem w rodzinie zastępczej – aż do studiów.

– Na pewno nie było ci łatwo.

Mogłem się założyć, że doktor Ellin nie ma bladego pojęcia o tym, jak było mi ciężko. Skończył pewnie tę samą szkołę co George, prezes i połowa tej pieprzonej firmy.

– Nie, tak naprawdę miałem szczęście. Trafiłem do fantastycznych rodziców zastępczych, Elaine i Barry’ego.

– Dlaczego odebrano cię od matki?

Uniosłem wzrok ponad głowę doktora i spojrzałem za okno, myśląc sobie, że mogę po prostu wstać i stąd wyjść. Nie tylko z tego pokoju, nawet z budynku.

– Matka miała problem z alkoholem.

Nic nie powiedział, czekał, aż zdradzę więcej, ale ja milczałem. Nic mu do tego.

– Zachowywała się agresywnie?

Niebawem, że ludziom takim jak Lucas Ellin płaci się za wyciąganie tak oczywistych wniosków.

– Nie.

– A rodzice zastępczy? Jak ci się z nimi układało?

– Bardzo dobrze. Teraz też. Nawet niedawno byłem u nich w niedzielę na obiedzie. – Poprawiłem się w fotelu. – Nie rozumiem, jak to wszystko ma się do sprawy. Owszem, poniosło mnie. Przepraszam. Wiem, że źle się zachowałem.

Doktor Ellin świdrował mnie spojrzeniem.

– Rozmawiałaś z kimś o swoim dzieciństwie?

– Tylko z dziewczyną.

Uniósł lekko brwi.

– O, masz dziewczynę? Mieszkacie razem?

– Tak. To znaczy chwilowo nie.

– Rozstaliście się?

– Nie, niezupełnie. – Fotel stał się niewygodny. Jakby tylko kiepsko naśladował mebel, którym mógłby być.

– Wiesz, że odezwałeś się do pana Palmera w sposób niedopuszczalny? Że nie zawsze można mówić to, co się myśli?

Teraz była moja kolej, żeby się zaśmiać.

– Ależ oczywiście. Miałem gorszy dzień, a on mnie dodatkowo wkurzył. Dorosły facet, a mazał się jak baba.

Ellin stukał palcami w palce.

– Dorosły facet, który traci firmę, stworzoną od zera, i dorosły facet, który czuje się odpowiedzialny za swoich zwalnianych pracowników. To ciekawe, że takie rzeczy cię wkurzają.

Miałem wrażenie, że jestem w piekle albo przynajmniej bardzo blisko – siedziałem w gabinecie u niby-życzliwego doktora i udzielałem złych odpowiedzi na jego pytania. Wiedziałem, że muszę znaleźć słowa, które sprawią, że się zamknie.

– Jeżeli mam być szczery, to tamta sytuacja nie miała nic wspólnego z panem Palmerem. Poprzedniego dnia wyprowadziła się ode mnie dziewczyna i byłem w psychicznej rozsypce. Ale teraz już wszystko gra. Pogodziliśmy się.

Usłyszawszy to, doktor wyraźnie się rozluźnił. Miał już jakiś konkretny przedmiot do przedstawienia prezesowi.

– A to, że ktoś cię opuszcza, jest dla ciebie wyjątkowo trudnym przeżyciem, prawda? Przywołuje uczucia, o których wolałbyś na zawsze zapomnieć.

Roześmiałbym mu się prosto w tę głupią gębę, gdyby nie to, że potrzeba natychmiastowego opuszczenia jego gabinetu urosła do rangi palącej konieczności. Zadowolilem się więc spuszczeniem głowy i przytaknięciem.

– Myślę, że dobrze by ci zrobiło, gdybyśmy spotykali się regularnie.

– Czy ja wiem?

– Przepiszę ci też lekarstwo, które pomoże ci się odprężyć. Masz problemy ze snem?

– Nie. I nie potrzebuję lekarstwa.

Ale doktor już coś pisał.

– Nie ma się czego wstydzić. Połowa ludzi w tej firmie coś przyjmuje.

Pomachał mi przed oczami receptą, a ja wyciągnąłem rękę, wziąłem ją, złożyłem na pół i schowałem do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– I pamiętaj, przyjmuję tu prywatnie i taki też charakter miało nasze spotkanie. Wszystkie informacje, które tu padły, są objęte tajemnicą i nie przedostaną się do twoich dokumentów – na wypadek, gdyby cię to niepokoiło.

Nie rozumiałem, dlaczego to mówi, więc nie odpowiedziałem.

Doktor zerknął w kalendarz.

– To co, za tydzień o tej samej porze?

– Sprawdzę, czy mogę, i dam znać.

Cóż, jeżeli będą ode mnie oczekiwać cotygodniowych spotkań z lekarzem, trzeba będzie zmienić pracę. Żeby taki debil grzebał mi w mózgu i wyciągał z tego chybione wnioski, bo studiował psychologię, której każdy pawian by się nauczył z byle podręcznika. Jedyną osobą, której w głębi duszy szczerze ufałem, była V. Wstałem zniecierpliwiony jak dzieciak, który chciałby być wszędzie, tylko nie tu. Ale Ellin przedłużał pożegnanie i krew się we mnie gotowała, kiedy wreszcie od niego wyszedłem.

Tego dnia Kaitlyn wychodziła z pracy jednocześnie ze mną. Wątpiłem, aby to był przypadek. Zamierzałem wprowadzić iść po V, ale nie mogłem wymyślić żadnego powodu, dla którego nie miałbym wracać prosto do domu, ruszyłem więc do metra z Kaitlyn. W wagonie gadała o jakichś bzdurach, więc się wyłączyłem, patrzyłem tylko na jej usta, które poruszały się w dół i w górę. Jej oczy otaczały ciemne, niebieskawe kręgi, jakby ktoś ją uderzył.

– Zrobiłam wczoraj za dużo zapiekanki – powiedziała, kiedy wyszliśmy na Clapham High Street. – Może miałbyś ochotę wpaść i pomóc mi ją zjeść? Ale ostrzegam, jest wegańska.

W pierwszej chwili się zawahałem, ale w oczach Kaitlyn błysnął smutek i rozpaczliwa nadzieja, że nie zostanie odrzucona. Zresztą, pomyślałem sobie, jak wrócę do domu, to co będę robił? Lodówkę też miałem pustą.

– Z chęcią, dzięki – odpowiedziałem.

Kaitlyn mieszkała w dużej kamienicy z oknami wychodzącymi na park. Zanim zdążyła włożyć klucz do zamka, w środku już się rozległ psi jazgot.

„Sąsiedzi muszą jej nie cierpieć”, pomyślałem. Pies wypadł zza drzwi, kiedy tylko się otworzyły, skoczył na nią i wylizał jej całą twarz. Uznałem, że to obrzydliwe. Kaitlyn udawała, że tego nie chce, ale widziałem, że tak naprawdę sprawiało jej to wielką przyjemność – nawet kiedy mały różowy język dotykał jej ust.

– Przepraszam za bałagan – rzuciła, kiedy weszliśmy do salonu, co było idiotyczne, bo w mieszkaniu panował idealny ład. – Siadaj, zdejmij marynarkę, przyniosę coś do picia.

Salon Kaitlyn był prawie równie blady jak ona sama i oszczędnie urządzone, miało się wrażenie, że wszystko zostało dobrane z największą starannością. Jedynym kolorowym akcentem – jeżeli czarny w ogóle można nazwać kolorem – był wykonany spod szablonu napis na ścianie nad kanapą. Wykręciłem szyję, żeby go przeczytać: „W każdym z nas ukryty jest dziki rumak”<sup>1</sup>.

– Virginia Woolf – wyjaśniła Kaitlyn, wręczając mi kieliszek wina.

V nienawidziła wszelkich haseł i sloganów, a ja lubiłem się z nią drażnić i kupowałem jej kartki pocztowe lub metalowe tabliczki z różnymi cytatami. Miała cztery ulubione:

*Snuj marzenia tak, jakbyś miał żyć wiecznie; żyj tak, jakbyś miał umrzeć dziś.*

*Pesymista widzi trudności w każdej okazji, optymista – okazje w każdej trudności.*

*Nieważne, jak długo szedłeś w złym kierunku – w każdej chwili możesz zawrócić.*

*Kary nie dostaje się za grzechy, to grzechy są karą.*

„Czy ktoś w ogóle wierzy w te bzdury – pytała. – To znaczy, czy komukolwiek mogą pomóc przypadkowe słowa ustawione przez jakiegoś głupka w jakiejś tam kolejności?”

– Masz ulubionego pisarza? – spytała Kaitlyn, siadając obok mnie. Śnieżka natychmiast wskoczyła jej na kolana, a Kaitlyn zaczęła ją drapać pod brodą. Miałem nadzieję, że przed jedzeniem planuje umycie rąk.

– Nie wiem, ale Verity lubi Virginię Woolf.

Nie potrafiłem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czytałem książkę. V czasem żartowała, że jestem prostakiem, i nagle zrobiło mi się gorąco. Ciekawe, czy Angus lubi czytać. Czy czytają sobie nawzajem w łóżku?



– Mówiłeś, że już prawie się dogadaliście – ciągnęła Kaitlyn.

Spojrzałem w jej twarz, na której malowało się wyczekiwanie, i przyszło mi do głowy, jak to musi być – żyć w takim nieatrakcyjnym ciele.

– Dogadujemy się. Damy radę.

– Od jak dawna jesteście razem?

Udałem, że się zastanawiam.

– Dziewięć lat.

– To znaczy poznaliście się na studiach?

– Tak. – Oboje upiliśmy wina. „Kiedy ktoś ci zada pytanie, sam też powinienes mu je zadać”, uczyła mnie V. – A ty? Masz kogoś?

– Może, może. Za wcześnie, żeby o tym mówić – zaśmiała się.

– Jeżeli chodzi o mnie, mieszkałem do tej pory tylko z Verity.

Odwróciła się do mnie.

– No, ale czego więcej trzeba? Człowiekowi wystarczy jeden człowiek.

Uśmiechnąłem się, bo całkowicie się z nią zgadzałem.

– Czasem się zastanawiam, po co w ogóle to wszystko, mam na myśli pracę, robienie kasy. Za zeszłoroczną premię mogłabym sobie kupić duży dom, ale po co mi? Żebym sama się po nim tłukła, ja jedna?

Pomyślałem o moim domu i zrobiło mi się nieswojo.

– Mogłabyś go potraktować jako inwestycję.

– Niby tak – odparła dość ostro.

Dotarł do nas lekki zapach spalenizny. Kaitlyn zerwała się z miejsca.

– Chodźmy do kuchni, tam zjemy.

Ruszyłem za nią do kolejnego jasnego pomieszczenia, którego jedną ścianę zajmowały białe szafki, a środek – biały stół otoczony białymi krzesłami.

– Otwórz jeszcze jedno. – Pokazała na stojak pełen butelek wina.

Wybrałem dobre i wyciągnąłem korek, który wydał przyjemne pyknięcie. Znowu usiedliśmy obok siebie przed talerzami parującej zapiekanki, a ja napełniłem kieliszki. Pachniało tak dobrze jak w domu.

– A wiesz, ja myślę, żeby to wszystko rzucić – odezwała się Kaitlyn. – Żeby rozkręcić jakiś biznes gdzieś nad morzem i zacząć lepsze życie.

– A gdzie? – spytałem. V uczyła mnie, że nie wolno dmuchać na jedzenie, więc czekałem, aż przestanie parować.

Kaitlyn wzruszyła ramionami.

– Wszystko mi jedno. Lubię morze.

Jedzenie tak pachniało, że szkoda było czekać, nabrałem więc porcję na widelec i podniosłem do ust. Kaitlyn zrobiła to samo, wcześniej mocno podmuchawszy.

– Czemu się uśmiechasz? – spytała.

– Zawsze mnie uczyli, że nie wolno dmuchać na jedzenie.

– To samo powtarzała moja mama. Ale wiesz.

– A jaki biznes?

Pomyślałem, że Kaitlyn lepiej wygląda, jak jest czymś zaabsorbowana.

– Tego też jeszcze nie wiem – roześmiała się. – Może jakąś cukiernię retro, gdzie można kupić myszki z białej czekolady i cukierki rabarbarowo-budyniowe. Które stoją na ladzie w takich dużych przezroczystych słojach. Nabiera się je szufelką i waży.

Zapiekanka była taka smaczna, jak przewidywałem. Niczym miód na mój wdzięczny żołądek.

– Nie mów, że sam o tym nie myślałeś. Żeby rzucić tę pracę.

– Mam taki zamiar, żeby przejść na emeryturę w wieku czterdziestu pięciu lat.

– Ale to jeszcze kupa czasu.

– No, piętnaście lat.

– Właśnie.

Kiedy tak to ujęła, wydało mi się to wiecznością.

– Znałeś kogoś w Nowym Jorku, zanim tam pojechałeś?

– Nie.

– I jak to zniosłeś?

– Źle.

Kaitlyn miała w sobie coś, dzięki czemu łatwo się z nią rozmawiało.

Odłożyła widelec, choć talerz nadal miała prawie pełny.

– Czemu?

– Głównie przez samotność. Strasznie tęskniłem za Verity.

Policzki jej się trochę zarumieniły.

– Szczerze, to w ogóle nie rozumiem, czemu tam pojechałeś. Skoro ona nie mogła.

– Ja... My... – zacząłem, ale się zaciąłem, bo sam do końca nie znałem odpowiedzi. Nie potrafiłem powiedzieć, czemu V uważała, że to taki świetny pomysł. – Nie wiem. To było korzystne dla mojej kariery.

Kaitlyn nie spuszczała ze mnie wzroku.

– Boże, ale nie sądzisz, że w życiu chodzi o coś więcej? O coś, na co wszyscy czekamy?

– To znaczy?

Znowu dołałem nam wina.

Kaitlyn oparła się o krzesło. Trzymała kieliszek blisko ciała.

– Wiem, że to banał, ale kiedyś widziałem wywiad z Joan Collins i dziennikarz ją spytał, czy ona zawsze tak świetnie wygląda. Co dzień. Ona na to, że tak, bo przecież życie nie jest próbą generalną.

Upiła kolejny łyk wina i podniosła na mnie wzrok. Oczy jej błyszczały.

– A ja mam wrażenie, że całe życie jestem na cholernej próbie generalnej i ciągle czekam, aż zacznie się ta prawdziwa część. A to jest cholernie bez sensu.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Czułem, jak pod cienką koszulą bije moje serce, jak odmierza uderzenia na swej zapomnianej ścieżce. Pomyślałem o V, która żyje teraz po swojemu, siedzi pewnie z Angusem przy kuchennym stole, a ja tu – z Kaitlyn, i nagle mnie to wszystko przeraziło. Bo co my w ogóle robimy? Po co tak udajemy?

Poczułem dłoń Kaitlyn na mojej dłoni. Spuściłem wzrok – na tle mojej różowej skóry jej była taka blada. Prześwitywały przez nią niebieskie żyłki, rozprawdzające krew po całym ciele. Uderzyło mnie, jaka jest krucha, jak łatwo byłoby ją uszkodzić.

Wyciągnąłem dłoń spod jej dłoni.

– Chyba będę się zbierał.

– Przepraszam. Ja tylko...

– Nie, nie chodzi o ciebie.

Lekko się uśmiechnęła.

– Nie, Mike, nie. To znaczy: naprawdę cię lubię, ale wiesz, nie chodzi o...

– Nie mogę – zacząłem.

– Wiem, że nadal kochasz Verity. – Spojrzała na mnie, powieki jej leciutko drżały. – Ale kiedy obserwuję to z boku, nie wydaje się, że jesteś przy niej aż taki szczęśliwy.

– Jestem przy niej bardzo szczęśliwy – uciałem, choć sam słyszałem w tym echo absurdu.

– Szczęście to coś dziwnego, nie? Chyba niekiedy mylimy uczucia – myślimy, że czujemy szczęście lub miłość, a tymczasem okazuje się, że jest na odwrót, czujemy coś przeciwnego.

Głupio było to powiedzieć na głos, ale nasunęła mi się myśl, że kobiety w stylu Kaitlyn często coś takiego czują. Wstałem.

– Słuchaj, wielkie dzięki za kolację. Przepyszna.

Kaitlyn się zaśmiała.

– Nie, no, serio. Przepraszam. Jest szansa, że to nie popsuje naszej znajomości? – Nie wiem, co mnie naszła za ckliwość i w ogóle dlaczego mnie to obchodziło, ale serce mi się ścisnęło na widok jej drobnej figurki na krześle, z psem obwąchującym podłogę pod nogami. Zapragnąłem otoczyć ją ramionami i uścisnąć, ale oczywiście tego nie zrobiłem, żeby jej do niczego nie zachęcać.

Ona też wstała i ten ruch chyba pomógł jej poskromić emocje.

– Nie, to ja przepraszam, Mike. Chyba trochę za dużo wypiałam. Jasne, że nadal będziemy przyjaciółmi, no co ty.

Odprowadziła mnie do drzwi, niezręcznie pocałowaliśmy się w oba policzki i potykając się o własne słowa, unieśliśmy ręce w głupim geście pożegnania.

Wyszedłszy na dwór, zaczerpnąłem dużo powietrza i spojrzałem w niebo, na gwiazdy, a raczej to, co z nich było widać przez smogową mgiełkę. Czułem jakiś niepokój, jakby coś we mnie drgało i pobrzękiwało, więc zacząłem iść. Początkowo nie przyznawałem się sam przed sobą, dokąd idę, ale w końcu przyjąłem do wiadomości to, że nogi same mnie niosą w stronę Kensington. Deptałem brudne, oblepione gumami do zucia chodniki, przestępowałem nad czymś, co przypominało ludzi zawiniętych w zapyziałe śpiwory, leżących na kawałkach tektury. Nie wśród gołych dziewczyn na scenie – tu, między tymi bezdomnymi prędzej znalazłbym matkę.

Słowa Kaitlyn tłukły mi się po głowie jak kulka po automacie do gry. Wiedziałem, że były cenne, ale ich znaczenie gdzieś mi uleciało. Nie potrafiłem rozsądzić, czy udzieliła mi jakichś wskazówek, a jeżeli tak, to czy były one warte wysłuchania. Nie wiedziałem, czy miała rację. Może nie. To V musiała mi to powiedzieć. Tylko ona była w stanie wytłumaczyć mi świat.

Dom V stał ciemny, światło paliło się tylko nad drzwiami. Żaluzje były spuszczone, a zasłony – zasunięte, oprócz kuchni, ale tam też panował mrok. W stali i betonie odbijało się światło księżyca. Wiedziałem, że V jest w środku, choć nie pozwoliłem sobie zgadywać, co robi. Zerknąłem na

zegarek, była prawie północ, a to poprawiło mi humor. V na pewno już spała, może nawet śniła o mnie.

Przeszedłem na drugą stronę ulicy i oparłem się o obrosnięty bluszczem mur, pod którym zatrzymywałem się już wcześniej. Spojrzałem w okno, w którym kiedyś V zasuwiała zasłony, i tak intensywnie odczułem jej obecność, że odniosłem wrażenie, iż frunę do niej przez okno. Wyobraziłem sobie brzęk szkła i krzyki Angusa, poczułem jej dotyk, bo wziąłem ją w ramiona i razem odlecieliśmy do naszego gniazda, na szczyty gór. Myślałem, że zaczęło padać, ale nagle odkryłem, że płaczę – gwałtownie i obficie.

Anna, ogrodniczka, zadzwoniła następnego dnia rano i spytała, czy dałem radę zerknąć na propozycje roślin, które mi wysłała. Przyznałem się, że nie, ale powiedziałem, że zaraz się tym zajmę, i jeszcze podczas rozmowy otworzyłem jej mejla. Nie znałem ani jednej nazwy w spisie roślin, które wybrała, więc zmarnowałem całą godzinę na wyszukiwanie zdjęć. Bynajmniej nie sprawiło mi to frajdy. Cała operacja mocno mnie wkurzyła, bo powinienem był wiedzieć, które rośliny lubi V. W końcu kazałem Annie zrobić, jak sama uważa. „A jakie kolory – spytała – bo myślałam o żółtym i różowym?”. Natychmiast stanęła mi przed oczami suknia matki panny młodej i powiedziałem Annie, że nie, żółty absolutnie nie. Ustaliliśmy więc, że niebieski i biały.

Kaitlyn na mój widok spiekła raka i spuszczała wzrok za każdym razem, kiedy mnie mijała, co też nie poprawiło mi nastroju. Uświadomiłem sobie, że bez niej nie mam nikogo, z kim mógłbym pogadać.

Po lunchu napisałem do niej na Messengerze:

Dzięki za kolację. Było naprawdę miło.

Spoko. Szkoda, że tyle gadałam.

Co Ty. Nic się nie stało. Nie chcę, żeby było drętwo.

Nie jest.

Uff, dzięki.

Ale może lepiej pomyśl, czy związek, w którym jedna osoba trzyma wszystkie karty, jest na pewno zdrowy.

???

Po prostu ona ma Cię w garści. Musisz bardziej zaufać sobie.

Ufam.

Przepraszam, to nie moja sprawa.

W porządku. Więc między nami wszystko gra?

Gra x

Dziwne, bo to, co mówiła Kaitlyn, powinno mnie wkurzyć, a tymczasem dziwnie mnie rozanieliło.

Wysłałem też mejla do Daniela Palmera i serdecznie go przeprosiłem za swoje słowa. Wyjaśniłem, że czasem nie wytrzymuję napięcia związanego z pracą, a zwalnianie pracowników jest niezwykle przykrą konsekwencją całej operacji. Dodałem też, że miałem problemy osobiste i skierowałem do niego słowa, które w rzeczywistości miałem ochotę adresować do samego siebie. Wyraziłem nadzieję, że mi wybaczy, że przezwyciężymy trudności i znajdziemy najlepsze wyjście dla niego i jego pracowników.

Godzinę później zadzwonił prezes. Cieszył się, że moja wizyta u doktora Ellina okazała się owocna. Pragnął mnie też zapewnić, że moja praca jest oceniana jak najwyżej i że ludzie zatrudnieni w Bartleby lubią o sobie myśleć bardziej jak o rodzinie niż firmie. Jedynym zaś powodem, dla którego skierował mnie do doktora Ellina, była troska o moje dobro. Nasza relacja zawodowa nie zakładała, jak ufał, krótkotrwałej współpracy, tylko uwzględniała dłuższą perspektywę. Rozumiał, że przeżywam problemy natury osobistej i być może dlatego nie pokazałem się od najlepszej strony, ale sposób, w jaki sobie z tym poradziłem, wywarł na nim ogromne wrażenie. Ja mamrotałem i przytakiwałem we właściwych miejscach. Zdawało mi się, że kiedy skończyliśmy rozmowę, prezes był zadowolony.

„Wszystko jest grą – mówiła często V – i tylko głupi o tym zapominają”.

\*

Kiedy tego wieczora V wyszła z pracy, miała na sobie niebieską sukienkę w białe kwiaty. Serce skoczyło mi w piersi, i to z dwóch powodów: po pierwsze, kupowaliśmy tę sukienkę razem w małym sklepiku na Brooklynie, a po drugie, miałem rację, każąc Annie zasadzić białe i niebieskie kwiaty, czyli znałem gust Verity lepiej, niż sądziłem. A może po prostu działała między nami telepatia. Może V do mnie mówiła, kiedy siedziałem przy biurku, tylko nie wiedziałem.

– V! – krzyknąłem i wyskoczyłem z baru na ulicę.

Ona odwróciła się i lekko skrzywiła.

– Boże, Mike, co ty tutaj robisz?

– Chciałem tylko spytać, czy znajdziesz dla mnie chwilę. Chciałbym pogadać.

Rozejrzała się.

– Specjalnie przyszedłeś?

– Tak. Zależy mi, żeby z tobą porozmawiać.

Stała bez ruchu, jej stopy stanowczo tkwiły w tym samym położeniu.

– O czym?

Nie spodziewałem się trudności w namówieniu jej na krótką rozmowę.

– O mejlach. I innych sprawach.

– Ja... – Spuściła wzrok, potem go podniosła. – Nie wiem, Mike, czy to dobry pomysł.

– Proszę cię, tylko na chwilę. Muszę ci coś powiedzieć, parę rzeczy.

Przygryzła policzek od środka, jak zawsze, gdy się zastanawiała, i lekko wykrzywiła usta.

– Dobra, ale szybko.

– Tu blisko jest libańska restauracja.

– Wystarczy ten bar. – Wskazała palcem na mój bar po drugiej stronie ulicy.

Myśl, że mam tam z nią wejść i przemieszać obrazy z wyobraźni z rzeczywistością, była koszmarna, ale wyczułem, że sytuacja jest napięta, i pozwoliłem się poprowadzić w tamtą stronę. V zamówiła wódkę z tonikiem, więc wziąłem to samo. Zaniósłem drinki do stolika w rogu, jak najdalej od tego mojego przy oknie.

Kiedy usiedliśmy, zauważyłem, że ciągle nosi orła na szyi, i serce radośnie we mnie skoczyło. Miała rozpuszczone włosy, wyglądała tak pięknie, że zakręciło mi się w głowie. Chciałem wyciągnąć rękę i jej dotknąć, przekonać się, czy jest z krwi i kości jak pozostali ludzie.

– Więc? O co chodzi? – spytała zmęczonym głosem.

– Chciałem cię tylko przeprosić za tamtego mejla, którego napisałem, kiedy byłaś w podróży.

– Którego?

– Pierwszego, oczywiście.

– To uważasz, że za tego drugiego nie musisz przeproszać? Tego, w którym pisałeś, żebym odeszła od Angusa?

– Wiem, że sądzisz, że go kochasz.

Zaśmiała się głucho.

– Wiem, że go kocham.

– Raczej nie. Wydaje mi się, że nadal kochasz mnie.

Spojrzeliliśmy na siebie nad stołem. Przyszło mi do głowy, że dla obcych wyglądamy jak para. Zawsze żyliśmy we własnej bańce, ona i ja – my jako jedno kontra ci wszyscy okropni ludzie wykluczeni z naszej gry.

– Mike – powiedziała. – Ja kocham Angusa.

– Wiem, że dotkliwie cię zraniłem, i jeżeli trzeba, nigdy nie przestanę cię przeproszać. Ale ty nie kochasz Angusa. Stosujesz go jako lek na rozstanie.

Jej spojrzenie drgnęło.

– Mike, dobrze się czujesz? Martwię się o ciebie.

– Jeśli w tej chwili nie jesteś w stanie przyznać, że mnie kochasz, to czy możesz chociaż powiedzieć, że mnie kiedyś kochałaś?

Upiła drinka, zostawiając na brzegu szklanki niemal niedostrzegalną warstwę śliny. Musiałem się siłą powstrzymać, by jej nie zlizać.

– Oczywiście, że cię kochałam, nie musisz pytać.

– Ale miłość się nie kończy. Musisz mnie nadal kochać.

Patrzyła w stół.

– Ale miłość się zmienia, prawda?

– Nadal cię pragnę – spróbowałem, bo nie wiedziałem, co miała na myśli. Przecież miłość nigdy się nie zmienia.

– Przestań – rzuciła ostro, wręcz rozpaczliwie. Jej pierś wznosiła się i opadała, wznosiła się i opadała.

– Moglibyśmy się wybrać do Kitten Clubu. Angus by z tobą nie poszedł, ale ja pójdę.

– Boże, Mike, daj spokój – powiedziała, ale oddech jej przyspieszył.

– To, co nas łączyło, nie znikło ot tak. Wiem, że pamiętasz, jak było ze mną w łóżku.

– Dość.

Wiedziałem, że przeholowałem. Zdenerwowany orzeł trzepotał wokół jej szyi.

– Przepraszam, nie powinienem był tego mówić.

– Musisz z tym skończyć, Mike. Dla naszego wspólnego dobra.

– Grasz z Angusem w Pragnę? – spytałem. Czułem, że mgła, która mnie przenika, zaczyna się nade mną unosić.

– Na miłość boską, nie bądź śmieszny.

Wstała, ale złapałem ją za nadgarstek, więc znowu usiadła.

– Przepraszam. Po prostu chcę, żebyś była szczęśliwa.

– Jestem.



– Nie, mam na myśli prawdziwe szczęście. Ze mną. A nie to udawane z Angusem.

– Czemu myślisz, że jest udawane? – W jej oczach zobaczyłem szczere pytanie.

– Bo ty byś się tak szybko nie zakochała i nie urządziłabyś sobie takiego durnego wesela. Nie jesteś taka.

Rozmazywała palcem po stole odrobinę rozlanej wódki.

– Może nie wiesz, jaka jestem. Może ja sama nie wiedziałam, jaka jestem, dopóki nie poznałam Angusa. Może ty też jeszcze nie wiesz, jaki jesteś.

Nie spodobały mi się te słowa. Przeszyły mnie na wylot jak pocisk – aż chciałem odruchowo spojrzeć i sprawdzić, czy nie krwawię.

– Nie jestem twoją matką, Mike. Ja cię nie odrzucam. To, co nas łączyło, było wspaniałe i wyjątkowe, ale już się skończyło. Musisz żyć dalej.

Zaciskałem dłoń na szklance i czułem pieczenie pod powiekami.

– Nie mów tak.

Z wysiłkiem przełknęła ślinę, orzeł podskoczył.

– Słuchaj. Angus na parę dni wyjeżdża, ale jak wróci, przyjdź do nas, porozmawiamy we troje. Może zrozumiesz, że nasze małżeństwo to nie fałsz.

– Nie, dzięki.

Nie potrafiłem sobie wyobrazić nic gorszego niż rozmowa z tą małpą Angusem.

V westchnęła i wstała, tym razem powoli.

– Pójdę już.

Pozwoliłem jej wyjść, a sam siedziałem i patrzyłem w płyn drżący w mojej szklance. Nienawidziłem wódki i tego, jak podstępnie działa. Że wygląda jak woda, a jest bardzo mocna. Wychyliłem ją teraz jednym haustem, a ona natychmiast pobudziła mnie i naładowała.

Nie miałem już wątpliwości, że V, żeby ochronić się przed bólem, jaki jej zadałem, zbudowała sobie wokół Angusa fantastyczną wizję. Chyba udało jej się na nią nabrać nawet siebie. Ta myśl mnie przeraziła, bo jak komuś pokazać, że to, w co wierzy, jest ułudą?

Skończyłem swojego drinka, a potem sięgnąłem po szklankę V i też ją opróżniłem. Musiała w niej zostawić część siebie, bo kiedy wypilem, doznałem olśnienia, jakby uszy i oczy nagle mi się otworzyły. Zrozumiałem, że jestem idiotą. „Angus na parę dni wyjeżdża”, powiedziała.

Na miłość boską, jeśli to nie było zaproszenie, by się spotkać podczas jego nieobecności, to nie mam pojęcia, co to mogło być!

\*

Następnego dnia była sobota. Z samego rana zadzwoniła Elaine z informacją, że wybiera się do Londynu i czy mogłaby skorzystać z mojego zaproszenia i wpaść na herbatę. Byłem trochę niezadowolony, bo rozważałem, czyby się nie wybrać do Verity, ale stwierdziłem, że chyba lepiej to zrobić w niedzielę, więc powiedziałem, że tak.

Przyjechała tuż po lunchu i chyba jej wizyta w Londynie nie miała konkretnego celu. Obeszła cały dom, w każdym pokoju wznosząc okrzyki zachwytu. Uświadomiłem sobie, że jest pierwszą osobą – oczywiście prócz mnie, budowlańców i architektów wewnątrz – która od czasu, gdy tu zamieszkałem, weszła na górę. Kiedy to odkryłem, pożałowałem, że nie wymyśliłem jakiejś wymówki, na przykład, że jestem zajęty, bo to V powinna pierwsza zobaczyć swój nowy dom, a nie jej, że tak powiem, przyszła teściowa. Elaine zatrzymywała się jednak w każdym pomieszczeniu, przesuwała dłonią po meblach, otwierała drzwi i szuflady, włączała światła, a nawet – co uznałem za dziwaczne – odkręciła jeden kran. Gdyby zaczekała jeszcze dosłownie parę tygodni, pomyślałem, oprowadzilibyśmy ją razem z V i byłoby znacznie, znacznie przyjemniej.

Ogrodem, co było do przewidzenia, się nie zachwycała, bo nadal panował tam bałagan. Ja już wiedziałem, jak będzie wyglądał, ale Elaine należy do osób, które nie cierpią niczego zmieniać bez potrzeby, podobnie jak wyrzucać. Dlatego u niej w lodówce zawsze stoją poprzykrywane folią talerze, w szufladzie odklejone nad parą nieostemplowane znaczki pocztowe, a papieru do pisania czy rysowania się nie kupuje, dopóki stary nie został zużyty po obu stronach. Obok zegara w kuchni wisi hasło: „Nie marnuj, a nie będziesz w potrzebie” – wypisz wymaluj, jak sobie uświadomiłem, przodek dzikich koni u Kaitlyn. Myśl ta ucieszyła mnie i zaniepokoiła zarazem.

Usiedliśmy z herbatą w kuchni. Elaine twierdziła, że nie chce iść do salonu, bo się boi, że mi coś zaleje. Kupiłem w delikatesach jakieś eleganckie babeczki, jedną nadgryzła, ale chyba nie przypadła jej do gustu.

– No, to wreszcie zobaczyłam na własne oczy, jak mieszkasz – powiedziała Elaine, rozglądając się po kuchni.

Dom widziany jej oczami wydawał się arogancki – wiedziałem, że tak będzie. Z mojej kuchni wykroiłby pewnie ze cztery jej.

– Uhm.

– Wielki ten dom. – Jej słowa zawisły w powietrzu. – Musisz strasznie dużo zarabiać.

– Sama wiesz, że nieźle mi płacą. – Policzki piekły mnie ze wstydu. Poczuję się jak dawniej, w dzieciństwie, gdy mnie sztorcowała, że podkradłem kolejne ciastko.

– Chyba cię o to nigdy nie pytałam, Mike. Lubisz tę swoją pracę?

Wróciły do mnie strzępy rozmowy z Kaitlyn. Jej słowa, żeby sprzedać mieszkanie i przeprowadzić się gdzieś nad morze, przyczepiły się do mnie jak rzep, a teraz, kiedy siedziałem tu z Elaine, zrozumiałem, że nieszczęśliwie lubię to, co robię.

– Tak naprawdę to nie wiem. W sumie jest w porządku.

Ale mówiąc to, pomyślałem, że tylko zamieniam miejscami i przestawiam liczby, tak by zachowywały się wedle mojego życzenia. Że nigdy nie zobaczyłem wytworu własnych rąk, że świat nie otrzymał ode mnie nic rzeczywistego, że całe moje zawodowe życie było trudne do uchwycenia.

Elaine, obejmując dłońmi kubek, popijała herbatę.

– Pewnie któregoś dnia stwierdzisz, że już dość zarobiłeś.

Stanęły mi przed oczami wielokrotne zera na moim koncie.

– Pewnie tak.

Spojrzała mi prosto w oczy.

– A co naprawdę chciałbyś robić, Mike, to znaczy, gdybyś mógł wybierać?

Nienawidzę takich pytań. Celują prosto w głąb duszy – ni mniej, ni więcej.

– Chyba się nie zastanawiałem.

– Ale na pewno jest coś takiego...

Zacząłem szukać w głowie, ale miałem wrażenie, że jest pełna mułu lub tłuszczu, czegoś, co spowalnia pracę szarych komórek. Kiedy się zastanawiałem, czego bym pragnął, na myśl przychodziła mi tylko V i miałem wrażenie, że nigdy nie było to nic innego. Choć niemożliwe, bo przecież nie znałem jej całego życia. W tamtej chwili nie potrafiłem sobie przypomnieć, czemu poszedłem na studia i co miałem nadzieję osiągnąć. Wszystko było pustką.

Elaine westchnęła.

– Za takie pieniądze mógłbyś działać mnóstwo dobrego.

Skinąłem głową. Nie wiem, czemu ścisnęło mnie za gardło. Zarabiałem, by uszczęśliwić V, ale coś mi się zdawało, że nie mogę tego powiedzieć Elaine.

– Mam nadzieję, że kiedyś będę mieszkał w tym domu z rodziną – rzuciłem i natychmiast poczułem ciężar na sercu. Do tej pory nie myślałem o dzieciach, ale oczywiście małżeństwa je mają i my z V też będziemy mieć dzieci, idealne.

Elaine się uśmiechnęła.

– Byłoby wspaniale. Tylko najpierw musisz poznać jakąś miłą dziewczynę.

Uśmiechnąłem się, ale wargi miałem jakieś sztywne. Bo jeśli się nad tym zastanowić i jeśli V rzeczywiście twierdzi, że kocha Angusa, to czy coś ich powstrzyma przed tym, żeby mieć dzieci? Wstałem.

– Przepraszam na chwilę, skoczę do toalety – powiedziałem, poszedłem do dolnej łazienki i zamknąłem się w środku.

Schylony nad umywalką, robiłem głębokie wdechy, zaciskałem palce na białej porcelanie i wciągałem powietrze aż do żołądka. Na samą myśl o dziecku Angusa, które zagnieździ się w ciele V, dostałem gwałtownych konwulsji – strach przesączył się od mojej głowy po czubki palców niczym musujący płyn, przepchnął się przez krew i pozbawił mnie sił. To było odrażające, zbyt ohydne, by w ogóle brać to pod uwagę. Teraz wiedziałem, że muszę mu ją jak najprędzej odebrać.

Kiedy wyszedłem z łazienki, Elaine wkładała płaszcz.

– Cudnie było cię zobaczyć, Mike – powiedziała. – I w dodatku tu, w tym wnętrzu. Barry nie uwierzy, jak się urządziłeś.

– Następnym razem przywieź go ze sobą.

– Tak zrobię.

Odprowadziłem ją do drzwi. Zdaje się, że nosiła ten sam płaszcz od czasów, kiedy u niej mieszkałem. To był jesienny płaszcz, nie taki ciepły zimowy, ale za to świetny na niespodziewaną ulewę. W drzwiach przystanąła i pogładziła mnie po ramieniu. Oczy jej błyszczały.

– Uważaj na siebie, Mike. I dzwoń do mnie, kiedy tylko chcesz, o każdej porze. Wiesz, że nasz dom zawsze stoi dla ciebie otworem.

– Wiem.

Kiedy tak stała w moim przestronnym holu, nagle zobaczyłem, jaka jest drobna. Czubkiem głowy sięgała mi ledwie do ramienia, a ja nagle do niej zateśniłem. Zateśniłem do swojego pokoju, teraz zamieszkanego przez Jaydena. Elaine wróci do domu, zrobi podwieczorek, obejrzą sobie z Barrym, a może i z Jaydenem, jakiś program w telewizji, wypiją z Barrym na spótkę guinnessa, a w pewnej chwili ktoś z nich powie coś takiego, co wszystkich rozśmieszy. Pochyliłem się i pocałowałem ją w policzek.

– Dzięki, że wpadłaś, Elaine.

– Dobry z ciebie chłopak, Mike. Nie zapominaj o tym, nigdy.

Otworzyłem drzwi. Powiał silniejszy wiatr, poczułem pierwszy chłód nadchodzącej jesieni. Elaine odwróciła się i pomachała mi od furtki. Zamykając drzwi, musiałem przełknąć łzy.

Dopadła mnie nieracjonalna, idiotyczna potrzeba, by zadzwonić do Kaitlyn. Wiedziałem, że jeśli to zrobię, będę mógł posiedzieć w jej białym mieszkaniu z dzikim rumakiem na ścianie. Na pewno dostałbym herbaty i mógłbym się położyć na kanapie. Chyba nawet mógłbym się rozplakać, chociaż Kaitlyn na pewno by spytała, dlaczego płaczę, a ja bym nie wiedział, co odpowiedzieć. Uznałem jednak, że to byłaby z mojej strony podłość – niewybaczalne dawanie jej nadziei.

Zamiast tego poszedłem do kuchni, otworzyłem laptop, kolejny raz wyuglowałem 24 Elizabeth Road i wpatrywałem się w sterylny obraz, jakbym chciał go prześwietlić na wylot. Potem wbiłem w wyszukiwarkę V, ale poza paroma podstawowymi informacjami nadal nic o niej nie było. Wpadłem jednak na pomysł, by wpisać w Facebooka Angusa Metcalfa. Tak jak się spodziewałem, jego profil się otworzył, Angus był przecież egoistycznym typkiem, który lubi się lansować. Ostatnia aktualizacja na jego ścianie pochodziła z poprzedniego dnia, kiedy Angus zameldował się w poczekalni dla pasażerów klasy biznes linii Virgin Atlantic. Durny obrazek pokazywał kropkowaną linię między lotniskiem Heathrow w Londynie a LAX w Los Angeles. Angus był hen, hen.

Pozostałą część dnia i całą noc intensywnie przeszukiwałem jego profil, czytałem każdy post i każdy komentarz. Ostatni rok zdominowała Verity – zobaczyłem ich dwoje podczas rozmaitych wydarzeń, w towarzystwie ludzi, których nie znałem, i w miejscach, o których nie wiedziałem, gdzie się znajdują. Angus został otagowany na niezliczonych zdjęciach ze ślubu, mogłem więc sobie obejrzeć pierwszy taniec, który w realu przegapiłem,

krojenie tortu i rzucanie bukietu. On promieniował szczęściem, natomiast co do Verity odnosiłem wrażenie, że jej uśmiech jest nieco wymuszony, czy nie błyszczą tak, jak powinny – jak gdyby się wstrzymywała, tała coś, o czym wiem tylko ja. A im więcej oglądałem i czytałem, tym bardziej do mnie docierało, jakim koncertowym idiotą jest Angus Metcalf. I że wszystko, co robi, jest oklepane, specjalnie zaaranżowane i nastawione na to, by się pokazać. Jego życie wydawało się jedną wielką przechwałką, jednym wielkim szkaradnym ośmieszeniem. Wkurzył mnie tak, że krew zawrzała mi w żyłach, a głowę przeszył ohydny, dudniący rytm. Poczułem się przez niego zbezczeszczony, jakbym pozwolił mu wtargnąć do mojego jestestwa, jakby sama jego obecność w komputerze była dokonaniem na mnie aktem przemocy.

Zatrzasnąłem laptop, ale to nie wystarczyło, wiedziałem, że on nadal tam jest, że istnieje w wirtualnym świecie. Wziąłem laptop ze stołu i poczułem, że nic nie waży. Był tak lekki, że z łatwością podniosłem go nad głowę i zamachnąłem się nim, napinając przy tym mięśnie, by je przygotować, po czym rzuciłem go przed siebie. Patrzyłem, jak kreśli łuk w powietrzu i opada, natrafia na ścianę, roztrzaskuje się i jak wysypują się z niego wnętrzności. Podłoga była zasłana szkłem, drucikami i częściami, których nawet nie rozpoznawałem. Śrubki, nakrętki, obwody, literki, cyferki, sygnały – to wszystko nadal istniało, ale już nigdy nie będzie stanowić jedności.

\*

Przed domem V pojawiłem się w niedzielę wczesnym rankiem, ale zasłony były nadal zaciągnięte, a żaluzje – spuszczone, poszedłem więc do parku i spacerowałem opustoszałymi ścieżkami. Spojrzałem na pałac Kensington, przyćmiewający swoją wielkością otoczenie, i uderzyła mnie myśl, że jego istnienie, ot tak, po prostu, wśród normalnych ludzi, to czysty skandal. Że nie jest ogrodzony, nie kuli się za murem. Że przyjmuje za pewnik, że może sobie tu stać, i stoi. A potem, okrążając stawy i wędrując szerokimi alejami, zrozumiałem, że my, normalni ludzie, jesteśmy w tym wielkim ogrodzie intruzami, że poruszamy się po cudzym terenie, a mieszkańcy pałacu też musieli iść na kompromis.

Gdy wróciłem pod dwadzieścia cztery, zasłony i żaluzje nadal były zasłonięte, ale tym razem nie czekałem dłużej, od razu zapukałem w drzwi.

Słyszałem, jak stukanie rozchodzi się echem po wnętrzu, i nagle zrozumiałem, że V nie ma. Serce drgnęło mi na myśl, że nie przebywa tam, gdzie ją sobie wyobrażałem.

Schyliłem się i podniosłem klapkę na listy, ale zobaczyłem tylko metalowe wnętrze skrzynki. Wyprostowałem się, oparłem o kamienną balustradę i przyłożyłem zwiniętą dłoń do szyby. Jedna z listewek żaluzji wisiała trochę krzywo, widziałem więc skrawek salonu – kanapy w zgaszonych kolorach, skraj kominka, nic poza tym. Zbiegłem po schodkach do suterenu, lecz tym razem okno było zasłonięte nieprzepuszczającą światła roletą. W końcu stanąłem po drugiej stronie ulicy, znowu pod ścianą z bluszczem, i ogarnąłem wzrokiem cały dom, ale stał cichy i spokojny, jak gdyby nigdy nic. Pomyślałem, że być może V spędza weekend w Steeple House. Przyszło mi nawet do głowy, czyby nie wskoczyć w pociąg i tam nie pojechać. Wiedziałem jednak, że to z góry skazane na niepowodzenie, a gdybym miał wybierać świadka naszego pojednania, to na pewno nie zostałaby nim Suzi.

Ruszyłem w stronę Islington, gdzie kiedyś razem mieszkaliśmy. Rozczarowanie, że nie zastałem V, było tak wielkie, że musiałem w inny sposób poczuć jej bliskość. Nie byłem tu od dziesięciu miesięcy, nawet gdy V się pakowała i wyprowadzała. Z ulicy mieszkanie wyglądało tak samo jak zawsze, w ciemnych oknach przeglądało się niebo, a kiedy w nie patrzyłem, ogarnęła mnie dziwna tęsknota. Przeszedłem na drugą stronę ulicy i nacisnąłem nasz guzik na domofonie, nadal niepodpisany niczym nazwiskiem. Odezwał się damski głos i już miałem odejść, ale nagle poczułem konieczność, by jeszcze raz znaleźć się we wnętrzu, w którym upłynęły nam z V najszcześniejsze lata. Wymyśliłem głupią historyjkę, że tu mieszkałem, a moja dziewczyna zgubiła cenny pierścionek i nagle mnie olśniło, że może wpadł w szparę między luźnymi deskami w podłodze w kuchni. Kobieta brzmiała sceptycznie, ale ponieważ wiedziałem o tej szparze, chyba mi uwierzyła, bo domofon zabzyczał, więc wszedłem.

Otworzył mi mężczyzna. Wyciągnął do mnie chude ramię, nerwowo przysłaniając rękę brodą. Ja jednak byłem spokojny i przyjacielski, choć wszyscy wiedzieliśmy, że w trzydzieści sekund załatwiłbym ich oboje. Poszliśmy do kuchni, zajrzeliśmy w szparę i pod luźną deskę, ale nic tam nie było, ja powiedziałem, że warto było sprawdzić, a oni się zgodzili. Pochwaliłem, jak odnowili mieszkanie. Kobieta wyjaśniła, że jest plastyczką i uwielbia eksperymentować z kolorem. Musiałem wstrzymać

uśmiech, bo wiedziałem, jak strasznie te jasne kolory nie spodobałyby się V. Uścisnąłem im dłonie i podziękowałem – naprawdę szczerze, bo w mieszkaniu nadal czuło się naszą energię. Nawdychałem się jej, by przechować ją głęboko w duszy.

Wracając, kupiłem sobie nowy laptop, bo głupio było nie skorzystać z daru, jakim był profil Angusa na Facebooku. Nie znalazłem na nim jednak nic nowego. Zaskoczyło mnie to, bo oczekiwałem zalewu zdjęć z LA. Jednak – jaki był sens wrzucać gdzieś zdjęcia, skoro nie było na nich V?

Był jeden rodzaj Pragnę, którego nigdy z V nie spróbowaliśmy. Wyznała mi, że czasem nachodzi ją ochota na seks z naprawdę odrażającym facetem. Myślała, żeby iść do jakiejś speluny, wybrać ohydneho typu i przyprowadzić go do nas. Ja oczywiście szedłbym zaraz za nimi i otworzył sobie kluczem. V nie miała zamiaru pozwolić, by sprawy zaszły za daleko – chciała, żebym go z niej ściągnął dosłownie w ostatniej chwili. Nigdy nie braliśmy tego pomysłu na poważnie i nie mieliśmy zamiaru go zrealizować. Czasem o tym gadaliśmy, leżąc w łóżku, ale oboje wiedzieliśmy, że tego nie zrobimy. To była fantazja i oboje się nią bawiliśmy.

Przez cały następny dzień sprawdzałem, czy Angus coś wrzucił, ale zrobił to dopiero o piątej po południu, kiedy zameldował się w poczekalni dla pasażerów klasy biznes linii Virgin Atlantic, oczekując na lot z LAX do Heathrow. Następnego dnia rano miał być w domu, co oznaczało, że koniecznie muszę się spotkać z V tego wieczora. Dopiero teraz do mnie dotarło, że swobodnie rzuciła, iż Angus na parę dni wyjeżdża, a ja byłem zbyt zaabsorbowany, by jej uważnie słuchać. A jeżeli wyjechała do rodziców w niedzielę, bo nie pojawiłem się u niej w piątek ani w sobotę? Czekala na mnie, tylko byłem idiotą i o tym nie wiedziałem?

\*

Prosto z pracy ruszyłem na Elizabeth Road. Żaluzje były podniesione, a zasłony – rozsunięte, ale światła się nie paliły. Zapukałem, lecz nikt nie otworzył. Mimo to uznałem, że od poprzedniego dnia na pewno była w domu i teraz po prostu jeszcze nie wróciła z pracy.

Usiadłem w pubie za rogiem i zamówiłem podwójną whisky z wodą. Było dopiero wpół do siódmej, a wiedziałem, że V zwykle wychodzi z pracy



koło szóstej, postanowiłem więc wrócić pod dom dopiero za godzinę. Miałem rację – teraz paliły się już światła w holu i w kuchni. Przystanąłem na krawężniku, by poczuć, jak druga podwójna whisky zaczyna mi krążyć w żyłach. To była chwila, na którą długo czekałem. Musiałem ją idealnie rozegrać.

Wszedłem po kamiennych stopniach i stanąłem pod lampą na ganku, na razie niewłączoną. Zacerpnałem tchu i zapukałem. Trudno uwierzyć, że tym razem dom sprawiał wrażenie ożywionego, jakby obecność V cieszyła go tak samo jak mnie. Usłyszałem kroki na schodach, a potem V otworzyła drzwi. Chyba przed chwilą się przebrała, bo miała na sobie luźne spodnie do biegania i białą koszulkę opinającą piersi. Orzeł wisiał na jej szyi.

Na mój widok zrobiła wielkie oczy.

– Mike, co ty tu robisz?

– Mogę wejść? – Uśmiechnąłem się do niej najładniej, jak potrafiłem.

Ona jednak ani drgnęła z progu.

– Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.

– Proszę, chcę porozmawiać.

– Już rozmawialiśmy.

Zaczęła zamykać drzwi, ale wyciągnąłem rękę. Oczywiście nie dała mi rady, więc bez trudu powiększyłem szparę i wszedłem do środka.

– O co ci chodzi? – spytała.

Staliśmy naprzeciwko siebie w holu.

Zamknąłem za sobą drzwi.

– Wtedy nie powiedziałem ci wszystkiego, co naprawdę chciałem.

Zerknęła za moje ramię, na drzwi.

– Spodziewam się gościa, zaraz tu będzie. – Było to oczywiste kłamstwo.

– V, to absurd. Kocham cię. Ty mnie też. Znamy się tak, jakbyśmy byli jedną osobą. To się musi skończyć, teraz. Powiedz Angusowi, że z wami koniec, i przeprowadź się do mnie.

W pierwszej chwili milczała, ale potem rzuciła:

– Idź już.

To cała V. Wymagająca. Nie jest łatwa jak kobiety typu Kaitlyn czy Carly, bo jest tego warta. Jak w tej reklamie w telewizji: jest taka, jaką pragnie być każda kobieta, i zarazem taka, jakiej pragnie każdy mężczyzna. Uśmiechnąłem się do niej.

– Pragnę cię, V.

– Mike – zaczęła, ale nagle przerwała i uniosła dłoń do gardła, po czym zamknęła w niej orła.

Tylko na to czekałem. Oboje wiedzieliśmy, że ta chwila kiedyś nadejdzie. To był sygnał, który rozumieliśmy tylko my dwoje.

Podszedłem do niej, objąłem ją i przytuliłem mocno. Stała nieruchomo, lecz nadal idealnie mieściła się w moich ramionach, pasowaliśmy do siebie jak dawniej. Wiedziałem, że poczuje mnie przez ubranie – tak reagowałem tylko na nią, tak iskrzyło tylko między nami.

– Moja kochana – szepnąłem jej we włosy – tak strasznie za tobą tęskniłem.

Potem nieco zwolniłem uścisk, staliśmy naprzeciwko siebie, a ja trzymałem ją za ramiona. Oboje płakaliśmy, owładnięci silnymi emocjami.

– Już dobrze – powiedziałem. – Przyszedłem cię uratować. Nigdy bym cię nie opuścił.

– Mike, proszę cię – odparła słabo. Jej głos tłumilo silne pożądanie, jak zawsze silne między nami.

Pochyliłem się, by ją pocałować w usta. Z początku trzymała wargi sztywno zaciśnięte i w pierwszej chwili przeraziłem się, że mnie nie wpuści. Potem jednak jej ciało zaczęło ustępować, jakby przypomniało sobie wszystko, co dla siebie znaczyliśmy, na nowo rozpoznało dawne pożądanie. Otoczyłem ją ramieniem w talii i przyciągnąłem do siebie.

Czułem na twarzy jej oddech. Drżała na całym ciele. Podniosłem ją i położyłem na dywaniku. Krzyknęła cicho. Byłem już tak twardy, że myślałem, że wybuchnę. V płakała – wychodziły z niej kłamstwa i napięcia minionych miesięcy, a mnie rozpierała taka miłość, że przysunąłem twarz jak najbliżej jej twarzy, by połączyły się nasze oddechy. Wyglądała pięknie, miała rozrzucone wokół głowy włosy, szeroko otwarte oczy, bladą cerę. Orzeł spokojnie spoczywał na jej szyi. Pociągnąłem za jej spodnie i rozsunąłem kolanem jej uda.

– O Boże, Mike, nie – jęknęła, ale i w jej tonie, i w słowach rozpoznałem rozkosz. Czasem trudno jest zdobyć to, czego się pragnie, lub poddać temu, czego się potrzebuje. Pocałowałem ją i poczułem, jak jej wargi się rozstępują, kusząco odsłaniając język. Powiodłem językiem po jej zębach.

Nigdy nie istniało – i nie będzie istnieć – dwoje ludzi, którzy pasują do siebie bardziej niż ja i V. Jesteśmy jak para superbohaterów. Gdyby seks mógł uratować świat, rządilibyśmy naszą planetą.

Sięgnąłem do rozporoka, ale chwyciła mnie za rękę.

– Hej, Orle. Zaczekaj, niech to tak nie wygląda.

Jej słowa zakłóciły tok moich myśli. Uniosłem się na ramionach.

– Błagam cię, V.

Ale ona tak słodko uśmiechnęła się przez łzy.

– Czekał, Mikey, przecież wiesz, że musimy inaczej.

– Dlaczego inaczej? – prawie krzyknąłem.

– Bo my nigdy nie robimy tego ukradkiem.

Zawisłem nad nią. Nie byłem pewien, co ma na myśli.

– Mike – powiedziała teraz wolniej, bardziej stanowczo. – Nie chcę, żeby to tak wyglądało. Rozumiesz, co mam na myśli?

Stoczyłem się z niej. Leżeliśmy teraz obok siebie na podłodze. Żadne z nas się nie ruszało, oboje milczeliśmy. W końcu przekręciłem się na bok i przesunąłem palcem po boku jej twarzy. Miała otwarte oczy, gapiała się w sufit. Nachyliłem się i pocałowałem ją w policzek.

– Pójdiesz ze mną teraz do domu?

Powoli usiadła. Była do mnie plecami, widziałem, że dygoce. Sam nie czułem zimna, zmartwiłem się, że zachorowała.

– Przynieść ci sweter? Albo coś?

Pokręciła głową.

– Idź się spakuj. Weź przynajmniej trochę rzeczy.

– Nie możesz oczekiwać, że tak po prostu odejdę od Angusa.

Poderwałem się i odwróciłem ją, tak że siedzieliśmy twarzami do siebie.

– Do kurwy nędzy, V. Dosyć, nie chcę już słyszeć o tym pieprzonym Angusie.

Wzięła mnie za rękę.

– Daj spokój, Mike, czy my jesteśmy podli? Nie, prawda? Nie mogę tak po prostu sobie stąd pójść. I tak go źle potraktowałam, nie sądzisz?

Osobiście usmażyłbym Angusa żywcem, ale V jest ode mnie dużo miłsza.

– Do tej pory nigdy nie zważaliśmy na innych.

– Ale tym razem jest inaczej. Bo posunęliśmy się dalej. Wiesz, co? Idź teraz do domu, a ja jutro wszystko powiem Angusowi. Muszę to zrobić sama. Osobiście. Będzie załamany.

– Nie chcę, żebyś była przy nim choćby sekundę dłużej.

Światło w holu było bardzo jaskrawe, przeszkadzało mi myśleć.

– Daj spokój – odparła kojącym tonem. – Chcę to załatwić, jak należy. Żeby potem nie rzutowało to na nasze życie.

– Żałuję, kurwa, że ten Angus w ogóle istnieje.

Gapiałem się na jej pochyloną głowę, skrywającą skołowany mózg. Każdą tkanką ciała marzyłem o tym, by mi przytaknęła. „Ja też” – to było wszystko, co pragnąłem usłyszeć. V głęboko odetchnęła, aż uniosła się i opadła jej klatka piersiowa, po czym podniosła na mnie wzrok. Patrzyłem teraz prosto na dawną Verity – jakby matactwa i pozory minionego roku gdzieś uleciały, pozostawiając tylko nas.

V wytrzymała moje spojrzenie, wyciągnęła rękę i położyła mi ją na piersi. Oczy miała pełne łez.

– Boże, Mike, jak ja tego nienawidzę. Jak bym chciała, żeby wszystko się między nami ułożyło – powiedziała drżącym głosem, nabierając powietrza.

– A gdybym ja przyszedł i mu powiedział? Nie wyobrażam sobie, żebyś musiała to robić sama.

Ona jednak wstała, a z jej ruchem nastrój chwili prysł, rozplynał się w powietrzu, uleciał wraz z milionem cząsteczek kurzu. Miałem ochotę gorączkowo je zbierać z podłogi.

– Poradzę sobie – odparła stanowczo, choć głos nadal miała niepewny. – Mike, robi się późno. Wracaj do domu, jutro będziemy się kontaktować.

Spojrzałem na schody, prowadzące w dół i w górę. Wyobrażałem sobie, że zabiorę ją do domu, i to, jak będzie się czuła w naszym łóżku, wtulona we mnie. Myśl, że muszę ją tu zostawić, była prawie nie do zniesienia.

– Wiesz, że jestem gotów zrobić dla ciebie wszystko, prawda, V?

– Oczywiście, że wiem. – Podeszła do drzwi. – A ty na pewno wiesz, że tak będzie najlepiej.

Naturalnie miała rację. Nie mogliśmy się wykradać nocą, potajemnie, jakby to był jakiś wstyd. Przecież na świecie nie było nic bardziej właściwego niż my, V i ja.

V otworzyła mi drzwi. Stałem w progu.

– Daj mi znać, jak będzie po wszystkim. – Pochyliłem się i pocałowałem ją w usta. – To była najlepsza partia Pragnę w historii.

\*

Ledwie wszedłem do domu, napisałem do niej mejla.

Kochana V,

kocham Cię, moja najdroższa, moja jedyna. Jestem taki szczęśliwy, że w końcu wszystko sobie wyjaśniliśmy i że wrócisz do mnie, gdzie Twoje

miejsce. Nasz dom na pewno Ci się spodoba, ale oczywiście możesz w nim wszystko przerobić, co tylko chcesz. Gdybyś miała ochotę, możemy się nawet wyprowadzić. Ostatnio myślałem, czyby czegoś w życiu nie zmienić. Na przykład zamieszkać gdzieś nad morzem. Ale mamy mnóstwo czasu, żeby o tym pogadać. I oczywiście nie będę nalegał, żebyś robiła coś, czego nie czujesz.

Napisz do mnie, jak tylko porozmawiasz z Angusem. A gdybyś potrzebowała się ze mną pilnie skontaktować, to podaję Ci swój numer: 07700 900 734.

Pragnę Cię, jak zawsze.

Twój Orzeł, Mike

Od Bożego Narodzenia nie spałem tak dobrze. Obudziłem się z błogą świadomością, że już wieczorem V będzie ze mną w domu. Zadzwoiłem do pracy, powiedziałem, że jestem chory, i przez cały dzień przygotowywałem się na jej przybycie. Spytałem Annę, czy da radę skończyć nasadzenia do wieczora, jeśli zapłacę jej trzy razy tyle, a ona złapała za telefon i natychmiast ściągnęła pięciu Polaków. Poszedłem na zakupy i wróciłem z kwiatami, szampanem, halibutem, sałatą i wodą w niebieskiej butelce, tą, którą V najbardziej lubi, a także jej ulubionymi perfumami do łazienki. Cały dzień sprzątałem i czyściłem, wygładzałem świeżą pościel, klepałem puszyste poduszki, polerowałem błyszczące krany. Zniosłem do piwnicy wszystkie swoje ciężarki i wyrzuciłem śmieci.

Przez cały dzień co chwila sprawdzałem mejle, ale milczenie V zaczęło mnie niepokoić dopiero koło trzeciej. Przyszła wiadomość od Kaitlyn – pytanie, czy u mnie wszystko dobrze i czy czegoś nie potrzebuję, ale nie chciało mi się odpowiadać. Anna pojawiła się koło czwartej z informacją, że w zasadzie skończyli. Za parę dni miała jeszcze wrócić, by coś poprawiać, ale ogólnie wszystko było w miarę gotowe. Obszedłem z nią ogród i chyba nie wyraziłem takiego zachwytu, jakiego się spodziewała, ale zapłaciłem jej takie pieniądze, że w sumie co to za różnica. Choć pewnie powinienem być bardziej wylewny, bo wszystko urządziła tak, jak chciałem, i ogród wyglądał cudownie – kołysał się i falował na wietrze. Po wyjściu Polaków odkurzyłem i zmyłem podłogę w kuchni i w holu.

V nadal się nie odzywała, więc wysłałem jej krótką wiadomość:

Kochanie, wszystko w porządku? Czekam na Twój sygnał. Pamiętaj, w każdej chwili mogę u Ciebie być.

Program pocztowy piknął prawie natychmiast, więc sięgnąłem po telefon. To była wiadomość od post mastera: „Twoja wiadomość nie została dostarczona, podany adres nie istnieje”. Nagle zabrakło mi powietrza i straciłem ostrość widzenia – do tego stopnia, że musiałem pochylić się nad stołem. To na pewno jakaś pomyłka. Ale po chwili mnie olśniło: niezależnie od tego, jaką opinię miała na ten temat V, zostawiając ją samą z tym zadaniem, postąpiłem jak idiota. Równie dobrze mógłbym zostawić ją sam na sam w barze z facetem, któremu kleją się do niej łapy, a samemu iść do domu i czekać, aż zaraz do mnie przyjedzie. A co, jeżeli Angus się wściekł i uwięził ją w domu? Albo zrobił coś gorszego? Chwyciłem kurtkę i telefon i jak z procy wypadłem na zewnątrz.

Pobiegłem swoją ulicą i wbiłem się w tłum pieszych i gęsty ruch uliczny na skrzyżowaniu z Clapham High Street. Droga do V wydawała mi się teraz nieznośnie długa, miałem ochotę zdetonować bombę, która zmiotłaby cały dzielący nas teren. Podskakiwałem na chodniku, nie wiedząc, jak dotrę do niej szybciej – taksówką czy metrem. Usłyszałem, że ktoś mnie woła, odwróciłem się i zobaczyłem Kaitlyn.

– O, już ci lepiej? – spytała z przyganą.

Byłem jednak zbyt rozgorączkowany, by wymyślić sensowną wymówkę.

– Tak, w porządku.

– Nie masz czasem gorączki?

Nie spuszczałem wzroku z chodnika.

– Dobrze się czuję.

– Nie wiem, gdzie cię niesie, Mike, ale lepiej uważaj.

Odwróciłem się do niej. Spojrzenie miała jak to ona – rozmyte, dziwnie niepokojące.

– Co masz na myśli?

– Dziś prezes mnie prosił, żebym przejrzała dokumentację Spectre. Chyba się martwi, że nie podołasz.

Próbowałem się wkurzyć, ale nic z siebie nie wykrzesalem.

– Nie zależy mi, jak chcesz, to bierz tę sprawę.

– Nie chcę ci zaszkodzić. A może przenosisz się gdzie indziej?

– Nie, nie, nic z tych rzeczy. Naprawdę mi nie zależy. – Powiedziawszy to, poczułem wielką ulgę – takie samo wrażenie jak wtedy, gdy weźmie się

głęboki wdech, a potem wypuści powietrze. – Słuchaj, muszę lecieć, V na mnie czeka.

Kaitlyn zrobiła kroczek w moją stronę.

– Mike, jesteś pewien, że ona na ciebie czeka? Od jakiegoś czasu chcę ci coś powiedzieć...

– Zamknij się, Kaitlyn – warknąłem, bo nie byłem w stanie dłużej słuchać jej komentarzy do mojego życia i do V, zwłaszcza że za grosz nie miała pojęcia, o czym gada. – Daj mi wreszcie spokój.

Odwrociłem się na pięcie i pobiegłem do metra, bo stwierdziłem, że tak będzie szybciej.

Każda minuta jazdy ciągnęła się w nieskończoność. Miałem wrażenie, że czas się cofa, a ja jestem bohaterem snu, w którym mimo starań nigdy nie dobrnę do celu. Przebiegłem cały odcinek od stacji metra Kensington High Street do Elizabeth Road, ale jestem wysportowany, więc kiedy stuknąłem w ciężkie czarne drzwi, które już tak dobrze znałem, nie miałem nawet zadyszki.

Otworzył mi Angus – bosy, w dżinsach i szarej koszuli. Fryzurę miał jeszcze bardziej nieporządną niż zwykle, oczy – podkrążone, a twarz – zmiętą. Pomyślałem, że wygląda jak człowiek porzucony. Przez parędziesiąt sekund po prostu na siebie patrzyliśmy. Żaden nie chciał zacząć pierwszy.

– Muszę się zobaczyć z Verity – powiedziałem w końcu.

– Przepraszam, ale z kim mam przyjemność? – spytał z przekąsem, opierając się o futrynę.

– Mike – odparłem. Fakt, że musiałem się przedstawić, trochę mnie ostudził.

– A, tak. – Wyprostował się, twarz mu stężała. Nie miałem pojęcia, czy celowo próbuje mnie wytrącić z równowagi. – Niestety Verity jest chora. Leży w łóżku.

– Mimo wszystko chciałbym wejść.

Zrobił niezadowoloną minę, ale wiedziałem, że należy do ludzi, którym niegrzeczne zachowanie przychodzi z wielkim trudem. Do takich, którzy nie trzasną ci przed nosem drzwiami, nawet jeżeli masz zamiar podprowadzić im żonę.

– Musimy porozmawiać – oświadczyłem.

Otworzył szerzej drzwi, a ja przestąpiłem próg – identycznie jak dzień wcześniej. Gestem zaprosił mnie do salonu. Zobaczyłem kanapy

w zgaszonych kolorach, na które zerkałem przez szparę w żaluzjach, a także cały marmurowy kominek, wielkie weneckie lustro, bladoszare ściany, dzieła sztuki.

– Trzeba mieć niezły tupet, żeby tu przychodzić – rzekł. – O co ci, kurwa, chodzi? Chyba Verity jasno powiedziała, co o tym sądzi.

– Więc Verity ci nie mówiła? – Jej choroba nagle wyjaśniła mi jej milczenie.

– O czym? – spytał i założył ręce.

– Że się kochamy, a ona cię zostawia i odchodzi ze mną.

Zaśmiał się – parsknął dosłownie jak chłopaczek.

– Żarty.

Opanowałem się i zacisnąłem szczękę.

– Naprawdę bardzo mi przykro to mówić, ale jesteś elementem naszej gry, która odrobinę wymknęła się spod kontroli. Verity bardzo żałuje, że cię tak zraniła, ale ona i ja absolutnie nie możemy nie być razem.

– O czym ty, kurwa, mówisz? – Przez jego twarz przemknął strach, którego wcześniej nie było, i to dodało mi odwagi. Przez chwilę gapił się na mnie bez słowa. – Rozum ci odjęło, uważasz, że bym o tym nie wiedział, gdyby moja żona miała innego?

Byłem od niego o dobrych kilkanaście centymetrów wyższy i zdecydowanie silniejszy.

– Wiesz, że zanim cię poznała, byliśmy razem dziewięć lat?

Prychnął.

– Oczywiście, że wiem. A ty wiesz, że zaczęła się ze mną spotykać, zanim skończyła z tobą?

Przestąpił z nogi na nogę, nie spuszczał ze mnie wzroku.

Trochę mną zatelepało, ale szybko odzyskałem równowagę.

– Owszem, wiem. Miałem w Stanach głupi jednorazowy romans i to ją wkurzyło. Chciała się na mnie odegrać. Ale teraz wszystko wyjaśniliśmy i nasze Pragnę dobiegło końca.

– Wasze co? – Wręcz splunął mi tym słowem w twarz.

– Nasza gra.

– Dosyć, Mike.

Obaj się odwróciliśmy. W drzwiach stała V. Była blada jak ściana, wysoko na jej policzkach malowały się jaskrawoczerwone rumieńce. Matowe włosy przylegały jej do głowy, a drobne ciało, okryte bawełnianą piżamą, dygotało.



Angus zdjął z oparcia kanapy koc i ją owinął, co mnie zdenerwowało, bo to ja powinienem robić takie rzeczy.

– Czemu wstałaś? – spytał.

– Słyszałam was – odparła. Nadal stała blisko niego.

– Już mu powiedziałem, V – oświadczyłem. – Możemy iść.

Ale ona zaczęła płakać.

– Boże, Mike, błagam cię. Daj spokój.

Angus otoczył ją ramieniem.

– Odpieprz się, stary, bo zadzwonię na policję.

Nie cierpię, jak kolesie z wyższych sfer zwracają się do mnie „stary” – jakby im się zdawało, że wiedzą, jak używać tego słowa. Zwróciłem się bezpośrednio do V:

– Wiem, że chciałaś mu wszystko powiedzieć, ale teraz to już bez znaczenia. Ważne, że w końcu możemy być razem.

Postąpiłem krok w ich stronę, ale V wyrwała się do tyłu.

Angus stanął między nią a mną i wyciągnął ku mnie wyprostowaną rękę.

– Daję ci trzydzieści sekund, jeżeli się nie wyniesiesz, dzwonię po policję.

Powiedziałem wtedy do niego – do tej żalostnej małpy, która uważała za swoją własność coś, co z pewnością nią nie było:

– Jeżeli V mnie nie kocha, to powiedz, czemu wczoraj wieczorem leżała ze mną tu, na tym dywaniku, ledwie się powstrzymała, by się ze mną nie kochać, i planowaliśmy wspólną przyszłość? – Machnąłem ręką w stronę holu.

Angus spojrzał w tamtą stronę. Kilka razy przeniósł wzrok ze mnie na dywanik w holu i z powrotem. Mina coraz bardziej mu się wydłużała.

– Verity – powiedział w końcu, odwracając się do niej. – Możesz mi powiedzieć, o co chodzi?

Verity nadal płakała, coraz bardziej się przy tym pochylając, aż wreszcie powoli osunęła się na kolana.

– Gus, zrób coś, żeby on sobie poszedł.

– Nigdzie nie idę – oznajmiłem.

Ale V podniosła na mnie wzrok i twardo spojrzała mi w oczy. Wiedziałem, że ją rozzłościłem.

– Wyjdź stąd, Mike.

Mówiła, że chce powiedzieć Angusowi sama, ba, nawet tłumaczyła, dlaczego musi tak zrobić, a ja dałem się ponieść niecierpliwości.

– Wrócę po ciebie rano – powiedziałem. – Ale wtedy już naprawdę zabiorę cię do domu.

Podczas całej tej wymiany zdań Angus milczał. Najwyraźniej zobaczył, że mnie i V łączy nadzwyczajna więź. Zrozumiał, że został pokonany. Nie było już sensu się do niego odzywać. Po prostu odwróciłem się i wyszedłem.

Ruszyłem do domu pieszo, by częściowo rozładować energię, która się we mnie nagromadziła. Czułem satysfakcję, że V nic nie grozi ze strony Angusa. Był po prostu czynnikiem drażniącym, który należy usunąć z otoczenia. Byłem wściekły, że muszę czekać jeszcze jedną noc, ale przecież czym było dwanaście godzin, skoro mieliśmy przed sobą całe życie.

\*

Kiedy wróciłem do domu, nie miałem ochoty na jedzenie, otworzyłem więc sobie wino, by schłodzić krew i ukoić nerwy, bo nadal we mnie buzowało. W dzieciństwie w trudnych chwilach wyobrażałem sobie, że żyje we mnie cała armia mrówek, która ciągle patroluje granice swego terytorium. Nigdy nie wiedziałem, czy mrówki są mi przychylnie, czy nie, ale czasem budziłem się z krzykiem, bo mi się śniło, że wyłażą ze mnie nosem, ustami albo uszami.

Może mama też nosiła w sobie takie mrówki, bo kiedy się pije, one idą spać. Mieszkają gdzieś we krwi i pływają po krwiobiegu jak malutki Mojżesz w koszyku po rzece. „Przynieś mi lekarstwo, Mikey”, mówiła mama, kiedy byłem już na tyle duży, by samemu otworzyć lodówkę i wyjąć puszkę. Nagle gorąco zapragnąłem, by mnie teraz zobaczyła, przekonała się, kim jestem, co osiągnąłem. „To, że przytrafiły ci się w życiu złe rzeczy, nie znaczy, że jesteś złym chłopakiem – powtarzała Elaine. – Może twoja mama sama miała trudne dzieciństwo – mówiła – a może po prostu nie potrafiła postępować tak, jak trzeba, chociaż bardzo tego chciała”. Sięgnąłem po to wino i ze zdziwieniem stwierdziłem, że butelka jest pusta. Na dworze było ciemno, a mnie ogarnęło ogromne zmęczenie. Poszedłem do salonu i położyłem się na kanapie. Chciało mi się płakać, ale nie potrafiłem sobie wyjaśnić dlaczego.

Kiedy się obudziłem, nie miałem pojęcia, co się ze mną dzieje. Leżałem w ciemnościach, coś pode mną wibrowało, a ja myślałem, że jestem

w dawnym mieszkaniu, a za ścianą matka doprowadza się do ruiny. Ale było za miękko, za ciepło, a w powietrzu nie unosił się ciężki zapach papierosów. Po chwili wszystkie kawałki układanki wskoczyły na swoje miejsca, utworzyły całość, a ja zrozumiałem, gdzie jestem. Sięgnąłem do kieszeni, wygrzebałem z niej telefon, a zobaczywszy na ekranie nieznany numer, natychmiast odgadłem, kto to.

– Mike – powiedziała V – jest u ciebie Angus?

– Co? Nie. – Spojrzałem na wyświetlacz wieży, było dwanaście po drugiej w nocy. – A czemu miałyby być?

– Bo nie ma go w domu. – Mówiła pospiesznym, pełnym napięcia tonem.

– Wszystko mu opowiedziałam, strasznie się rozgniewał. Na komputerze jest otwarty nasz ślubny plik z nazwiskami i adresami gości, więc na pewno sprawdzał, gdzie mieszkasz.

Wstałem. Znowu nie zaciągnąłem zasłon i do pokoju wlewała się srebrna poświata księżyca.

V płakała.

– Mike, w tej chwili wołam taksówkę. Będę za piętnaście minut. Przyrzeknij, że mu nie otworzysz.

– A niby dlaczego? Mógłbym z nim od razu porozmawiać.

– Nie! – wrzasnęła. – Angus wypił, poza tym wiem, ile ty masz siły. Mike, błagam cię, obiecaj. Nie chcę, żeby komuś coś się stało.

– Nikomu się nic nie stanie. Porozmawiamy jak dorośli z dorosłym, wszystko sobie wyjaśnimy.

– Boże, Mike. – Jeszcze bardziej podniosła głos. – Ty nic nie rozumiesz. Nie otwieraj tych pieprzonych drzwi.

– Okej – odparłem. – Okej.

Przez dobrą minutę stałem bez ruchu. V wracała do domu. To działa się naprawdę. Za godzinę ja i ona zamkniemy się w naszym ciepłym, przytulnym gniazdku, a żaloszny Angus Metcalf będzie sam wracał do domu. To poszło prawie za łatwo, za idealnie. Szybko wygładziłem poduszki na kanapie i zaniósłem butelkę po winie do kosza na szkło w kuchni, opłukałem i wytarłem kieliszek, a potem odłożyłem go na miejsce. Słaby wiatr delikatnie kołysał roślinami w ogrodzie, widziałem to nawet w świetle księżyca. Byłem taki zadowolony, że przed powrotem V zadbałem o każdy szczegół.

Rozległo się głośne stukanie do drzwi, pięść walnęła w drewno. Stałem w kuchni i patrzyłem na rośliny, których nazw nawet nie pamiętałem.

Usłyszałem metaliczny brzęk klapki do wrzucania listów i odnotowałem sobie w pamięci, żeby koniecznie kupić skrzynkę do zawieszenia na drzwiach po drugiej stronie szpary na listy, taką samą, jak ma Angus.

– Otwieraj, kurwa! – wrzasnął Angus. V miała rację – był pijany, mówił niewyraźnie, jego słowa zlewały się ze sobą.

Oparłem się o zlew. Napięły mi się mięśnie ramion – czułem, jak zaciskają się na kości.

– Ty pierdolony tchórze! – krzyczał Angus. – Sam do mnie nie przyszedłeś, to wpuść mnie do siebie!

Palce zbieleły mi na porcelanowej krawędzi zlewu, krew przestała do nich dopływać. Zastanawiałem się, ile czasu trzeba je tak trzymać, żeby obumarły.

Łomot w drzwi nasilił się, podobnie krzyki. Głos Angusa rozkazywał mi, co mam robić, domagał się uwagi.

– Czego się boisz?

– Niczego – powiedziałem do zlewu. – Niczego, co ty mógłbyś mi zrobić.

Ruszyłem korytarzem w stronę hałasów. Tym razem nie poprzestanę na tym, że po prostu z nią odejdę. To nie wystarczy.

Otworzyłem drzwi. Angus, wymachując rękami, wtoczył się prosto na mnie. Spojrzenie miał dzikie, oczy szeroko otwarte. W kątku ust zebrała mu się ślina, jego stopa zamachiwała się na moje piszczele. Wycofałem się i odczekałem, by odzyskać siłę i odpowiedzieć na jego ciosy. Nie chciałem mu oddawać, chciałem go tylko powstrzymać i przysłoniłem twarz ramieniem.

– Ty skurwysynu! – wrzeszczał. – Nieudaczniku pierdolony! Bezużyteczny śmieciu! – Czułem whisky w jego oddechu i słabość jego uderzeń.

– Przestań, Angus! – krzyknąłem. – Przestań, to nie ma sensu!

– Jak nie ma sensu! – wybełkotał. – Ty tchórze pojebany! Zastrany gnoju!

Pozwoliłem wymierzać sobie ciosy i słuchałem zalewu obelg. Pomyślałem o V i o tym, że zaraz zakończy grę pocałunkiem. Starłem się poczuć dotyk jej dłoni na ramieniu, które aż mnie świerzbiło, by zadać cios frajerowi, co właśnie próbował ją pocałować. Ale V nie było, a Angus zrobił znacznie więcej – całował ją i dotykał wszędzie. Poza tym już słyszałem te wyzwiska – rzucali mi je w twarz inni, inni, którzy byli teraz z nami, zaglądali przez okno i śmiali się ze mnie i z mojej biernej postawy.

Bo ile razy można słuchać, że jest się beużytecznym? Beużytecznym. Pierdolonym. Śmieciem. Zastranym. Gnojem. Ile razy można dawać się bić i kłaść uszy po sobie? Ile razy można uciekać na materac i chować się pod wyświechtaną kołdrę? Ile razy można udawać, że życie to próba generalna, a nie prawdziwa rzeczywistość?

Rozrzuciłem ramiona, ręce Angusa gwałtownie poleciały w bok, on sam stracił równowagę i zachwiał się do tyłu. Pięści i przód koszuli miał zakrwawione, wiedziałem, że ta krew jest moja. Nienawidzę takich facetów jak Angus. Ale w sumie nienawidzę wszystkich facetów, Angus mógłby równie dobrze być Loganem, George'em lub każdym innym skurwielem, który przewinął się przez moje życie. Angus złamał zasady gry – tam, gdzie inni musieli się zatrzymać, on poszedł dalej.

Skierowałem się ku niemu, zaciskając dłoń i odsuwając w tył uniesione na wysokość brody ramię. Angus wzdrygnął się, moja pięść przeszła powietrze i zetknęła się z jego twarzą z taką siłą, że nogi się pod nim podwinęły i poleciał na plecy. Poczułem łamanie kości, rozdieranie mięśni, wypadanie zębów. Kiedy upadał, w jego oczach dostrzegłem ostateczny strach. Ale nie miałem dosyć, nie uznałem, że to wystarczy. Rzuciłem się na niego, potęgując siłę jego upadku, i dałem czadu, waliłem go po twarzy, wpychałem ją do środka, wymazywałem fakt, że w ogóle kiedyś istniała.

Nie wiem, jak długo tak go tłukłem. Nagle do mnie dotarło, że ktoś ciągnie mnie za rękę, usłyszałem hałasy. Podniosłem wzrok i zobaczyłem V. Od razu przestałem go bić, bo teraz, kiedy już wróciła do domu, wszystko było w porządku. Usiadłem. Nogi, nie wiedzieć czemu, ślizgały mi się po mokrej podłodze. V rzuciła się na ziemię i nachyliła nad Angusem. Wydała z siebie dziwny jęk.

Musiałem uspokoić oddech, wykonałem więc ćwiczenia medytacyjne – po nabraniu powietrza najpierw odsyłałem je ku palcom u stóp, a potem – do pozostałych części ciała. Angus drgnął i zacisnął dłoń na niczym. Nagle stwierdziłem, że nie mogę znieść tego, co robi V – tego, że nasiąka krwią Angusa, tego, że ta krew ją brudzi. Wstałem i pociągnąłem ją za ramię, a ona spojrzała na mnie wielkimi, pełnymi żalu oczami. Wyciągnąłem rękę, ale się zawahała.

– Chodź, V – powiedziałem. – Chodź, wszystko będzie dobrze.

V jeszcze raz obejrzała się na Angusa, z którego ust wydobywała się teraz krwawa piana.

– Nie wiem, co robić – zakwiliła. – Nie wiem... Nie wiem, co robić.

Schyliłem się i wziąłem ją za rękę, pociągnąłem do góry, przeprowadziłem nad Angusem i razem wycofaliśmy się w głąb domu. Przyciągnąłem ją do siebie, czując, jak jej drobne ciało ulega mi i praktycznie zawisa na moich ramionach. Wszystko będzie dobrze. V była w domu.

Trzymałem ją bardzo mocno, ale chciałem, żeby choć raz podniosła wzrok, żeby się rozejrzała i zobaczyła, co dla niej przygotowałem. Chciałem poprowadzić ją za rękę do nowej sypialni. Nie był to jednak dobry moment. Dobrze, że w ogóle tu była. Że nareszcie dotarliśmy w przeznaczone dla nas miejsce.

Uświadomiłem sobie, że w domu są jacyś ludzie, dotarli do mnie inne dźwięki. Nie wiedzieć czemu w progu stała Kaitlyn i przykrywała usta ręką. Niebieskie światło zaczęło migać parę minut później. Gdy do domu weszła policja i ratownicy medyczni, stałem bez ruchu. Wyciągnąłem do nich rękę. V nadal wspierała się o moją pierś, prawie jakby na mnie zasnęła.

Nie musieliśmy się dłużej dręczyć, zadawać sobie nawzajem okrucieństwa. Mogliśmy wkroczyć w nową rzeczywistość – taką, w której pokazujemy sobie, jak bardzo się kochamy.

Kiedy tak stałem i trzymałem ukochaną w objęciach, przyszło mi do głowy, że chyba żaden z wielkich gestów nie prześcignie zabójstwa z miłości.

Mój adwokat, Xander Jackson, oddał mi to dziesięć dni temu. Może to głupio zabrzmie, ale brakowało mi tego, nawet się o to martwiłem. Tęskniłem za spisywaniem zdarzeń, prawie jakby słowa mogły zmienić zakończenie całej historii. A teraz nie mogę się doczekać, co będzie dalej. Dokąd nas to wszystko zaprowadzi.

– To po prostu dynamit – powiedział, wręczając mi teczkę. – Zarówno w negatywnym sensie, jak i w pozytywnym. Jest tu mnóstwo rzeczy, które będziemy mogli wykorzystać, ale według mnie powinieneś to zniszczyć.

– Nie ma mowy – zaprotestowałem.

– Tak myślałem – rzekł. – Skoro nie chcesz tego zniszczyć, przysięgnij z ręką na sercu, że nigdy tego nikomu nie pokażesz.

– Czemu?

– Bo jak się to czyta, można odnieść wrażenie, że jesteś nieźrównoważony.

– Co?

– Przepraszam – zaśmiał się. – Nieźrównoważony to trochę za mocno. Nie to miałem na myśli. Chodzi o to, że, no, niektórzy mogą nie do końca rozumieć, co czujesz do Verity. Mogliby źle zinterpretować pewne twoje decyzje, na przykład to, że czekałeś na nią pod biurem, chodziłeś pod jej dom, wiesz.

– Nie, nie wiem.

Xander zrobił poważną minę i pochylił się do przodu, składając ręce przed sobą.

– Jestem śmiertelnie poważny, Mike. Nie przyznajemy się do winy.

– Ale ja to zrobiłem. Nie zaprzeczam, biłem go. Poza tym przecież są świadkowie.

– Tak – stwierdził Xander. – Ale postawiono ci zarzut zabójstwa, a jestem przekonany, że możemy zejść do nieumyślnego spowodowania śmierci. Jeżeli nie przyznamy się do winy, oskarżenie o spowodowanie śmierci nadal będzie aktualne i sędzia będzie mógł tak przedstawić sprawę

przysięgłym, żeby uznali cię za winnego spowodowania śmierci, a nie zabójstwa. A to ma ogromny wpływ na wyrok.

Xander to idiota, taki sam jak wszyscy, ale jak twierdzi mój prawnik, właśnie takiego potrzebujemy. Jest chujkiem o nadętym ego, lubi się przechwalać i choć może nie chodzi do takich klubów, w których bywa George, i nie leje kobiet jak faceci, których sobie wybierała moja matka, to i tak jest dupkiem. Mimo że ma żonę i dzieciaki, na bank ogląda się za dziewczynami na ulicy, a na firmowej imprezie świątecznej pozwala sobie na szybki skok w bok. Jest rumiany na twarzy i podejrzewam, że lubi rozpalać ognisko, piec jagnię na rożnie i rąbać drewno. Należy do ludzi, o których istnieniu nie miałem pojęcia, dopóki nie poszedłem na studia, ale tacy istnieją, słowo. Uważa, że został prawnikiem, by pomagać ludziom i czynić dobro, i nikomu się nie przyznaje, że bronienie trudnych spraw go podnieca. No i lubi pieniądze. Ale teraz jest moją największą szansą, by się stąd wydostać i zacząć prawdziwe życie z V.

Początkowo w ogóle nie chciałem w to mieszać V. Ale Xander wytoczył poważne argumenty.

– Naprawdę sądzisz, że V będzie sterczeć pod bramą kicia i na ciebie czekać cały czas, jak będziesz tu siedział, czyli dziesięć lat albo dłużej, jeżeli sama wyjdzie z tego obronną ręką? – spytał po wielogodzinnej, męczącej kłótni, którą toczyliśmy w oświetlonej jarzeniówką celi. Czułem, jak się pocę pod więziennym ubraniem, a mrówki urządzały zamieszki w moim krwiobiegu. – Taka dziewczyna? Po tym, co się działo w mediach? Książkę mogłaby napisać, być na ustach całego miasta. Faceci w kolejkach by się do niej ustawiali. Poza tym uważam, że to cholernie niesprawiedliwe, abyś brał całą winę na siebie. Zastanawiałem się nad tym, zanim przeczytałem twoją relację, zastanawiałem się nad tym, ale teraz nie mam wątpliwości: zostałeś sprowokowany i musisz zadać sobie pytanie, czemu ona to zrobiła.

– To było elementem naszej gry – odparłem. – Myślałem, że już nie muszę tego tłumaczyć. I wcale mnie nie sprowokowała. Podobało mi się to.

Xander machnął na to ręką.

– Wiesz, że była jedyną spadkobierczynią Angusa Metcalfa? Jest dziś milionerką.

Pokręciłem głową.

– V nie zrobiłaby czegoś takiego dla pieniędzy.

– W takim razie powiedzmy, że to dodatkowy bonus – uśmiechnął się.



Nie podobał mi się jego ton, ale nie było sensu się denerwować.

– Nie chcę na nią zwałać winy.

– Słuchaj. Co do tego, że to ty zadałeś zabójczy cios, nie ma wątpliwości. Ale jest tyle pytań bez odpowiedzi, na tyle sposobów można sprawić, by przysięgli zakwestionowali jej zeznania i zaczęli widzieć ciebie w innym świetle. Chociażby to – dlaczego nie powiedziała Angusowi, że się ze sobą kontaktowaliście? Dlaczego zaraz po fakcie nie zawiadomiła policji o próbie gwałtu? Dlaczego nie powiedziała o wszystkim Angusowi od razu po jego powrocie? Po co do ciebie dzwoniła i ostrzegła, że on do ciebie jedzie?

– To nie była próba gwałtu – odparłem, wracając myślami do cudownego pocałunku z V, który nadal był jak balsam dla mojej duszy.

– Właśnie. Dlatego warto się zastanowić, czemu ona nagle uznała, że to była próba gwałtu, tak po prostu. Czy to ci nie wystarczy, by zacząć wątpić w jej intencje? – Mówiąc, Xander wychylał się do przodu, grdyka mu się poruszała, a policzki nabierały rumieńców.

– Nie spodziewam się, że to zrozumiesz. To należy do naszej gry. Nie chcę, by ktokolwiek wątpił w intencje Verity.

Xander spojrzał mi prosto w oczy.

– Mike, sąd musi w kogoś zwątpić – albo w ciebie, albo w nią. Na Angusa nie możemy liczyć, bo on nie żyje, a przysięgli mają to do siebie, że żałują ofiary. Jeżeli uwierzą, że zrobiłeś to z zazdrości, wszystko pójdzie w bardzo złym kierunku. Morderstwo oznacza dożywocie, nie można zasądzić innej kary, a gdybyśmy uzyskali spowodowanie śmierci, dostaniesz dziesięć, piętnaście lat. Możemy do znudzenia powtarzać, że nie chciałeś go zabić, ale co z tego, i tak ci nie uwierzą. Pobiłeś go dość mocno – pomijając wszystko inne – i już to niedobrze wygląda. Ale jeżeli byłeś tak zdenerwowany, że straciłeś panowanie nad sobą, to możemy spróbować ich nakierować na łagodniejszą wersję, czyli spowodowanie śmierci. A co, jeśli to Verity zawróciła ci w głowie? Jeżeli jej wpływ na ciebie był tak silny, że działałeś w przekonaniu, że spełniasz jej wolę? To jest właśnie nasza szansa.

Miałem mętlik w głowie.

– Ale i tak będę musiał iść do więzienia.

– Obawiam się, że to nieuniknione. Mam na myśli różnicę między dziesięcioma a pięcioma latami. Albo nawet mniej. Nie będziesz miał czterdziestki, jak wyjdiesz.

– A co będzie z Verity? – Myślałem sobie, że wieczorami będę chodził do więziennej siłowni i podnosił ciężary.

Xander wciągnął powietrze – jakby naprawdę był człowiekiem.

– I o tym właśnie musimy pogadać, Mike. Chcę, żebyś mnie uważnie wysłuchał i zastanowił się, jakie wyjście jest najlepsze dla was obojga. Dla niej i tak nie będzie to nic przyjemnego. W sądzie trzeba będzie ją trochę przycisnąć, wyjdą na jaw wszystkie wasze sekrety. Ale moim zdaniem powinniśmy na to pójść. Może... – Starał się zrobić zakłopotaną minę, ale ta jakoś nie współgrała z jego łagodnymi rysami. – Może będzie musiała zapłacić za to, co zrobiła. Mam na myśli, dosłownie.

Skupiłem się na tym, co miało większe znaczenie.

– Nie chcę robić jej przykrości.

Xander westchnął.

– Daj spokój, Mike, to poważna sprawa. Tu chodzi o twoje życie. – Wstał i nachylił się nad biurkiem. – Summa summarum i tak będziesz za to siedział, więc uważam, że nie powinieneś brać wszystkiego na siebie, to nie w porządku. Verity może nie zadawała ciosów, może nawet cię nie prosiła, żebyś je zadawał, ale w pewnym sensie ponosi winę na równi z tobą. Człowieku, przecież wyraźnie coś do ciebie czuła i chciała odejść od męża.

– Nie rozumiem, co mi chcesz powiedzieć.

– Mike – ciągnął Xander niskim głosem. Wyobrażałem sobie, że tak samo zwraca się do swoich dzieci, kiedy są niegrzeczne, a on chce im przemówić do rozsądku. – Zrozum, mam obowiązek iść na policję z tym, czego się od ciebie dowiedziałem.

– Ale przecież nic ci nie powiedziałem.

Stuknął w teczkę.

– Wszystko mam tutaj. Wiesz, że Verity była już parę razy przesłuchiwana?

Pokręciłem głową.

– Najwyraźniej podejrzewają, że miała w tym swój udział. Gdybym im powiedział to, co wiem od ciebie, jest szansa, że postawiono by jej zarzut pomocnictwa.

– Nie ma mowy, absolutnie się nie zgadzam.

– Wtedy mielibyście wspólny proces – ciągnął Xander. – I moglibyście nawet dostać podobne wyroki. Pomyśl tylko. Jak wyjdziecie, będziecie mieć podobne przeżycia, doświadczenia. Nie będzie tak, że ona żyje sobie

dalej, a ty gniesz za kratkami. Razem wejdziecie w nowe życie. A wszystko, co było, zostawicie za sobą.

Spojrzałem na Xandera, w jego niebieskie oczy, które czasem przypominały mi oczy Kaitlyn. Jego słowa wybrzmiewały, a na twarzy pojawił mu się zachęcający uśmiech. Ten gość miał w sobie coś hipnotyzującego. Coś, co nakazywało mu ulegać. Coś, co przypominało chodzenie po nagrzanym piasku i tonięcie w szczerym uścisku. Żadne z nas nie przewidziało, że Pragnę może toczyć się dalej, ale czy to takie złe? Myśl, że V bezpiecznie spędzi parę lat w celi identycznej jak moja, niczym cenny klejnot schowany w pudełku, które w końcu ktoś otworzy, była na swój sposób piękna. Prawie romantyczna. Brzmiała jak historia, którą można potem opowiadać wnukom.

\*

Xander mnie uprzedził, że pewne aspekty naszej historii wyciekną. Mówił, że przeprasza, ale nic się nie da na to poradzić. „Stażyści lubią plotkować”, westchnął i przestał zacierać ręce. Nie oczekiwałem jednak absurdalnych, bezczelnych nagłówków, które tyle ujawniały. Zacząłem je sobie wycinać i tu wklejać, żeby już nigdy nie zapomnieć, jaki jest ten prawdziwy świat.

Mężczyzna zabija rywala w tragicznej zabawie seksualnej  
Żądza, zabójstwo, zguba  
Jak wygląda wina  
Żona chłodna i obojętna  
Śmierć Angusa Metcalfa – zazdrość czy rozmysł?  
Wychowanek domu dziecka niedostosowany do normalnego życia  
Zabójca z domu dziecka  
Czy Verity mówi prawdę?  
Prawda oczami Verity  
Przebiegła Verity  
Wybitna dyrektorka ofiarą niebezpiecznej gry  
Ciągłe pragnienie  
Zabójcza gra  
O chłopcu, który pragnął miłości

W sobotę wyciąłem też ten artykuł. To felieton podpisany nazwiskiem Hellen Bell, które z pewnością zapamiętam, opublikowany w najpopularniejszej brytyjskiej gazecie o zasięgu krajowym.

Czy Verity Metcalf to współczesna lady Makbet?

Verity, czyli prawda – cóż to za dziwne imię dla kobiety zajmującej centralne miejsce w chorym i zabójczym trójkącie miłosnym. Osobiście zawsze byłam zdania, że nadawanie dziecku imion typu Wiara, Nadzieja czy Miłość to nic innego jak proszenie się o kłopoty. Wyznaczać dziecku tego typu zadanie to jak popychać je kijem do buntu, zanim wyrośnie z pieluch.

Verity Metcalf, lat dwadzieścia dziewięć, nie była jednak osobą, którą można by wziąć za buntowniczkę. Na pierwszy rzut oka prowadziła przykładowe życie. Świetnie radziła sobie w prywatnej szkole dla dziewcząt (czesne: dwanaście tysięcy funtów rocznie) Haverfield w Sussex, znajdującej się w pobliżu wartego trzy miliony funtów domu, w którym się wychowała. Znakomicie zdawała egzaminy – otrzymała dziesięć ocen celujących na egzaminie gimnazjalnym i trzy na maturze. Studia na Wydziale Nauk Stosowanych Uniwersytetu w Bristolu również ukończyła z wyróżnieniem. Przeprowadziwszy się do Londynu, dostała pracę w światowej sławy Calthorpe Centre, gdzie brała udział w pionierskich pracach nad sztuczną inteligencją, i sześciocyfrową pensję.

Mało tego, ostatnio wyszła za tak zwanego najlepszego kawalera w Londynie, Angusa Metcalfa, ambitnego i zdolnego dyrektora agencji reklamowej u szczytu kariery. Mieszkali przy jednej z najbardziej eleganckich londyńskich ulic, w domu wartym osiem milionów funtów, za sąsiadów mieli gwiazdy popu i rosyjskich oligarchów. Bywali na balach dobroczynnych, siadali przy jednym stole z najznamienitszymi nazwiskami. Na ścianach ich domu wisały dzieła sztuki, których nie powstydzilyby się najlepsze galerie. Wakacje spędzali w najbardziej ekskluzywnych kurortach świata. Ich podróż poślubna do RPA we wrześniu tego roku kosztowała podobno dwadzieścia tysięcy funtów.

Co więc poszło nie tak? Jak to się stało, że Verity Metcalf znalazła się w prostackim trójkącie, jej fantastyczny mąż nie żyje, a jej były chłopak, Michael Hayes, lat trzydzieści, oskarżony o zabójstwo czeka w więzieniu na proces?

Prawda, jak to zwykle bywa, jest dużo bardziej skomplikowana niż nieskazitelne oblicze, które Verity pokazuje światu.

Verity, kobieta o niezaprzeczalnie zjawiskowej urodzie, od chwili śmierci Angusa Metcalfa nie okazuje prawie żadnych emocji. Była fotografowana niezliczone razy – koło domu, na posterunku policji, w parku, gdzie biega, w wiejskiej rezydencji rodziców – lecz cały czas ma identyczną minę. Bezwzględne spojrzenie, zaciśnięte usta, uniesiony podbródek. W uszach i na szyi często nosi biżuterię, czasem nawet ma lekki makijaż. Jej oczy z całą pewnością nie są podpuchnięte ani przekrwione, jak można by oczekiwać po młodej wdowie. Kroczy dumnie, z wysoko uniesioną głową, jakby chciała nam wszystkim rzucić wyzwanie.

Spoglądając na nią, nie widzę roztrzęsionej kobiety w żałobie, lecz wyrachowaną kusicielkę. W noc morderstwa zadzwoniła do Hayesa, ostrzegając go przez wizytę męża. A wezwana przez sąsiadkę policja zastała ich podobno w objęciach, z ciałem jej męża leżącym u ich stóp.

Verity z całą pewnością lubiła seks i lubiła z nim eksperymentować. Jej były chłopak powiedział, że „jej namiętność czasem go przerażała”. Nigdy się nie dowiemy, czy właśnie ten rodzaj kontroli roztoczyła nad Michaeliem Hayesem, lecz wiele osób potwierdza, że Hayes zawsze sprawiał wrażenie, jakby rzuciła na niego urok.

Hayes, swoją drogą, to ciekawa postać. Przez pierwszych dziesięć lat życia wychowywany przez agresywną matkę alkoholicką, potem przez niepozbawiony wad system opieki społecznej, był dzieckiem krnąbrnym i trudnym. Trzykrotnie zmieniał szkołę, a stabilny okres w jego życiu zaczął się dopiero, gdy w wieku dwunastu lat trafił do rodziny zastępczej, pod opiekę Elaine i Barry’ego Marksów. Tam nie tylko przycichły jego wybryki, lecz rozkwitła jego wrodzona inteligencja, dzięki której dobrze zdał egzaminy i dostał się na Wydział Ekonomii Uniwersytetu w Bristolu.

Verity i Hayes poznali się na drugim roku. Kiedy się patrzy na ich zdjęcia z tamtych czasów, automatycznie nasuwa się myśl, że piękna, pewna siebie dziewczyna i nieśmiały, nieporadny chłopak to dziwna para. Znajomi twierdzą, że był nią zauroczony od pierwszej chwili i chodził za nią krok w krok niczym szczeniakiem.

Po dyplomie Hayes podjął pracę w bankowości i zaczął odnosić wielkie sukcesy. Choć nie był zamożny jak Metcalf, świetnie zarabiał,

a jego regularne premie każdorazowo przekraczały milion funtów.

Verity i Hayes rozstali się rok temu w Boże Narodzenie, kiedy ona już poznała Metcalfa i zaczęła z nim romans. Znajomi opisują ich jako niesamowicie szczęśliwych. Po paru miesiącach zakochani zaręczyli się, a we wrześniu tego roku – pobrali. Wystawny ślub i wesele miały miejsce w rezydencji rodziców Verity. Co ciekawe, Hayes wziął w nich udział, goście wspominają jednak, że był zdenerwowany i rozkojarzony.

Nikt nie wie, kiedy Verity i Hayes nawiązali ponowny kontakt i co między nimi zaszło. Wiadomo tylko, że dwadzieścia cztery godziny przed morderstwem spotkali się u niej w domu, kiedy to, jak twierdzi Verity, Hayes miał próbować ją zgwałcić. Angus przebywał wtedy służbowo w Los Angeles.

A może nigdy nie przestali się kochać? Może Verity nigdy nie kochała ani Hayesa, ani Metcalfa? Może znajomość zarówno z jednym, jak i z drugim przynosiła jej korzyść, dlatego rozegrała wszystko tak, by doprowadzić do konfrontacji obu mężczyzn? Bo Verity Metcalf, jedyna spadkobierczyni znaczącej fortuny męża, jest dziś bardzo zamożna.

Wszyscy znamy już taką postać – ja w każdym razie na pewno. To najładniejsza dziewczyna w szkole, ta, wokół której kręci się najwięcej chłopaków. Jest mądra, inteligentna, zabawna i zapraszana na wszystkie imprezy. Doskonale na niej leżą ciuchy, choć nie musi dbać o figurę. Znajduje świetną pracę, w wakacje ma zawsze superpogodę, jada w najlepszych restauracjach i jeździ najszybszymi samochodami. Jest świadoma mocy swojej seksualności i nie obawia się jej użyć.

Tyle że kiedy próbujesz z nią tak zwyczajnie po babsku pogadać, okazuje się, że coś jest nie tak. Ona nie ma ochoty posiedzieć w piżamie na kanapie i przy butelce wina pogadać o żenujących randkach. Zachowuje dystans, nigdy się nie spoufala, a jednym okiem cały czas łapie ci przez ramię, czy do pokoju nie wchodzi jakiś przystojny facet.

Ostatnim razem, kiedy zaufałam kobiecie w typie Verity Metcalf, straciłam męża. Od tego czasu dostrzegam w takich kobietach więcej niż blichtr i blask. Patrzą im w oczy. Są niebezpieczne – wszystkie Verity Metcalf tego świata – i dobrze o tym wiedzą. Szkoda tylko, że my, cała reszta, uczymy się tego tak powoli.

Jedno jest pewne: niezależnie od tego, czy Verity odpowiada za śmierć męża, wątpię, by mimo pozorów doskonałości była niewinna i szczerą.

Xander przy każdym kolejnym odwiedzinach jest coraz bardziej zadowolony z siebie. Przynosi sterty wycinków prasowych, których już nie czytam. Mam dość oglądania zdjęć, na których Verity patrzy prosto w obiektyw, a flesze rzucają blask na jej nienaturalnie białą twarz. Wiem, ile ją kosztuje zachowanie tej kamiennej pozy, że w środku kruszeje i słabnie, że po tym wszystkim zostaną po niej zgliszcza.

Myślę czasem o moim ogrodzie. Anna powiedziała, że aby był piękniejszy, trzeba go najpierw zniszczyć, a ja jej zaufałem. Verity i ja przypominamy w tej chwili stertę gruzu, ale mam najlepsze intencje. Bo na tych zgliszczach powstanie coś wyjątkowego – coś znacznie lepszego niż to, co było.

\*

Policja była u mnie parę razy w sprawie Verity. W kółko zadają te same pytania, każą powtarzać różne historie z naszego życia, co się staje wręcz nieprzyzwoite. Pytają, co razem robiliśmy, co sobie obiecywaliśmy, co nas łączyło. Nie rozumieją, czemu V pisała do mnie takie przyjacielskie mejle, i studiują je wers po wersji, prosząc, bym im pokazał miejsca, w których V mówi naszym prywatnym kodem. „Jak sądzisz, czemu – pytają po raz enty – nikomu nie powiedziała, że jesteście w kontakcie”, a ja na to: „Bo my się kochamy”.

Ale głównie interesuje ich to, dlaczego zadzwoniła do mnie w noc zabójstwa i dlaczego, kiedy przyjechała policja, przytuliła się do mnie, mimo że Angus konał na podłodze u naszych stóp. „Nie broń jej, Mike – mówią i przypominają w tym Xandera. – Nie jest tego warta”.

Czasem po tych przesłuchaniach czuję się winny – nie dlatego, że V tego czy tamtego nie zrobiła, tylko dlatego, że nigdy nie mieściło mi się w głowie, że mógłbym nie poświęcić dla niej życia. Zaczyna jednak do mnie docierać, że takie myślenie jest bardzo uproszczone. Moje życie należy do V, a jej życie – do mnie. Nie istniejemy jedno bez drugiego i dlatego nie można nas rozdzielić, nasze ścieżki nie mogą się rozejść. Musimy być razem – niezależnie od tego, co to oznacza i ile trzeba za to zapłacić.

\*

Trochę dziwnie się czuję, kiedy myślę, że jestem dosłownie dwa kroki od domu. Z Clapham do więzienia Wandsworth można dojść w pół godziny szybkim spacerem. Przez wysokie okienko widzę tylko niebo i czarne ptaki krążące na tle szarych chmur jak sępy. Mimo to nadal mam przed oczami drogę stąd do domu. Pokonuję ją w myślach i prawie czuję ten cudowny ból nóg, kiedy dochodzę na miejsce. Zupełnie nie ma tu możliwości ćwiczyć. Nic dziwnego, że wszyscy mężczyźni drą się, wrzeszczą, plują i klną. Nasze ciała są beczynne, więc dyszymy i sapiemy tylko mentalnie. Ja całymi godzinami ćwiczę w celi, choć Gruby Terry mówi, że mi przywali, jeśli się, kurwa, nie zamknę. Obaj jednak wiemy, że tego nie zrobi, a raczej – że nie zdoła. Jego wór sadła na brzuchu nie ma żadnych szans w starciu z moimi napiętymi mięśniami i on doskonale o tym wie. Nawet mi się nie chce mu odpowiadać, kiedy opadam ku podłodze w setnej pompce albo wydycham powietrze w superszybkich, bolesnych przysiadach. Nie mogę dopuścić do tego, by ciało mi zwiędło i osłabło, muszę dobrze wyglądać na spotkanie z V w sądzie. No i być na tyle silny, by ocalić nas oboje.

V mówiła, że czeka nas wspaniała przyszłość, i właśnie dlatego wyobrażam sobie nas skąpanych w złotym blasku słońca. Chciała, żebyśmy ciężko pracowali i zarobili kupę forsy, żeby potem wszystko rzucić i tylko odpoczywać. „Jaki jest sens – pytała – całe życie pracować na trzy czwarte swoich możliwości i umrzeć na zawał pierwszego dnia emerytury, skoro można się zmusić do większego wysiłku, kiedy jeszcze jest się sprawnym i młodym, mieć z tego frajdę, a potem wcześniej przejść na emeryturę i mieć z tego jeszcze więcej frajdy”. Zastanawiam się, jak to, co się właśnie dzieje, ma się do jej planów, i czy kiedy wyjdę z więzienia, nadal starczy nam pieniędzy, by żyć tak, jak marzyła. Nigdy w życiu nie wezmę grosza z pieniędzy Angusa i podejrzewam, że ona też nie. Tego typu rozmyślenia nie dają mi spać. Wyświetlam sobie w głowie scenariusze, jak szukam pracy, dobijając do czterdziestki, z kryminalną przeszłością na koncie.

Xander mówi, że nie wolno mi do niej pisać ani w ogóle próbować się z nią kontaktować. Twierdzi, że to by bardzo źle wpłynęło na moją sprawę, gdybym choćby poprosił o pozwolenie, i kazał mi obiecać, że tego nie zrobię. Obiecałem, ale cały czas rozmawiam z V w myślach. Wiem, że nadal jest na mnie zła, że powiedziałem Angusowi tak, jak powiedziałem, i ma rację. Gdybym jeszcze trochę poczekał i pozwolił, by to sama załatwiła, zrobiłaby to dużo łagodniej i Angus by się tak nie wściekł. Nie



wypiłby za dużo, nie rzuciłby się na mnie i nie sprowokował do takiego ostrego bicia.

Xander nazywa to obroną własną i mówi, że nie mogę zapominać o faktach, czyli że po pierwsze, zostałem nagle wyrwany ze snu, po drugie, Angus mi groził i mnie obrażał, po trzecie, to on zadał pierwszy cios, a ja próbowałem przemówić mu do rozsądku. Nie miałem zamiaru go skrzywdzić. „Powtarzaj to sobie codziennie przed snem –mówi Xander – ciągle sobie przypominaj, że działałeś w obronie własnej”.

Wciąż analizuję rozmowę, którą odbyliśmy z V u niej w domu w przeddzień tragedii. To, jak powiedziałem, że żałuję, że Angus w ogóle istnieje, a ona mi na to, że chciałyby, aby wszystko ułożyło się zupełnie inaczej. Ale też, że mi kazała iść do domu i czekać, a sama wzięła na siebie wyznanie wszystkiego Angusowi. Że nie tylko dawała mi to, czego chciałem, lecz także mnie chroniła. Dobrze mnie zna, więc wiedziała, że wpadnę w gniew. Teraz widzę, że chciała mnie ustrzec przed samym sobą, tylko jej nie posłuchałem. Gdybym zrozumiał i wyszedł, kiedy Angus powiedział, że jest chora, to dziś byłiby już w trakcie rozwodu, a my z V mieszkalibyśmy sobie w naszym domu.

Myśl ta zadaje mi wręcz fizyczny ból. Wnika we mnie i gnębi moje wnętrze niczym pasożyt tak, że kiedy leżę, muszę się przewrócić na bok i trzymać za brzuch. Bo byliśmy tak blisko, dosłownie na wyciągnięcie ręki od tego, o czym zawsze marzyliśmy, a ja wszystko sknociłem.

Mam w tym jednak niemałe doświadczenie. Kiedy czuję się słaby, mózg mnie czasem atakuje i ściąga w dół, w ruiny mojego życia. Ja się szarpie i wrywam, wczepiam się pazurami w ziemię, byleby pozostać w górze, ale tam, na dole, czeka na mnie parę fajnych widoków. Carly, rzecz jasna, jest blisko szczytu, ale gdy ześlizgnę się niżej, po raz tysięczny widzę siebie, jak otwieram drzwi urzędnikom z pomocy społecznej. Film, który przewija mi się w głowie, jest już pociachany, ma pełno rys od obcierania o nierówne, poorane wnętrze mojej czaszki. Widzę siebie, jak stoję z tyłu, czuję, jak uchodzi ze mnie wola, by chronić matkę.

Przez pierwszych kilka lat w domu dziecka przychodziła mnie odwiedzić. To się nazywało widzenie i odbywało w specjalnym pokoju, oddzielonym od pozostałej części domu. Pokój miał obrzydliwie żółte ściany z namalowanymi przy szablonie misiami i królikami, które łuszczyły się i odpadały. W kącie smętnie stała plastikowa wanienka z zabawkami, a pod ścianą, pod półką z książkami – zniszczona fioletowa kanapa. Żadna

z tych książek nigdy nie zmieniała miejsca. Ich grzbiety zapadały się pod ciężarem zaniedbania.

Zwykle była trzeźwa, choć prawie zawsze śmierdziała wódką i petami w połączeniu z perfumami lawendowymi. Kupowała je na bazarku i myślała, że ich zapach przytłumi woń trucizny, stale sączącej się porami jej skóry. Często płakała, rozmazywał jej się od tego makijaż, a mnie robiło się niedobrze. Miała brudne ubrania – takim brudem, który wżarł się w materiał i widać każdą jego warstwę, a cuchnie mieszaniną błota, ryb i rozkładu. Ten zapach szczypał mnie w tylną ścianę gardła. Dużo przeproszała, niespokojnie spoglądała szybko na moją twarz, jakbym miał wiedzieć, jak zareagować. Mówiła mi, gdzie teraz mieszka, i że już niedługo będę mógł do niej wrócić, choć oboje wiedzieliśmy, że to się nie zdarzy. A przynajmniej ja wiedziałem. Może ona się łudziła. Pytała mnie, co u mnie, a ja wzruszałem ramionami i mówiłem, że nic.

Parę razy przyjechała do Elaine i Barry'ego. Nerwowo siedziała w dużym pokoju, a Elaine wparowywała z kuchni z herbatą i ciastkami. Drżącą ręką unosiła kubek do ust, a szminka zostawiała jej na zębach ślad, który nie znikał nawet podczas picia. Sam w to nie wierzyłem. Wtedy zrozumiałem, że moja mama należy do kobiet, którym szczęście nie sprzyja do tego stopnia, że herbata nawet nie spłucze z ich zębów śladu po beznadziejnie nałożonej szmince. Siedząc na zielonej kanapie Elaine, miałem wrażenie, że to najgorszy z grzechów matki popełnionych przeciwko mnie. I niewybaczalny. Okrutny i mściwy. Jakby sumowało się w nim wszystko, co było z nią nie tak.

Postanowiłem zgodzić się na odwiedziny Elaine. Czasem zadziwia mnie własna potrzeba, żeby ją zobaczyć. Może to po prostu nic innego jak zwyczajny sentyment, chęć, by miło wspominać wieczory w ich domu, która się we mnie budzi, gdy słyszę dochodzący z kąta szum telewizora Grubego Terry'ego i odgrzewane świąteczne piosenki, które sprawiają, że kupujemy gówno, puszczone w przerwach między obrzydliwymi programami, gdzie ludzie niepotrafiący się wysławić wrzeszczą na siebie, by rozsądzić, kto jest ojcem ich dzieci. Elaine i Barry uwielbiają święta, a ja, zanim poznałem V, bardzo szczęśliwie przeżyłem u nich dziewięć Bożych Narodzeń. Zastanawiam się, czy te święta będą lepsze, czy gorsze od zeszłorocznych, a kiedy o tym myślę, nie mogę uwierzyć, że minął dopiero rok od chwili, kiedy to wszystko się zaczęło. Jak to czasem życie

może się wlec i zawracać, a czasem pędzić i zmieniać kierunek, popychać cię do przodu, mimo że rozpaczliwie chcesz zostać w miejscu. Rok temu mniej więcej w tych dniach zajmowałem się pieprzeniem Carly i swojego życia.

\*

Dziś Xander mi powiedział, że V postawiono zarzut pomocnictwa przy dokonaniu morderstwa, choć zwolniono ją za kaucją. Założą na jej delikatną kostkę opaskę elektroniczną i będzie musiała się codziennie meldować w komisariacie.

– To, co oboje zeznajecie, totalnie się nie spina – oświadczył. – Ton jej mejli był zbyt serdeczny, żebyś musiał jej grozić, nie złożyła też doniesienia na policję, że ją niby nagabywałeś. Nikomu, w tym Angusowi, nie pisnęła o waszych spotkaniach. Twierdzi, że próbowałeś ją zgwałcić w noc przed morderstwem, ale dotąd nie zgłosiła tego na policję ani nikomu o tym nie wspominała. No i oczywiście ten telefon do ciebie w noc zabójstwa, i to, że staliście objęci, gdy do domu wkroczyła policja. Ty z kolei cały czas powtarzasz, że się kochacie, co każe śledczym sądzić, że ją chronisz. Żadna z tych rzeczy jej nie pomaga, ale nam specjalnie nie bruździ.

Zakładam, że V spędzi święta w Steeple House, ale wątpię, żeby Suzi szalała w tym roku z obchodami. Ciekawe, czy już ubrali choinkę i czy leży pod nią stos prezentów. Ciekawe, czy zamówili indyka w mięsny, upiekli ciasto i odpowiednio przyrumienili babeczki z nadzieniem z suszonych owoców. Czy zapalają świece i otwierają drzwi kołędnikom. Ciekawe, czy pójda na pasterkę.

Xander się dowiedział, że procesu możemy się spodziewać na początku stycznia. Najprawdopodobniej ze względu na charakter sprawy i zainteresowanie opinii publicznej odbędzie się on w Głównym Sądzie Karnym dla Anglii i Walii zwanym Old Bailey. Zapewnił mnie, że ja i V będziemy sądzeni wspólnie i będziemy siedzieć niedaleko siebie w tylnej części sali rozpraw.

Zna adwokatkę V, Petrę Gardner, i mówi, że babka jest niesamowita. Spytałem, czy jesteśmy po tej samej stronie, ja i V, a on się zaśmiał i powiedział, że nie, w sumie raczej nie. Dziwnie się z tym poczułem. Prawie mu kazałem dać z tym spokój, ale muszę ciągle pamiętać, że tak dla nas naprawdę będzie to całkiem nowy początek. Muszę trzymać się tego, że

nie stajemy przeciwko sobie i że ostatecznie oboje mamy wspólny cel. I ja, i ona musimy patrzeć w przyszłość.

\*

Elaine i moja matka pojawiły się tego samego dnia. Elaine osobiście, a matka dzięki uprzejmości „Daily Mirror”. Złożyłem matkę na pół i położyłem ją na pryczy, ale schodząc na spotkanie z Elaine do pokoju widzeń, nie przestawałam o niej myśleć. A więc moja matka żyje. Myśl ta wywołała nieoczekiwane ukłucie radości i sprawiła, że poczułem się lekko.

Elaine bardzo schudła. Kiedy zbliżała się do mnie między stolikami, zobaczyłem, że zimowe palto prawie na niej wisi.

– Och, Mikey – powiedziała, wyciągając do mnie rękę. – Mój biedaku, coś ty najlepszego narobił?

Jej serdeczność mną wstrząsnęła.

– Przepraszam, Elaine.

– Po prostu nie rozumiem. Jak to się stało? – Jej życzliwa twarz drgnęła i wyciągnęła się pod ciężarem wszystkiego, co zaszło.

– To był wypadek. On do mnie przyszedł w środku nocy, rzucił się na mnie, biłem go w obronie własnej. – Xander tak mnie wyszkolił, że poza tym, co właśnie powiedziałem, nie pamiętałem już niczego, co wydarzyło się naprawdę i co nie było prawdą potrzebną, jak mówił.

– A teraz jeszcze Verity aresztowano. Nic z tego nie rozumiem. – Elaine błagała mnie spojrzeniem, bym powiedział coś sensownego, coś, co mogłaby zanieść w prezencie Barry’emu.

– Verity miała go zostawić i wrócić do mnie.

– Och, Mike. Kiedy ona twierdziła, że ją napastowałeś, nie dawałeś jej spokoju.

– Trudno to zrozumieć.

– Ale mieliście romans?

– Romans niezupełnie. To bardziej tak, że to, co między nami było, wcale się nie skończyło. Widzieliśmy się parę razy i rozmawialiśmy o tym, że V zostawi Angusa. Miała w związku z tym straszne poczucie winy.

Oczy Elaine były maleńkie jak oczy myszy, ale cały czas mnie świdrowały.

– Jeżeli to prawda, to czemu ona opowiada, że siłą wtargnąłeś do jej domu i przychodziłeś po nią do pracy?

W zeszłym tygodniu zostałem aresztowany za próbę gwałtu, co biorąc pod uwagę fakt, że już siedzę w więzieniu, było tylko formalnością. Kiedy Xander mnie o tym uprzedził, chyba trochę się wściekłem i krzychałem, choć pamiętam to jak przez mgłę. Twierdził, że to się nie najlepiej składa, i pytał, czy jestem pewien, że nie próbowałem zgwałcić V, co samo w sobie było niedorzeczne. Potem spytał, jak sądzę, dlaczego ona twierdzi, że tak właśnie było. Wtedy nie potrafiłem mu odpowiedzieć, teraz – już potrafię. Rozpracowałem to. To kolejny etap Pragnę. V została aresztowana z powodu podanych przeze mnie informacji i teraz się na mnie odgrywa. Jest zła, bo nie rozumie, co robię, ale tak naprawdę to tylko gra, nie robimy tego na poważnie, to minie, minie jak wszystko.

– Mike – powiedziała Elaine. – Czy to ona cię prosiła, żebyś skrzywdził Angusa?

– Trudno to wytłumaczyć.

Elaine zniżyła głos.

– Według ciebie to możliwe, że widzisz to wszystko inaczej niż Verity?

– Nie – odparłem, przypominając sobie zetknięcie naszych warg i jej jęk pożądania. – Nie, absolutnie.

– Po prostu nic z tego nie rozumiem – stwierdziła Elaine. – Verity była zawsze taka miła. Tak ją lubiłam. – Spojrzała na mnie spod zmrużonych powiek. – Twój prawnik bardzo mnie wypytywał o wasz związek. Nie wierzę, że to razem ukartowaliście.

Spuściłem wzrok. Zalała mnie fala gorąca. Nie wiedziałem, jak to wytłumaczyć Elaine.

– Nie, to nie tak. To nie takie proste.

Podobno widzenie trwa dwie godziny, ale często słyszę, jak współwięźniowie krzyczą z cel, że dostali tylko półtorej, chociaż ich (dowolne imię żeńskie) jechała siedem godzin, żeby się z nimi zobaczyć. Elaine była pierwszą osobą, która mnie odwiedziła, nie miałem więc pojęcia, czy półtorej godziny, które razem spędziliśmy, to była norma, ale spokojnie wystarczyłaby mi połowa tego czasu. W końcu Elaine przestała mnie wypytywać i przeszła do uprzejmej pogawędki – takiej samej, jakie zawsze ucinęła sobie z sąsiadami i sprzedawcami. Myślałem, że tego nie zniosę, i niemal wolałbym wrócić do roztrząsania tego, co zrobiłem. Czułem, że znikam z zasięgu jej wzroku, że im dłużej na mnie patrzy, tym bardziej mnie nie widzi. Teraz już nie przychodziły jej do głowy inne

tematy niż to, jaka dziś okropna mgła i co w więzieniu się je na świąteczną kolację.

Kiedy tylko Elaine poszła, pożałowałem, że nie miałem odwagi jej powiedzieć, co naprawdę myślę, a mianowicie, że V wyszła za Angusa w przekonaniu, że go kocha, ponieważ ja, zadając się z Carly, sprawiłem jej tak wielki ból. Myślała, że już jej nie Kocham, i siłą woli uwierzyła, że kocha Angusa. Nadal być może wątpi w moją miłość i to by wyjaśniało, czemu oskarża mnie o próbę gwałtu – bo nie wierzy, że całowałem ją szczerze. Nie zamierzała uśmiercać Angusa, ale jednocześnie nie chciała już być jego żoną i potrzebowała mojej pomocy, by jakoś osiągnąć ten stan. A poprosiła o tę pomoc w sposób zrozumiały tylko dla mnie.

Gdybym tylko mógł napisać do V lub z nią porozmawiać – chociaż raz – przez telefon. Ukoiłbym jej myśli i odegnał od niej strach. Znam V na wylot, wiem, jak działa i co myśli. Nie jest taka silna, jaką udaje, ani też specjalnie pewna siebie. Nie mogę znieść myśli, że zostałyaby na tym świecie sama, beze mnie, i jeżeli zamknięcie jej na parę lat w betonowej klatce miałoby temu zapobiec, to uważam, że to najłagodniejsze wyjście. Oboje spędzimy ten czas w bezpiecznych celach i to mnie pociesza. A Xander mówi, że po rozprawie będzie nam wolno do siebie pisać. Zamierzam to robić codziennie, zarzucać ją swoją miłością do czasu, aż wreszcie zrozumie, że mówię prawdę. Przypomnę jej, że kiedyś powiedziała Suzi, że pisanie listów jest strasznie romantyczne. Przed nami całe lata listów – listów, które można będzie związać wstążeczką i zachować na wieczną pamiątkę.

Po powrocie z widzenia z Elaine przeczytałem artykuł o matce i moją pierwszą myślą było to, by go podpalić, ale ostatecznie po prostu go wyrzuciłem. Moja matka, Michelle Hayes, lat czterdzieści osiem, mieszka teraz z Darrenem Hattonem, lat czterdzieści jeden, i ich dziewięcioletnią córką Kimberley w Bermondsey. Została „ocalona”. Żałuje tego, w jakich warunkach się wychowywałem, ale byłem bardzo trudnym dzieckiem. Uważa, że Verity wygląda na kawał cholery. A ja nie jestem mordercą, o nie, to niemożliwe, nie jej syn. Ktoś mnie musiał nakłonić, nie ma mowy, żeby było inaczej, a w każdym razie ona nigdy w to nie uwierzy.

Przy artykule było zdjęcie, ale nie widziałem sensu, żeby je trzymać, bo nie znam osób, które przedstawia. Gapiłem się na nie dość długo, zanim je wyrzuciłem, lecz skąd mam mieć pewność, że ta kobieta to naprawdę moja

matka? Siedziała na beżowej skórzanej kanapie w pokoju z dużymi fioletowymi kwiatami na ścianie, naprzeciwko okna wychodzącego na ogród. Na ścianie wisiały zdjęcia w ramach wkomponowanych w słowa „LOVE” czy „FAMILY”. Na podłodze leżał dywan, było też widać róg telewizora i obraz na ścianie. Obejmowała tłustą dziewczynkę z długimi brązowymi włosami, w koszulce z Justinem Bieberem. Darren siedział z drugiej strony dziewczynki i trzymał ramię na plecach matki. Może Darren zawsze był przy kości, ale matka zdecydowanie przytyła. Znad paska džinsów wylewał się jej wałek tłuszczu dodatkowo podkreślony przez różową koszulkę. Włosy miała ufarbowane na ciepły blond, a makijaż chyba profesjonalny, najpewniej zrobiony specjalnie na tę okazję. Spojrzałem na jej ręce spoczywające na Kimberley i zobaczyłem, że paznokcie są równo opiłowane i pomalowane na różowo, pod kolor koszulki. Na palcach nosiła kilka pierścionków, a na nadgarstku – bransoletkę. Zastanawiałem się, czy ona i Darren byli z natury przygnębieni, czy fotograf kazał im tak smutno wyglądać – sędzę, że to drugie.

Choć leży teraz w koszu, łapię się na tym, że mam nadzieję, że naprawdę częściej się uśmiecha. Że znalazła szczęście, o którym mówi. Czy nie byłoby dobrze, gdyby nas oboje spotkała miłość – czyli to, czego nie potrafiliśmy dać sobie nawzajem?

\*

Święta w więzieniu to fatalna sprawa. Na widok facetów w kolorowych tekturowych czapczkach i z plastikowymi tacami w rękach, stojących w kolejce po posiłek, który będzie smakował jak wióry, chce się wyskoczyć przez okno. I wiem, że nie ja jeden tak się czułem. Coś wisiało w powietrzu, napięcie rozchodziło się falami jak elektryczność. Więźniowie walili pięściami i wrzeszczeli, strażnicy wyciągali broń, jakiś gość skoczył na metalową siatkę między piętrami i się przekreślił, ktoś komuś przywalił kijem bilardowym w głowę i dobrze jeszcze nie zmyto krwi. Terry cały dzień siedział przed telewizorem z łapą w spodniach, a ja leżałem na łóżku i rozmyślałem o V.

– Takich lalek to się nie spotyka, co? – mruknął Terry późnym wieczorem, gdy naszą celę spowiała mgła pożądania.

Wychyliłem się z łóżka i spojrzałem na kobietę na ekranie. Krzyczała na kogoś, jej idealną figurę Barbie opinał połyskliwy garnitur, dopasowany niczym druga skóra. Na nogach miała buty na niemożliwych obcasach w stylu Kaitlyn, a piersi wielkie i krągłe niczym dwa arbuzy. Całości dopełniały platynowe włosy, makijaż w stylu współczesnej gejszy – napompowane usta w kolorze jaskrawej czerwieni, oczy podkreślone grubą i czarną jak smoła kreską oraz mleczna cera. Nie byłem pewien, czy to w ogóle istota ludzka.

– Założę się, że lubi się ostro pobawić – powiedział Terry, składając dłonie i coraz szybciej nimi posuwając. – Boże, mówię ci, gdybym ją dostał w swoje łapy, nie wiedziałyby, co się z nią dzieje. Dobrze bym się nią zajął, taa, skomlałyby o więcej. – Zaśmiał się i zaniósł głębokim kaszlem palacza. – Założę się, że ty miałeś takich na pęczki, skoro byłeś, kurwa, taki dziany – dodał, ale już przewróciłem się na bok. – E, zrobiłbyś mi dobrze i coś o nich powiedział.

Leżałem bez ruchu. Jeśli o mnie chodzi, chętnie sprabym Terry’ego tak, że nic by z niego nie zostało, ale nie chciałem.

– Co za, kurwa, pieprzony z ciebie sztywniak – mruknął z dołu.

Kiedyś czytałem, że ludzie są tacy smutni, bo każdy z nas stanowi połówkę pewnej całości i przez całe życie rozpaczliwie poszukuje tej drugiej, brakującej połówki, która go dopełni. Ale ponieważ świat lubi się bawić naszym cierpieniem, większość z nas nigdy nie znajduje tej nieosiągalnej drugiej połówki, bo rodzi się ona na drugim końcu świata. Ciągłe jednak szuka, nie wiedząc nawet czego, nie wiedząc nawet, że w ogóle szuka – bo tak mu nakazuje biologia. Po jakimś czasie zaczyna panikować, bo czuje, że ma w środku wielką ziejącą dziurę, i wie, że albo ją zapełni, albo zginie. Jedni zaczynają pić, épać albo szukają ukojenia w hazardzie czy telewizji – tak naprawdę obojętnie w czym, ważne, by pomogło zapomnieć, że wędrują przez życie samotną, nigdy niekończącą się ścieżką prowadzącą prosto do śmierci. Inni wybierają bardziej konwencjonalną drogę i przekonują sami siebie, że osoba, którą cały czas odrzucali, bo była zbyt nudna/gruba/brzydka/nie taka/kiepska w łóżku/śmierdziało od niej/była agresywna/psychotyczna, jest „właśnie tą”. Jedyńą osobą na świecie, która sprawi, że w sylwestra nie podetną sobie żył. Ale oczywiście ona tym kimś nie jest, więc pozostaje im życie wypełnione wzajemnym obwinianiem się i wyrzutami, które kończy się w tym samym miejscu, w którym by się



znaleźli, gdyby pominęli cały środek i poszli prosto w narkotyki, picie lub telewizję. „Na świecie nie ma ideałów” – ciągle się to słyszy, bo dla większości ludzi tak właśnie jest. Twoja idealna połówka mieszka gdzieś nad przepaścią w Mongolii Zewnętrznej, więc wasze ścieżki nigdy się nie przetną.

Tylko że V i mnie to nie dotyczy. My się odnaleźliśmy. Co więcej, nie było to nawet trudne. Poznaliśmy się tak, jak się poznają ci inni, niezupełnie do siebie pasujący ludzie. Z tą różnicą, że my nie musieliśmy lekceważyć wątpliwości dręczących nas gdzieś z pokrytych kurzem zakątków umysłów. My po prostu byliśmy dla siebie – i jesteśmy – tymi jedynymi. Pasujemy do siebie pod każdym względem i nikt nie może tego zmienić. Można nas wysłać do Stanów i stracić na krześle elektrycznym, a dalej będziemy tak twierdzić. Nic nie jest w stanie tego zmienić.

\*

Dziś był pierwszy dzień rozprawy. Policja zawiozła mnie radiowozem na tyły budynku Głównego Sądu Karnego, po czym wprowadzono mnie do środka ze związanymi z przodu rękami i głową nakrytą kocem. Czułem wokół siebie tłum i widziałem błyski fleszów odbijające się od mokrego chodnika. Jakaś kobieta krzyknęła: „Żałuj albo zginiesz”. Zakładam, że do mnie. Kiedy weszliśmy do środka, zdjęto mi kajdanki i koc i poprowadzono przez wielokilometrowy labirynt korytarzy, chyba pod ziemią. Zatrzymaliśmy się u stóp schodów, na ich szczycie były zamknięte drzwi. Strażnik ruszył pierwszy, ja za nim. Gdy weszliśmy po schodach i znaleźliśmy się za drzwiami, długo do mnie nie docierało, że jesteśmy w sali rozpraw. Uderzyło mnie ostre światło i kakofonia dźwięków, które wydawali zebrani tam ludzie. Wkrótce jednak stwierdziłem, że jestem na miejscu dla oskarżonego, jak tłumaczył mi Xander, czyli w długim, przeszklonym, drewnianym boksie biegnącym wzdłuż tylnej ściany sali. Xander powtarzał mi też wielokrotnie, że ponieważ będziemy sądzeni razem, ja i V, ona też będzie siedzieć na miejscu dla oskarżonych, czyli połączą nas nie tylko wspólnie przeżywane emocje, ale też fizyczna bliskość. Była to cudowna myśl, która nie pozwalała mi spać w nocy. Miałem wrażenie, że cały brytyjski system sądowniczy został zaprojektowany specjalnie z myślą o tej chwili.

Strażnik gestem nakazał mi usiąść, więc to zrobiłem, a on zajął miejsce obok. Xander obejrzał się na mnie zza stołu z przodu sali. Włosy z kretyńskiej peruki włożyły mu w oczy. Wiedziałem, że V prawdopodobnie też już jest w budynku, może nawet niedaleko, i że za chwilę ją zobaczę. Gotów byłem oddać wolność za to jedno spojrzenie.

Przybyła parę minut później głównym wejściem, czyli aby dostać się na tył, na miejsce dla oskarżonych, musiała przejść przez całą salę. Poczulem gwałtowny napór tłumu, jak gdyby V przyciągała nie tylko mnie, lecz każdego w sali. Strażniczka wskazała jej miejsce w naszej ławie, ale na jej przeciwnym końcu, i usiadła obok niej, tak samo jak wcześniej zrobił mój strażnik. Zupełnie jakby wiedzieli, że nie damy rady siedzieć tak blisko siebie, ale się nie dotykać. V miała w ręku tekturowy kubek, z którego pachniało kawą. Wiedziałem, że w kubku jest latte z odtłuszczonym mlekiem, przez lata wypiliśmy takich hektolitry. Nie wiem czemu, ale to wspomnienie wydało mi się jakieś gorsze od innych. Takie beztrudne i niewinne w porównaniu z tym, co się teraz z nami działo. Nie mogłem zrozumieć, czemu mi tak trudno do niego wrócić. Zerknąłem na V, nie mogąc się doczekać, kiedy na mnie spojrzy, choćby na sekundę, ale ona nie reagowała, ustami złożonymi w dzióbek popijała tylko z białego plastikowego wieczka.

Miała na sobie czarną spódnicę i zakiet, a pod nim białą koszulę. Włosy związała w luźny kucyk i chyba się nie umalowała. Ale orzeł wisiał na swoim miejscu, więc trochę się odprężyłem. Patrzyła przed siebie z obojętną miną, ale dostrzegłem lekkie drgnięcie kącika ust i ściągnięcie policzków. Zmartwiłem się, że jest taka blada, cerę ma prawie jak Kaitlyn, i że tak strasznie schudła. Była już niemal za chuda.

– Tylko nie rób nic głupiego – przestrzegł mnie w ostatniej chwili Xander. – To ty musisz grać rolę trzeźwego i stabilnego. Możesz być smutny, możesz się okopać na swojej pozycji, ale nie rób nic, co by wzbudziło zainteresowanie. Koniecznie musimy przekierować uwagę na Verity.

Patrzyłem na wchodzących przysięgłych, ale niczym się nie różnili od przypadkowych ludzi, których można spotkać w pociągu lub na ulicy. Byli w różnym wieku, różnej płci, narodowości i postury. Wszyscy spojrzeli na mnie, a potem poza mnie – na V, i szybko odwrócili wzrok. Nie mam pojęcia, może któreś z nich lubiło dla rozrywki topić kociaki, chodzić do kościoła albo pływać. Żadne w każdym razie nie sprawiało wrażenia, że

dorównuje inteligencją mnie czy V, więc to absurd, że mieli decydować o naszej przyszłości. Choć tę akurat myśl musiałem skorygować. O naszej przyszłości decydowaliśmy przecież sami. To my doprowadziliśmy do tego, co się teraz działo. To my graliśmy w grę, a oni przypaętali się przypadkiem po drodze.

W rzędach przed nami na pewno siedzieli jacyś znajomi, ale miałem wrażenie, że to złe duchy i jeśli nie będę na nich patrzył, to się ulotnią. Kiedy mieszkałem u mamy, w kącie żyły potwory widoczne tylko dla mnie, ukryte pod pajęczynami i przylegającym do ścian brudem. Zawarłem z nimi umowę. Jeżeli nie będę na nie patrzył, to mnie nie ruszą. To trochę pomagało na strach.

Ale i tak spojrzałem. Byli Elaine i Barry, oboje uśmiechnięci smutnym, przygnębiającym uśmiechem. Colin i Suzi siedzieli przed V, chudzi i skurczeni niczym przyschnięte drzewa. Suzi pochylała się przed Colinem, rozmawiając z mężczyzną tak podobnym do Angusa, że mógł być tylko jego bratem, a obok niego siedzieli rodzice Angusa – tych pamiętałem ze ślubu.

Uderzyła mnie myśl, że w sumie było tu jak na ślubie – po jednej stronie sali siedziała rodzina młodej, po drugiej – młodego. Jakoś mi ulżyło. Znowu spojrzałem na V, ale ona ciągle patrzyła przed siebie. Chciałbym móc jej powiedzieć, że to nasze spotkanie, nasz prawdziwy początek, koniec ostatecznej partii Pragnę, wstęp do czegoś wspaniałego. Zwyczajny, standardowy ślub nie był dla nas. Znaleźliśmy lepszy sposób scementowania naszego związku.

– Proszę wstać, sąd idzie – odezwał się donośny głos.

Sala zafalowała, a starszy mężczyzna w szpakowatej, przypudrowanej peruce, powiewając czerwoną szatą, wszedł po schodkach na podwyższenie. Xander był bardzo zadowolony z sędziego – powiedział, że sędzia Smithson to wyznawca „starej szkoły”, co podobno było dla nas korzystne. Kiedy sędzia zajął miejsce, wszyscy poszli w jego ślady, a on powiódł po zebranych takim wzrokiem, jakby praca sprawiała mu przyjemność. Jego wzrok spoczął na mnie, a potem przeniósł się na V.

\*

W sądzie jest mnóstwo wolnego czasu, upływa tyle godzin, podczas których nic tak naprawdę się nie mówi ani nie ustala. Łapię się na tym, że patrzę na

kłębki kurzu, który gromadzi się między szybą a drewnianą ramą boksu, do którego wsadzili mnie i V. Próbuję na nią za dużo nie patrzeć, ona na mnie nie patrzy nigdy. Ale czasem, gdy padają pewne słowa, czuję między nami takie przyciąganie, jakbyśmy byli połączeni drutem. Mam wrażenie, że wyciągamy do siebie ręce i wyteżamy siły.

Ludzie wstają, siadają, sędzia kiwa głową, adwokaci przemawiają do ławników. Ławnicy często spoglądają na mnie i na V, czuję na nas ich wzrok i wiem, że nie mają bladego pojęcia, co myśleć, bo są zwyczajnymi, szarymi ludźmi, steranymi przez życie. Zarzuty są potężne: dla mnie zabójstwo, a dla V – pomocnictwo przy dokonaniu zabójstwa. I wiem, że przysięgłych wiele jeszcze dzieli od podjęcia w stosunku do nas tego typu decyzji. Kiedy Xander czy Petra się do nich zwracają, wydają się dziećmi słuchającymi bajki na dobranoc. Nie jestem pewien, czy nawet się na niej skupiają. Widzę, że czasem ziewają i trą oczy. Jeden z młodych parę dni wcześniej wyglądał, jakby miał kaca.

I w sumie trudno mi ich winić, bo opowiedziano im już tyle historii, że jak mają się w tym wszystkim połapać. Czasem się zdarza, że świadkowie zmieniają zdanie w połowie przesłuchania, odpowiadając to na pytania Xandera, to Petry. Brat Angusa, Frederick, powiedział, że cała ich rodzina polubiła Verity i że nigdy przedtem Angus nie był równie szczęśliwy. Ale dodał też, że czasem sprawiało to wrażenie przesady, że zachowywał się, jakby uległ zauroczeniu. I że bardzo dużo pieniędzy zostawił osobie, którą znał tak krótko.

Nie cierpię świadomości, że V dysponuje fortuną Angusa. Myślę, że powinniśmy te pieniądze spalić. Wypchać ten jego głupi wypasiony dom banknotami i go podpalić, i patrzeć, jak rozpływa się w powietrzu – obraca się w nicość – którą jest.

Musieliśmy słuchać faceta, którego cytowały wszystkie gazety. Nazywał się Gordon Sage i wparadował na środek, by gadać o tym, co robił razem z V, kiedy mieli po osiemnaście lat.

– Muszę przyznać, że jej seksualność mnie przerażała – oświadczył, świdrując V świńskimi oczkami błyszczącymi na tłustej, rumianej twarzy, jakby nadal widział ją nagą. – Miała upodobanie, by robić to na dworze. – Oblizwał wargi, a ja poczułem, że coś podchodzi mi do gardła, i przestraszyłem się, że zwymiotuję sobie na buty i salę wypełni kwaśny smród zółci.

Spojrzałem na V, ale ona siedziała z zamkniętymi oczami i czołem opartym na dłoni. Przeniosłem wzrok z powrotem na Gordona Sage'a i zobaczyłem jego grube paluchy zagięte na drewnianej krawędzi podium dla świadka. Wyobraziłem je sobie w V.

– Ale któregoś dnia zadzwoniła do mnie jej koleżanka i powiedziała, że między nami koniec, nie dała mi żadnych wyjaśnień, nic. I wtedy nasze kontakty się urwały.

Wyobraziłem sobie, jak V krzyczy pod jego masywnym ciałem, i nagle zrozumiałem, dlaczego zawsze chciała, żebym ją ratował właśnie przed takimi facetami. Przed tymi wszystkimi Gordonami Sage'ami, których od niej odlepiłem w nocnych klubach, którzy przebierali po niej paluchami, dyszeli jej w szyję i skrapiali skórę drobinkami śliny, by została skażona ich DNA. Wyłamałbym mu te paluchy jeden po drugim, wyginałbym je tak daleko do tyłu, że tylko by trzaskały, a on sam wiłby się po podłodze wymazany własnymi glutami.

Xanderowi Gordon się spodobał, a przynajmniej to, co wniósł, jak się wyraził.

– Próbowali wezwać tę Amerykankę, z którą tam pracowałeś – powiedział, kiedy tego dnia po południu spotkaliśmy się pod sądem. – Zakładam, że chodzi o tę samą, z którą się przespałeś. Ale ona odmówiła, powiedziała, że nie przyjedzie, a sędzia stwierdził, że to w sumie bez znaczenia. Bo nie jest zainteresowany twoimi przygodami seksualnymi. – Zaśmiał się. – Myślałem, że Petra pęknie, jak to usłyszała. Dobry stary Smithson, on mnie nigdy nie zawodzi. – Szczerze mówiąc, nie za bardzo rozumiałem, o co mu chodzi, ale było mi wszystko jedno, bo na myśl o V i Carly w tym samym pomieszczeniu przechodziły mnie ciarki.

W inne dni odnosiłem wrażenie, że mózg mi się przegrzewa, jakby słowa krążyły mi po głowie i uderzały od środka o czaszkę, wykruszając z niej fragmenty kości, które następnie wracały na nie swoje miejsca. Zastanawiałem się, czy kobieta, która nazywa się pani Lascelles, naprawdę była moją szkolną wychowawczynią, bo zupełnie jej nie kojarzyłem. Mnóstwo rzeczy, które powiedziała sądowi, mogła zaczerpnąć z pierwszej lepszej gazety: na przykład to, że często chodziłem w brudnych ciuchach, że byłem niski i chudy na swój wiek. Ale wspominała też kilka takich, których nie pamiętam, na przykład mój „agresywny charakter”, jak to ujęła. Powiedziała, że zawsze to ja wszczynałem bójki i że narzekało na mnie wielu rodziców. Że inne dzieci się mnie bały, personel czasem też. Że

się zdarzało, że musieli mnie siłą usuwać z klasy – jeden nauczyciel trzymał mnie za nogi, a drugi za rękę.

Jej słowa zabiły mi niezłego ćwieka. Czasem mi się zdaje, że zaraz sobie coś przypomnę, ta rzecz jest nieznośnie blisko, ale tuż poza moim zasięgiem. Nie wini mnie, powiedziała, próbując nawiązać ze mną kontakt wzrokowy. Wiedzieli, że mam kłopoty w domu, ale ilekolwiek razy mnie wypytywali, tyle razy twierdziłem, że wszystko jest w porządku, nawet kiedy oczywiście tak nie było. Byli w stałym kontakcie z pomocą społeczną, ale nie zdawali sobie sprawy, jak źle to wyglądało. „Niegrzeczne dzieci to nic innego jak źli rodzice”, dodała, a zrozumienie promieniowało z niej niczym jakaś cholerna poświata.

Ale byli też inni, jak choćby Sarah Cross, której chyba się zdawało, że odzyskała kontakt z dawnym znajomym. Uśmiechała się do mnie, podchodząc do barierki, i przypominałem sobie, że zawsze była taka ciepła, przytulała, chociaż nikt jej nie kazał, i przemycala mi dodatkowego herbatnika. Była grubsza niż wtedy, kiedy ją znałem, miała ciężkie wory pod oczami i brzydki kaszel, który ją czasem napadał, gdy mówiła.

– W korcu maku szukać przykładu gorszego zaniedbania – powiedziała – choć oczywiście są dzieci, którym wiedzie się jeszcze gorzej. Nie był wykorzystywany seksualnie, na szczęście, ale brakowało mu podstawowej codziennej opieki, a to na pewno wyrządziło szkody zarówno fizyczne, jak i mentalne.

Tego dnia, kiedy wpuściłem ich do mieszkania, miałem dziesięć lat i ważyłem trzydzieści kilo. Nosiłem ubrania dla sześciolatka, miałem próchnicę w wielu zębach i wszy.

Podczas zeznań Sarah czułem, jakby V zwracała się ku mnie, jakby miała się zaraz nachylić i wziąć mnie za rękę. Ale siedziałem ze spuszczoną głową, bo nie chciałem, żeby tak o mnie myślała. Wszystko jej powiedziałem, ale nie życzę sobie, żeby słyszała to z innych ust, nie chcę, żeby ta wiedza przedostała się na świat i swobodnie się po nim przemieszczała. To mnie jakoś bruka. Zaraża mnie z powrotem tamtą starą infekcją.

Sądowi pokazano zdjęcia mieszkania, na które ja zerknąłem tylko pobieżnie, kątem oka, bo na więcej nie miałem siły. Oczom wszystkich ukazały się stopy brudnych naczyń, przepelnione popielniczki, ciemna pleśń na ścianach, pokryta osadem ubikacja, czarny zlew i zawalona śmieciami, nienadająca się do użytku wanna. Te zdjęcia nie kłamały, ale

czegoś nie pokazywały – mianowicie tego, że w mieszkaniu cuchnęło zgnilizną i rozkładem i że od tego smrodu coś drapało w gardle i łzawiły oczy. Kaszlnąłem, bo miałem wrażenie, że zdjęcia wydzielają właśnie ten zapach i że doleciał on do mnie aż tutaj, na koniec sali sądowej. Poczułem sfermentowany, kwaśny odór domu mojego dzieciństwa, który – pod koniec – sprawił, że zacząłem się interesować nowymi formami życia. Czasem się zastanawiam, czy prawdziwą przyczyną decyzji, by otworzyć drzwi urzędnikom pomocy społecznej, była rzeczywiście potrzeba szukania ratunku, czy obawa, że z panującej w domu zgniłej atmosfery coś się zmaterializuje – coś jeszcze gorszego niż to, co już było tam obecne.

Kiedy patrzyłem na te zdjęcia, musiałem sobie wetknąć dłonie pod pachy. Opracowałem tę metodę, gdy mieszkałem z mamą, a teraz ją zastosowałem, jakbym naprawdę miał spierzchnięte, spękane dłonie na skutek mycia talerza pod lodowatą wodą, czarną gąbką i bez płynu, bo chciałem sobie na czymś położyć jedzenie. Nagle poczułem na czole falę gorąca, tę samą co wtedy, gdy wymiotowałem do ohydnej ubikacji, bo nadal się nie nauczyłem, by nie jeść nic, co obrosło białym futerkiem. Wyszło mi w ustach na wspomnienie kilkudniowej pizzy – a przynajmniej resztek dodatków – przyklejonych do spodniej strony pokrywki płaskiego tekturowego pudła.

Zauważyłem, że starsza pani z ławy przysięgłych ociera oczy na widok pokoju, w którym sypiałem, i zapragnąłem wstać, ryknąć i zasłonić V oczy rękami. Chciałem jej oszczędzić widoku okna bez zasłon, niczym podbitego oka, cienkiego jak kartka materaca i obskurnej kołdry. Coś we mnie zadrżało – pojawiło się głębokie, mimowolne wspomnienie nocy, kiedy lodowaty przeciąg hulał mi nad głową, a zimno przenikało aż do szpiku kości i miałem wrażenie, że już nigdy nie będzie mi ciepło.

Ale na tych zdjęciach brakowało czegoś jeszcze – czegoś, co zdarzało się rzadko, ale jednak – chwil spędzonych tylko z mamą, na kanapie, pod kocem i przed telewizorem. Chwil, kiedy wydawała pieniądze na jedzenie, a nie na wódkę, i kiedy przestawał boleć mnie brzuch. Chwil przed czwartą puszką – kiedy nadal była przytomna. „Wszystko będzie dobrze, Mikey – mówiła, przyciągając mnie do siebie. – Muszę tylko przez to przejść i wtedy zaczniemy od nowa”.

Wtulałem się w jej przepocony, wyświechtany szlafrok i marzyłem, żeby mówiła prawdę. Życzyłem sobie, żebym nie dorósł wieku, kiedy zaczyna

się rozumieć, że ludzie potrafią okłamywać nie tylko innych, ale również siebie.

Kiedy zeznawała Louise, uświadomiłem sobie, że należy do innego rodzaju kłamców niż moja matka – gorszego. Są na świecie ludzie, którzy nie znajdują w kłamaniu niczego złego. Są ludzie, którzy dają kłamstwu mieszkanie, pozwalają im się w sobie zagnieździć i je pochłaniają. Ja nigdy nie będę do takich należał, ale jednocześnie nie jestem pewny, czy przysięgli zrozumieliby nagą prawdę o tym, co było między mną a V. Patrząc na nich, na ich obojętne, bezbarwne twarze i wiem, że są tak potwornie, rozczarowująco zwyczajni. Nie ma mowy, żeby pojęli przestrzeń, którą zajmujemy z V, nie ma mowy, żeby zrozumieli naszą prawdę.

– Nikt z naszych znajomych nie lubił Mike’a – mówiła Louise. – Ze względu na Verity wszyscy próbowaliśmy, ale nie było do niego dostępu. Prawie nie dało się go wciągnąć w rozmowę. Wychodził z nami, ale zawsze trzymał się tylko Verity, gapił się na nią i wiecznie szeptał jej do ucha. I nie miał żadnych własnych znajomych, więc nikt go nigdzie nie zapraszał, a nie lubił, kiedy ona wychodziła bez niego. Przyprawiał nas o ciarki. Był osobą, z którą nie miało się ochoty zostać sam na sam...

– Tak, Verity zwierzyła mi się pod koniec ich związku, mniej więcej po roku pobytu Mike’a w Nowym Jorku. To, co opowiadała, szczerze mnie niepokoiło. Wszyscy jej mówiliśmy, że to niezdrowe, ale ona była nim zafascynowana, jeżeli to właściwe słowo...

– Myślę, że tak, że można powiedzieć, że się go bała. Tak. Ale parę osób z naszego grona miało wrażenie, że jednocześnie ma na jego punkcie obsesję...

– Angus znacznie lepiej do niej pasował. Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą, kiedy go poznała. Tak jakbyśmy odzyskali dawną Verity, zabawną i beztroską, a nie ciągle spoglądającą przez ramię...

– Na ślubie Mike był podenerwowany, czasem miało się wrażenie, że nie wie, gdzie jest. Wpadłam na niego po przemówieniach, w ogrodzie, i był naprawdę wzburzony – zgięty w pół, jakby nie mógł złapać powietrza. Spytałam, czy wszystko w porządku, ale nie odpowiedział. Próbowałam go trochę pogładzić po plecach – jak chorego, ale on się nie ruszał, więc spytałam, czy nadal kocha Verity. On wtedy wstał i pchnął mnie tak mocno, że się przewróciłam. Potem stanął nade mną i buchała z niego taka



wściekłość, że naprawdę myślałam, że zaraz mnie uderzy, kopnie albo coś innego. Ale on po prostu odszedł.

Kiedy wstał Xander, prawie uwierzyłem, że idąc w stronę miejsca dla świadka, trzyma w ręku broń. Oszczędził sobie wstępu i walnął prosto z mostu:

– W czasie wesela złożyła pani panu Hayesowi niestosowną propozycję, prawda?

Louise zrobiła wielkie oczy.

– Nie – odparła. – Skądże.

– Wyszła pani za nim z pawilonu, kiedy poszedł zaczerpnąć powietrza, i powiedziała mu pani, że zawsze jej się podobał i że pani mąż, James – Xander zerknął w papiery, choć wiedziałem, że robi to tylko dla większego efektu – pieprzy jak królik.

Wśród przysięgłych rozległy się chichoty, a twarz Louise przybrała kolor świeżego śniegu. Ciekawe, czy gdzieś tam z przodu siedział James.

Louise odzyskała jednak równowagę i spojrzała prosto na mnie.

– Michael Hayes lubi fantazjować – powiedziała. – Nigdy bym się tak nie zachowała. Poza tym wcale mi się nie podobał.

– W takim razie jaki miałby powód, żeby panią pchnąć? Pan Hayes twierdzi, że zdjął pani dłoń ze swojego krocza, a wtedy pani – ponieważ była pijana – upadła.

Louise otworzyła usta, co sprawiło, że zrobiła się podobna do ryby.

– To nieprawda – odparła, ale już bez przekonania.

– Pan Hayes twierdzi, że była pani bardzo zła – ciągnął Xander – i kiedy się oddalał, obrzuciła go pani obelgami. Była pani na tyle zła, że nawet przyszła pani do sądu, by złożyć przeciwko niemu fałszywe zeznania.

– Nie – powiedziała Louise. – To nieprawda.

– Nie mam więcej pytań, wysoki sędzie. – Xander sprężystym krokiem wrócił na swoje miejsce. Myślę, że gdyby myślał, że ujdzie mu to na sucho, puściłby do mnie oko.

\*

Ostatnio jestem zdezorientowany, nie potrafię trzeźwo myśleć. Siedząc tak dzień w dzień w sali rozpraw, zrozumiałem, że muszę uformować tę historię jak najlepiej, by uzyskać pożądany wynik. Mam już pomysł, ale wydaje mi się niedobry. Czy kłamstwo może być najlepszym wyjściem?

Czy to możliwe, by chcieć dla drugiej osoby jak najlepiej, lecz paradoksalnie działać w sposób, który przyniesie – jak można sądzić – przeciwny efekt?

Elaine mi kiedyś powiedziała, że czasem problem staje się prostszy, kiedy go sobie rozpiszemy. „Po jednej stronie wypisz argumenty za, a po drugiej – przeciw”, radziła, choć wtedy rozmawialiśmy tylko o tym, z jakich przedmiotów mam zdawać egzamin gimnazjalny. To bez wątpienia działa, bo kiedy w kółko czytam naszą historię, moją i V, jakoś się uspokajam. Zawsze sądziłem, że sprzyjają mi liczby, ale może słowa też?

Codziennie przed snem słyszę głos Xandera, który mi tłumaczy, że przecież nie chcę, aby V sama szwendała się po świecie, podczas gdy ja będę siedział tu. Oczywiście Xander się myli, tak jak zresztą w wielu sprawach, ale w tych jego błędnych wyobrażeniach jest zwykle częśćka prawdy. Ma rację co do tego, że V i ja musimy nadal iść tą samą drogą, że nasze ścieżki muszą się znowu złączyć. Chyba sobie wyobraża, że życzę jej więzienia z jakiegoś chorego poczucia zemsty albo nawet dlatego, żeby ją wyłączyć z normalnego życia, ale to nieprawda. Nie wątpię w jej lojalność wobec mnie i nie sądzę, by była zdolna sama chodzić po świecie i beze mnie dobrze się na nim bawić. Szczerze, myślę, że ledwie by funkcjonowała. I właśnie dlatego zaczynam wierzyć w strategię Xandera. V byłaby beze mnie zagubiona, nie wiedziałyby, co ze sobą zrobić, czułaby się samotna i opuszczona.

Zapewnianie jej bezpieczeństwa zawsze należało do mnie i teraz też – skoro ja jestem tutaj, i ona powinna przebywać tam, gdzie dla niej najbezpieczniej.

W sądzie codziennie wygląda na coraz chudszą i słabszą, co mnie straszliwie martwi, ale jednocześnie utwierdza w przekonaniu, że nie wolno mi jej zostawić samej na całe lata. Wiem, że usycha z tęsknoty za mną i się o mnie martwi, a w głowie kotłują jej się myśli, co będzie dalej, bo nie wyobraża sobie przyszłości. Zauważyłem, że już nie przychodzi z kawą i że twarz ma coraz bardziej ściągniętą, jej włosy wyglądają, jakby ich tak często nie myła, i że skubie sobie skórki przy paznokciach. Wygląda, jakby miała się załamać. Niektórzy by powiedzieli, że to wynik stresu związanego z procesem, ale ja wiem, że to wynik stresu wywołanego naszą rozłąką i troską o moją przyszłość. Jeżeli przyjmujemy do wiadomości nasz wspólny los i nadal będziemy zdążać tą samą drogą, V wydobrzeje, nabierze trochę ciała i rumieńca, jej włosy znowu zaczną lśnić, a kąciki jej

warg unosić się w uśmiechu. Wiem, że po prostu potrzebuje pewności, moja kochana, a wraz z tą pewnością przyjdą i zrozumienie, i spokój umysłu.

\*

Dzień w sądzie podzieliły między siebie Elaine i Suzi, co zdawało się dziwnie właściwe. Suzi poszła na pierwszy ogień. Była ubrana w jasnoszarą garsonkę w odcieniu niemal identycznym jak jej skóra. Ledwie trzymała się na nogach i przez cały czas nerwowo przebierała rękami na podolku. Za każdym razem, gdy spoglądała na V, jej oczy zachodziły łzami.

– Przyjeliśmy Mike’a do rodziny – mówiła do Petry, kiedy się ocknąłem.

– Był miłym, dobrym chłopakiem, ale widać było, że wewnątrz z czymś się boryka. I ja, i Colin wyczuwaliśmy w nim coś takiego, czemu nigdy do końca nie ufaliśmy.

– Proszę to bardziej szczegółowo opisać.

Suzi tak schudła, że skóra w zasadzie zwisała jej z twarzy, wyglądała jak stara jaszczurka. Myślę, że raczej nie doczeka dnia, kiedy to się skończy.

– Nie chodzi o nic konkretnego. Tylko o wrażenie, że był jakby... za bardzo zakochany w Verity. Tłumaczyliśmy to sobie jego trudnym dzieciństwem, ale często nieswojo się z tym czuliśmy.

– Proszę podać konkretny przykład zachowania, przez które czuła się pani nieswojo.

– Wiem, że to niepoważnie zabrzmiało, ale niepokoiło nas nawet to, jak na nią patrzył. Jak gdyby nie patrzył na nią, tylko w nią, w głąb niej. Nigdy nie spuszczał z niej wzroku. Zwykle kiedy ktoś się na kogoś gapi i sam się na tym przyłapie, odwraca wzrok, bo robi mu się głupio. A Mike nigdy nie odwracał wzroku. Chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, jakie to dla mnie i dla Colina krępujące. No i ciągle był z nią w kontakcie, zawsze musiał wiedzieć, gdzie ona jest i co robi. Poza tym właściwie nie miał żadnych własnych znajomych, więc on i Verity spotykali się tylko z jej znajomymi lub z nami. Spędzał u nas prawie wszystkie święta, zawsze przyjeżdżał na Boże Narodzenie i tak dalej. Verity czuła się odpowiedzialna za niego i jego szczęście. Martwiliśmy się z Colinem, że wzięła na siebie coś takiego w tak młodym wieku.

– Rozmawiała pani o tym z Verity?

– Ależ tak, zwłaszcza pod koniec ich związku. Bardzo się tym przejmowała. Była przerażona, że może go skrzywdzić. Powiedziała, że to zupełnie co innego niż zerwanie z kimś normalnym, bo przez to, że matka go odrzuciła, Mike’a bardzo łatwo zranić.

W tamtej chwili musiałem odwrócić głowę do V, ale ona nie pokazała mi nic prócz ściągniętego profilu. Siedziała bez ruchu, z oczami wbitymi w kolana, ale widziałem, że drży jej policzek, co oznaczało, że wstrzymuje płacz. I nagle to wszystko wydało mi się jeszcze większym absurdem niż wcześniej. Oto my – dwoje ludzi, którzy się kochają, rozdzieleni przez durny błąd, który mógł się przytrafić każdemu.

Odwróciłem głowę. Znowu mówiła Suzi, czyli musiałem przegapić pytanie Petry.

– Tak, wiedzieliśmy, że zaczęła się spotykać z Angusem. Zamierzała powiedzieć Mike’owi po jego przyjeździe ze Stanów na święta. Z tego stresu aż się rozchorowała.

„Możliwe, że Suzi zawsze mnie nienawidziła – pomyślałem wtedy. – Możliwe, że to wszystko była blaga, ten wspólnie spędzony czas, te kolacje, te rozmowy. Możliwe, że niczego, co wtedy mówiła, nie mówiła naprawdę”.

– Verity nie powinna była wykorzystywać niewierności Mike’a jako pretekstu do zerwania – ciągnęła Suzi. Przegapiłem kolejne pytanie i ta świadomość sprawiła, że lekko zakręciło mi się w głowie. – I o tym wie. Ale na jej miejscu najprawdopodobniej postąpiłabym tak samo.

– A jak przyjął zerwanie pan Hayes?

– Bardzo źle. Tamtego wieczora Verity zamknęła się w pokoju, bo uporczywie próbował z nią rozmawiać. Spał na podłodze pod jej drzwiami, a rano nie chciał odejść. W końcu musieliśmy go z Colinem w zasadzie wyprosić.

– Dokąd pojechał? – spytała Petra.

– Wrócił do ich mieszkania w Londynie. A potem wydzwaniał – codziennie, przez całe dni. To było straszne. Verity nie odbierała, więc dzwonił na domowy, dzień i noc. Była w takim stanie, że w końcu przyjechał Angus i zabrał ją na Nowy Rok do hotelu, żeby mogła trochę odsapnąć.

Myślałem, że spadnę z krzesła i polecę w przód, ale się pozbierałem. Suzi zwyczajnie kłamała. Wszyscy kłamali, wszyscy prócz mnie i V.

– Pewnego dnia Mike przysłał tyle kwiatów, że wypełniały cały samochód dostawczy. Kobieta, która je przywiozła, powiedziała, że w życiu nie widziała niczego podobnego. Musiałam je oddać do kościoła i do szpitala. – Suzi przerwała i przełknęła ślinę. – To było typowe dla Mike’a. Nigdy nie znał umiaru.

– Bała się pani kiedyś o bezpieczeństwo córki? – spytała Petra, jednocześnie zdejmując okulary.

Kiedy siedziałem i czekałem na jej odpowiedź, uzmysłowiłem sobie, że Suzi nigdy nie była zakochana. Wystarczy sobie posłuchać Liama Gallaghery, by zrozumieć, że tacy jak ja i V będą żyć wiecznie, a Suzi i reszta świata są w błędzie tylko i wyłącznie dlatego, że nie wiedzą, co to znaczy prawdziwie kogoś kochać.

– Może pod koniec trochę tak – odparła i nie mogła się powstrzymać, żeby na mnie nie zerknąć.

Wytrzymałem to spojrzenie bez zmrużenia oka, a ona natychmiast odwróciła wzrok. Przypomniałem sobie, jak wyglądała na ślubie, taka dumna i napompowana. Ależ była głupia, skoro myślała, że to się działo naprawdę.

– Kiedy po świętach Mike wyjechał do Nowego Jorku, próby kontaktu z jego strony nadal były nieprzerwane. Do tego stopnia, że Verity musiała zmienić numer telefonu i wyprowadzić się do Angusa. Z adresem mejlowym było gorzej ze względu na pracę, więc Mike codziennie bombardował ją wiadomościami. Ale potem w lutym w końcu przestał i myśleliśmy, że może sytuacja się uspokoi. Kiedy Verity powiedziała mu o ślubie, wydawał się nawet cieszyć z jej szczęścia. Nigdy w życiu nie przypuszczałam, że może dojść do czegoś takiego. – Ostatnie słowa uwięzły Suzi w gardle.

– A jak sobie z tym wszystkim radzi Verity? – dociekała Petra.

Suzi natychmiast zwiesiła głowę.

– Wziąwszy pod uwagę, przez co przeszła, wspaniale. Strata świeżo poślubionego, ukochanego męża, nagabywania ze strony prasy, te straszne kłamstwa, które się o niej wypisuje. I jeszcze ten niedorzeczny proces. Strach pomyśleć, co ona przeżyła przez ostatnie miesiące, które powinny być najszczęśliwszym okresem w jej życiu.

– Więc w pani ocenie córka i pan Metcalf byli szczęśliwą parą zakochanych, a pan Hayes cierpi na urojenia, które przybrały agresywną postać?

– Sprzeciw – rzekł Xander. – Mecenas Gardner nie jest psychiatrą i nie ma prawa diagnozować mojego klienta.

– Odrzucam sprzeciw – powiedział sędzia Smithson. Spojrzał na Xandera znad okularów i dodał niemal przeprasząco: – Spostrzeżenia pani Walton dotyczące córki są tu na miejscu, chociaż przysięgli muszą oczywiście wziąć pod uwagę jej związek z oskarżonymi.

Suzi przeniosła wzrok na przysięgłych. Na jej policzkach wykwitły dwie różowe plamy.

– Jak najbardziej. Państwo nie widzą, jak zachowuje się moja córka, gdy zostajemy sami. Nie należymy do ludzi, którzy okazywaliby publicznie rozpacz, ale zapewniam państwa, że jest zdruzgotana. Wiem, że Angus i Verity byli szczęśliwi. Wiem też, że Mike cierpi na urojenia. – Suzi znowu przełknęła ślinę. Jej oczy lśniły od łez.

– W pani opinii córka nie życzyłaby panu Metcalfowi nic złego? Czy to możliwe, by poprosiła pana Hayesa o pomoc, chcąc się go pozbyć?

– O Boże, skąd. – Głos Suzi z każdym słowem stawał się coraz wyższy. – Córka przepadała za mężem. A Mike był ostatnią osobą, którą by o cokolwiek poprosiła.

– Proszę się z nami podzielić swoimi wrażeniami odnośnie do osoby pana Metcalfa – ciągnęła Petra. – Jakim był człowiekiem? Według pani? Czy kiedykolwiek miała pani obawy co do sposobu, w jaki traktuje córkę?

Gdyby Suzi była w stanie wydać z siebie taki dźwięk, w tej chwili na pewno by się zaśmiała.

– Nie, wręcz przeciwnie. Angus był uroczym, radosnym, hojnym i zabawnym człowiekiem. Ze świecą takiego szukać. Był zakochany w Verity i nigdy nie odnosił się do niej inaczej niż z szacunkiem i uwielbieniem. Mnie, jako matce, miło było na to patrzeć.

– A więc nie sądzi pani, by tamtego wieczora udał się do domu pana Hayesa z zamiarem, by wyrządzić mu krzywdę?

– Nie, ale nie dziwię się, że doszło do rękoczynów. Byłam świadkiem kłótni w wykonaniu Michaela. Nie należą one do przyjemności.

– Proszę powiedzieć coś więcej – poleciła Petra.

Wiedziałem, że to przećwiczyły.

Suzi złożyła ręce i oparła je na drewnianym rancie mównicy.

– Tak jak mówiłam, kiedy Verity z nim zerwała, cały czas dzwonił i ostatecznie ja z nim dużo rozmawiałam. Parę razy był wobec mnie bardzo

niegrzeczny. Raz nazwał mnie podstępna kurwą, kiedy mu powiedziałam, że Verity wyjechała na sylwestra.

Usłyszałem, jak przysięgli wciągają powietrze. Siedziałem ze wzrokiem wbitym w kolana, policzki mi płonęły.

Petra podeszła do Suzi i położyła jej rękę na ramieniu.

– Bardzo dziękuję. Zdajemy sobie sprawę, że były to dla pani wyjątkowo trudne przeżycia. Nie mam więcej pytań.

Xander powoli wstał. Nie trzymał w ręku żadnych notatek. Ruszył niemal spacerowym krokiem.

– Proszę pozwolić, że również pani podziękuję. To rzeczywiście musi być potworne. Sam jestem ojcem i nie wyobrażam sobie patrzeć, jak własne dziecko spotyka taki koszmar.

Suzi wyglądała na zaskoczoną.

– Tak, to rzeczywiście straszne.

– Prawie trudno w to uwierzyć.

– Właśnie.

Odwrócił się do ławy przysięgłych.

– Verity, o ile mi wiadomo, jest pani jedynym dzieckiem?

– Tak. – Widziałem w oczach Suzi przerażenie.

– Długo wyczekiwany. Dzieckiem ubóstwianym i uwielbianym.

– Oczywiście, bardzo córkę kochamy – odparła Suzi.

– Dzieckiem, któremu chciała pani zapewnić wszystko, co najlepsze. Najlepsze szkoły, najlepsze ubrania, najlepsze możliwości. – Mówiąc, patrzył na Suzi.

– Którzy rodzice tego nie pragną?

Xander popatrzył na mnie, przysięgli powiedli wzrokiem za jego spojrzeniem.

– Och, jest mnóstwo rodziców, którzy nie pragną tego dla swoich dzieci. Jest mnóstwo dzieci, które nie uczą się jeździć konno, nie chodzą na zajęcia dodatkowe, nie jeżdżą na superwakacje i nie czekają na Boże Narodzenie. – Zawiesił głos. – Zastanawiam się tylko, jak daleko sięga to zapewnianie dzieciom wszystkiego, co najlepsze?

Petra wstała.

– Sprzeciw. Jakie to ma znaczenie?

– Tak, proszę przejść do rzeczy – odezwał się sędzia.

– Myślała pani kiedyś, jaki kandydat na męża dla Verity spełniłby pani oczekiwania? – spytał Xavier.

– Nie.

– Ale chciała pani dla niej wszystkiego, co najlepsze, więc z pewnością dotyczyło to również jej znajomych, kochanków, partnerów.

– Po prostu chcieliśmy, żeby była szczęśliwa.

– W takim razie rozumiem, że była pani bardzo zadowolona z jej małżeństwa z Angusem Metcalfem?

– Tak. To był bardzo miły człowiek.

Xander się uśmiechnął.

– Był miły, ale miał też inne cechy. Był bogaty, odnosił sukcesy i mógł zapewnić Verity wspaniałe życie.

Powiodłem wzrokiem za spojrzeniem Suzi na V i stwierdziłem, że ta siedzi pochylona do przodu i blada jak ściana.

– Tak, ale to nie dlatego...

– Tymczasem pan Hayes stanowiłby nieco bardziej skomplikowaną opcję. Wziąwszy pod uwagę jego przeszłość.

– Nie. A skoro idzie pan tym tropem, Mike też jest zamożny. Poza tym Verity sama doskonale zarabia.

– Tak, ale żadne z nich nie gra w tej samej lidze co pan Metcalf. Czy może zachęcała pani Verity, by zostawiła pana Hayesa na rzecz pana Metcalfa?

– Sprzeciw! – krzyknęła Petra.

– Trudno mi tu znaleźć związek ze sprawą – rzekł sędzia.

Xander wciągnął dużo powietrza, nadymając pierś.

– Nie sugeruję, że pani Walton kłamie – odparł i zawiesił głos. – Tylko to, że być może uwielbienie dla córki i wyraźna obsesja, by zapewnić jej wszystko, co najlepsze, mogły wpłynąć na jej ocenę – nie tylko osoby pana Hayesa, ale też udziału pani Metcalf w sprawie.

– Sprzeciw, wysoki sędzie! – wykrzyknęła znowu Petra. – W tym, że pani Walton pragnie dla córki jak najlepiej, nie ma cienia obsesji.

– Podtrzymuję sprzeciw – rzekł sędzia, chociaż lekko się uśmiechnął.

– Przepraszam, wysoki sędzie – odparł Xander i uklonił się w stronę stołu sędziowskiego. Następnie zwrócił się do Susan: – Co pani sądzi o tym, że Verity zaprosiła pana Hayesa na ślub?

Suzi strzeliła spojrzeniem w stronę Verity.

– Moim zdaniem nie był to dobry pomysł.

– Sprzeczała się z nią pani o to?

– Nie, niezupełnie.



– Ale przedstawiła jej pani swoje zdanie.

– Tak.

– A ona mimo to go zaprosiła.

– Tak. – Suzi uniosła rękę. – Ale zrobiła to w dobrej wierze. Jak mówiłam, zawsze bardzo troszczyła się o Mike’a, o to, czy sobie poradzi. Ze względu na jego dzieciństwo czuła się za niego odpowiedzialna. Co zresztą uważam za absurd, bo nie miała z tym nic wspólnego.

– Przecież czujemy się odpowiedzialni za tych, których kochamy, prawda? – rzucił swobodnie Xander, odwracając się do przysięgłych, jakby właśnie puentował rozmowę na spotkaniu towarzyskim.

– Tak sędzę.

Xander odczekał chwilę, po czym zadał kolejne pytanie.

– Sądzi pani, że kiedy córka brała ślub, nadal kochała pana Hayesa?

Drut łączący mnie z V znowu się napiął. Przypomniałem sobie nasze spotkanie na ulicy tuż przed ślubem. Jej ciało gotowe do biegu, oczy szukające mnie w tłumie.

Suzi wyglądała, jakby jej ktoś wymierzył policzek.

– Nie, absolutnie nie.

– Ale troszczyła się o niego do tego stopnia, by czuć się odpowiedzialną za jego szczęście.

– To nie ma nic do rzeczy. Verity jest z natury dobra i troskliwa.

Xander poszedł w stronę przysięgłych.

– Czy wiedziała pani o tej grze, w Pragnę, w którą córka grała z panem Hayesem?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Co pani o niej sądzi?

– Że jest dziwna, ale byli młodzi.

– Czy zdziwiło panią, że Verity w coś takiego grała?

– Nie mam w zwyczaju roztrząsać życia intymnego mojej córki. – Suzi była strapiona, miałem wrażenie, że zaraz się rozpłacze.

– Czy w takim razie można powiedzieć, że nie zna pani córki tak dobrze, jak się pani wydaje?

Suzi podniosła wzrok. Spojrzenie miała twarde i gniewne.

– Nie, oczywiście, że nie można tego powiedzieć. Mówi pan o czymś zupełnie innym. Co nie ma nic do rzeczy.

Xander skinął głową.

– Rozumiem. Czy Verity powiedziała pani, że Mike znowu zaczął się z nią kontaktować? Wspominała o mejlach i o tym, że spotkała się z nim w barze?

– Nie, ale postąpiła tak, żeby nas nie martwić.

– A czy wolałaby pani o tym wiedzieć?

– Wolałabym być w stanie jej pomóc.

– A więc kiedy Verity przyjechała do państwa na weekend – podczas nieobecności Angusa, wtedy, gdy pan Hayes przyszedł po pani córkę do pracy – czy wspomniała o tym pani lub pani mężowi?

– Nie.

– A w poniedziałek po tamtym weekendzie, kiedy pan Hayes przyszedł do córki do domu i jak twierdzi córka, próbował ją zgwałcić – kontaktowała się z panią?

– Nie – odparła Suzi zgaszonym tonem.

Xander skinął głową.

– Dziękuję. Nie mam więcej pytań.

Po przerwie na lunch zastosowaliśmy kontrę w postaci Elaine, jak to ujął Xander. Powiedział, że przeciwstawienie ich sobie da rewelacyjny efekt. Wszyscy mają odruch, by wspierać słabszego, to naturalne, ale podziały klasowe w naszym społeczeństwie są nadal żywe. Nikt nie stanie za luksusową snobką mówiącą z akcentem z wyższych sfer, jeżeli będzie musiał wybrać między nią a solą ziemi, matką zastępczą ubraną w płaszcz ze sklepu z używaną odzieżą. Nie wyprowadziłem go z błędu, że płaszcz Elaine nie był kupiony w szmateksie, tylko jest po prostu stary i zniszczony, bo nie do końca wiedziałem, czy zrozumie, co mam na myśli.

Elaine prawie się potknęła, wchodząc na miejsce dla świadka. Mrugała oczami, twarz miała zatroskaną. Uśmiechnęła się do mnie i skinęła głową, a wszyscy zebrani widzieli, że gdyby tylko mogła, przesłałaby mi w powietrzu całusa. Mówiła cicho, lecz stanowczo, odwracała się w stronę przysięgłych i sędziego, jak gdyby chciała być taktowna i również ich włączać do rozmowy.

– Na początku, kiedy do nas trafił, nie było łatwo – zaczęła. – Ale widziałam iskrę w jego oczach i wiedziałam, że kiedy się odłupie kawałek twardej skorupy, którą się otoczył, odkryje się prawdziwego Mike’a.

– A jak opisałaby pani prawdziwego Mike’a? – spytał Xander.

Elaine znów podniosła na mnie wzrok, a ja się do niej uśmiechnąłem, bo chciałem, by czuła, że spokojnie może mówić wszystko.

– Wspaniały chłopak – powiedziała. – Trochę samotnik, ale bardzo inteligentny i sądzę, że kiedy do nas trafił, część jego złości brała się stąd, że jego inteligencja była stłumiona. Trwało to jakiś czas, zanim zaufał mi i Barry’emu, ale już później życie z nim stało się wielką przyjemnością.

– Słyszałem, że mieszkał u państwa dłużej niż inne dzieci?

Elaine skinęła głową.

– Tak. Został u nas dłużej niż do szesnastych urodzin.

– A to się zwykle nie zdarza. Dlaczego?

Elaine odwróciła się do przysięgłych.

– A, przepraszam. Państwo przestaje płacić rodzicom zastępczym, kiedy dziecko kończy szesnaście lat. Zgodnie z prawem dzieci w tym wieku mają się wyprowadzić i rozpocząć samodzielne życie, ale my nie widzieliśmy takiej możliwości. Nie chcieliśmy puszczać Mike’a w świat, żeby musiał sam się o siebie troszczyć. Robił to przecież przez całe dzieciństwo. To nie byłoby w porządku – kazać mu do tego wracać, tak szybko. Poza tym musiałby iść do pracy, a przez to nie mógłby zrobić matury i iść na studia. To się nie godziło.

Jedna z kobiet siedzących w tylnym rzędzie ławy przysięgłych gorliwie skinęła głową.

– Skoro podjęli państwo taką decyzję, musieli państwo w nim widzieć coś szczególnego? – spytał Xander.

– Oczywiście – odparła Elaine. – Mike nie jest twardy, jak czasem potrafią być chłopcy. Często dzieci, które dorastają w takich warunkach jak on, stają się harde. Mike przez jakiś czas zachowywał się tak w szkole. Ale myślę, że jego odruchową reakcją było poszukiwanie miłości, ciężka praca i determinacja, by nigdy z powrotem nie znaleźć się w sytuacji, która by przypominała dzieciństwo. Razem z Barrym musieliśmy mu pomóc to osiągnąć.

– A więc kiedy pan Hayes szedł na studia, powiedziałyby pani, że był całkowicie normalnym młodym człowiekiem?

– Tak. Cichym, pilnym, zrównoważonym. Tak bym powiedziała.

Nietrudno było zauważyć, że przysięgli pokochali Elaine. Będą o niej rozprawiać po zakończeniu obrad, nie będą się mogli nadziwić jej dobroci i temu, że wzięła na wychowanie kogoś tak porąbanego jak ja. Zwinąłem ręce w pięści i trzymałem je na udach.

– Verity poznał na drugim roku. Kiedy ją pani pierwszy raz zobaczyła?

Elaine przeniosła spojrzenie na V. Na jej twarzy malowała się szczerłość, ale zerknąwszy na V, przekonałem się, że ta siedzi ze zwieszoną głową.

– Mniej więcej pół roku po tym, jak zaczęli się spotykać. Uwielbialiśmy Verity. Cudowna dziewczyna, Mike był przy niej bardzo szczęśliwy, a nie ma nic ważniejszego, prawda?

– A czy Mike sprawiał wrażenie, że za bardzo ją kocha, jak się wyraziła pani Walton? Jak by pani to oceniła?

Elaine przekrzywiła głowę.

– Nie wiem, jak to rozumieć, za bardzo kochać. Na pewno Mike za nią przepadał, jeżeli o to pan pyta. Nigdy nie interesował się innymi dziewczynami.

– W takim razie musiała pani być zdziwiona, że się rozstali.

– W pewnym sensie. Ale, z drugiej strony, relacje między ludźmi ciągle się zmieniają.

I taki jest właśnie problem z życiem. Że tak naprawdę nikt poza tobą nie widzi, co się z tobą dzieje. Nawet Elaine – nawet ona nie zauważyła, kim dla siebie jesteśmy, ja i V. Tylko my oboje to wiedzieliśmy. I tak już będzie zawsze.

– Jaki wydawał się Mike po rozstaniu?

Elaine przestąpiła z nogi na nogę.

– Początkowo nic nam nie powiedział. Dopiero kiedy na początku stycznia zadzwoniłam złożyć mu życzenia, rozplakał się i wszystko z siebie wyrzucił. Historię z tą drugą kobietą i tak dalej. Był zdruzgotany.

Xander spojrzał na przysięgłych.

– Aby wszystko było jasne, dodam, że pan Hayes miał w Nowym Jorku przelotny, jednonocny romans. Przyznał się do niego przed Verity i z tego powodu Verity zakończyła ich związek.

– Tak.

– Verity zerwała, mimo że już wcześniej zaczęła się spotykać z panem Metcalfem?

– O tym nic mi nie wiadomo.

– Mike zachował się bardzo honorowo, nieprawda? Mam na myśli to, że z łatwością mógłby ukryć przed Verity tę przygodę, a prawdopodobieństwo, że by się o tym dowiedziała, było znikome.

Elaine skinęła głową.

– To właśnie cały Mike. Zawsze postąpi tak, jak trzeba. Jest bardzo prawy.

Xander pozwolił temu zdaniu wybrzmieć, odczekał chwilę i dopiero zadał następne pytanie.

– Rozumiem, że po tym zdarzeniu utrzymywała pani kontakt z Mikiem?

– Och, tak.

– I jak się zachowywał?

– Przez kilka miesięcy był bardzo przygnębiony, ale zaczął dochodzić do siebie i po jakimś czasie miałam wrażenie, że zachowuje się jak dawniej.

– Więc w pani ocenie, kiedy w maju wrócił do Londynu, był już zadowolony z życia i nie rozpamiętywał zerwania z Verity?

– Tak bym powiedziała.

– A czy kiedy wrócił, w ogóle rozmawialiście o Verity? – Xander stuknął ręką o drewniany blat stołu.

– Tylko w kontekście jej ślubu. Wiem, że Mike się wybierał, więc spytałam go o to i odniosłam wrażenie, że nie ma z tym problemu.

– Nie mam więcej pytań, wysoki sędzie – oświadczył Xander, uśmiechnął się promiennie do Elaine, potem do przysięgłych i usiadł.

Wstała Petra i podeszła w miejsce, które przed chwilą zajmował Xander.

– Interesuje mnie pani przeświadczenie, że pan Hayes nie miał problemu ze ślubem, mimo że pani Metcalf zadzwoniła do pani i powiedziała, że się o niego martwi.

Elaine spojrzała na mnie.

– To było już po ślubie, kiedy młodzi wrócili z podróży poślubnej. Po tym, jak Verity do mnie zadzwoniła, zadzwoniłam do Mike’a, a on powiedział, że wysłał do niej parę mejli, których żałuje, ale teraz już sobie wszystko poukładał w głowie i jest okej.

– Jak pani sądzi, czemu pani Metcalf się z panią skontaktowała?

Elaine popatrzyła na sędziego i na Xandera, prawie jakby oczekiwała, że wstrzymają pytanie.

– Bo przez te lata niejednym razem rozmawialiśmy o Mike’u. Chciała spytać, czy wiem, co się z nim dzieje.

Dziwnie się poczułem na myśl, że rozmawiały o mnie bez mojej wiedzy. Że moje imię można wysłać w eter, a ono mnie nie znajdzie. I że nie chcę, aby ktokolwiek znowu podejmował w związku ze mną jakieś decyzje. Nigdy, przenigdy.

Petra odwróciła się do przysięgłych.

– Punkt piętnasty w dokumentacji.

Rozległ się szelest przewracanych kartek.

– Może przeczytam jedną z wiadomości, które pan Hayes wysłał do pani Metcalf, kiedy ta przebywała w podróży poślubnej.

Petra włożyła okulary i spojrzała na kartkę, którą trzymała w ręku.

Verity,

to chyba niesprawiedliwe. Ile razy jeszcze mam Cię przeproszać za to, co się stało w Stanach? To nic nie znaczyło. Nawet mniej niż nic. Gdyby tylko się dało, odwróciłbym czas jak Superman i nigdy bym się nawet nie odezwał do Carly. Gdyby Cię to ucieszyło, chętnie bym tam wrócił i ją zlikwidował, pozbyłbym się jej, żeby dłużej nie miała z nami nic wspólnego. Powoli zaczynam mieć dość. Nie powinienem był się zgodzić, by sprawy zaszły tak daleko. Żałuję, że nie zatrzymałem tego małżeństwa. Bo teraz będzie bardzo trudno się z niego wyplątać, a poza tym nadal nie wiem, o co Ci chodzi, co mam zrobić i jak w ogóle mamy to osiągnąć. A cały ten czas, który spędzasz z Angusem, to jakiś absurd. Każda sekunda to nóż, który wbijas mi w serce. Rozumiem, po tysiącokroć rozumiem. Ale Ty nawet pojechałaś z nim w naszą podróż poślubną. Tego już się nie cofnie. Teraz już nie myślę, że chcesz mnie czegoś nauczyć, tylko że celowo się nade mną pastwisz.

Kocham Cię, V. Dobrze wiesz, co nas łączy. Zrobiłbym dla Ciebie wszystko. Pragnę Cię, jak zawsze.

Twój Orzeł.

Kiedy skończyła, w sali zapanowała wręcz namacalna cisza. Zobaczyłem, że Xander wierci się na krześle.

– Wcześniej tego nie słyszałam – odezwała się Elaine.

Czułem, że na mnie patrzy, choć siedziałem ze wzrokiem wbitym w ziemię. Pierwszy raz się przestraszyłem, że trudno to będzie wyjaśnić ludziom, którzy nas nie znają.

– W takim razie może nie czytała też pani mejla, który Mike wysłał do pani Metcalf w styczniu zeszłego roku. Wylicza w nim różne sposoby, w jakie mógłby zlikwidować Carly, kobietę, z którą miał przelotny romans. Wymienia uduszenie, otrucie, uderzenie w głowę. Wyraża pewność, że nikt nie będzie za nią tęsknił.

Elaine zbladła.

– Nie, nie czytałam. Ale jestem przekonana, że Mike nie miał tego wszystkiego na myśli.

– Czy powiedziałyby pani, że są to wiadomości, które napisałby trzeźwo myślący człowiek?

Elaine podniosła wzrok, potem go spuściła, nerwowo rozglądając się na boki.

– Nie wiem. Ja tych wiadomości nie widziałam.

– Co mówiła pani Metcalf, kiedy do pani dzwoniła?

– Że kiedy była w podróży poślubnej, dostała od Mike’a parę mejli i że boi się o jego stan psychiczny. – Elaine się zawahała. – Kiedy jeszcze byli razem, kilka razy rozmawialiśmy o tym, że dobrze by mu zrobiła psychoterapia. Jego dzieciństwo odcisnęło na nim głębokie piętno, nietrudno się tego domyślić. Verity chciała, żebym spróbowała go namówić na wizyty u specjalisty.

Petra skinęła głową.

– Jak pani sądzi, jakie piętno odcisnęło na panu Hayesie jego dzieciństwo?

– Sprawilo, że stał się podejrzliwy wobec innych. Nie potrafi zaufać, co wyjaśnia, czemu niechętnie nawiązuje znajomości. Z kolei, jeżeli już raz obdarzy kogoś zaufaniem, daje z siebie bardzo dużo. Mam na myśli, że taka relacja ma dla niego wielkie znaczenie. – Na chwilę zawiesiła głos. – Najgorsze jest jednak to, że w dzieciństwie czuł się niekochany, niewart uwagi. Długo nie przyjmował do wiadomości, że ja i Barry chcemy dla niego jak najlepiej. I właściwie nigdy nie nauczył się nawiązywać znajomości. Kiedy był młodszy, często go namawiałam, żeby zaprosił kolegów i tak dalej, ale nigdy tego nie zrobił. Serce mi pękało na myśl, że dzień w dzień bawi się na placu zabaw sam jak palec. Kiedyś go spytałam, co robi w czasie przerwy obiadowej, a on mi powiedział, że buduje z kamieni. Czasem, gdy akurat koło pierwszej zerknęłam na zegar, tak mi go było szkoda, że nawet płakałam.

Kiedy to powiedziała, poczułam w duszy jakiś ciężar – jakby któryś ze wspomnianych kamieni do mnie wrócił, jego gładka, lśniąca powierzchnia przecięła mi skórę i poprzez krew opadła gdzieś głęboko, na samo dno ciała.

Petra zdjęła okulary i postukiwała nimi w udo. Drgał jej mięsień policzka.

– A czy nie jest pani zdania, że w dzieciństwie przywykł do przemocy? Czy nie zmartwiła pani swoboda, z jaką mówi o pozbyciu się Carly, oraz to, że jego przemyślenia na temat małżeństwa pani Metcalf zahaczają o sferę fantazji?

– Sprzeciw, wysoki sędzie – wtrącił Xander. – To czyste spekulacje.

– Odrzucam sprzeciw – odparł sędzia. – Choć proszę, by przysięgli wzięli pod uwagę, że pani Marks nie jest specjalistą, tylko osobą, która dobrze zna oskarżonego.

– Sądzę, że Mike kochał Verity tak bardzo, jak mówił – powiedziała Elaine.

– Być może – stwierdziła Petra. – Ale chyba się pani ze mną zgodzi, że niektóre fragmenty jego korespondencji zawierają niepokojące treści. Na przykład to, że był przekonany, iż małżeństwo było pomyłką. I że był gotów w każdej chwili przyjść jej na ratunek.

– Przyszedłby jej na ratunek w każdej chwili, gdyby tego potrzebowała – odpowiedziała Elaine, a ja w tamtej chwili poczułem, że ją kocham.

– Tak, ale nie potrzebowała ratunku – powiedziała Petra. – Była szczęśliwa.

– Wiem – zgodziła się Elaine.

– Czy pani Metcalf w jakikolwiek sposób dała pani do zrozumienia, że nie jest szczęśliwa w małżeństwie lub żałuje rozstania z panem Hayesem?

– Nie.

– Czy po rozmowie miała pani wrażenie, że pani Metcalf chętnie spotkałaby się z panem Hayesem lub zastanawiała się nad odnowieniem ich związku?

– Nie.

Kątem oka złapałem jakiś ruch. Odwróciłem się i stwierdziłem, że V coś upuściła, a teraz schyla się, by to podnieść z podłogi. Kiedy się wyprostowała, zobaczyłem, że to tylko chusteczka, którą przedtem wycierała nos.

Nie denerwowałem się na Elaine, bo niby dlaczego miałyby pojmować sens naszego Pragnę? Właśnie dlatego gra była taka wyjątkowa – dzięki temu, że tylko ja i V potrafiliśmy rozszyfrować jej zawilości. Dla niej warto było znosić nieporozumienia. A nawet siedzieć za kratkami.

– Określiłaby pani pana Hayesa mianem fantasty? – spytała Petra.

Elaine spojrzała na mnie, a ja tym razem nie odwróciłem wzroku. Lekko się do mnie uśmiechnęła.



– Nie. Tylko człowieka zagubionego.

Odpowiedziałem jej uśmiechem.

Petra przeniosła wzrok na przysięgłych.

– Można by powiedzieć, że nawet bardzo zagubionego.

Znowu zerknąłem na V, bo czy to możliwe, by Petra całkowicie przypadkowo, bez niczyjej sugestii, zacytowała właśnie na sali sądowej fragment piosenki Oasis? Wbiłem wzrok w bok głowy V, w miejsce, gdzie włosy schodziły się w ciasny kucyk, ale ona się nie odwróciła. Próbowałem ją przywołać siłą woli, tylko raz, żeby jej dać do zrozumienia, że załapałem, że też rozumiem, że tylko my, jedyni na całym świecie i w całej historii, czujemy to, co czujemy. Ale jej wzrok karnie spoczywał na kolanach.

– O ile mi wiadomo, pan Hayes półtora roku temu wykupił państwa dom, który przedtem był budynkiem komunalnym.

Elaine zamruła.

– Tak, rzeczywiście.

– To bardzo hojny gest.

– Tak.

– Zrobił to na państwa prośbę?

– Nie. Co więcej, prawie do samego końca nic nam nie powiedział.

– Gdyby ktoś uczynił taki gest na moją korzyść, byłabym mu bardzo, bardzo wdzięczna.

Elaine przeniosła na mnie spojrzenie.

– Jesteśmy mu wdzięczni. Stracilibyśmy ten dom, gdyby Mike go nie wykupił, kiedy lokalne władze wystawiły go na sprzedaż.

Uśmiechnąłem się do Elaine. Kupiłbym dla niej sto takich domów.

– Byłoby mi bardzo trudno negatywnie wypowiadać się o osobie, której tyle zawdzięczam – dokończyła Petra, wszystko rujnując.

Ale Elaine patrzyła jej prosto w oczy.

– Wiem, co pani sugeruje, ale tak nie jest. Mike jest dobrym człowiekiem, jeszcze raz powtarzam. Kupił nam ten dom, bo ma dobre serce.

– Rozumiem, że troszczy się pani o pana Hayesa, a on, na swój sposób, najprawdopodobniej troszczy się o panią. Ale to nie może pani powstrzymywać od zeznania sądowi, na co pana Hayesa naprawdę stać.

– Nie wiem, co pani ma na myśli – odpowiedziała Elaine takim tonem, jakby włosy zjeżyły jej się na głowie.

– Mam na myśli to – zaczęła Petra – że moim zdaniem pan Hayes jest niebezpiecznym fantastą i uważam, że pani sądzi tak samo.

– Ja tak nie sądzę.

– Ale czy może pani tu, z tego miejsca powiedzieć, że nic w jego zachowaniu nie budzi pani wątpliwości? Z całą uczciwością zapewnić, że to, iż zabił pana Metcalfa, wprowadziło panią w zdumienie, wstrząsnęło panią i że zupełnie się pani tego po nim nie spodziewała?

Elaine się zawahała, na moment zerkając na mnie.

– Nie wierzę, by Mike celowo zabił pana Metcalfa. Umyślnie nikogo by nie skrzywdził.

– Tak, ale biorąc pod uwagę przemoc, której doświadczył w dzieciństwie, oraz to, że uporczywie nękał Verity, nadal jest pani zaskoczona?

Xander poderwał się z miejsca.

– Sprzeciw. Pan Hayes nie jest oskarżony o nękanie.

– Podtrzymuję sprzeciw – odparł sędzia.

– Przepraszam – rzekła Petra. – Użyłam niewłaściwego słowa. Powinnam była raczej powiedzieć „uwielbiał” panią Metcalf. Czy jest pani zaskoczona, że to wszystko skończyło się aktem przemocy?

Elaine się skrzywiła, a ja miałem wrażenie, że krzyknie.

– Niewiele rzeczy mnie zaskakuje, bo niejedno w życiu widziałam. I słyszałam. Kiedy się słyszy historie różnych dzieci, człowiek żałuje, że ma uszy.

– Oczywiście. Rozumiem charakter pani pracy. Ale wspominała pani, że w panu Hayesie dostrzegła pani coś innego. Czy ta różnica polegała między innymi na jego chwiejności psychicznej i agresji?

– Nie. – Elaine pokręciła głową. – Nie polegała.

– Czy zechce pani opowiedzieć o zdarzeniu, kiedy pani i Verity musiałyście wzywać karetkę, bo pan Hayes przestał panować nad sobą?

Elaine spojrzała najpierw na Petrę, potem na mnie.

– To było wiele lat temu.

– Dokładnie cztery. Myślę, że mimo to chcielibyśmy o tym usłyszeć.

Chciałem sobie zatkać uszy, ale wiedziałem, jak by to wyglądało.

Elaine nabrała powietrza.

– To były jego urodziny. Jedliśmy kolację u nas w domu, we czworo – tylko Mike, Verity, Barry i ja. Mama przysłała Mike’owi kartkę z życzeniami. Powinnam była to załatwić inaczej. Poczekać na odpowiedni

moment i wtedy mu ją dać, ale ja tak nie zrobiłam, po prostu podałam mu ją przez stół. Mike przeczytał, Verity spytała, czy może zobaczyć, ale on nie odpowiedział. Poczzerwieniałam, miałam ochotę wyrwać mu tę kartkę, bo dopiero wtedy zrozumiałam swój błąd. Mike od lat nie miał żadnego kontaktu z matką, a ja głupia wręczyłam mu kartkę przy urodzinowej kolacji. Uparcie milczał, nie chciał podnieść wzroku. Nagle wstał, rzucił kartkę na stół i wyszedł do ogrodu. Tam zaczął wrzeszczeć i nie dało się go uciszyć. Nie mogliśmy nawet sprawić, żeby się ruszył. Zadzwoniliśmy po karetkę, bo nie mieliśmy pojęcia, co robić.

To absurd, że Elaine się obwinia. Muszę jej to koniecznie powiedzieć, kiedy już będzie po wszystkim. Skąd miała wiedzieć, że widok dwóch gołych słów: „Mike!” i „Mama”, wypisanych nad i pod gotowym tekstem: „Najlepsze życzenia z okazji urodzin”, będzie nie do zniesienia. Gdyby ktoś mnie zawczasu zapytał, czy to będzie nieznośne, sam bym nie wiedział. I chociaż siedziałem przy stole z V, Elaine i Barrym, słowa te odebrałem jako najbardziej przygnębiającą, najtrudniejszą rzecz, jaka tylko może się człowiekowi przydarzyć. Poczułem się, jakby nic poza nimi nie istniało, jakby mnie porwały i wrzuciły z powrotem do gołego pokoju w obskurnym mieszkaniu. Nie pamiętam, kiedy wstałem od stołu, nie pamiętam, że wyszedłem do ogrodu, ale nadal słyszę ten krzyk, a raczej – nadal go czuję, bo to nie był krzyk bólu. To był krzyk uwolnienia, coś jak pęknięcie bańki powietrza, jak przyjęcie do wiadomości wszystkich sytuacji, w których nawet nie pisałem.

– Obawiała się pani o własne bezpieczeństwo?

– Nie. Tylko o jego.

Rzuciłem kolejne ukradkowe spojrzenie na V, ale ona nadal siedziała z opuszczoną głową, chociaż teraz darła na strzępy chusteczkę, którą trzymała w ręku. Białe drobiny opadały na podłogę u jej stóp.

Petra z powrotem włożyła okulary i przejrzała notatki.

– Mam tu kartę informacyjną ze szpitala. Michaela przyjmował doktor Hahn. Pacjent dostał wysoką dawkę valium i pozostał na noc na oddziale. Czy to się zgadza?

– Tak jest.

– Oto diagnoza postawiona przez doktora: „Ciężki przypadek wyczerpania nerwowego, epizod psychotyczny wywołany szokiem lub ZSP”. Czyli zespołem stresu pourazowego. „Nie ma potrzeby hospitalizacji na oddziale psychiatrycznym, pacjent i rodzina poinformowani

o konieczności wizyty u lekarza pierwszego kontaktu. Zalecono włączyć psychoterapię i być może farmakologię, najlepiej niezwłocznie”. – Petra znowu podniosła wzrok na Elaine. – Czy Michael poszedł do lekarza rodzinnego?

– Nie.

– Czy prosiła go pani, żeby poszedł? A Verity, prosiła go?

– Tak.

– Czy się sprzeciwiał?

– Trochę.

– Czym argumentował to, że nie pójdzie?

– Mówił, że nic mu nie jest.

– Ale według pani i Verity było inaczej?

– Uważałyśmy, że skorzystałby z terapii.

Petra westchnęła i odwróciła się plecami do Elaine, by odłożyć papiery na biurko.

– Mike to dobry człowiek – odezwała się donośnie Elaine. – Dobry z niego chłopak.

\*

Chyba nadal się nie nauczyłem, że ludzie zawsze mogą cię zaskoczyć. Mówiłem Xandrowi, że Kaitlyn nie ma co się przejmować, że prawie na pewno się we mnie zakochała, ale i tak się przyjaźnimy, więc będzie po mojej stronie. Lubimy to, prawda? Udawać przed sobą samym, że dobrze kogoś znamy, rozszyfrowaliśmy go, jego motywy działania są dla nas jasne i dogłębnie go rozumiemy. Ale tak naprawdę tylko się łudzimy. Nikt z nas nie ma żadnej wiedzy o tym, co się dzieje w sercu drugiego. Aby to osiągnąć, trzeba wejść na pułap, na którym jesteśmy ja i V, lecz trwa to tyle lat i wymaga tylu doświadczeń, że w rzeczywistości tego typu bliskość da się nawiązać tylko z jedną osobą na świecie.

Kiedy Kaitlyn zajęła miejsce dla świadka, nawet zrobiło mi się jej żal. Wydawała się przezroczysta, miałem wrażenie, że otaczające ją drewno odbija się w jej skórze. Była ubrana mniej więcej tak samo jak zawsze i kiedy sąd zasiadał na miejsca, rzucała ukradkowe spojrzenia na V. Mimo że nie patrzyłem na V, wiedziałem, że ona na to nie reaguje. Byłem też pewny, że jasność bijąca od V podziiała na Kaitlyn onieśmielająco. W końcu

Kaitlyn przesunęła zażawione niebieskie oczy na mnie, a jej usta ułożyły się w słaby uśmiech, który odwzajemniłem.

– Z tego, co mi wiadomo, spędziła pani sporo czasu w towarzystwie pana Hayesa, odkąd zaczął pracować w Bartleby – zaczęła Petra.

– Tak – odparła Kaitlyn. – Dość szybko się polubiliśmy.

– Jakie były pani pierwsze wrażenia z tej znajomości?

– Byłam zaskoczona jego skromnością, jeżeli można tak powiedzieć. To znaczy, biorąc pod uwagę jego renomę, spodziewałam się, że będzie nieprzyjemny i arogancki jak inni młodzi z korpo, ale Mike taki nie był.

– Jego renomę?

– Sukces, jaki odniósł w Schwarzu. Kiedy przyszedł do nas do pracy, lord Falls, nasz prezes, zrobił wokół tego wielkie halo, więc wszyscy myśleliśmy, że zjawi się jakiś krzykliwy, zarozumiały handlowiec. Ale nie, Mike okazał się tego zupełnym przeciwieństwem.

Kaitlyn znowu się do mnie uśmiechnęła. Zaczynało mi to działać na nerwy. Miałem nadzieję, że V nie pomyśli, że rzeczywiście coś między nami jest.

– Choć o ile mi wiadomo, w pracy nie układało się panu Hayesowi szczególnie dobrze? – spytała Petra.

Uznałem to pytanie za dziwne.

– Nie. Był dość... – Kaitlyn sprawiała wrażenie, że szuka słowa – ... zmienny.

– W jakim sensie? – spytała Petra.

Sam też zapragnąłem poznać odpowiedź.

– Przyjaźnię się z kilkoma osobami z jego zespołu. Często mówili, że na nich krzyczy. Raz doprowadził moją koleżankę Lottie do łez. Powiedział jej przy wszystkich, że się do niczego nie nadaje i jest niekompetentna.

Coś kliknęło mi w mózgu, jakby przekręcił się trybik, o którego istnieniu nie miałem pojęcia.

– Czy to niespotykane zachowanie?

– Nie aż tak niespotykane, jakim być powinno. Poza tym Lottie jest sąsiadką Mike'a, mieszkają przez ścianę, a mimo to Mike jakby w ogóle nie przyjął do wiadomości jej istnienia. Lottie mówi, że mijają się na ulicy, a on się nawet nie uśmiechnie. Zdarza mi się u niej bywać. Często można odnieść wrażenie, że za ścianą jest impreza, choć wiadomo, że Mike jest sam w domu.

– Impreza?

- Tak. Głośna muzyka i hałasy.
- Może pan Hayes rzeczywiście zaprosił gości?
- Nie, Mike nie ma tylu znajomych, by robić imprezę.

Kaitlyn rzuciła mi przepaszające spojrzenie, ale nie miałem jej tych słów za złe, bo czy na świecie są w ogóle jacyś ludzie, których warto znać?

– Wiem, że to okropnie zabrzmiało, ale raz byliśmy z Lottie takie ciekawe, co tam się u niego dzieje, że stanęliśmy na ławce w ogrodzie i zajrzałyśmy przez mur. U Mike’a w kuchni paliły się wszystkie światła, a on sam biegał w kółko i obijał się o ściany i stół, jakby w ogóle ich nie widział. Puszczął na cały regulator muzykę, chyba Oasis, i płakał. To był bardzo smutny widok. Bardzo nas to przygnębiło.

Próbowałem głęboko oddychać, ale ciało miałem tak samo stężałe jak mózg.

– Rozmawiała z nim pani o tym?

– Nie, za bardzo się krępowalam. Próbowałam po prostu być miłą i wyraźnie mu pokazać, że gdyby potrzebował, zawsze może ze mną porozmawiać.

– Czy pani zdaniem pan Hayes nadużywa alkoholu?

– Tak – odparła Kaitlyn, a ja poczułem, że podłoga gwałtownie się przechyla.

Zobaczyłem nieprzytomną matkę na kanapie i próbowałem odgadnąć, czy to lepiej, że moja kanapa to Heal’s, bo kanapa matki była cała popalona papierosami. „Nie ma takiego prawa, które by mówiło, że stajemy się naszymi rodzicami”, powiedziała Elaine.

– Często przychodził do pracy w fatalnym stanie, było od niego czuć przetrawionym alkoholem. Myślałam, że właśnie przez to zaniedbuje obowiązki.

– Ale mimo to spotykaliście się poza pracą?

– Kilka razy. Raz poszliśmy do baru, a raz on był u mnie na kolacji. – Policzki Kaitlyn leciutko się zaczerwieniły. U innej osoby byłoby to niedostrzegalne, ale u niej taki rumieniec wyglądał jak czerwone światło ostrzegawcze.

– I o czym rozmawialiście?

– O różnych rzeczach – odparła Kaitlyn. – Opowiedział mi o swoim dzieciństwie i o tym, że zawsze czuł się obco, co doskonale rozumiem, biorąc pod uwagę środowisko, w którym pracuję. Mówiliśmy trochę o pracy. I oczywiście o Verity.

Wypowiadając imię V, skinęła do niej, a ja się nie powstrzymałem i spojrzałem w tamtą stronę. V patrzyła prosto na Kaitlyn, lecz twarz miała obojętną jak maska. W kółko powtarzałem w głowie: „Przepraszam, przepraszam”, gapiąc się przy tym na profil V i ze wszystkich sił pragnąc, by to usłyszała. W końcu potarła głowę od mojej strony, a ja się trochę odprężyłem, bo wiedziałem, że odebrała wiadomość.

– I co pan Hayes mówił o pani Metcalf? – spytała Petra, też spoglądając na V.

Kaitlyn przygryzła dolną wargę.

– Zawsze wypowiadał się o niej tak, jakby chciał ją chronić. Domyślałam się, że coś się między nimi nie układa, ale Mike bardzo długo nie chciał się do tego przyznać.

– Co konkretnie ma pani na myśli?

– Hm, po pierwsze, nigdy nie było jej w domu, a on wymyślał najrozmaitsze wytłumaczenia dlaczego i tak dalej. – Kaitlyn przeniosła na mnie wzrok. Wiedziałem, że żałuje tego, co mówi.

– A więc była pani pod wrażeniem, że pan Hayes i Verity są parą? – spytała Petra. Po jej tonie poznałem, że było to wyreżyserowane, i zląkłem się odpowiedzi.

– Oczywiście. Kiedy pierwszy raz poszliśmy po pracy na drinka, mówił o niej „moja dziewczyna”. Kiedyś przypadkiem natknęłam się na niego w sklepie spożywczym po sąsiedzku. Rzekomo kupował coś dla nich obojga na kolację.

– Tak powiedział?

– Tak. Wybierał steki, bo twierdził, że to ulubione danie Verity. Było mi go szkoda, bo zdawało się, że ta decyzja przysparza mu cierpienia. Jakby była bolesna.

– Ale Verity tam nie było?

– Nie, w sklepie nie.

– A w domu?

– Zakładam, że też nie.

– Ale dał pani do zrozumienia, że mieszkają razem przy Windsor Terrace?

– Tak.

– Czy pan Hayes zwierzał się pani z kłopotów w związku z panią Metcalf?

– Tak.

Kiedy Kaitlyn to powiedziała, załała mnie fala wstydu. Skuliłem się w sobie na myśl, że V już wie, że o niej z kimś rozmawiałem.

– Po paru miesiącach znajomości powiedział, że Verity się wyprowadziła, ale dał mi do zrozumienia, że tylko chwilowo, bo muszą sobie wyjaśnić różne sprawy.

– Różne sprawy, czyli co konkretnie?

– Mówił, że to, jak powinni żyć.

Petra uniosła brwi i wypuściła strumień powietrza.

– Rozumiem, że nie wiedziała pani o tym, że Verity wyszła za mąż?

Kaitlyn pokręciła głową.

– Nie miałam pojęcia. Szczerze mówiąc, rano w dniu ślubu, o którym, rzecz jasna, wtedy nie wiedziałam, przypadkowo spotkałam Mike'a. Powiedział, że wybiera się na ślub siostry Verity.

– Nie miała pani podstaw, żeby w to wątpić?

– Skądże. Było mi jedynie przykro. Mówiąc szczerze, pomyślałam, że Verity chyba się nim bawi, a on jest w nią zbyt zapatrzony, żeby coś z tym zrobić.

– Ale z tego, co rozumiem, to właśnie ślub był tym wydarzeniem, po którym zaczęła pani odkrywać zasięg kłamstw pana Hayesa. A potem doszło do zabójstwa.

– Tak – odparła Kaitlyn, a ja się wyprostowałem, jakby ktoś mi kazał wzmóc czujność. – Wiedziałam, że Mike coś ukrywa. Próbowałam wygooglować jego i Verity, ale Mike w zasadzie nie istnieje w sieci, a nazwiska Verity nie znałam, więc nie wpadłam na żaden trop. Aż pewnego wieczora, jakiś tydzień przed zabójstwem, siedziałam bezmyślnie na Facebooku – czasem człowiek tak siedzi, jak mu się nic nie chce – i przeglądałam profile znajomych moich znajomych, sama dokładnie nie wiedząc, po co. Tak czy inaczej, natrafiłam na album jednego znajomego, który był na ślubie Angusa Metcalfa. Czytałam o tym ślubie wcześniej w „The Standard”, więc się zainteresowałam. U Mike'a widziałam zdjęcie Verity i nagle odkryłam, że panna młoda ze zdjęć to ona.

Czułem, że oddech więźnie mi w piersi. Niczym ptak w potrzasku.

– I co pani zrobiła z tą informacją? – spytała Petra.

– Opowiedziałam o wszystkim Lottie, ale nie miałyśmy pomysłu, co robić. – Kaitlyn na chwilę przerwała. – Wtedy zrozumiałam, że Mike stworzył wokół Verity całą tę fantazję. Przestraszyłam się, co może mu przyjść do głowy. – Kaitlyn zerknęła na mnie, jej przezroczyta cera



nabrała lekkich rumieńców. – Wiem, że to dziwnie zabrzmiało, ale po tym wszystkim nadal jestem zdania, że Mike to miły człowiek. Uważam, że wierzy w te kłamstwa, które opowiada. Nie sądzę, by chciał oszukać kogoś prócz siebie. A jest bardzo przekonujący. Jak mówiłam, kiedy go poznałam, naprawdę myślałam, że Verity się nim bawi. Chciałam mu pomóc wyjść ze związku, który postrzegałam jako dla niego krzywdzący. – Pokręciła głową.

Nagle krzesło zrobiło się dla mnie za małe. Nie mogłam sobie przypomnieć, czy to, co mówi Kaitlyn, było prawdą, czy nie. Miałam wrażenie, że istnieją różne wersje prawdy, lecz żadna nie jest absolutna. Coś się pode mną otwierało, jakaś dziura, i zagrażało, że mnie wciągnie. Zalała mnie fala przerażenia, od którego nie da się uciec. „Wszystko gra – powiedziałem sobie pod nosem – V i ja się kochamy, a to jedyna prawda, którą warto pamiętać”.

Petra ze zrozumieniem skinęła głową.

– W noc zabójstwa przebywała pani w domu Lottie w bezpośrednim sąsiedztwie domu pana Hayesa, tak?

– Zgadza się.

– Proszę opowiedzieć, co pani widziała.

Kaitlyn przestąpiła z nogi na nogę.

– Tego wieczora martwiłam się o Mike’a, bo wracając z pracy, spotkałam go na ulicy i twierdził, że idzie do Verity. Był bardzo zdenerwowany i nic do niego nie docierało. Rzucił coś, że ona go potrzebuje, ale zabrzmiało mi to podejrzenie, bo już wiedziałam o ślubie. Tego dnia rano zadzwonił do biura, że nie przyjdzie, bo jest chory. Rzeczywiście wyglądał, jakby miał gorączkę. Próbowałam go zatrzymać, ale nie zwracał na mnie uwagi, szczerze mówiąc, był nawet trochę niegrzeczny. Rozmawiałyśmy o tym z Lottie przez cały wieczór i ustaliłyśmy, że porozmawiam z Mikiem następnego dnia, a jeśli to nic nie da, pójdziemy z tym do lekarza firmowego lub się kogoś poradzimy. – Zawiesiła głos. – Około północy poszłyśmy spać, ale gdzieś dwadzieścia po drugiej zbudziły nas krzyki dochodzące z dworu. Wstałyśmy i wyjrzałyśmy przez okno. Do drzwi Mike’a dobijał się jakiś mężczyzna – teraz wiem, że to był Angus Metcalf. Zastanawiałyśmy się, czy zejść na dół, ale on wyglądał na pijanego i rozwścieczonego, więc nie wiedziałyśmy, co robić. Po jakichś dziesięciu minutach Mike mu otworzył i krzyki się nasiliły. Nic nie widziałyśmy, bo weszli do środka, ale było jasne, że się biją, więc zadzwoniłyśmy na policję.

– Zeszłyście na dół?

– Nie, początkowo nie. Bałyśmy się. Ale potem podjechała taksówką Verity, rzuciła się do drzwi i słyszałyśmy, jak krzyczy, więc wyszłam na dwór. Lottie mi nie pozwalała, ale ja czułam, że muszę pomóc.

– I co pani zobaczyła?

Kaitlyn przyłożyła palec do wargi.

– To było okropne. Pan Metcalf leżał tuż za drzwiami, cały we krwi, bez ruchu. Ale najdziwniejsze było to, że Mike i Verity stali tuż za nim, objęci.

– Wiem, że była już pani szczegółowo przesłuchiwana przez pana Jacksona, ale żebyśmy mieli jasność, mówiąc „objęci”, co dokładnie ma pani na myśli? Czy się całowali?

– Nie, nie całowali się. Widziałam tylko plecy Verity. Opierała się o Mike’a, a on ją przytulał.

– Gdzie trzymała ręce?

Kaitlyn przez chwilę myślała.

– Chyba wzdłuż ciała. Ale nie jestem pewna.

– Więc według pani nie odwzajemniała uścisku.

– Nie wiem. W każdym razie to było bardzo dziwne. To znaczy – jej mąż leżał na podłodze i umierał albo już umarł, a ona dawała się obejmować komuś, kto go zabił.

No jasne, że Kaitlyn tego nie rozumiała. Nikt nigdy nie zrozumie V ani mnie, dlatego jesteśmy tacy wyjątkowi.

– Czy to możliwe, że była w szoku?

– Nie wiem. Takiego zachowania nie można uznać za normalne, jakkolwiek by na to patrzeć.

Petra zerknęła w notatki. Zauważyłem czerwone plamy, które wystąpiły jej na szyję.

– Zakładam, że żywi pani uczucia do pana Hayesa i stąd zazdrość o panią Metcalf. Widziała pani osobę znajdującą się w szoku, co wykorzystał człowiek cierpiący na urojenia, ale pani zeznania zostały zabarwione przez osobiste uczucia.

Kaitlyn lekko się zaśmiała i pokręciła głową.

– Nie, jest pani w błędzie. Kiedy mówiłam, że często widuję się z Lottie, miałam na myśli to, że jesteśmy w związku. Lottie to moja partnerka. Zapewniam, że nie żywię tego typu uczuć wobec Mike’a. Do pani Metcalf również nic nie czuję.

Poczułem, że się rumienię. Na myśl o własnej arogancji ogarnął mnie dziwny wstyd. Że nie odczytałem znaków. Może ja nigdy nie będę potrafił

rozpoznawać kształtów w chmurach.

Petra kaszlnęła, ale Kaitlyn stała nieruchomo, nie spuszczać wzroku.

Wracając myślami do chwil spędzonych w towarzystwie Kaitlyn, do tego wszystkiego, co mówiła, do tych przelotnych dotknięć i niedokończonych zdań, doznałem dziwnego, wręcz namacalnego uczucia. Ta wiedza o niej i o Lottie całkowicie zmieniała postać rzeczy. To, co brałem z jej strony za miłość, w rzeczywistości było przyjaźnią i troską. Poczułem, jakby coś wywinęło mi kozła w brzuchu i wyleciało przez głowę. Byłem skołowany. Tyle rzeczy nietrafnie oceniałem. Nie rozumiałem Kaitlyn prawie pod żadnym względem i ta myśl wprowadziła mnie w przerażenie.

\*

Wczoraj nadeszła kolej na zeznania V, czyli doszliśmy do chwili, którą od dawna przemyślałem. Ja będę zeznawał jutro, czyli na podjęcie ostatecznej decyzji mam tylko jedną noc. Na to, by oddzielić dobro od zła, prawdę od kłamstwa, fakty od fantazji. Muszę to wszystko od siebie oddzielić, na nowo połączyć i zrobić to, co będzie dla V i dla mnie najlepsze.

Miała na sobie ten sam czarny komplet co wcześniej, tym razem z białoniebieską koszulą, na nogach płaskie baleriny, włosy nisko związane w kucyk i była bez makijażu. W jej uszach połyskiwały skromne perełki, a z zagłębienia tuż pod gardłem spokojnie srebrzył się orzeł. Była przeraźliwie blada, a ponieważ bardzo schudła, kości policzkowe dosłownie jej sterczały, przez co wyglądała jakoś surowo. Serce waliło mi jak oszalałe, gdy taka mała i delikatna zajęła miejsce na obszernym podium dla świadka. Zmroziła mnie nagła myśl, czy to dla niej nie za wiele, bo przecież V jest zbyt delikatna, by znosić takie drobiazgowo wypytywania.

Nagle wróciło do mnie wspomnienie z tych wszystkich barów, do których chodziliśmy, gdzie V była jak motyl wśród roju much. Zaraz po tej myśli pojawiła mi się w głowie następna: jeżeli oboje wylądujemy w więzieniu, to V cały czas będzie otoczona rojem much, tyle że ja nie będę mógł jej przyjść z pomocą. Ba, nawet nie będę mógł jej zobaczyć. Tak mnie ścisnęło w gardle, że nie mogłem zaczerpnąć powietrza i zaczęło mi się kręcić w głowie. Zamknąłem oczy i policzyłem do dziesięciu. Musiałem odgonić te złe myśli i przywołać inną wizję, tę, w której V jest

drogocennym klejnotem, czekającym w ukryciu, aż nadejdzie właściwy czas.

– Pani Metcalf – zaczęła Petra – na początek proszę przedstawić sądowi historię pani znajomości z panem Hayesem.

V wyglądała tak, jakby bolał ją każdy oddech. Wiedziałem, gdzie siedzą Suzi i Colin i że na nich zerknęła, zanim zaczęła mówić.

– Poznaliśmy się na uniwersytecie w Bristolu, na drugim roku. Zaczęliśmy się spotykać, a po studiach oboje przeprowadziliśmy się do Londynu i wynajęliśmy razem mieszkanie. Sześć lat później on wyjechał do Stanów, a ja zostałam w Londynie. Utrzymywaliśmy związek na odległość, ale ze względu na pracę nie widywaliśmy się w tym czasie zbyt często. Stosunki między nami stały się nieco napięte. Około trzynastu miesięcy temu ja zerwałam.

– Czy – poza etapem końcowym – państwa związek był udany? – Dziś Petra poruszała się bez napięcia, z większą swobodą.

– Tak – odparła V. – Mniej więcej przez pierwszych osiem lat byliśmy bardzo szczęśliwi. Nasze relacje popsuły się dopiero pod sam koniec, powiedziałabym, w ciągu ostatnich sześciu miesięcy naszego związku.

– W pani ocenie dlaczego?

– Nie wiem. Może ze względu na odległość? A może nasze drogi coraz bardziej zaczęły się rozchodzić?

– Mogłaby pani to rozwinąć?

– Zaczęłam mieć wrażenie, że on... jego... – V podniosła na Petrę wzrok, ale od razu go spuściła. – Jak by to powiedzieć... Że potrzebował mnie za bardzo. Dla mnie to było za dużo.

– W jakim sensie? – chciała wiedzieć Petra, a ja w tej chwili poczułem do niej nienawiść, czystą i zwyczajną, za to, co każe V opowiadać.

– Zawsze był ze mną mocno związany, ale kiedy wyjechał do Nowego Jorku, to się jeszcze pogłębiło. Zawsze musiał wiedzieć, co robię, a jeśli zmieniałam plany lub zrobiłam coś spontanicznie, godzinami o tym dyskutowaliśmy. – V przełknęła ślinę. – Miałam wrażenie, że nic nie wystarcza. Chciał, żebym co tydzień wysyłała mu mejle z rozpiską, co będę robić każdego dnia.

– Jeżeli można, przeczytam przysięgłym część tej korespondencji, choć wszyscy państwo mają ją w swoich teczkach, dokument numer dwadzieścia jeden. – Mówiąc to, Petra odwróciła się w stronę ławy przysięgłych. – „Poniedziałek fitness po pracy, wtorek cały dzień spotkania, więc nie będę

mogła rozmawiać, ale wróćę prosto do domu, środa kolacja z Louise, prosto po pracy, czwartek impreza pożegnalna Sama w biurze, piątek prosto po pracy wsiadam w pociąg do Steeple”. Pan Hayes odpowiedział tego samego dnia: „Nie widziałaś się przypadkiem z Louise w zeszłym tygodniu? Musisz się z nią tak często widywać? Którego Sama? Czemu musisz być na wszystkich imprezach pożegnalnych w pracy? Wolałbym, żebyś wróciła prosto do domu, moglibyśmy sobie normalnie pogadać”. – Podniosła wzrok i spojrzała na V. – Wymieniali państwo sporo podobnych listów. Nie sądziła pani, że to trochę dziwne?

– Sądziłam – odparła V – ale jednocześnie nie chciałam się kłócić, kiedy on był tak daleko.

– Słyszałam, że pan Hayes chciał też, aby pani przed pójściem spać włączała Skype’a?

– Tak, i żeby laptop stał na sąsiedniej poduszce.

– Robiła tak pani?

– Kilka razy. Było mi łatwiej niż odmówić.

– Powiedziała pani, że pan Hayes lubi sprawować kontrolę?

V uniosła rękę, ale ją opuściła.

– W pewnym sensie.

– Bała się go pani?

– Nie, raczej bym tak nie powiedziała. Nie bałam się.

Petra ledwie dostrzegalnie przesunęła się do przodu.

– Żebyśmy mieli jasność: przed jego wyjazdem do Nowego Jorku ta jego nadmierna uwaga pani nie przeszkadzała?

– Na studiach i potem, kiedy mieszkaliśmy w Londynie, myślę, że mi schlebiała. Ale byliśmy wtedy dużo młodszy, a mam wrażenie, że kiedy człowiek jest młody, bardziej mu zależy, żeby być podziwianym, prawda? – Mówiąc, podniosła oczy, ale tak naprawdę jej pytanie nie miało adresata. – Sądzę, że żyliśmy z Mikiem trochę w bańce, a kiedy on wyjechał, zdałam sobie sprawę, że nie chcę już do tego wracać. Myślę, że chciałam żyć bardziej normalnie.

Petra przeniosła spojrzenie na przysięgłych.

– Następne pytanie zadaję tylko dlatego, że prasa narobiła o to mnóstwo szumu, ale jednocześnie chciałabym podkreślić, że osobiście nie jestem zdania, aby pani życie seksualne miało wpływ na tę lub inną sprawę. Niestety w tej chwili nie możemy tego pominąć.

Ja też spojrziałem na przysięgłych i stwierdziłem, że są bardzo skrupowani. Petra znowu zwróciła się do V:

– Kiedy mówiła pani, że żyliście w bańce, miała pani na myśli tę zabawę, w którą bawiliście się z panem Hayesem, to Pragę, o którym tyle pisały gazety?

V zawahała się i potarła czoło nad brwią – w miejscu, gdzie się zaczynały wszystkie jej bóle głowy.

– Myślę, że ta zabawa miała z tym wiele wspólnego. To było coś osobistego, coś wyjątkowego, zarezerwowanego tylko dla nas, coś, co bardzo nas ze sobą związało.

– Jak często grali państwo w tę grę?

– Nie tak często, może raz w miesiącu.

– Określiłaby pani tę zabawę jako dewiację seksualną?

V prawie się zaśmiała.

– Skąd, w żadnym razie, to była głupia młodzieńcza zabawa. Szliśmy do baru, ktoś do mnie zagadywał, a Mike mu przerywał. To nas nakręcało – myśl, że byłam atrakcyjna dla kogoś innego. Nic więcej. Nikomu nic złego się nie działo, to była tylko zabawa.

– A kto ją zaczął?

V automatycznie odwróciła głowę w moją stronę, ale nie pozwoliła sobie na mnie spojrzeć.

– Kiedyś byliśmy na imprezie, tuż po egzaminach końcowych, i ktoś się do mnie przysiadł, a Mike trochę się zdenerwował. Po imprezie się z tego śmialiśmy, ale nie dało się ukryć, że to na nas podziałało. Parę dni później poszliśmy do klubu, tylko we dwoje, a Mike zaproponował, żebym stanęła przy barze sama. Powiedział, że chce sprawdzić, ile to potrwa, zanim mnie ktoś zaczepi. Oboje byliśmy wstawieni, zgodziłam się, dość szybko podszedł do mnie jakiś facet i zaraz wkroczył rozgniewany Mike. I chyba wtedy to się zaczęło.

– Więc to był pomysł pana Hayesa?

– Tak, chyba tak.

Petra skinęła głową.

– Proszę teraz opowiedzieć o zakończeniu związku z panem Hayesem. Mówiła pani, że mniej więcej pół roku przed rozstaniem zaczęło się między wami gorzej układać.

V skinęła głową.

– Tak. Zaczęłam się czuć osaczona. Ta ciągła potrzeba, by wszystko o mnie wiedzieć, przestała mi się wydawać urocza, zaczęła mnie denerwować. W pracy dużo się działo i nie miałam już siły tego wszystkiego łączyć. – Przerwała. Zrobiła wielkie oczy, jakby się bała. – Potem poznałam Angusa. Robił dla nas reklamę i musiałam go zapoznać z jakimś tematem, nad którym akurat pracowałam, a potem, następnego dnia, do mnie zadzwonił i... – Zawiesiła głos i myślałam, że się rozplacze. – Był całkiem inny niż Mike. Spokojny, pewny siebie, sprawiał wrażenie, że panuje nad sobą i nad emocjami. Parę razy się spotkaliśmy i zdałam sobie sprawę, że to coś więcej.

– Kiedy to było?

– Hm, poznałam Angusa mniej więcej we wrześniu zeszłego roku, ale zaczęliśmy się spotykać dopiero w listopadzie. Nawet wtedy nasza znajomość rozwijała się powoli. Ze względu na Mike’a. Wiedziałam, że będę musiała z nim zerwać, ale się tego obawiałam, bo było oczywiste, że on to źle przyjmie. Zamierzałam mu powiedzieć osobiście, kiedy przyjedzie na święta.

– Czy wtedy była już pani zakochana w panu Metcalfie?

– Tak – odparła zwyczajnie V. – Nikogo wcześniej tak nie kochałam.

„Możliwe – pomyślałam sobie – że umarłem i trafiłem do piekła”. W sali zrobiło się strasznie gorąco, czułem, że pot spływa mi po plecach. W głowie miałem mętlik, nie byłem w stanie nadażyć za słowami V ani przetworzyć ich na znaczenie, które – tego byłem pewien – miały nieść, na sens, który chciała, żebym z nich wyłowił. „Przestań słuchać tych słów”, powtarzałam sobie, tyle że nie słyszałem niczego innego.

– Ale na tamtym etapie nadal przejmowała się pani tym, jak to odbierze pan Hayes? – spytała głupio Petra.

– Tak, bardzo – odparła V. – Oczywiście na przestrzeni lat niejedną raz rozmawialiśmy o jego dzieciństwie, dlatego wiem, że wywarło ono na niego znacznie większy wpływ, niż sam przyznaje, nawet przed sobą. Znam powód, dla którego nie zawiera bliskich znajomości: uważa, że nikt go nie pokocha. Ciągłe powtarzał, że się dla mnie nie nadaje, że na mnie nie zasługuje. Rozumiem to. To niesamowite, że zdołał tyle osiągnąć, mając za sobą taką przeszłość. – Głos uwiązł jej w gardle, a mnie przestało wirować w głowie. – Nie mogłam jednak dopuścić do sytuacji, że dla jego szczęścia poświęcam swoje. Wiedziałam, że strasznie trudno będzie mu o tym powiedzieć, wiedziałam, że źle to przyjmie, ale nie miałam wyjścia.

– Oczywiście – przyznała Petra. – Pani mama wspominała, że rozchorowała się pani ze zmartwienia.

– Tak, denerwowałam się już parę tygodni przed jego powrotem. Prawie nie sypiałam. Musiałam sobie wziąć wolne w pracy i wyjechać do rodziców.

– Okazało się jednak, że w Nowym Jorku pan Hayes panią zdradził i się do tego przyznał?

– Tak. Nie potrafię opisać ulgi, jaką poczułam, gdy mi o tym powiedział – stwierdziła V. – Kiedy teraz o tym myślę, wiem, że stchórzyłam, wykorzystując jego zdradę jako pretekst do zerwania, i żałuję tego, ale wtedy przyniosło mi to ogromną ulgę.

– Odniosła pani wrażenie, że panu Hayesowi nie zależy na pani tak, jak pani przypuszczała?

– To również. To znaczy, zdziwiłam się, że miał romans, ale bardzo zdenerwowały mnie powody, które podawał. Próbował obciążyć mnie winą, ciągle powtarzał, że czuł się taki samotny, jakbym to ja mu kazała wyjeżdżać do Nowego Jorku.

– A nie kazała mu pani?

– Nie, oczywiście, że nie. Szczerze mówiąc, kiedy aplikował do pracy w Stanach, było mi naprawdę przykro. Ale Mike miał obsesję, żeby w wieku czterdziestu pięciu lat koniecznie przejść na emeryturę. Nie wiem czemu, zawsze zakładałam, że to ma jakiś związek z jego dzieciństwem i brakiem poczucia kontroli nad swoim życiem. Myślę, że poczucie kontroli jest dla niego ważne, a pieniądze w tym pomagają.

Wyciągnąłem rękę i oparłem ją o drewnianą ścianę boksu, w którym siedziałem, bezpieczny i opanowany. Czułem na sobie spojrzenie strażnika. Walnąłbym go, gdyby mnie teraz dotknął. Bo w tamtej chwili zupełnie nie pojmowałem, o co chodzi V – czemu przekręca naszą historię, zamienia w niej role.

– Jak pan Hayes przyjął zakończenie waszego związku?

– Bardzo źle. To było straszne. Krzyczał, płakał i błagał, żebym nie zrywała. Objął mnie za nogi i musiałam go uderzyć, żeby mnie puścił, bardzo się bałam. Następnego dnia rodzice musieli go poprosić o opuszczenie domu, bo nie chciał mnie zostawić w spokoju, a potem zasypywał mnie telefonami, esemesami i mejlami. Przysłał mi tyle kwiatów, że mama nie miała co z nimi zrobić, musiała je oddać do



kościół. W końcu Angus po mnie przyjechał, myślę, że gdyby tego nie zrobił, chyba bym oszalała.

Skupiłem się na fakturze drewna pod palcami. Było stare, porysowane i niczym niezainteresowane.

– Ale ostatecznie pan Hayes wrócił do Nowego Jorku?

– Tak. Kupił mi bilet, żebym do niego przyleciała na Nowy Rok, chociaż sto razy mu powtarzałam, że nie przyjadę, długo przed naszą rozmową o zerwaniu. Kiedy nie pojawiłam się na lotnisku, chyba zaczęło do niego docierać. Wtedy zmieniłam numer telefonu i powiedziałam mu, że już nie wrócę do naszego wspólnego mieszkania. W końcu wrócił do Nowego Jorku, ale jeszcze przez półtora miesiąca zasypywał mnie mejlami. Doszło do tego, że Angus każdego dnia rano i wieczorem logował się na moje konto i je usuwał, żebym nawet nie widziała, ile przyszło.

Stanął mi przed oczami obraz tej małej Angusa czytającego moje osobiste słowa do V. Prawie pożałowałam, że typ już nie żyje, bo chętnie bym mu jeszcze raz przyładowała w twarz.

Petra podeszła do przysięgłych.

– Punkt trzynasty w dokumentacji. A potem nagle mejle się urwały?

– Tak. Pewnego dnia przestały przychodzić i wszystko się skończyło. Początkowo w to nie wierzyłam, ale z czasem przyjąłam, że wszystko wróciło do normy. Potem zaręczyłam się z Angusem i byłam taka szczęśliwa, że zepchnęłam myśli o Mike’u na bok. Wiedziałam, że kiedyś będę musiała mu powiedzieć o ślubie, ale ciągle to odkładałam, aż pewnego dnia nagle dostałam od niego mejla, że wraca do Londynu, więc odpowiedziałam, informując go przy okazji o ślubie.

– I jak zareagował?

– Najpierw przez kilka dni milczał, ale potem odpowiedział normalnie. Pogratulował mi. Ucieszyłam się, że już to przepracował, przemyślał i będziemy przyjaciółmi.

Petra nadal stała w pobliżu przysięgłych. Oparła nawet rękę o barierkę odgradzającą ich stanowisko, gdyby chciała, mogłaby dotknąć siedzącego najbliżej grubasa.

– I w tym miejscu, myślę, wiele osób miałoby do pani pytanie: dlaczego nadal chciała się pani przyjaźnić z panem Hayesem?

V odwróciła głowę i na nią spojrzała, wiedziałem więc, że przysięgli będą mieli okazję zobaczyć całą wstrząsającą pełnię jej urody.

– Bardzo dużo dla siebie znaczyliśmy – odparła. Widziałem, jak przy wypowiedaniu tych słów porusza się jej gardło. Prawie jakbym widział te słowa, zanim je opuściły. – Wiem też, jaki był wrażliwy, jak niewiele w jego życiu było bliskich. Nie chciałam, by był nieszczęśliwy. Niczego nie pragnęłam więcej jak tego, by się związał z jakąś miłą osobą. Postąpiłam głupio.

– Albo życzliwie – dodała Petra, zdejmując rękę z barierki. – A więc zjawił się na ślubie, wcześniej się nie widzieliście?

– Raz przypadkowo spotkaliśmy się na ulicy. Robił zakupy na Kensington High Street, a ja mieszkam na jednej z przecznic, niedaleko.

Czekałam na więcej, bo V musiała wiedzieć, ale ona nic nie dała po sobie poznać.

– Jakie wrażenie sprawiał wtedy pan Hayes?

– Normalne. Zamieniliśmy kilka słów o jego nowym domu i o ślubie. Rozmawialiśmy dosłownie chwilę, może pięć minut, nie więcej.

– A jaki się wydawał na ślubie?

– Też widziałam go bardzo krótko, przywitaliśmy się tylko w kolejce do życzeń, ale słyszałam, co o nim mówili inni. Może rzeczywiście wyglądał na zestresowanego. Szczerze mówiąc, nie bardzo pamiętam.

– Potem wyjechała pani w podróż poślubną.

– Tak, i wtedy przyszły kolejne dwa mejle.

– Numer szesnaście w państwa dokumentacji – poinformowała Petra przysięgłych.

Usłyszałem szelest papieru, czyli czytali.

– Były dla mnie wstrząsem – powiedziała V. – Bardzo się nimi zdenerwowałam. Całkowicie mi zepsuły parę dni podróży poślubnej. Angus był wściekły, chciał iść na policję, ale mu nie pozwoliłam. Ustaliliśmy, że na razie to zostawimy, a zaraz po powrocie napiszemy do Mike’a wiadomość, dzięki której poczuje się wysłuchany i dowartościowany, a jednocześnie zrozumie, że kocham Angusa, a z nim nie chcę już być.

– Dlaczego nie pozwoliła pani Angusowi zawiadomić policji?

V otworzyła usta, ale tylko przełknęła ślinę. Napięła ramiona, widziałem, że powstrzymuje płacz.

– Chyba nadal czułam się winna. Teraz żałuję. To był straszliwy błąd.

– Dlaczego pani tak uważa?

– Bo kiedy wróciliśmy, Mike pojawił się pod moją pracą i oświadczył, że jego zdaniem moje małżeństwo to wielka bzdura i w rzeczywistości

powinnam być z nim. Wtedy zrozumiałam, że on to wszystko uważa za swego rodzaju element naszej gry w Pragę.

– Powiedział to pani, kiedy poszła z nim pani na drinka do baru naprzeciwko biura?

– Tak.

– Ale nie wróciła pani prosto do domu i nie powiedziała Angusowi? – spytała Petra i było to pierwsze sensowne pytanie, jakie zadała.

V spuściła wzrok i znowu przełknęła ślinę.

– Nie. Angus miał właśnie wyjechać, wiedziałam, że się zdenerwuje, zawiadomi policję i przez całą podróż będzie się stresował. Pomyślałam, że zaczekam, aż wróci, a potem załatwimy to razem. Naprawdę nie sądziłam, że Mike zrobi coś więcej niż do tej pory. Myślałam, że sobie poradzę.

– Ale stało się inaczej, tak? – Petra podeszła do V, która wyglądała, jakby się trzęsła. – Naprawdę mi przykro, że muszę panią prosić o relację z tego, co się zdarzyło dalej, ale przysięgli niestety muszą o tym usłyszeć.

– Wiem. – Łza potoczyła się po policzku V. – Pojechałam na weekend do rodziców, w niedzielę wieczorem wróciłam. Angus miał być w domu we wtorek wcześniej rano, a Mike się nie odzywał, więc pomyślałam, że może do niego dotarło. Ale nagle w poniedziałek wieczorem pojawił się przed moimi drzwiami. Czułam od niego alkohol. Siłą dostał się do środka. Zrozumiałam, że myśli, że doszliśmy do jakiegoś porozumienia. Że zamierzam zostawić Angusa i do niego wrócić.

– Z tego, co mi wiadomo, pan Hayes panią pocałował. I wylądowaliście razem na podłodze.

V skinęła głową. Łzy ciekły jej po twarzy.

– Tak. Myślę, że by mnie zgwałcił, gdybym go nie powstrzymała.

– Sprzeciw – wtrącił Xander, wstając. – Pan Hayes zaprzecza, jakoby zaatakował panią Metcalf. Twierdzi, że do tej sytuacji doszło za jej zgodą.

Sędzia spojrzał na przysięgłych.

– Sąd weźmie pod uwagę, że nie złożono jeszcze wszystkich zeznań i nie wydano wyroku, dlatego pani Metcalf i pan Hayes mają odmienne wersje wydarzeń.

V gwałtownie zaczerpnęła powietrza, jak gdyby tonęła, i przesunęła się do przodu.

– To było najgorsze – powiedziała zduszonym głosem. – Mike chyba myślał, że ja tego wszystkiego chcę. Musiałam grać, inaczej by ode mnie

nie wyszedł. Dlatego udawałam, że chcę zostawić Angusa i do niego wrócić.

Nakryła usta dłonią, jakby chciała złapać wychodzące z nich słowa, w oczach miała rozpacz. Szczerze mówiąc, wyglądała jak obłąkana – tak jak kiedyś, kiedy chorowała i mówiła, że życie toczy się gdzieś za wysokim murem, na który ona nie może się wdrapać. Zacząłem wtedy rozumieć, o co jej chodzi. Kiedy chorowała, często powtarzała, że nie rozumie, co się do niej mówi, jak gdyby słowa kotłowały się jej w głowie. To samo czuła teraz, bo przecież jasne, że przerasta ją to, co się dzieje. Czasem zapominam, jak mocno ją zraniłem, zadając się z Carly, i jak delikatne jest to jej nowe życie. Rzeczywistość boleśnie zderzyła się z jej konstrukcją psychiczną i wywołała chwilowe zaburzenia rozumowania. V jest przerażona i tylko dzięki mnie – jedynemu na świecie – może się poczuć bezpieczna.

– Może pani opisać, co się stało, kiedy pan Hayes panią pocałował? – spytała Petra upiornie.

– Mike jest bardzo silny – odparła V, a ja poczułem na sobie oczy przysięgłych. – Objął mnie w talii i czułam, hm, to znaczy czułam, że jest podniecony. Początkowo próbowałam nie oddawać pocałunku, ale potem pomyślałam, że jeżeli oddam, to może sobie pójdzie.

– Jak to się stało, że wyładowaliście na podłodze?

– Mike naprawdę mocno mnie trzymał, przyciskał mnie do siebie. Czułam, że próbuje tak mną pokierować, żebym się położyła, ale się nie poddawałam. Więc mnie podniósł i tak jakby pociągnął na ziemię. I zanim zdążyłam się zerwać, przycisnął mnie całym ciężarem do ziemi. Myślałam, że się uduszę.

– Próbował doprowadzić do stosunku?

V znowu płakała.

– Tak, próbował mi rozchylić nogi i ściągnąć spodnie. Wiedziałam, że chce rozpiąć rozporek.

– Mówiła mu pani, żeby przestał?

– Tak.

– Ile razy go pani prosiła, żeby przestał?

– Cztery, może pięć. Musiałam krzyczeć, bo on był jak w transie, miałam wrażenie, że nic do niego nie dociera.

– Ale w końcu przestał?

– Tak, chociaż był zły. Krzyczał na mnie i powiedział coś w tym rodzaju, że ma już tego dość, że cały czas słyszy o Angusie.

– Więc zgodziła się pani na to, na co nalegał pan Hayes – że zostawi pani męża – ze strachu?

– Tak.

– Nie dlatego, że rzeczywiście miała pani zamiar zostawić pana Metcalfa?

– Nie, skąd.

– W takim razie rozumiem, że nakłoniła go pani do wyjścia.

– Tak.

– A potem co pani zrobiła?

– Nie wiedziałam, co robić. Angus był w samolocie, więc nie mogłam się z nim skontaktować. Miałam mętlik w głowie. Tej nocy i następnego dnia bardzo źle się czułam. Nie przechodziło mi, byłam taka słaba, że ledwie wstawałam do łazienki. Kiedy wrócił Angus, czułam się potwornie, miałam wysoką gorączkę, chyba nawet majaczyłam. Nie miałam siły nic mówić, a co dopiero opowiadać o tym wszystkim. Oczywiście, miałam zamiar to zrobić, chciałam też zadzwonić na policję i tak dalej. Ale wtedy, wieczorem, znowu przyszedł Mike, zaczął mówić, że ja i on się kochamy, że zamierzam zostawić Angusa i do niego wrócić. Znowu udało mi się go odprawić i wtedy wszystko powiedziałam Angusowi. Mąż bardzo się przejął, był wściekły, miał wyrzuty, że mnie przed tym nie ochronił. – V przestała wzbraniać się przed płaczem, twarz miała zalaną łzami. – Czuję się strasznie, że na koniec tak unieszczęśliwiłam Angusa. Że tak go zasmuciłam, rozgniewałam. Ustaliliśmy, że rano dzwoniemy na policję, Angus kazał mi wracać do łóżka i musiałam zasnąć, bo pamiętam tylko, że gwałtownie się przebudziłam. Mimo że leżałam w łóżku, wiedziałam, że w domu nikogo nie ma. – Nerwowo zaczerpnęła powietrza, znowu tak, jakby oddech mógł ją uratować. Boleśnie się przy tym skrzywiła.

– Która to była godzina?

– Wpół do drugiej.

– Co pani wtedy zrobiła?

– Najpierw zaczęłam wołać Angusa, a potem go szukać, choć już wiedziałam, że nie ma go w domu. Zauważyłam włączony komputer, a na ekranie plik z nazwiskami i adresami wszystkich gości ślubnych. Domyśliłam się, że musiał pojechać do Mike'a.

– Proszę, by wysoki sąd odnotował, że między pierwszą czterdzieści siedem a drugą trzydzieści jeden na telefonie pana Metcalfa są dwadzieścia trzy nieodebrane połączenia od pani Metcalf. Chciałabym także odtworzyć nagranie wiadomości głosowej, którą pani Metcalf zostawiła panu Metcalfowi o drugiej zero sześć.

Na znak Petry salę wypełnił głos V, wysoki i przenikliwy, zniekształcony płaczem: „Gus, wiem, dokąd jedziesz, błagam, nie jedź tam. Nie znasz go. Błagam cię, wracaj. Nie warto. Zadzwonimy na policję, oni to załatwią. Zadzwoń do mnie, błagam cię, Gus”.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Milczenie spowiło salę rozpraw niczym całun. Złączyłem dłonie, ale czułem, że zaczynam drżeć, jakbym przejął to drżenie od V, bo jesteśmy ze sobą tak silnie związani, że nasze ciała nie mogą na siebie wzajemnie nie oddziaływać. Nie spuszczałem z niej wzroku, a ona w końcu podniosła oczy i przelotnie na mnie spojrzała.

– Czy pan Metcalf do pani oddzwonił?

V zaprzeczyła, zdawało się, że jej głowa zawibrowała.

– Nie. Już nigdy z nim nie rozmawiałam.

– Co pani zrobiła, kiedy się okazało, że nie może pani nawiązać kontaktu z mężem?

V znowu podniosła wzrok, ale nie na mnie.

– Zadzwoiłam do Mike’a. Powiedziałam mu, że Gus do niego jedzie i żeby mu nie otwierał. I że już wzywam taksówkę.

– I wezwała ją pani?

– Tak.

– Przybyła pani do domu pana Hayesa około wpół do trzeciej.

V na moment zamknęła oczy, jej głowa się zachwiała. Uniosła rękę, ręka dotknęła orła. Chciałem przeskoczyć przez barierę i wziąć ją w ramiona, bo wiedziałem, ile ją to będzie kosztować – skłamać o tym, ile dla siebie znaczyliśmy. Powiedzieć, że chciałem ją zgwałcić, było jak zadać sobie samej cios nożem w serce. Miałem ochotę ją pochwycić, wzbić się w niebo i uciec od tej całej przemocy, od tego bajzlu i strachu. Ale nie jestem Supermanem, tylko człowiekiem, i istniał mądrzejszy sposób na jej ocalenie. Właśnie zaczynałem go lepiej rozumieć.

To było oczywiste – V uważała, że jedno z nas powinno pozostać na wolności i żyć na jałowym biegu i że tą osobą jest ona, ponieważ to ja zadałem Angusowi śmiertelny cios. Ale się myli – nie przeanalizowała tego

do końca, dlatego na jej twarzy nadal maluje się niezrozumienie. Wiem, że jutro, kiedy ja zajmę miejsce, w którym ona dziś stoi, będę miał jedną jedyną szansę, by ją ocalić, jedną jedyną szansę, by to wszystko naprawić.

– Gus leżał na podłodze tuż za drzwiami wejściowymi – ciągnęła V drżącym głosem – a Mike na nim i cały czas go bił. Podbiegłam i zepchnęłam Mike’a, wrzeszczałam, żeby przestał. – Oddech V był ciężki, jak ostry podmuch, który obija jej od środka żebra.

Petra zniżyła głos.

– Proszę wytłumaczyć sądowi, jak to się stało, że po przybyciu policji i pani Potter stała pani w objęciach pana Hayesa.

V pokręciła głową, po jej policzku pociekły świeże strumienie łez.

– Niewiele z tego pamiętam. To było jak w innej rzeczywistości. Wiem tylko, że prawie zemdlałam, ale ktoś mnie pociągnął w górę. Ale raczej nie zdawałam sobie sprawy, że to Mike.

– Co pani czuła, kiedy się okazało, że pan Hayes zabił pani męża? – spytała Petra.

Zdawało się, że wszyscy zebrani wstrzymali oddech.

V szerzej otworzyła oczy, jakby widziała coś, co pozostaje ukryte przed innymi.

– Miałam wrażenie, że cały świat się na mnie zawalił. I nadal tak się czuję. Rano, kiedy się budzę, to jakby mnie przygniatała betonowa ściana. Wszystkiego się boję. Trudno mi się skoncentrować, nie mogę rozsądnie myśleć. Nieustannie tęsknię za Angusem, w każdej sekundzie każdej minuty, każdej godziny, każdego dnia.

A więc wreszcie to powiedziała. To, co już sam zrozumiałem. Tymi samymi słowami mówiła do mnie, gdy chorowała – że nie może się skoncentrować, nie może myśleć. Tak jakby teraz zwracała się bezpośrednio do mnie. To nie za Angusem tęskniła w każdej sekundzie każdej minuty, każdej godziny, każdego dnia, tylko za mną.

Petra pokręciła głową.

– Zdziwiło panią agresywne zachowanie pana Hayesa?

– Nigdy nie przypuszczałam, że może dojść do czegoś takiego – powiedziała V. – Ale teraz, z perspektywy czasu, jednak nie jestem zdziwiona. Nie mam przekonania, że Mike nie byłby do czegoś takiego zdolny.

– A więc uważa pani, że pan Hayes jest człowiekiem agresywnym i niebezpiecznym?

– Tak – odparła V, patrząc prosto na mnie. Łzy bezgłośnie ciekły jej po twarzy. – Powinnam była go powstrzymać, póki miałam szansę.

Xander miał okazję odpytać V po lunchu, chociaż nic nie wskazywało, by między jej blade wargi trafiło cokolwiek odżywczego.

– Pani Metcalf. Interesuje mnie lekceważący ton, jakim mówi pani o grze, w którą graliście razem z panem Hayesem. O Pragnę.

V podniosła na niego zmęczone spojrzenie. Jej głowa wydawała się zbyt ciężka, by utrzymać się na wątej szyi.

– Powiedziała pani, że to była tylko głupia młodzieńcza zabawa, chociaż oboje mieliście już ponad dwadzieścia lat. Zgadza się?

– Tak. Zapewne nie powinnam była użyć słowa „młodzieńcza”.

– I może nie powinna też pani jej lekceważąco nazywać głupią zabawą. Sugerowałbym, że ta gra znaczyła dla pani znacznie więcej niż głupia zabawa.

V spojrzała w miejsce, w którym – jak wiedziałem – siedziała Suzi.

– Ale niczym więcej nie była. Tylko głupią zabawą.

– Zabawą o ładunku seksualnym, której celem było pobudzenie się poprzez manipulację nieznanym i panem Hayesem.

– To nie była manipulacja. A zabawa miała pobudzić nas oboje.

– Czy kiedykolwiek grała w nią pani z panem Metcalfem?

Spodziewałem się tego pytania, a mimo to żołądek podszedł mi do gardła jak w czasie jazdy górską kolejką.

– Nie – odparła V. Jej zdecydowany ton mnie uspokoił.

– Dlaczego?

– Nie chciałam.

– A więc rozmawiała z nim pani o tym?

– Nie, chyba nie.

– Wstydziła się pani? Krępowało to panią?

– Nie, absolutnie. – V całym ciężarem ciała oparła się o barierkę, ale potem znowu się wyprostowała. – Nie potrzebowaliśmy z Angusem takich rzeczy. Nasz związek był inny, był czymś więcej. Ta gra to tylko głupia dziecinna zabawa. W moim związku z Angusem nie było na nią miejsca.

Sala zamazała mi się i zakołysała przed oczami, jakbyśmy nagle przenieśli się do dżungli, gdzie panuje duża wilgotność powietrza. Musiałem sobie przypomnieć, że V robiła tylko to, co – jak jej się błędnie wydawało – było dla nas konieczne.



– Dość nagle odrzuciła pani coś, w co pani grała przez wiele lat, coś, czego inni nie potrafiliby zrozumieć.

Verity podniosła głowę. Wydawało się, że jej skóra ciasno opina twarz, jakby ktoś ją owinął folią spożywczą.

– Przykłada pan do tego zbyt dużą wagę. Ta gra nigdy nikomu nie zaszkodziła, nie zaangażowała nikogo bardziej niż delikatny flirt.

– Prócz tej dziewczyny w Stanach – rzucił Xander. Widziałem, jak wydyma mu się pierś, gdy mówi.

V się skrzywiła, jakby dostała w twarz. Petra się wyprostowała. Zrozumiałem, że V jej nie powiedziała, co świadczyło o tym, że niektóre rzeczy przed nią zataiła – te elementy Pragne, które chciała zachować tylko dla nas.

– Czy to prawda, że dwa lata temu, kiedy pojechała pani na wakacje do Stanów, przyprowadzili państwo z baru dziewczynę, z którą pani uprawiała seks, a pan Hayes się temu przyglądał?

Petra wstała.

– Sprzeciw, wysoki sędzie. O ile mi wiadomo, ten proces nie dotyczy życia intymnego pani Metcalf.

– Odrzucam sprzeciw – odparł sędzia.

– A poza tym z tego, co mi wiadomo – dodała Petra – fakt, że kobieta jest aktywna seksualnie, nie jest w dzisiejszych czasach przestępstwem.

– Proszę siadać, pani mecenas – powiedział sędzia. – Ośmiesza się pani. – Patrzył na nią ze swojego miejsca, zły jak osa.

Petra spiekła raka i otworzyła usta, ale nic nie powiedziała, tylko ciężko usiadła na krześle.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie – powiedział Xander do V. – Czy to prawda, że przyprowadziliście do hotelu dziewczynę, z którą uprawiała pani seks, a pan Hayes na to patrzył?

– Tak. – V uniosła podbródek, zacisnęła wargi.

– Czyj to był pomysł?

– Mój. Byłam ciekawa seksu z kobietą, ale nie chciałam tego robić bez Mike'a.

– Dlaczego była pani ciekawa? Czy to było coś, czego pani przedtem nie próbowała?

– Tak.

Xander zerknął do notatek.

– To dziwne, bo mam tu oświadczenie Angeli Burrows, która twierdzi, że na pierwszym roku studiów przez trzy miesiące żyłyście w związku.

Spojrzałem na Xandera, a potem na V. Ramiona V uniosły się i opadły.

– Tak – odparła.

– Co tak?

– Tak, żyłam w związku z Angelą.

– Czy pan Hayes o tym wiedział?

– Nie.

Nie pamiętam Angeli Burrows, ale następnym razem, kiedy pozwolą mi skorzystać z komputera, to ją sobie sprawdzę.

– Więc kiedy go pani prosiła, żeby patrzył, jak pani kocha się z kobietą, kłamała pani?

– Niezupełnie. Byłam ciekawa. Byłam ciekawa tej konkretnej sytuacji.

– Ale żeby uzyskać to, na czym pani zależało, postanowiła pani skłamać.

– Trudno to nazwać kłamstwem.

Xander pochylił głowę.

– I tu nie będziemy mogli się zgodzić, proszę pani. Ale tak czy inaczej, twierdzenie, że pani i pan Hayes byliście zaangażowani w skomplikowaną zabawę o charakterze wysoce seksualnym, która trwała przez wiele lat i o której wiedziało niewiele osób, wydaje się chyba uzasadnione?

– To niesprawiedliwe. Przekręca pan fakty i przedstawia je inaczej, niż wyglądały naprawdę.

Chciałem jej powiedzieć, żeby przestała się tak strasznie złościć.

– A czy może nam pani opowiedzieć o Kitten Clubie? – poprosił Xander.

Na te słowa nagle się wyprostowałem i zobaczyłem, że tak samo zareagowała V. Uniosła rękę do ust i lekko się zachwiała.

– Dobrze się pani czuje? – spytał sędzia, wychylając się znad stołu.

– Trochę mi słabo – odparła V.

– Proszę podać pani Metcalf wody. I krzesło – polecił sędzia, a ja zarejestrowałem poruszenie na sali.

Wychyliłem się do przodu, krzycząc w duchu do V, a ona musiała mnie usłyszeć, bo w pewnym momencie rzuciła mi pełne żałości spojrzenie. Opracowaliśmy pewien sygnał po to, by dawać sobie nawzajem znać, że nikomu nic nie powiedzieliśmy. Bo skoro łączy nas tyle tajemnic, tyle paktów i różnych historii, to czasem wchodzenie w rozmowy z innymi staje się niebezpieczne. Kiedy więc zobaczyłem, że V na mnie patrzy,

otworzyłem szeroko oczy i odwróciłem głowę w prawo, by wiedziała, że nie rozmawiałem o tym z Xanderem i że może mówić prawdę.

– Może pani kontynuować? – spytał sędzia, kiedy V siedziała już na krześle, a obok niej stała woda.

– Tak – odparła V. – Przepraszam.

Xander znowu wysunął się naprzód.

– Miała nam pani opowiedzieć o Kitten Clubie.

– To klub prywatny, do którego wstęp mają tylko członkowie.

– Klub prywatny, który specjalizuje się w spełnianiu fantazji seksualnych

– uzupełnił Xander. – Czyli, mówiąc prościej, w organizowaniu orgii. Czy to się zgadza?

– Tak.

– Pani i pan Hayes byliście jego członkami?

– Poszliśmy tam tylko raz.

– Zapłacili państwo pięćset funtów, by pójść tylko raz?

– Kiedy tam poszliśmy, okazało się, że to nie dla nas. Nie wzięliśmy w tym udziału.

– To dlaczego sądziliście, że będzie wam się podobało?

– Nie wiem.

– Było to coś, co was pociągało?

– Okazało się, że jednak nie.

– Ale nie wykluczali, że mogliby państwo wziąć w czymś takim udział?

– Nie rozumiem, jakie to ma w ogóle znaczenie. – V odwróciła się do sędziego, ale on patrzył w leżące przed nim dokumenty.

Xander też ją zignorował.

– Jeszcze jedno pytanie odnośnie do tego klubu – rzekł, a zabrzmiało to tak, jak gdyby słowa, które wypowiedział, miały paskudny smak. – Słyszałem, że przy rejestracji trzeba podać nazwisko. Fikcyjne. Obsługa zaleca, by nie podawać prawdziwych nazwisk. Czy mogłaby pani powiedzieć, jakie nazwiska przyjęliście pani i pan Hayes?

V spojrzała prosto na Xandera.

– Prawda i Kłamstwa.

Xander przeniósł wzrok na przysięgłych.

– Prawda i Kłamstwa – powtórzył. Zdawało mi się, że słyszę głośny wdech.

– To miał być taki dowcip związany z moim imieniem, które oznacza prawdę. To nie miało żadnego znaczenia.

Ale Xander znowu udał, że jej nie słyszy.

– Okłamała pani pana Hayesa w sprawie waszego zerwania. Całą winę rzuciła pani na niego, sama uchylając się od odpowiedzialności. Obwiniła go pani o zdradę, choć w tym czasie miała już pani romans z Angusem Metcalfem.

– Mówiłam już, że tego żałuję.

Xander odwrócił się od V i podszedł bliżej przysięgłych.

– Czy powiedziała pani o sobie, że inne oblicze pokazuje pani światu, a inne osobom bliskim?

– Sprzeciw, wysoki sędzie – wtrąciła Petra.

– Podtrzymuję – odpowiedział sędzia, co mnie zdziwiło.

– Dobrze – odparł Xander. – Proszę nam zatem wyjaśnić, czemu nie powiedziała pani mężowi, że pan Hayes przyszedł po panią do pracy, skoro wcześniej, podczas podróży poślubnej otrzymała pani te mejle, które jak pani twierdzi, tak panią zmartwiły? Poszła z nim pani do baru i nie wspomniała o tym mężowi.

– Postąpiłam niemądrze. Próbowałam chronić i Mike’a, i Angusa.

– A może rozważała pani odnowienie waszego związku? Może pan Hayes wcale nie jest człowiekiem, który jak pani utrzymuje, żyje złudzeniami, lecz który trafnie ocenia charaktery i motywy działania? Może zauważył, że rozważa pani ponowne nawiązanie związku, który był przecież taki głęboki i w którym się oboje wyraźnie przyciągaliście?

Czułem, że twardnieję, i musiałem złożyć ręce na udach.

– To całkowita nieprawda – odparła V.

– Co konkretnie jest tu nieprawdą?

– Wszystko.

– Więc nigdy nie byli państwo w głębokim związku i nie istniało między wami przyciąganie?

Podbródek V opadł.

– Nie, nie o to mi chodziło. Chciałam powiedzieć, że nie myślałam o odnowieniu naszego związku i że nadal uważam, że Mike karmi się złudzeniami.

Teraz już nawet przestałem się martwić, że V tak mówi, bo wiedziałem, co robi, i uwielbiam ją za to. Uwielbiam, że próbuje chronić nasze życie. Że oboje zdążamy do tego samego celu, tylko różnymi drogami.

– Ale pan Hayes mógł to źle odczytać, znając waszą przeszłość i wiedząc, że znowu nawiązaliście potajemne kontakty.

– To nie były żadne potajemne kontakty.

– Były, skoro nikt poza państwem o nich nie wiedział. – Xander się odwrócił i znowu przemierzył salę. – Pana Hayesa bardzo zaskoczyło pani oświadczenie, że kiedy odwiedził panią w domu podczas nieobecności pana Metcalfa, rzekomo próbował panią zgwałcić. Mój klient twierdzi, że do pocałunku doszło z woli obu stron, a kiedy poprosiła pani, żeby przestał, on posłuchał. Czy to prawda?

V patrzyła błagalnie.

– To prawda, że przestał, kiedy poprosiłam, chociaż musiałam to zrobić kilka razy. Musiałam krzyczeć. A co do pocałunku, pomyślał, że go odwzajemniam, ponieważ chciałam, żeby w to uwierzył. Musiałam udawać, bo inaczej by nie przestał.

Xander zmarszczył czoło.

– Przepraszam, nie rozumiem. Odwzajemniła pani pocałunek, żeby on przestał.

– Nie chciałam doprowadzić go do złości. Bałam się. Zależało mi tylko na jednym, żeby sobie poszedł. Myślałam, że mnie zgwałci.

– A więc, żeby wszystko było jasne: bała się pani pana Hayesa do tego stopnia, że aby sobie poszedł, udawała pani, że przyjmuje jego czułości, choć przedtem łączyła was bardzo szczególna i głęboka relacja o charakterze intymnym. Potem wyprosiła go pani z domu i nie wezwała w tej samej chwili policji, rodziców ani w ogóle nikogo?

Z oczu V łzy lały się strumieniami.

– Wiem, że to dziwnie brzmi, ale nie wiedziałam, co robić. Nie wiedziałam nawet, czy policja mnie poważnie potraktuje, kiedy to zgłoszę.

Xander nadał policzki, jakby nie pojmował, co V w ogóle mówi.

– Pan Hayes twierdzi, że kiedy poszliście po pracy na drinka, powiedziała mu pani, że Angus wyjeżdża, więc przyjął to jako zaproszenie, żeby panią odwiedzić.

V wyciągnęła rękę i złapała się za barierkę. Kostki dłoni jej zbieleły.

– Boże, niech pan się opamięta. Powiedziałam Mike'owi, że Angus wyjeżdża, bo nie chciałam, żeby się ze mną kontaktował przed jego powrotem.

Xander uniósł brew.

– Ale mimo to wpuściła go pani, kiedy się zjawiał?

– Mówiłam mu, że to zły pomysł, ale ma nade mną przewagę fizyczną.

– Ale nie musiał wyłamywać drzwi, żeby się dostać do środka, prawda?

– Nie. Ale mówiłam mu, że nie chcę, aby wchodził. Próbowałam zamknąć drzwi, ale popchnął je i siłą wcisnął się do środka.

– Ale gdyby miała pani coś przeciwko temu, już wtedy mogła pani krzyczeć albo go odpychać. O ile mi wiadomo, nie doszło między wami do bójki.

– Nie, oczywiście, że nie. Myślałam, że przemówię mu do rozsądku.

– Pan Hayes twierdzi, że po pocałunku, do którego między wami doszło, przez chwilę rozmawialiście o tym, że zostawi pani Angusa i zamieszka z nim. – Xander zawiesił głos. – Według pana Hayesa powiedziała pani, że chciałyby, aby wszystko się między wami ułożyło.

Oczy V były tak wypełnione łzami, że wyglądały, jakby drżały.

– Tak. I przez cały czas miałam ciarki na plecach. Już tłumaczyłam, dlaczego tak postąpiłam. Żeby wyszedł.

– Musi pani przyznać, że to jednak dziwne, powiedzieć mężczyźnie coś takiego. Że chciałyby pani, aby wszystko się między wami ułożyło, choć w rzeczywistości wyszła pani za innego, a jego chciała się pani pozbyć.

– Nie wydawałoby się to panu dziwne, gdyby znał pan Mike’a równie dobrze jak ja – odparła V, a moje ciało się rozluźniło, jakby do tej pory wisiało pionowo zaczepione na sznurku, który ktoś by nagle przeciął. Nie ma ludzi, którzy znają się tak dobrze jak ja i V, a teraz V przyznała to w sądzie przed wszystkimi.

– Czy prosiła pani pana Hayesa, żeby pomógł pani zakończyć to małżeństwo? Pozbyć się męża? – spytał Xander.

– Nie, absolutnie. Nie chciałam, żeby moje małżeństwo się skończyło.

Xander westchnął.

– Może w takim razie proszę nam powiedzieć, co pani zrobiła, gdy pan Hayes wyszedł z pani domu po rzekomej próbie gwałtu?

– Nie była rzekoma, przymusił mnie. – Pokręciła głową, roniąc kolejną łzę. – Kiedy sobie poszedł, nie byłam w stanie zrobić nic poza tym, że wzięłam prysznic i poszłam do łóżka. W nocy bardzo źle się poczułam, miałam torsje, które nie mijały. Nie wiem, co się ze mną działo. To było okropne.

– Może czuła pani, że zbliża się kolejne załamanie?

V podniosła wzrok. Łzy natychmiast jej obeschły.

– Słucham?

– Załamanie nerwowe?

– Co pan ma na myśli?

– Czy rok po skończeniu studiów przyjmowała pani antydepresanty?

V rozejrzała się po sali i krótko się zaśmiała.

– Pan żartuje? Połowa tego kraju przyjmuje antydepresanty. To o niczym nie świadczy.

Xander zrobił jak największe oczy i spojrział na przysięgłych.

– Więc w pani ocenie sześcioro wśród tych oto szacownych osób przyjmuje obecnie leki antydepresyjne. Jeżeli to prawda, proponuję, aby państwo podnieśli ręce.

Przysięgli siedzieli bez ruchu, dwoje chyba trochę się zdenerwowało.

Patrząc na V, Xander pokręcił głową.

– Muszę powiedzieć, że w pani opowieści jest coś, czego nie mogę pojąć – mianowicie, jak to się stało, że policja znalazła panią w ramionach pana Hayesa, gdy tymczasem pani mąż konał na podłodze.

V zaczerpnęła powietrza.

– O Boże. Już to wyjaśniłam.

– Powiedziała pani, że nie wie, jak to się stało – rzekł Xander. – Lecz wydaje mi się to nieprawdopodobne, skoro wszystkie pozostałe rzeczy tak dobrze pani pamięta.

– Kiedy dokładnie nie pamiętam – powiedziała błagalnie V.

– Może tak się stało, bo pani i pan Hayes nadal się kochacie, jak twierdzi mój klient? Może szukaliście pocieszenia w swoich ramionach, bo oboje byliście wstrząśnięci i załamani, że wasza zabawa tak tragicznie się zakończyła?

– Nie. – Jej głos przypominał najcichszy szmer.

I to była jedna z głównych wad planu przyjętego przez V: zeznania, które dziś złożyła, nie trzymały się kupy. Zaczyna do mnie docierać, że prócz tego, że nie możemy żyć w rozłące, musimy pozostać wobec siebie w prawdzie. Musimy zachować sens, a nic nie ma sensu, kiedy jedno z nas odżegnuje się od naszej miłości.

– Dlaczego w noc morderstwa zadzwoniła pani do pana Hayesa, by ostrzec, że pani mąż jest w drodze do jego domu? – spytał Xander, a mnie to wszystko wydało się bezlitosne.

– Nie chodziło mi o to, żeby ostrzec Mike’a. Próbowałam chronić Angusa.

– Skoro tak, to dlaczego na miłość boską nie wezwała pani policji?

– Nie wiem. Nie pomyślałam o tym.

– Nie pomyślała pani o tym – powtórzył Xander tonem pełnym rozpacz.  
– Pani Metcalf, wszyscy tu zebrani słyszymy pani przekaz. Jest pani do głębi wstrząśnięta. Czy naprawdę sądzi pani, że uwierzemy, że nie wzięła pani pod uwagę możliwości wezwania policji?

– Tak, ponieważ taka jest prawda.

– A może pani się bała, bo wiedziała pani, że pani zabawa posunęła się trochę za daleko? Może martwiła się pani, że komuś stanie się krzywda, a pani będzie miała w tym swój udział?

V stłumiła okrzyk.

– Nie, skąd. W tamtej chwili martwiłam się tylko o Angusa.

– Sądzi pani, że potrafi pani zrywać znajomości? – spytał Xander, odwracając się do V.

Takiego pytania V się oczywiście nie spodziewała.

– Nie wiem. Czy to w ogóle można potrafić?

– Lubi pani wykorzystywać innych, prawda? Na przykład pana Sage’a i pana Hayesa.

– Boże, jeśli chodzi o Gordona, to byłam wtedy nastolatką. A jeśli chodzi o Mike’a, to wszystko wyjaśniłam.

– Jak by pani siebie oceniła jako pracownika? Jest pani dobra w tym, czym się pani zajmuje?

V znowu sprawiała wrażenie zaskoczonej.

– Tak.

– Z tego, co mi wiadomo, jest pani jedną z najmłodszych osób zatrudnionych w Calthorpe Centre na stanowisku naukowym. Proszę nam przypomnieć, na czym polega pani praca.

– Należę do zespołu, który pracuje nad rozwojem sztucznej inteligencji.

– Aaa, roboty zamiast ludzi?

– To wielkie uproszczenie. Nie, oczywiście, że nie. Nie dążymy do tego, by zastąpić ludzi robotami. Jeżeli już, to próbujemy pomóc ludziom przez programy, które, mam nadzieję, stworzymy.

Xander uniósł brew i odwrócił się do przysięgłych.

– Aby zejść tak wysoko na ścieżce kariery, musiała sobie pani wytyczyć ścisły cel. Być na nim bardzo skupioną, ciężko pracować.

– Owszem.

Petra znowu wstała.

– Wysoki sędzie, czy teraz sądzimy panią Metcalf za to, że jest kobietą, która ma dobrą pracę?



Sędzia wydał wargi i przeniósł na nią wzrok.

– Z pewnością pan mecenas nie ma tego na myśli, prawda?

Xander lekko się zaśmiał.

– Skądże, wysoki sędzie. Próbuję po prostu ustalić, czy pani Metcalf jest osobą, którą można łatwo wprowadzić w błąd, rozproszyć, czy która ma trudności w dostrzeganiu logicznych rozwiązań.

– Tak, jestem dobra w pracy – odpowiedziała słabo V.

Xander stuknął o udo zwiniętą kartką, którą trzymał w ręku.

– Nie sądzę, aby pani i pan Hayes zamierzali doprowadzić do śmierci pana Metcalfa. – Spojrzał na przysięgłych. – Myślę, że wszyscy widzimy, że żadne z was nie jest zimnokrwistym przestępcą. Według mnie można jednak stwierdzić, że jest pani kobietą, która lubi gry i seks. – Odczekał chwilę, by ostatnie słowo wybrzmiało. – Z całą pewnością jest pani inteligentna, zdolna i biegła w rozwiązywaniu problemów. Myślę też, że potrafi pani wykorzystywać innych, by wykonali za panią czarną robotę. Dlatego, kiedy się okazało, że uczucia do pana Hayesa znów się w pani obudziły, zaczęła się pani zastanawiać, czy mógłby pani pomóc zakończyć związek małżeński.

– Nie. To nieprawda. – Widziałem, że V zaraz znowu się rozpłacze.

– To zrozumiałe – ciągnął Xander – bo przecież zakończenie małżeństwa parę miesięcy po tak wystawnym ślubie byłoby bardzo krępujące.

– Ale ja nie chciałam kończyć małżeństwa.

– A między panią a panem Hayesem istnieje oczywista więź. Boże, przecież wszyscy ją czujemy, nawet tu, w tej sali. Jakby przepływał między państwem prąd pod wysokim napięciem. – Mówiąc to, Xander wykonał gest ręką, a ja poczułem, że przysięgli spoglądają to na mnie, to na V, więc muszą widzieć lekko drżący, neonowy drut łączący nasze serca. – I nic w tym dziwnego. Oboje jesteście bardzo atrakcyjni i inteligentni, łączy was tajemnicza zabawa seksualna, w którą graliście razem przez lata, pociągała was wizja orgii i homoseksualności. Wystarczy mieć odrobinę wyobraźni, żeby zobaczyć, co tu się stało.

– Sprzeciw! – krzyknęła Petra i zerwała się z miejsca.

Sędzia walnął dłonią w stół.

– Podtrzymuję! Panie mecenasie, pański sposób przesłuchiwania przekracza wszelkie granice!

Xander lekko skłonił głowę w jego stronę, a potem w stronę Petry.

– Przepraszam – rzekł – dałem się ponieść atmosferze. Nie mam więcej pytań, wysoki sędzie.

Spokojnie wrócił na miejsce, ale tego, co po sobie zostawił w sali rozpraw, nie można było określić tym samym słowem. Powietrze wokół nas buzowało i syczało, napierało na nas pod ciśnieniem i próbowało nas wypchnąć. V i ja nim oddychaliśmy, nasze ciała odzyskiwały je, by to drugie mogło żyć, a kolejne chwile mijały wśród łomotu naszych serc.

V chwiejnie wstała, by opuścić miejsce dla świadka. Myślałem, że się przewróci, ale jakoś dotarła do naszego boksu, a tam usiadła ze zwieszoną głową, odwrócona do mnie plecami wygiętymi w kabłąk.

Kiedy już po wszystkim spotkałem się z Xanderem w dusznej salce konferencyjnej, mój adwokat wyglądał na zmęczonego. Byłem wściekły, że bez mojej wiedzy wyciągnął temat Kitten Clubu, ale w odpowiedzi spotkałem się z jego wściekłością, jak odkryłem – równie zajadłą jak moja własna.

– Kłamała? – spytał takim tonem, jakby mi groził. – Poszłście więcej niż raz?

– Nie – odparłem. – Było tak, jak mówiła.

– Szkoda – odparł Xander i zaczął sobie masować skronie, jakby miał migrenę.

– Nie rozumiem, co by to zmieniło. Robiłem wszystko to samo co ona. Petra mnie jutro przeważkuje.

Xander spojrział na mnie z pogardą.

– Dorośnij wreszcie, Mike. Ty to zupełnie co innego.

\*

Teraz jest rano, w nocy w ogóle nie spałem, cały czas przemyślałem to, co wczoraj padło w sali rozpraw. Spisałem to i pomogło. Siedzę teraz na pryczy, patrzę, jak słońce przebija się przez mleczone, zamglone niebo, i wiem jedno: imię Verity nie kłamie. Ona jest prawdą. Moją prawdą. Jedyłą prawdą. Najważniejsze jest to, co oboje rozumiemy i robimy. Nic innego się nie liczy. To wykracza ponad wszystkie kłamstewka, fałszywe obrazy i przeinaczenia, plotki i insynuacje. My dwoje wznosimy się ponad nimi niczym orzeł nad górami. Spoglądamy w dół i widzimy nieład, ale on nas nie dotyczy. Dziś muszę wykorzystać prawdę, by osiągnąć jej wyższy wymiar, bezpieczne rozległe terytorium, w którym ja i V będziemy mogli

żyć wiecznie, ponad wszelkimi banałami składającymi się na ten żalony świat.

Kiedy wczoraj patrzyłem, jak stoisz na miejscu dla świadka, V, poczułem, że dajesz mi przyzwolenie na kłamstwo. Ty skłamałaś dla naszego – jak sądziłaś – dobra, ale byłaś zdezorientowana i poszłaś złym tropem, więc teraz moja kolej – muszę spaść z góry jak orzeł i wziąć cię za rękę. Wiem, co zrobić, V. Wiem, jak cię ocalić, kochana, najdroższa, i nigdy nie zaznałem cudowniejszego uczucia.

\*

Właśnie wróciłem z sądu, ale muszę pisać, bo adrenalina nadal krąży mi w żyłach. V, to wszystko jest i zawsze było dla ciebie. Wiem, dlaczego w ogóle piszę: bo to utrwali naszą czystą, nieskończoną miłość, którą jesteśmy na wieki złączeni. Będziemy wspólnie radować się z tych słów i błogosławić je po wsze czasy, podobnie jak to, że spiskowaliśmy z wrogami, by osiągnąć ostateczną, przepełnioną pragnieniem prawdę, jaką stanowi nasza miłość. Kiedy to przeczytasz, bo na pewno to zrobisz, pamiętaj, że każde wypowiedziane dziś słowo zawdzięczam tobie. Każdy ruch, który tam wykonałem, wykonałem, kochanie, dla ciebie.

Kiedy Petra wstała, by zacząć mnie przesłuchiwać, w jej oczach malowała się czysta nienawiść. Jej długie, chude ciało drżało z obrzydzenia. Mówiła ostrym tonem.

– Panie Hayes, w moim przekonaniu jest pan fantastą. W dodatku niebezpiecznym.

– Nie – odparłem. – Nie jestem.

– Trudno oczekiwać, że pan się ze mną zgodzi, prawda? – Włożyła okulary i przejrzała notatki. – Słyszeliśmy zeznania pani Lascelles, pańskiej wychowawczynie, mam też w dokumentacji opinie ze szkoły i pomocy społecznej. We wszystkich jest mowa o braku empatii, problemach z nawiązywaniem znajomości, skłonnościach do przemocy i języku pełnym seksualizmów.

Nadal nie wiem, do kogo mogą się odnosić te określenia, chociaż jak przez mgłę zaczynam widzieć niejasne, zamazane obrazy. Krzesła latające po salach lekcyjnych, krzyczące dziewczynki, dorosłych przyszpilających mnie do podłogi.

– Szkołę skończyłem dość dawno.

– Nie aż tak dawno – odparła Petra. – Więc nie zaprzecza pan, że to prawda?

– Niezbyt dokładnie pamiętam. Ale chyba już ustaliliśmy, że przeżyłem trudne dzieciństwo. Jako dziecko miałem w sobie dużo złości.

– Zgodzi się pan z twierdzeniem, że nigdy się pan z tą złością nie skonfrontował? – Petra zdjęła okulary i zaczęła spacerować.

– Nie. Sądzę, że sobie z nią poradziłem.

– Mam na myśli – profesjonalnie. Nigdy nie korzystał pan z pomocy psychologa, prawda, mimo że sugerowali to panu przybrana matka i pani Metcalf, a nawet lekarze?

– Nie. Nigdy nie czułem takiej potrzeby.

– Chyba jednak wszyscy jesteśmy zgodni co do tego, że to, co pan wycierpiał, głęboko pana zraniło, a blizny po takich ranach niełatwo zaleczyć bez profesjonalnej pomocy.

Przyglądałem się, jak poruszają się jej nogi, i życzyłem jej, żeby się potknęła i skręciła kark.

– Nie wiem. Czuję się dobrze.

– Czy według pana, wysyłając do pani Metcalf mejle, najpierw po waszym rozstaniu, a potem podczas jej podróży poślubnej, zachowywał się pan jak rozsądny, trzeźwo myślący człowiek?

– Byłem wtedy zdenerwowany i przygnębiony.

– Rozumiem, ale czy nie uważa pan, że były to ekstremalne wiadomości?

– Już mówiłem, byłem wtedy zdenerwowany. Wcale nie jestem dumny z tego, co napisałem.

Petra przeniosła wzrok na przysięgłych.

– Wiem, że widzieli państwo te wiadomości, mają je w dokumentacji, ale chciałabym jedną odczytać. Jest datowana czternastego grudnia ubiegłego roku. – Petra włożyła okulary i otworzyła leżącą przed sobą teczkę.

V, kochanie, moja miłości, moje wszystko, błagam Cię, błagam, odezwij się do mnie. Nie możesz mnie tak po prostu wyciąć ze swojego życia. Ile razy mam Cię przeproszać? Co chcesz, żebym zrobił? Zrobię wszystko, wyznacz mi cenę, jaką mam zapłacić. Kocham Cię, bardzo. Pragnę Cię, pragnę. Przestań już. Przestań, Ty suko. Przestań, do kurwy nędzy, Ty wredna babo bez serca. Nie bądź taka. Pamiętaj, kim jesteśmy. Kocham Cię, V, i zawsze będę Cię kochał.

Petra zamilkła i podniosła wzrok. W sali zaległa pełna zdumienia cisza. Wyczuwałem ją jak czyjąś obecność.

– Takich mejli jest więcej – dodała.

Skinąłem głową. Miałem wrażenie, że coś napiera mi od środka na gałki oczne.

– Bardzo się wstydzę tego, co napisałem. Nie miałem tego na myśli. Byłem zrozpaczony.

– Dla mnie to nie brzmi jak rozpacz – stwierdziła Petra – tylko jak coś więcej. Coś niebezpiecznego.

– Sprzeciw – wtrącił Xander.

– Podtrzymuję.

Petra pokręciła głową.

– Czemu po tej wiadomości przestał pan pisać do pani Metcalf?

– Bo zdałem sobie sprawę, że już nie ma sensu. Wiedziałem, że aby ją odzyskać, muszę dokonać jakiegoś wielkiego czynu.

– I wtedy postanowił pan wrócić do kraju?

– Tak.

– Co pan poczuł, kiedy się pan dowiedział, że pani Metcalf zamierza wziąć ślub?

Zacisnąłem ręce na podołku.

– Byłem wstrząśnięty.

Xander zakazał mi wspominać, że ślub był elementem gry.

– Nie był pan zdenerwowany?

– Byłem.

– Ale z nikim się pan tym nie podzielił? A co więcej – prowadził pan wyrafinowaną grę, która polegała na tym, że przed kolegami z pracy udawał pan, że nadal jesteście z Verity parą.

Zaczęła mnie swędzieć skóra.

– Było mi łatwiej niż rozmawiać o tym, co się stało.

– Może łatwiej było też panu udawać przed samym sobą?

– Nie. Znałem sytuację.

– Po prostu był pan zdeterminowany ją zmienić?

– Wiedziałem, że Verity też tego pragnie.

Petra na chwilę zamilkła, po czym znów zabrała głos.

– Z tego, co widzę, na podstawie kilku bardzo oszczędnych wiadomości i krótkich spotkań, które miały miejsce już po pana powrocie do Londynu, poczynił pan wiele założeń co do uczuć pani Metcalf. Nie ma informacji na

temat żadnych rozmów telefonicznych, które miałyby między wami miejsce, nie ma korespondencji elektronicznej poza kilkoma wiadomościami załączonymi do dokumentacji ani informacji na temat spotkań.

– Znam Verity bardzo dobrze – odparłem, nie spuszczać z Petry wzroku. – Nie muszę z nią cały czas przebywać, by wiedzieć, co myśli.

– Najwyraźniej nie musi pan też jej słuchać – dodała Petra, rzucając spojrzenie na przysięgłych. – Bo właściwie za każdym razem, kiedy się komunikowaliście, wyraźnie panu mówiła, że kocha Angusa i nie jest zainteresowana ponownym nawiązywaniem z panem czegokolwiek.

– Nie rozumie pani – powiedziałem. Miałem świadomość, że podniosłem głos, więc uszczypnąłem się w rękę, jak mnie nauczył Xander.

– Proszę, niech pan mnie oświeci.

– Mamy sekretny sposób komunikacji, którego nikt prócz nas nie rozumie.

– Ach, tak. – Głos Petry ociekał sarkazmem. – Myśli pan, że pani Metcalf ma na myśli co innego, niż mówi. Więc kiedy mówi „Nie”, tak naprawdę myśli „Tak”, zgadza się?

– Nie. Chodziło mi o co innego...

– Na przykład kiedy napastuje pan seksualnie kobietę, a ona mówi „Nie”, pan kontynuuje, bo tak naprawdę „Nie” znaczy „Tak”. To pan miał na myśli?

– Sprzeciw, wysoki sędzie – powiedział Xander, wstając. – Jakie to ma znaczenie?

– Tak, pani mecenas – rzekł sędzia. – Odnoszę wrażenie, że w tym procesie zajmuje się pani walką o poprawność polityczną.

Petra, purpurowa na twarzy, spuściła głowę.

– Przepraszam, wysoki sędzie, jeżeli tak to zostało odebrane. Myślę jednak, że jesteśmy zgodni co do istoty tej sprawy, wzięwszy pod uwagę, że pan Hayes nie przestał całować pani Metcalf, kiedy w noc rzekomej próby gwałtu poprosiła go o to pierwszy raz.

Sędzia machnął ręką na zgodę, ale widać było, że jest zirytowany.

Xander wychwycił moje spojrzenie i skulił ramiona, więc zrobiłem to samo i poczułem się trochę lepiej.

– Oczywiście, że nie uważam, aby „Nie” znaczyło „Tak” – powiedziałem.

– Kiedy Verity mnie poprosiła, przestałem.

– Musiała pana prosić więcej niż raz, o ile mi wiadomo. Musiała krzyknąć. Mówiła, że przygniół ją pan do podłogi.

– Chciała mnie pocałować.

– Po czym, na miłość boską, pan to poznał?

– Po jej reakcji.

– Zakładam, że chciał pan zabić pana Metcalfa – powiedziała Petra, patrząc prosto na mnie. – Z medycznych kart informacyjnych wynika, że pańskie obrażenia były w większości powierzchowne. Za to pan Metcalf doznał przemieszczenia szczęki, złamania nosa, kości policzkowej i kości zuchwy, pęknięcia kości czaszki i rozległego krwotoku do mózgu. Zadał mu pan wiele silnych ciosów. Znacznie silniejszych niż jego uderzenia, znacznie silniejszych, niżby wystarczyły do powstrzymania go od dalszej bójki.

– Nie miałem zamiaru go zabić.

– Musiał pan go nienawidzić po prostu dlatego, że Verity go kochała.

– Nie – pokręciłem głową. – Nie nienawidziłem go. Było mi go żal.

– Ale on miał wszystko, czego pan pragnął.

– Nie, nie miał. Tylko myślał, że ma. Ale Verity go nie kochała.

– Jednak Verity, z tego samego miejsca, w którym pan w tej chwili stoi, zeznała przed sądem, że go kochała.

– Nie miała tego na myśli.

– Ach, więc wracamy do punktu wyjścia. Czyli do braku wiary w prawdę słów pochodzących z ust kobiety, ponieważ one zawsze niosą przeciwne znaczenie.

– Sprzeciw – rzucił Xander. – Pan Hayes nigdy nie sugerował, że ma na myśli kobiety w ogóle.

– Podtrzymuję sprzeciw – powiedział sędzia. – Pani mecenas, do czego pani zmierza?

– Zmierzam do tego, wysoki sędzie – odpowiedziała Petra, zbliżając się do mnie – że pan Hayes cały czas utrzymuje, że zna Verity lepiej, niż ona sama zna siebie. On i tylko on wie, co jest dla niej najlepsze i jak powinna żyć. Panie Hayes, tylko pan rozumie, co ona ma na myśli. Tylko pan słyszy to, czego nie powiedziała, i przekonuje siebie samego, że właśnie to usłyszał z jej ust.

– Nie, nie rozumie pani. – Nabrzmiała we mnie potrzeba, by wyrządzić Petrze fizyczną krzywdę.

– A kiedy ona się z tego wyłamała i zaczęła szczęśliwe życie, które nie miało z panem nic wspólnego, nie mógł pan tego znieść i zabił pana Metcalfa w porywie gniewu i zazdrości, bo tak został pan uwarunkowany w dzieciństwie...

– To nieprawda. – Czułem pot ściekający z czoła i napięcie w barkach, które – wiedziałem – przerodzi się w migrenę.

– Ale również nieprawdą jest, że pani Metcalf chciała do pana wrócić i zakończyć własne małżeństwo, tak? I z całą pewnością to, że prosiła pana o pomoc w pozbyciu się pana Metcalfa.

– Nie rozumie pani – powtórzyłem. Miałem wrażenie, że nasza prawda gdzieś mi się wymyka.

– Wydaje się, że pańskie dzieciństwo było koszmarem – powiedziała Petra. – Czy nienawidzi pan matki?

Pomyślałem o kobiecie w koszu na śmieci.

– Nie.

– Ale nie chce się pan z nią widywać?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo to nie ma sensu.

– Czytał pan ten artykuł w „Mirror”, w którym pańska matka okazuje skruchę i błaga o spotkanie?

Miałem wrażenie, że ściany zsuwają się do siebie, coraz bliżej. Nie wiedziałem, dokąd to zmierza.

– Tak.

– Więc dlaczego nie chce się pan z nią zobaczyć?

– Bo ona naprawdę nie ma tego na myśli.

Petra gwałtownie odwróciła się do przysięgłych.

– Proszę. Kolejna kobieta, która mówi jedno, a ma na myśli drugie.

– Nie to miałem... – zacząłem, ale Xander uciszył mnie ruchem ręki.

– Wydaje mi się, że nie ufa pan kobietom – powiedziała Petra, znowu się do mnie odwracając. – Ani mężczyznom, nawiasem mówiąc. Myślę, że zbudował pan sobie swój wewnętrzny świat jako jedyne miejsce, w którym czuje się pan bezpieczny.

– Sprzeciw – zaprotestował Xander. – Nie sądziłem, że pani mecenas jest psychologiem.

– Tego typu uwagi proszę zachować na mowę końcową, pani mecenas – rzekł sędzia.



– Przepraszam, wysoki sędzie – odparła Petra. – Oczywiście. Ponieważ, rzecz jasna, pan Hayes jest tak głęboko zanurzony w swojej fantazji, że kwestionuje jej istnienie. – Podeszła do mnie tak blisko, że widziałem ubytki w makijażu na zmarszczkach wokół oczu i czułem sztuczny kwiatowy zapach. – Nie wierzę nawet, że pan kocha panią Metcalf – dodała, wbijając we mnie spojrzenie.

– Oczywiście, że ją kocham! – wrzasnąłem. Mój głos w cichej sali zabrzmiał ogłuszająco.

Petra odwróciła się do mnie plecami, a ja miałem ochotę wskoczyć za barierkę i pchnąć ją na ziemię.

– Nie – odezwała się po chwili. – Kocha pan wizję tego, że pan ją kocha. Nie można kogoś kochać i jednocześnie narażać go na taką udrękę, na jaką pan naraził panią Metcalf.

– Pani tego nie rozumie – zacząłem. Chociaż powstrzymałem się przed krzykiem, to i tak głos drżał mi z napięcia. – Nie ma pani o tym pojęcia.

– Dlaczego, bo jestem kobietą? – odparła Petra, odwracając się z powrotem w moją stronę.

– Nie, bo nie jest pani ani mną, ani Verity.

– Proszę pana o jedno. Niech pan ma dość przyzwoitości, by powiedzieć prawdę o pani Metcalf. – Świdrowała mnie spojrzeniem. – Jeżeli pan ją kocha, tak jak pan twierdzi, to na miłość boską, niech pan da jej spokój i przyzna się do kłamstwa w sprawie jej udziału w zabójstwie męża. Do kłamstwa w sprawie tego, co ona do pana czuje. I w ogóle do kłamstwa w sprawie całego waszego związku, który istnieje tylko i wyłącznie w pana głowie.

Wytrzymałem jej wzrok, spojrzenie jej głupich, krowich brązowych oczu. Pokręciłem głową.

– Nie – odparłem. – Podtrzymuję wszystko, co powiedziałem. Ja i Verity bardzo się kochamy. Nie chcieliśmy zabić Angusa, ale to, żebyśmy nie byli razem, w ogóle nie wchodziło w grę.

Petra pokręciła głową i odwróciła się.

– Nie mam więcej pytań, wysoki sędzie.

Xander wychylił się nad stołem i zadał mi pierwsze pytanie.

– Jak pan się czuł, kiedy rok temu w święta pani Metcalf zakończyła wasz związek?

– Byłem wstrząśnięty i smutny. Ale też ją rozumiałem. Potwornie ją zraniłem i wiedziałem, że będę musiał za to zapłacić.

– To ciekawa fraza: „Będę musiał za to zapłacić”. To Verity tak do pana powiedziała?

– Nie, ale znam zasady.

Xander uniósł brew.

– Jakie zasady?

Miałem poczucie, że jest za dużo do powiedzenia, a za mało czasu. Widzisz, V, wiedziałem, że byłaś jedyną osobą w sali, która zrozumie, o czym mówię, a wobec wszystkich pozostałych nie czułem nic poza pogardą. „Jakie to nudne – pomyślałem – nie być nami”.

– Nasze. Zasady, według których żyjemy.

– Czy właśnie ze względu na nie przestał się pan kontaktować z panią Metcalf w lutym, po powrocie do Nowego Jorku?

Czułem, jak serce wali mi w piersi, szybko i mocno.

– Tak, bo wiedziałem, że konieczne jest zadośćuczynienie. Że nie wystarczy powiedzieć „przepraszam”, tylko że muszę jej pokazać, jak bardzo żałuję. Zacząłem więc planować – że wrócę do kraju, kupię dom i będę żył tak, jak razem chcieliśmy żyć.

– W takim razie wiadomość, że ona się zaręczyła, musiała być dla pana szokiem – powiedział Xander. Mówiąc to, nie spuszczał ze mnie wzroku. Wiedziałem, o co mu chodzi – żebym nie powiedział tego, co myślę.

– Owszem – odparłem pewnie. – Jednocześnie zdałem sobie sprawę, jak mocno ją zraniłem. Uznałem, że to naturalna reakcja.

Xander się uśmiechnął, bo pamiętałem.

– Ma pan na myśli to, że związek z Angusem był lekarstwem na rozstanie?

Wzruszyłem ramionami, najnaturalniej jak potrafiłem, i skupiłem się na próbach tego przesłuchania, które ty, V, też pewnie przeprowadzałaś z Petrą.

– Pewności nie miałem, ale wydaje mi się, że od zakończenia długotrwałego związku do zaręczyn minęło bardzo niewiele czasu.

Xander skinął głową.

– A po powrocie nie próbował się pan kontaktować z panią Metcalf?

– Napisałem do niej, że wróciłem, i że z niecierpliwością czekam na ślub, że chciałbym poznać Angusa i żeby któregoś dnia do mnie wpadli.

– Więc w przyjaznym tonie? – spytał Xander i spojrzał na przysięgłych. – Te mejle mają państwo w dokumentacji pod numerem dwanaście.

– Tak, a ona odpisała, że umówimy się po ślubie. Ale potem nagle spotkałem ją na ulicy, tak jak mówiła, jakieś dwa tygodnie przed ślubem.

– I jak przebiegło to spotkanie?

Przełknąłem ślinę, bo miałem wrażenie, że zatkało mi się gardło. Napiłem się wody.

– Dziwnie – odparłem i zawiesiłem głos. – I to chyba dla nas obojga. Nadal czułem między nami silną więź i szczerze mówiąc, to mnie martwiło.

„Trzymaj się kolejności zdarzeń – poinstruował mnie Xander – jakby od tego zależało twoje życie” – no bo oczywiście zależało.

– Ale mimo to poszedł pan na ślub?

– Tak, chociaż teraz żałuję, bo patrzenie, jak Verity wychodzi za Angusa, było dla mnie koszmarem. Wtedy zdałem sobie sprawę, że nie pogodziłem się z rozstaniem. Że nadal ją Kocham.

– A po ślubie, kiedy pan się następnym razem widział z panią Metcalf? – spytał Xander.

– Poszedłem po nią do pracy. Czułem, że muszę jej coś powiedzieć, a ona zgodziła się pójść do baru. Powiedziałem, że nadal ją Kocham i że według mnie popełniła błąd, wychodząc za Angusa.

– A ona co na to?

Podniosłem wzrok, V, i wtedy na Ciebie spojrzałem. Xander zakazał mi to robić, ale jednak nie dałem rady się powstrzymać. Patrzyłaś na mnie, byłaś blada jak ściana, wbijałaś we mnie czarne oczy i wiedziałem, że na razie nie rozumiesz, co robię. Otworzyłem usta, ale nie wydobyłem z nich ani słowa.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie – odezwał się sędzia.

– Wydawała się zdezorientowana – odparłem. – Powiedziała, że Kocha Angusa, ale była niespokojna i ciągle dawała mi nasz sekretny znak.

– Wasz sekretny znak? – spytał Xander. – Czyli?

– Kiedy graliśmy w Pragę i chciała, żebyśmy podszedł i ją uratował, miała pociągnąć za srebrnego orła, zawieszkę, którą nosiła na szyi. – Wszyscy na Ciebie spojrzeliśmy, kiedy to powiedziałem, i orzeł tam był, spokojnie spoczywał na twojej skórze. Ty słodko podniosłaś do niego rękę, ale potem odłożyłaś ją na kolana.

Xander znowu się do mnie odwrócił.

– I właśnie wtedy pani Metcalf wspomniała, że Angus na parę dni wyjeżdża?

– Tak. Zrozumiałem, że chce, abym ją w tym czasie odwiedził, i żebyśmy zaczęli to wszystko odkręcać. Ale w weekend jej nie było, więc zjawiłem się w poniedziałek wieczorem, a ona mnie wpuściła.

– Pani Metcalf twierdzi, że pan próbował ją zgwałcić.

Oczy piekły mnie z wysiłku, żeby nie płakać.

– Myślę, że Verity jest bardzo skołowana. To zrozumiałe. Nie powinniśmy byli się całować, ale nie mogliśmy się powstrzymać. I tak jak Verity mówiła, kiedy mnie poprosiła, żebym przestał, przestałem. Potem bardzo długo rozmawialiśmy o tym, co zrobimy, jak to przekazemy Angusowi.

– Potem pan wyszedł. Nie musiała krzyczeć albo o to prosić? Nie wezwała policji?

Pokręciłem głową.

– Nie. Ustaliliśmy, że następnego dnia ona powie Angusowi i się do mnie przeprowadzi.

– Ale następnego dnia się nie odezwała?

– Nie. Już zacząłem się martwić, że Angus ją jakoś skrzywdził albo coś się stało, więc znowu do niej poszedłem. Kiedy Angus powiedział, że jest chora, powinienem był od razu wyjść, bo Verity jasno postawiła sprawę, że to ona chce mu powiedzieć, i słusznie. Ale dałem się ponieść niecierpliwości i wyłożyłem kawę na ławę. Angus był w szoku, wściekł się, a ja wyszedłem, żeby mogli sobie we dwoje wszystko wyjaśnić. Wróciłem do domu i zasnąłem. Obudził mnie telefon od Verity, że Angus do mnie jedzie. – Zdałem sobie sprawę, że mówię szybko. Oddychałem nierówno, łapczywie.

Xander otworzył plik dokumentów.

– Mam przy sobie dokumentację medyczną, według której zarówno pan, jak i pan Metcalf odnieśliście obrażenia typowe dla walki na pięści. Czy właśnie do takiej bójki między wami doszło?

– Tak.

– Kto pana zdaniem zaczął bójkę?

– Pan Metcalf. Rzucił się na mnie, kiedy tylko otworzyłem mu drzwi.

– Więc nie próbował najpierw z panem rozmawiać?

– Nie, wcale.

– Świadkowie potwierdzają, że przez dobrych dziesięć minut stał przed pańskim domem i krzyczał, i dopiero wtedy mu pan otworzył. Dlaczego tak się stało?

- Bo Verity zabroniła mi go wpuszczać.
- Jak pan sądzi, dlaczego?
- Powiedziała, że nie chce, aby któremuś z nas coś się stało.
- Któremuś z was?
- Tak.
- W takim razie dlaczego pan otworzył?

Wróciłem myślami do tamtych minut spędzonych w kuchni.

– Trudno to wyjaśnić. W życiu wielokrotnie na mnie krzyczano, chciałem, żeby on przestał.

– Jakie ma pan uczucia w związku z tym, że zabił pan pana Metcalfa?

Spojrzałem na swoje ręce. Nadal nie wierzyłem, że zakończyły czyjeś życie.

– Jestem zdruzgotany – odparłem, przypomniawszy sobie słowo, którego polecił mi użyć Xander. – Chciałem, rzecz jasna, by Verity od niego odeszła, ale nie życzyłem mu nic złego.

Taka właśnie jest prawda. Albo może raczej taka, że było mi wszystko jedno, co się stanie z Angusem. Sądzę, że i tobie, V, też było wszystko jedno, chociaż wiem, że na pewno nie chciałaś, by umarł. Myślę, że i ja, i ty tak naprawdę nie zważamy na ludzi, którzy nie są nami. Nie życzę innym śmierci, ale przecież świat jest pełen bezsensownych istnień, istnień, których można się pozbyć, bezwartościowych. Nasza prawda to nic skomplikowanego: po prostu nikogo poza nami nie potrzebujemy. Liczymy się tylko my – ja i ty.

– Proszę opowiedzieć o czasach, gdy skończył pan studia, a Verity była chora i brała antydepresanty.

Czułem na sobie twoje spojrzenie, V, i przepraszam, ale musiałem w tym miejscu trochę ubarwić, choć oboje wiemy, że tego nie chciałem. Wiesz, że uwielbiałem tamte czasy.

- Nie było wesoło, ale jakoś przez to przeszliśmy.
- Podobno nauczył się pan medytować, żeby jej pomóc?
- Tak. To bardzo przydatna umiejętność.
- Powiedziałby pan o sobie, że jest pan z natury spokojny?
- Raczej tak.

– A co pan sądzi o tym, jak określają pana inni: że jest pan samotnikiem, outsiderem, z trudem zawiera pan znajomości, ale za to jest pan bardzo lojalny.

Skinąłem głową.

– Myślę, że to wszystko prawda. Rzeczywiście miałem trudne dzieciństwo, ale potem trafiłem do Elaine i Barry’ego i przekonałem się, że na świecie są też dobrzy ludzie. Może rzeczywiście za bardzo kochałem Verity, jak mówiła jej mama, ale, z drugiej strony, nie do końca rozumiem, co to znaczy. Po prostu ją kocham. A ona – mnie.

Xander skinął głową. Zdawało się, że wszystkim coraz trudniej się oddycha.

– Bardzo ciekawi mnie pańska opinia o tej grze, Pragnę, w którą bawiliście się z panią Metcalf w czasie trwania waszego związku.

– Trudno mi to wytłumaczyć. Było dokładnie tak, jak mówiła Verity. Szliśmy do baru, udawaliśmy, że jesteśmy osobno, do niej przysiadł się obcy mężczyzna, a ja podchodziłem i przerywałem ich flirt.

– Pani Metcalf twierdzi, że to was podniecało. Czy to prawda?

– Tak.

– Potem często uprawialiście seks w barze lub klubie, w którym miało miejsce to zdarzenie.

– Tak.

Xander podszedł do przysięgłych.

– Zawsze czerpaliście z tego przyjemność?

– Tak. Jeżeli tylko Verity była zadowolona, to ja też.

– Jak pan się czuje, wiedząc, że pani Metcalf kłamała, mówiąc, że chce spróbować seksu z kobietą, skoro była już przedtem w związku lesbijskim?

– Nie ma to dla mnie znaczenia – odpowiedziałem i to prawda, V.

– A Kitten Club? Co pan o tym sądzi?

Po twoich zeznaniach, V, rozmawialiśmy z Xanderem o naszych odwiedzinach w Kitten Clubie i o tym, czy kłamałaś, ile razy tam byliśmy. Powiedziałem, że byliśmy tam tylko raz, a on na to mruknął: „A szszszkoda” takim tonem, że wreszcie do mnie dotarło, że ta cała sprawa dotyczy tylko idiotów, którzy nie są nami. Rozwiązało to dla mnie problem i pokazało mi wyjście z tego całego gówna. Trzeba im dać, czego chcą, to sobie wreszcie pójdą i zostawią nas w spokoju.

Tak, V, będziemy musieli poświęcić parę lat życia, bo świat, w którym żyjemy, nie jest gotów docenić miłości w najczystszej i najprostszej formie. Świat ten opiera się na przemocy i kłamstwach, oszustwach i nieuczciwości. Czystości, choć ma ją przed samym nosem, nie widzi, woli na nią nie patrzeć, odwraca się od niej i prycha z pogardą. To proszę, niech mają. Po nas to spływa, prawda, V? Jesteśmy ponad to, i to bardzo.

I właśnie dlatego zrobiłem to, co wtedy zrobiłem.

– Podobało mi się tam – odparłem. – Obojgu nam się podobało.

Xander podniósł wzrok, jakby mnie dokładnie nie słyszał, a kiedy się znowu odezwał, głos lekko mu zadrżał. Ale rozpoznałem to drzenie – było oznaką pożądania, dźwiękiem, jaki wydaje ktoś, kto dostał to, czego pragnął.

– Zdawało mi się, że pani Metcalf mówiła, że byliście tam tylko raz? I nie wzięliście udziału?

– Poszliśmy parę razy. I braliśmy udział – odpowiedziałem równym, stanowczym tonem.

Xander prawie się uśmiechnął.

– Braliście udział w orgiach? Pan z panią Metcalf?

– Tak.

W tym momencie krzyknęłaś, V, łzy trysnęły ci z oczu, a orzeł zaczął podskakiwać na twoim walącym sercu.

– Proszę opowiedzieć sądowi, co robiliście – rozkazał mi Xander, oblizując wargi.

W tej chwili straciłem panowanie nad sobą. Nie zważając na wyższe dobro, pragnąłem natychmiast zakończyć to cierpienie. Wstałem i wbiłem spojrzenie w twoje oczy.

– Wybacz mi, V – krzyknąłem. – To dla dobra sprawy, przysięgam. Kocham cię.

Otworzyłaś usta, ale wydobył się z nich tylko szloch.

Petra wstała.

– Wysoki sądzie, to musi się skończyć.

– Oskarżonemu nie wolno zwracać się do pani Metcalf – oświadczył sędzia. – Chyba że chce zostać ukarany za obrazę sądu.

Xander podszedł do mnie, a ja usiadłem na miejsce. Cały się trząsałem. Zdawało mi się, że trzęsie się cała sala. Czerpałem jednak siłę z twojej udręki, V, bo wiedziałem, że tkwimy w tym bólu razem, wiedziałem, że muszę o tobie więcej nakłamać, bo tylko te kłamstwa cię ochronią, tylko dzięki nim będziesz bezpieczna, gdy ja będę za kratkami.

– Mike, wytłumacz, proszę, sądowi, w jaki sposób pani Metcalf nad tobą panowała.

Tego pytania nie przygotowaliśmy. Uderzyło mnie niczym niespodziewany cios.

– Bardzo się kochamy – powiedziałem. Mój głos zabrzmiał donośnie i stanowczo.

Xander pojednawczo skinął głową.

– W to nie wątpię. Ale czy dla niej byłeś gotów na wszystko?

– Oczywiście. Nadal jestem.

– Nie ma nic, czego byś nie zrobił?

– Nic.

Cisza aż wibrowała wokół nas.

– Nawet po tym, co się stało? Nawet po tym, co o tobie powiedziała?

Skinąłem głową.

– Verity na pewno ma swoje powody. Wszystko będzie dobrze.

Wczoraj wieczorem coś sobie przypominałem, V, coś, co wróciło do mnie późno, kiedy leżałem na pryczy i kolejny raz miałem to wszystko w głowie. Przypominałem sobie, jak poszliśmy do sklepu z upominkami w Edynburgu, tamtego roku, gdy pojechaliśmy tam na festiwal. Przeglądaliśmy drewniane tabliczki ze złotymi myślami, żartowaliśmy, a ty nagle przestałaś się śmiać. Wzięłaś jedną tabliczkę do ręki i powiedziałaś, że to pierwszy cytat, jaki w życiu widzisz, który rzeczywiście ma sens i jest godny zapamiętania. Przeczytałem ci go przez ramię: „Miłość to moją tak zatwardza duszę; Chcąc być łagodnym, okrutnym być muszę”<sup>2</sup>. „Musimy to zapamiętać, Mikey – powiedziałaś – Szekspir nigdy nie kłamie”. Ale ja wtedy nie zrozumiałem, dlaczego tak myślałaś, ale teraz rozumiem, absolutnie.

Musimy pracować nad prawdą i ją naginać. Inni mogą widzieć to inaczej, ale, kochanie, okrucieństwo w naszym wydaniu to miłość, tylko inaczej nazwana.

Xander z trzaskiem zamknął dokumenty.

– Czy pani Metcalf kiedykolwiek prosiła, by skrzywdził pan pana Metcalfa?

Zawahałem się, ale tylko na ułamek sekundy. I, V, spojrzałem prosto na ciebie. Pamiętaj o tym. Nabrałem powietrza głęboko do żołądka, ponieważ oto właśnie osiągnęliśmy punkt, nad którym rozmyślałem przez ostatnie tygodnie: co składa się na prawdę? Czy prawda zawiera się tylko w tym, co sobie mówimy i co wędruje między nami w ulotnych kłębkach pary wodnej, choć często dzieje się to bez zastanowienia? Czy może prawda – tak jak podejrzewam – to coś więcej? Nie, z pewnością to podstawa



wszystkiego, czym jesteśmy. Buduje nas, nasze istnienie. I domaga się takiej interpretacji, by mogła osiągnąć swój rzeczywisty potencjał.

– Poprosiła mnie o pomoc – odparłem. Serce waliło mi w piersi, krew szumiała w uszach.

Xander zamarł. Jego zaskoczenie sprawiło mi przyjemność. Wiedziałem, że na mnie patrzy, ale sam na niego nie spojrzałem, bo nie miałem zamiaru odrywać wzroku od ciebie.

– Kiedy to było?

– W poniedziałek, kiedy do niej poszedłem. Całowaliśmy się, a potem długo rozmawialiśmy o tym, jak rozwiązać tę sytuację. Tak jak mówiłem. – Na chwilę przerwałem, bo pamiętałem, jaka twarda była podłoga pod plecami, jak usiedliśmy, oboje drżący z pożądania. – Jak już mówiłem, ona powiedziała, że chciałyby, aby wszystko się między nami ułożyło.

„Boże, V, jesteś najpiękniejszą istotą na ziemi”, właśnie to sobie pomyślałem, patrząc wtedy na ciebie. Mógłbym do ciebie wpłynąć i na zawsze zamrzeć w bezruchu. Wiedziałem jednak, że Xander i reszta jeszcze czegoś ode mnie chcą. Że cała ta historia domaga się bardziej wyrazistego punktu kulminacyjnego.

– Powiedziała, że chce się wyrwać z małżeństwa, ale sama nie jest w stanie. Poprosiła, żebym jej pomógł. – Słowa kłuły mnie, gdy ze mnie wychodziły.

– A jak pan to zinterpretował? – spytał Xander, przebijając się przez moje myśli.

– Że jest przerażona, bo obawia się konfrontacji. Zawsze chroniłem ją przed nieprzyjemnościami, czuwałem nad nią w niebezpieczeństwie. Wiedziała, że tym razem też może na mnie liczyć. Verity nie chciała, by Angus zginął, tak samo jak ja. Ale musieliśmy być razem. Czy to jasne? My po prostu nie mogliśmy nie być razem.

Mówiłem wtedy tylko do ciebie, V, a ty nawet na sekundę nie oderwałaś ode mnie wzroku. Przestałaś płakać. Wiedziałem, że w końcu zrozumiałaś, co zrobiłem.

\*

Podsumowanie tego wszystkiego zajęło Xanderowi i Petrze wieki, oboje równie błędnie w kółko międlili te same błędne wnioski. Następnie sędzia wyraził swoje stanowisko, które spisał dla niego Xander. Bardzo długo

wyłuszczał kwestie prawne – że przysięgli mogą uznać mnie winnym zabójstwa, co oznacza werdykt najpoważniejszy, którego nie można jednak wydać, nie mając absolutnej pewności, że kiedy biłem Angusa, miałem zamiar go zabić. Że wydając taki wyrok, przysięgli muszą być przekonani, że nie działałem w obronie własnej. Przypomniał im też o moim dzieciństwie i cierpieniu psychicznym, jakiego zaznałem. Dodał, że opcją dużo bardziej realistyczną jest uznanie mnie za winnego nieumyślnego spowodowania śmierci.

Nie starał się kryć odrazy do ciebie, V. Przypomniał przysięgłym, że mimo że zeznawałaś pod przysięgą, skłamałaś i w sprawie Angeli, i w sprawie Kitten Clubu, i że masz problemy z radzeniem sobie w trudnych, niepożądanych sytuacjach, zwłaszcza związanych ze zrywaniem związków i znajomości. Długo mówił na temat, jak to ujął, twoich ekstremalnych i niezwykłych zachcianek seksualnych, a także o tym, że bez wątplenia wykorzystywałaś swoją seksualność do sprawowania nade mną kontroli. Kiedy mówił, zacisnąłem oczy, by nie wrzeszczeć w twojej obronie, ale trudno, z takim trollowaniem też musimy sobie radzić. Nie pozwolimy, by takie robaki żerowały na naszych martwych ciałach.

Na koniec musieliśmy jeszcze poczekać dwadzieścia cztery godziny i zostaliśmy znowu wezwani przed sąd. Nie zostałem uznany za winnego zabójstwa, tylko nieumyślnego spowodowania śmierci. A ty, kochanie, zostałaś uznana za winną pomocnictwa w spowodowaniu śmierci. Patrzyłem na ciebie, gdy odczytywano wyrok, i widziałem, że kolana się pod tobą ugięły i strażniczka musiała cię podtrzymać pod ramię. Suzi krzyknęła, ale nie wiem, czy słyszałaś. Musieliśmy stać i słuchać, jak sędzia mówi, że to tragiczna sprawa, której jak wierzy, ani ja, ani ty nie chcieliśmy zakończyć śmiercią Angusa. Mówił o odpowiedzialności i niebezpieczeństwach, które pociągają za sobą granie w gry i wykorzystywanie innych.

Bardzo wyraźnie pamiętam jego jedno zdanie: „Padł pan w życiu ofiarą dwóch kobiet o deficycie emocjonalnym i mogę tylko mieć nadzieję, że kiedy wyjdzie pan z więzienia, będzie pan wybierał partnerki z większą rozważą”. Dopiero po chwili do mnie dotarło, że mówił o tobie, V, i o mojej matce.

Dostaliśmy po osiem lat, ale Xander mówi, że będziemy się odwoływać i być może uda się to skrócić do pięciu. A za dobre sprawowanie powinniśmy wyjść za trzy do czterech. To nie aż tak długo.

Kiedy wróciłem do celi, Terry pozwolił mi obejrzeć wiadomości. Siedzieliśmy obaj na jego cuchnącej pryczy i patrzyliśmy, jak Petra sztywno schodzi po szerokich sądowych schodach. Wokół niej kłębili się dziennikarze, ona zaczęła, aż się uspokoją i dopiero zaczęła mówić.

– Moim zdaniem przed sądem stanęła niewłaściwa osoba – oświadczyła ze złością, która promieniowała z niej niczym bariera energetyczna. – Można było odnieść wrażenie, że w tym godnym pożalowania pseudoprociesie Verity Metcalf odpowiada za swoją seksualność, a zatem wracamy do siedemnastowiecznego Salem. Nie spodziewałam się, że w dwudziestym pierwszym wieku w sali rozpraw usłyszę słowa typu „uwodzić” czy „rzucić urok” w odniesieniu do mądrej, inteligentnej kobiety. W wyniku kłamstw i plotek, które narosły wokół tej sprawy, nie tylko niebezpieczny mężczyzna otrzymał zbyt krótki wyrok, więc za parę krótkich lat znowu będzie chodził między nami po ulicach, lecz niewinna kobieta została skazana za przestępstwo, którego nie popełniła. – Wybrała sobie kamerę i spojrzała w nią, prosto na nas. – Każdy, kto twierdzi, że wreszcie mamy równość, powinien się poważnie zastanowić, co tu się stało, i pomyśleć, dlaczego nie budzi to zastrzeżeń ani nie szokuje. Wszyscy związani z wymiarem sprawiedliwości powinni się dziś wstydzić, ponieważ sprawiedliwości nie stało się zadość.

Poczułem lodowaty ciężar w żołądku, ale Terry dźgnął mnie w żebra.

– Pieprzone feministki – powiedział. – Wszystko to lesby, każda jedna.

Głucho się zaśmiał, aż mu zagruchotało w piersi. Nie odpowiedziałem. Wdrapałem się do siebie na górę i stwierdziłem, że mgła się podniosła i przez moje okienko widać teraz gwiazdy.

\*

No i tak, V. Siedzimy, ja i ty, zamknięci w klatkach, i czekamy, aż znowu będziemy mogli być razem. Xander podsyła mi mnóstwo propozycji od pisarzy, dziennikarzy i producentów filmowych, którzy podobno chętnie opowiedzieliby tę historię z mojego punktu widzenia. Próbuje mnie nakłonić, żebym z nimi pogadał, twierdzi, że to będzie dla mnie dobre, ale tak naprawdę chodzi o to, że jest próżny i chciałby się zobaczyć w skórze jakiegoś przystojnego aktora. Na razie odrzucam wszystkie prośby, ale zaczynam się zastanawiać. Wiadomości szybko się zmieniają, szerzą się w postaci plotek. Przez tę historię, przez tę naszą wspólną prawdę my

dwoje zostaliśmy ze sobą związani, więc może powinniśmy ją przedłużyć. Może dobrze byłoby pokazać ją na ekranach i w książkach, by już na zawsze związały nas słowa.

Dziękuję, że wycofałaś oskarżenie o gwałt. Oczywiście wiem, że tak naprawdę nigdy nie miałaś zamiaru iść z tym do sądu, że to był jeden z elementów Pragne, kolejny sposób, by nas przywieść tuż nad samą krawędź, a potem od niej odciągnąć. I miałaś rację, że nie kwestionowałaś tego absurdalnego procesu cywilnego, wytoczonego przez rodzinę Angusa w sprawie testamentu. Wiem, co to za jedni, widziałem ich w sądzie. Ale to nie ma znaczenia, przecież i tak nie tknęlibyśmy jego pieniędzy, prawda, kochanie?

V, wiem, że lubisz, aby twoje życzenia spełniały się natychmiast. Perspektywa trzech lat beze mnie na pewno cię przeraża i dlatego codziennie do ciebie piszę. Długie listy o naszej cudownej wspólnej przyszłości.

Najbardziej lubię opowiadać ci o naszym domu. Tej wiosny w ogródku będzie cudownie, ale najlepszy efekt zobaczymy dopiero, jak wrócimy do domu. Anna mówiła, że aby rośliny się przyjęły i zaczęły wyglądać tak, jak trzeba, muszą upłynąć trzy lata. Leżę na pryczy, rozmyślam o tym i widzę, że wszystko wyszło tak, jakbyśmy to zaplanowali. Zachwycisz się tym ogrodem, zresztą już mam cię przed oczami, jak siedzisz wśród chwiejących się na wietrze kwiatów, a ja stoję przy grillu i robię nam kolację. Będziemy leżeć na ciepłych ogrodowych płytkach i patrzeć w chmury, i znowu mnie nauczysz rozpoznawać w nich kształty i obrazy. Będziemy się kochać w każdym pokoju, pokażę ci te numery telefonów na drzwiach kredensu w kuchni, bo postanowiłem ich jednak nie zamalowywać. Opowiemy sobie historie tych kobiet i nadamy im właściwe zakończenia.

Wsiądziemy w samolot, V, i będziemy leżeć na dzikich plażach, a lekki wiatr będzie muskał naszą skórę. Będziemy pić koktajle w dziwnych hotelowych pokojach, gdzie nikt nie wie, jak się nazywamy, i pływać w morzach głębszych, niż sięga nasza wyobraźnia. Co noc będziemy się mocno przytulać, splatać się ze sobą, stykać się głowami. Będziemy spać spokojnie, a nasze piersi będą się harmonijnie unosić w ciepłych, głębokich oddechach. I nie będę się budził w nocy z myślą o tym, by ci odplątać zwoje mózgowy, bo już będę wiedział, co w nich jest. Położysz dłoń na mojej piersi, poczujesz, jak bije moje serce, a ja obcałuję każdy centymetr

twojego ciała. Jesteśmy, moja kochana, istotami idealnymi, zawieszonymi w stanie oczekiwania, dzięki któremu nasze spotkanie ostatecznie okaże się jeszcze lepsze.

V, zdołaliśmy dokonać czegoś, czego na próżno pragną inni kochankowie. Odrzuciliśmy świat i istniejemy tylko we własnych sercach. Prawie osiągnęliśmy doskonałość – stan, w którym nie liczy się nic poza naszą więzią. Zamykam oczy i myślę o wspaniałych wspólnych dniach, tygodniach, miesiącach i latach, które się przed nami rozciągają, w zdrowiu i w chorobie, bez innych ludzi, dopóki śmierć nas nie rozłączy, zawsze i na wieki, amen.

\*

Boże, V, ależ się naczekałem, ale w końcu dostałem odpowiedź na wszystkie moje listy. To była pocztówka, na odwrocie napisałaś drukowanymi literami dwa słowa: „NIE JESTEŚ”.

Odwróciłem kartkę. Na zdjęciu widniał orzeł, szybujący wysoko po niebie, ponad ośnieżonymi wierzchołkami gór. Położyłem pocztówkę na pryczy – równiutko, tak by jej rogi celowały w rogi łóżka – i usiadłem przed nią po turecku. Siedziałem tak bardzo długo. Napawałem się chwilą.

Zamknąłem oczy, bo musiałem sobie to wszystko przemyśleć. Pragnąłem, by orzeł przeszył mi głowę, wdarł się do mózgu i pokazał drogę, tak jak zawsze chciałaś. Kochana, wiem, jak odczytaliby twoją intencję inni, ale wiem też, że ty nigdy nie zachowałabyś się tak prymitywnie, nie powiedziałaśbyś niczego tak wprost. Uwielbiam to, że posłużyłaś się naszym kodem, czyli dwoma słowami, i że zmuszasz mnie do wysiłku, bo z tobą nic nie jest proste i dosłowne. Wiem, co naprawdę myślisz. Ale nie musisz mi mówić, że nie jestem winny.

Nasza stara gra w Pragę dobiegła końca. Już jej nie potrzebujemy. Już poszliśmy dalej. Jesteśmy poza wszystkim, co nie jest nami samymi. Ale ze względu na stare dobre czasy wykreśliłem twoje dwa słowa i zastąpiłem je innymi, które dla nas nigdy nie tracą sensu: „Pragnę Cię”. Przeadresowałem pocztówkę i wrzuciłem ją do więziennej skrzynki pocztowej, więc jutro ją dostaniesz.

V, ty jedna zawsze wiedziałaś, czego mi trzeba, żebym wytrwał na tym świecie. Wiem, że Elaine i Barry, a nawet moja matka, starali się jak mogli, ale ty jedna przejrzałaś mnie na wylot, dotknęłaś mojej duszy.

Jesteśmy ludźmi, miotamy się i mylimy, ale to bez znaczenia. Ponieważ kochamy, potrafimy przebaczać. Znamy prawdę. I wiemy, czym jest miłość: uczuciem najmiłszym, a zarazem najbardziej okrutnym.

Idę ci na pomoc, V. Już nadchodzę.

# Posłowie

Uważam, że prawdziwy thriller psychologiczny napędza nie tyle akcja, ile psychologia. A to daje praktycznie nieograniczone pole do suspense, nieoczekiwanych zwrotów i intryg – nie istnieje przecież nic bardziej złożonego niż ludzki umysł i emocje. Właśnie dlatego uwielbiam powieści Carol Shields, Margaret Atwood, Patricii Highsmith i Iris Murdoch, w których źródłem dreszczyku jest fascynujące życie wewnętrzne bohaterów. Odkrycie to w większym niż cokolwiek innego stopniu otworzyło mi drzwi do tego, co zamierałam osiągnąć przez tę książkę.

Wiedziałam już, że chcę pisać o obsesyjnej miłości.

Szybko zrozumiałam, że chcę mówić głosem mężczyzny, zmienić perspektywę, nie wcielać się w kolejną świetną, skrzywdzoną kobietę, których głosami mówiły do mnie książki czytane w ostatnich latach, lecz pokazać skrzywdzonego mężczyznę. Lubię niedoskonałych bohaterów. Nie wierzę w dobro i zło jako takie, wierzę w złożonych, pełnych ludzi, obitych i posiniaczonych przez okoliczności i historię. W tej sytuacji mój główny bohater nie mógł być ani zły, ani dobry, nie mógł wiedzieć wszystkiego i wszystkiego rozumieć, z drugiej jednak strony chciałam, by wierzył w to, co robi. Chciałam stworzyć kogoś, kto budzi w nas wstręt, a jednocześnie nas przyciąga, kto sprawia, że czujemy się nieswojo, a mimo to się z nim solidaryzujemy. Od samego początku wiedziałam, że książka musi zostać napisana w pierwszej osobie i że nie można ani trochę zbaczać z toru myślenia Mike'a.

A potem, zupełnie przez przypadek, obejrzałam na Netfliksie film dokumentalny o Amandzie Knox. Znałam, rzecz jasna, tę sprawę i byłam zbulwersowana krzykliwymi nagłówkami szmatławców i niekompetencją policji. Ale przed obejrzeniem programu nie w pełni zdawałam sobie sprawę, jaki zatrważający to przypadek z punktu widzenia kobiet. Że tak naprawdę nikt nie przejął się faktem, że zamordowano dziewczynę, i nie dociekał, kto jest sprawcą, a jedynym wątkiem, który budził zainteresowanie, była Amanda i to, że lubiła seks. Zrozumiałam, że proces

nie dotyczył tego, kto jest zabójcą Meredith, lecz silnej seksualności Amandy Knox, za którą trzeba ją było ukarać.

Postanowiłam napisać książkę o mężczyźnie, który ma obsesję na punkcie własnej wizji kobiety idealnej. Ale oprócz tego, żeby miał na jej punkcie obsesję, chciałam, żeby był prawdziwie zakochany, całkowicie na jej punkcie oszalały. Wobec tego wiedziałam, że musi go z tą kobietą łączyć długa historia, że ta postać nie może pochodzić tylko z jego fantazji. Dałam im tę seksualną grę, w którą bawili się oboje i która obojgu sprawiała przyjemność. Chciałam stworzyć dwoje dwuznacznych, ale nieszkodliwych bohaterów. Parę niedoskonałych ludzi, cieszących się własnym miejscem na świecie, obojętnych wobec tego, co myślą o nich inni.

Wiedziałam jednak, że obsesja Mike'a musi mieć swoje źródło. Słuchałam kiedyś audycji radiowej, w której psycholog powiedział, że jeżeli mamy niepełną czy złą relację z rodzicami, możemy się zatrzymać w rozwoju emocjonalnym. Nasi rodzice to jedyni ludzie na świecie, którzy prawdziwie bezwarunkowo nas kochają, a my z kolei tylko dzięki temu wchodzimy w dorosłość nieobciążeni potrzebą takiej miłości i jesteśmy w stanie nawiązać zdrowy związek. Zapamiętałam sobie tę myśl, zgadzam się z nią i stąd wiedziałam, że Mike potrzebuje takiej przeszłości, która sprawi, że jego obsesja nabierze rzeczywistego wymiaru.

Kiedy skończyłam pisać, zastanawiałam się, czy nie posunęłam się zbyt daleko, twierdząc, że kobiety zawsze są sądzone surowiej niż mężczyźni. Czy przypadkiem się nie zagalopowałam, twierdząc, że nadal muszą być doskonałe, a jeżeli nie chcą się do tego oczekiwania dostosować, uważa się je za szalone, agresywne albo dziwne? Był październik 2016, w Stanach szalała gorączka przedwyborcza. Przez miesiąc z otwartymi ze zdumienia ustami patrzyłam, jak kompetentna, inteligentna, silna kobieta jest miażdżona przez nieudolnego, niepotrafiącego się wysłowić, nadużywającego gestów terrorystycznego drania. Nie, to niemożliwe, żeby wygrał, powtarzałam sobie, nadal wierząc, że skoro świat zaszedł tak daleko, to nie da się tego cofnąć. A teraz z przerażeniem stwierdzam, że nie jestem pewna, czy rzeczywiście zaszliśmy aż „tak daleko”.

Dziś nie da się zaprzeczyć, że żyjemy w świecie, który sądzi kobiety i mężczyzn zupełnie inaczej. Kobiety muszą być doskonałe, mężczyźni mają przyzwolenie na bezkarne morderstwo. Równość ciągle pozostaje w sferze odległych marzeń, a przeszłość obróciła się przeciwko nam i wymierzyła nam policzek. Wygląda na to, że nie możemy uciec od tego, kim jesteśmy,



zarówno jako jednostki, jak i zbiorowość. Uporczywie stawiamy małe, niepewne kroki i często coś nas odciąga w tył. Znowu strasznie jest być kobietą – być inną, być tą drugą.

Ale są też w tym wszystkim podstawowe ludzkie emocje, które się nie zmieniają, a wśród nich na pierwszym miejscu stoi miłość. Tę powieść można przeczytać jako romans, ponieważ z punktu widzenia Mike'a opisana tu historia to historia miłości. Celowo niektórych rzeczy nie doprecyzowałam. Tych dwoje ludzi bardzo się kochało, byli do siebie dopasowani, pociągali się nawzajem, mieli swoje tajemnice. Chcę, by czytelnik zastanawiał się nad prawdą i czuł, że pewne fragmenty tej historii są przed nim zakryte. Chcę, by polubił oboje bohaterów. Chcę, by po skończonej lekturze dokonał własnego osądu, a potem zapytał siebie samego, co stoi u jego podstaw.

Możliwe, że z filozoficznego punktu widzenia ta powieść jest banalna, ale nie może się powstydić etykietyki dreszczowca psychologicznego. Uczę kreatywnego pisania na studiach magisterskich i prowadzę zajęcia pod tytułem: *Jak budować napięcie w thrillerze psychologicznym*. Mój kurs zawsze cieszy się sporym zainteresowaniem, ale zauważyłam, że uczestnicy przychodzą speszeni. Zaczynam więc od tego, że ich pytam, co piszą, jaki gatunek książek. Na dwadzieścia osób jedna czy dwie zwykle odpowiadają, że thriller psychologiczny lub kryminał, a większość, że beletrystykę. Wtedy mówię, że mam nadzieję, że niezależnie od gatunku wszyscy piszą thriller psychologiczny, bo czy nie w tym tkwi sekret wciągającej, przykuwającej uwagę książki? Moim zdaniem każda powieść zaczyna się od dobrego bohatera, a wiarygodny bohater musi być pod każdym względem tak uformowany, by wydawał się prawdziwy, a tu mamy już do czynienia z psychologią. Opowieść tworzy się wtedy, gdy stawiamy takich bohaterów w trudnych, ciekawych sytuacjach. W przeciwnym razie, czy komuś by się chciało czytać książkę? I właśnie to wywołuje dreszczyk.

# Podziękowania

Zarys tej książki powstał na fali złości wywołanej notoryczną niesprawiedliwością wobec kobiet w naszym tak zwanym cywilizowanym społeczeństwie. Dziękuję więc mojemu mężowi Jamiemu i synowi Oscarowi, że radzili sobie z gniewem skierowanym przeciwko mężczyznom (choć żaden z nich nie należy do takich, na jakich jestem wściekła). Dziękuję też moim córkom, Violet i Edith, że przy każdej możliwej okazji, gdy podburzam je przeciwko patriarchy, chociaż udają zainteresowanie.

Dziękuję tym, którzy zawsze czytają pierwsze wersje moich książek, i tę również przeczytali: mamie i tacie, Lizzie, Emily, Polly i Dolly. Bardzo sobie cenię wasze wsparcie i to, że mnie motywujecie.

Jestem wdzięczna Sarah Thorne, która pozwoliła mi obserwować siebie na sali sądowej i udzieliła mi cennych porad prawnych.

Ogromnie dziękuję mojej agentce Lizzie Kremer, która, ze swoim analitycznym okiem i wyważoną, przemyślaną i spokojną radą, nigdy, przenigdy nie chybioną, zdecydowanie jest największym dobrem, o jakim może marzyć pisarz.

Jestem też zobowiązana obu moim wydawczyniom, Selinie Walker w Wielkiej Brytanii i Daphne Durham w Stanach Zjednoczonych. Obie przeczytały i zredagowały tę książkę jak najlepiej, z właściwym sobie zapałem i polotem.

---

<sup>1</sup> Virginia Woolf, *Pokój Jakuba*, przeł. Magda Heydel, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2009.

<sup>2</sup> William Shakespeare, *Hamlet*, tłum. Józef Paszkowski.

Redaktor inicjujący: Magdalena Gołdanowska, Joanna Maciuk  
Redaktor prowadzący: Magdalena Matuszewska

Przekład: Katarzyna Roslan  
Redakcja: Hanna Trubicka  
Korekta: Regina Gręda, Dawid Beczkiewicz

Jacket artwork rendering by David Wu; cover design by Alex Merto

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48  
tel. (22) 828 98 08  
faks (22) 395 75 78  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-6627-4

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

**virtualo**